



Daj się ponieść tej historii,
poznaj zakręty losu i...

Wszystkie kształty uczucí

EDYTA ŚWIĘTEK


Replika



*Wszystkie kształty
uczucí*

EDYTA ŚWIĘTEK

*Wszystkie kształty
uczuc*


Replika

*Mówię tylko do tych, którzy chcą mnie słuchać,
Ci, którzy nie chcą, nie obchodzą mnie.*

(Indios Bravos – fragment piosenki *Ściana*)

CZEŚĆ I

Zaklęty krąg

Rozdział 1

Niekochane dzieci

Dawid

Zakochałem się.

Czy, aby poczuć coś takiego, wystarczy dziesięć sekund? Tyle bowiem trwała chwila, gdy spoglądaliśmy sobie w oczy.

Zauroczyły mnie brązowe tęczówki, długie rzęsy, łagodne łuki brwiowe o naturalnym kształcie i ciężkie powieki nieznanym. Jej spojrzenie było krótkie, ale jakże uważne! Kiedy stała przede mną w kolejce, czułem jej delikatny zapach. Nie ciągnęła za sobą smugi ciężkich perfum, jak niektóre kobiety. Pachniała lekko, świeżo i delikatnie, przywodząc na myśl wiosenne kwiaty.

Uroda obcej dziewczyny tchnęła wyrafinowaną subtelnością madonny – nie była agresywna i krzykliwa. Podziwiałem delikatne, nieco asymetryczne rysy, ładnie wykrojone usta o uniesionych w górę kącikach nadających jej twarzy pogodny wyraz oraz gęste, ciemne, długie do połowy pleców i lekko falujące włosy. Najbardziej jednak zafascynowały mnie filigranowe przeguby rąk i kostki u nóg – dzięki nim młoda kobieta przywodziła na myśl kruchą, porcelanową laleczkę.

Poruszający był głęboki smutek, który dostrzegłem w jej źrenicach. W chwili, gdy skierowała na mnie wzrok, poczułem, jakby zajrzała mi w głąb duszy.

Usta podkreślone delikatnym błyszczkiem wyszeptały:

– Przepraszam.

Jedenaście sekund wcześniej nadepnęła mi na stopę.

Później odwróciła się w stronę kasjerki, aby zapłacić za swoje zakupy.

Pochłonięta prozaicznymi czynnościami, jakie zazwyczaj odbywają się przy kasie, nie zauważyła, że obudziła we mnie głęboko uspięte uczucia, o istnieniu których nawet nie miałem pojęcia.

Obserwowałem, jak pakuje sprawunki i podaje kasjerce kartę płatniczą. Chciałem zobaczyć, jak się nazywa. Niestety ekspedientka zasłoniła kciukiem prawie całe nazwisko i imię. Odczytałem tylko: „Kl...ak”, czyli prawie nic.

Klara? Klementyna? Klotylda?

Wcześniej chodziłem za nią krok w krok po całym sklepie, niemalże od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczyłem. To głupie, wiem. Do tej pory nie zachowywałem się w taki sposób, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku. Dostrzegłem w tej kobiecie coś, co natychmiast zapragnąłem uwiecznić. Byłaby wspaniałą modelką. Chciałbym kiedyś wyrzeźbić te harmonijne kobiece kształty.

Nie miałem odwagi, aby ją zagadnąć. Usta odmówiły mi posłuszeństwa. Ostatnim przebłyskiem świadomości zapłaciłem za paczkę chipsów – jedyny produkt, który wrzuciłem do koszyka, aby móc stanąć za nią w kolejce do kasy (choć miałem w kieszeni całą listę zakupów) i wybiegłem na parking skąpany w promieniach sierpniowego słońca.

Całe szczęście, że to nie był hipermarket, a zwyczajny wiejski sklep z kilkoma miejscami postojowymi. Odnalezienie dziewczyny wzrokiem nie nastęczyło mi żadnych trudności.

Dostrzegłem ją, gdy zamykała bagażnik wysłużonego volkswagena golfa. Nagły podmuch wiatru rozwiął jej bujne włosy. Cóż to był za widok, gdy w brązowych pasmach odbiły się refleksy popołudniowego słońca! Nieznajoma odgarnęła niesforne kosmyki na bok, a później wsiadła do samochodu. Zanim odjechała, zdążyłem zauważyć, że samochód miał krakowskie numery rejestracyjne. Odetchnąłem z ulgą – nie będę musiał szukać jej po całym świecie. Bo w to, że jej poszukam, nie wątpiłem.

– Kim jesteś? Skąd się tu wzięłaś? Przypadek? Czy może zabłądziłaś w te strony na dłużej? – zapytałem ją w myślach, patrząc, jak znika za zakrętem.

Spoglądam na paczkę chipsów w ręce i wzdycham. Dopada mnie proza życia – miałem zrobić zakupy.

Odwracam się, aby pchnąć przeszkłone drzwi i widzę w nich moje odbicie zniekształcone przez skazę na szybie. Od razu przypominam sobie powód, dla którego nie zdobyłem się na odwagę, aby zagadnąć tajemniczą brunetkę.

Jak na trzydzieści cztery lata wyglądam raczej staro. Wokół szarych oczu

pojawiły się pierwsze zmarszczki. Siwieją mi włosy – to mnie chyba martwi najbardziej, ponieważ za mocno poskręcanyimi długimi pasmami ukrywam nieciekawą twarz. Nie jestem przystojny. Nawet nie jestem przeciętny. Mam za duży nos z niewielkim garbem, licznie i bardzo głębokie blizny po wyjątkowo powikłanej ospie, którą przechodziłem jako nastolatek. Ciężko opadające powieki nadają mi wygląd wiecznie zaspanego. W moim obliczu nie ma absolutnie nic interesującego. Gdybym miał kiedyś strugać figurę Judasza, byłbym dla samego siebie najlepszym modelem.

Nigdy nie miałem powodzenia wśród dziewczyn. Odkąd sięgam pamięcią, charakteryzowałem się nieśmiałością. Później, po chorobie, było jeszcze gorzej. Blizny skutecznie udaremniały moje kontakty z płcią przeciwną. W czasach szkolnych dziewczęta potrafiły okrutnie ze mnie kpić. Zasłaniałem twarz włosami – czułem się wtedy lepiej. Czasem chciałem stać się niewidzialny, lecz przy moim nieprzeciętnie wysokim wzroście jest to zupełnie niemożliwe. Być może właśnie dlatego Mariusz Kubas wybrał mnie na swojego przyjaciela – potrzebował kontrastu. W tym akurat jestem dobry, ponieważ gdy stoimy ramię w ramię, to on przyciąga spojrzenia kobiet, chociaż jest o głowę niższy i raczej wąły.

Pierwszy raz w życiu myślę, że chciałbym go choć trochę przypominać. Bylebym nie był pustogłowym matosem, gdyż Kubas często potrafi zaskoczyć mnie bezdenną głupotą.

Może wtedy miałbym jakąś szansę u tamtej dziewczyny?

Dlaczego się z nim przyjaźnię, skoro uważam go za matosa?

Nie wiem. Z przyzwyczajenia, wygodnictwa (mieszkamy blisko siebie), całe życie obok, razem w szkolnej ławce, te same fascynacje (przynajmniej niegdyś), wspólne przygody... Po prostu nie wiem.

Wchodzę do sklepu. Z kieszeni spranych jeansów wydaję pogniecioną kartkę z listą zakupów. Mam niewielkie pojęcie o prowadzeniu domu. Skupiam się na zarabianiu pieniędzy i ułatwianiu życia nie najmłodszej matce. Staruszka dba o mój żołądek i inne potrzeby. Nieustannie suszy mi głowę, że powinienem poszukać sobie jakiejś miłej dziewczyny (ostatnio *dziewczyna* coraz częściej bywa zastępowana *kobietą*) i założyć rodzinę, bo przecież ona nie będzie żyła wiecznie.

Mama nie ma konkretnych oczekiwań co do potencjalnej synowej. Nie musi być piękna, ponieważ jej zdaniem ładne dziewczyny są próżne. Bogactwo ani zaradność też nie są ważne. Byle była mądra i sympatyczna. Ona nie znosi głupoty, a ponadto nie wyobraża sobie, abym przyprowadził

jakaś jędzę do domu, który, jako najmłodszy z czterech braci, dziedziczą po rodzicach.

Nie przestając myśleć o nieznajomej brunetce, machinalnie wkładam do wózka kolejne produkty z listy. Powtarzam w myślach numer rejestracyjny jej samochodu. Na szczęście nie jest trudny do zapamiętania. To jedyny ślad, a ja wciąż czuję determinację, aby spróbować ją odnaleźć. I wiem, że gdyby los jeszcze raz postawił ją na mojej drodze, to nie zaprzepaściłbym kolejnej szansy – spróbowałbym ją zagadnąć. Nawet, gdyby miała mnie wyśmiać.

Być może dla spokoju sumienia liczę właśnie na to. Kolejny raz udowodniłbym sobie oraz matce, że moim przeznaczeniem jest samotność i nie czeka na mnie nic poza przygodnymi znajomościami oraz szybkim, byle jakim seksem.

Kludia

Od trzech dni urządzam się w nowym miejscu. W związku z pracą, którą dostałam w tej niewielkiej wsi opodal Krakowa, przydzielono mi służbowe mieszkanie w szkolnym budynku. Do zagospodarowania mam dwa nieduże pokoje, kuchnię oraz łazienkę wielkości znaczka pocztowego. Prócz tego jest tu nieduża weranda i otoczony tujami taras, gdzie w ciepłe dni będę mogła sprawdzać zadania uczniów albo czytać książki. Gdy podnoszę wzrok wyżej, ponad szpaler iglaków, widzę ciemną linię puszczy. Już cieszę się na wędrowki po wielowiekowej kniei.

Nareszcie! Po latach tułaczki będę miała własny kawałek świata. I nikt nie będzie mnie kontrolował, grzebał po moich rzeczach, zaglądał mi do chłodziarki!

Lodówka... Dobry Boże! Ktoś mógłby się popukać w czoło, widząc, z jakim promiennym uśmiechem szoruję używany sprzęt, będący na wyposażeniu mieszkania.

– Lodówka, lodówki, lodówce, lodówkę... – odmieniam wyraz przez przypadki.

Popadam w zadumę. Sięgam pamięcią wstecz, w przeszłość oddaloną o miliony lat świetlnych. Z mojej twarzy gaśnie powoli uśmiech, to nic nadzwyczajnego, nie zwykłam uśmiechać się nazbyt często.

Ja i moje rodzeństwo byliśmy notorycznie głodni. Ciotka kupowała chleb i serek topiony lub sadło, które topiła na smalec. Smażyła ohydne powidła z zielonych pomidorów. Niekiedy gotowała kapuśniak. Domowe menu

sprowadzało się do kapuśniaku (dzisiaj nienawidzę tej zupy, przywołuje okropne wspomnienia z dzieciństwa) oraz kilku tanich i prostych potraw. To jedzenie zupełnie nam nie służyło. Wszyscy byliśmy wychudzeni jak szczapy.

Jako nastolatka miałam skłonności do omdleń – zdarzały mi się bardzo często i w różnych sytuacjach. Kiedyś zobaczyła to sąsiadka z góry. Ona dobrze wiedziała, co dzieje się w naszym mieszkaniu – na pewno wiele słyszała przez cienki strop i niedomknięte okna. Ciotka była zła, że ta kobieta wciąż nas podsłuchuje.

Za którymś razem sąsiadka postanowiła zainterweniować. Zeszła do nas z wyżyn swojego piętra. Rozsiadła się w fotelu i spojrzała na mnie krytycznie znad okularów.

– Powinna ją pani lepiej karmić, pani Mieciu. To duża dziewczyna i już dojrzewa. Jak będzie kiedyś żyła z chłopem? Nie da rady, nie będzie miała sił.

– A co ja na to poradzę – warknęła ciotka – skoro tak wybrzydza przy jedzeniu?! – Tutaj skrzywiła się szpetnie i zaczęła mnie przedrzeźniać. – Tego nie będę, tamtego nie będę! Jak francuski piesek!

– No, to zamiast kupować nowy telewizor, pani Mieciu, może by pani kupiła dzieciom szynkę? – zasugerowała kobieta.

Spoglądam na dłonie pokryte pęcherzami. Zdarłam je niemalże do krwi, szorując tę nieszczęsną lodówkę. Kontury kuchni rozmazują mi się przed oczami. Oddech jest niespokojny, rwie się, zaczyna mi brakować tchu. Czuję, jak przyspiesza tętno, krew boleśnie pulsuje w moich żyłach. Narasta we mnie panika.

– Nie myśleć, nie wspominać, zapomnieć... – powtarzam półgłosem mantrę.

Siadam, podciągając kolana pod brodę. Oplatam nogi rękami, skulona jak mała dziewczynka. Kołyszę się delikatnie.

– Już dobrze, już dobrze – mówię szeptem. – To przeszłość, to już nie wróci...

Mija kilka minut, nim wraca spokój i osiągam stan równowagi. Mój wzrok znowu się wyostriża, kuchnia nie jest już rozmazana. Otrząsam się z ponurych rozważań. Kiedyś na pewno przestanę wracać myślami w przeszłość – wciąż to sobie obiecuję. Właśnie dlatego uciekłam z Wrocławia. Wodzę dookoła przytomnym wzrokiem.

Nowe mieszkanie. Nowa praca. Nowe życie.

O nowe wspomnienia postaram się niebawem.

Jodłówki leżą na południe od Krakowa. Tutaj słońce prześwieca rano zza wysokich wzniesień, strome dróżki pną się w górę, a samochód rzeźi z wysiłkiem, gdy jeżdżę po nich tam i z powrotem.

Mam nadzieję, że to wystarczy. Nie musiałam, jak Ewa, uciekać za ocean.

Bóg uchronił mnie też przed wyborem, którego dokonała Dagmara.

Stop! Nie wolno teraz o tym myśleć. Nie wolno wspominać. Nie popsuję słonecznego dnia upiorami z przeszłości.

Nigdy dotąd nie mieszkałam na wsi.

Jeszcze nie zdobyłam się na odwagę, aby wychodzić dokądkolwiek. Wyjazdy ograniczam jedynie do robienia zakupów w lokalnym sklepie. Resztę czasu spędzam na instalowaniu się w nowej kwaterze. Za całe towarzystwo wystarcza mi mój jedyny łącznik ze światem – pani Waleria, która jest woźną w szkole. Ta kobieta zdążyła mnie już zaznajomić z miejscowymi plotkami, opowiadając niestworzone historie o ludziach, których jeszcze nie widziałam na oczy. Mam tutaj kontrakt na pięć lat, to szmat czasu, więc czuję, że poznam bliżej wielu z nich.

Prócz nowinek Waleria przynosi mi także świeże wiejskie jajka od *szczęśliwych kur*. Zrobiona z nich jajecznica jest przepyszna. Pięknie wygląda: żółciutka, upstrzona zielonym szczypiorkiem i dojrzałymi pomidorami. Kiedyś, dawno temu, marzyłam o takich posiłkach: smacznych, pachnących świeżością i do syta.

Po wczesnej kolacji wychodzę na werandę. Cały dzień spędziłam na rozpakowywaniu rzeczy, teraz przyszedł czas na relaks. Zamierzam wyciągnąć się na leżaku, lecz przepiękna łąka rozpościerająca się za szkolnym terenem przyciąga mój wzrok i kusi do przechadzki. Z dala dostrzegam ścieżkę wijącą się pośród morza traw i ziół oraz kładkę rzuconą na migotliwą wstążkę strumienia.

Wracam na chwilę do mieszkania. Zmieniam przykurzone jeansy i koszulę na lekką indyjską sukienkę. Uwalniam włosy z ciasno zawiniętego koka. Teraz jestem gotowa do wyjścia.

Dawid

Zobaczyłem na łące zjawiskową postać – szła ścieżką, wśród wybujałych koniczyn, polnych kwiatów i ziół. Miała na sobie lekką, zwiewną sukienkę,

w której przywodziła na myśl barwnego motyla. Promienie słońca igrały w rozpuszczonych, ciemnych włosach, przenikały na wskroś cieniutką tkaninę tak, że widziałem zarys nóg i krągłość bioder.

To była dziewczyna, którą spotkałem wczoraj w sklepie. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Skąd się wzięła na wsi zabitej dechami?

Przyjechała do kogoś na wakacje? Kupiła tutaj dom, by wzorem wielkomiejskich snobów uciec przed zgiełkiem Krakowa?

W mojej głowie kłębią się niespokojne myśli. Daj mi, Panie Boże, odwagę, abym podszedł do niej i przemówił. Abym na dziesięć minut zapomniał o niezgrabnej sylwetce, o dziurach po ospie szpecących moją twarz i ciało, o siwych pasmach wśród włosów.

Nieznajoma sprawia wrażenie kruchej, ulotnej i młodziutkiej. Jest pełna gracji – inna niż dziewczęta, które tutaj mieszkają. Nie uwłaczając, rzecz jasna, mieszkankom Jodłówek. A może po prostu opatrzyły mi się lokalne ślicznotki, a ta nieziemska istota, brnąca wśród wysokich traw, ma w sobie urok nowości? Ona jedna nie zakpiła jeszcze z kraterów na mojej twarzy. Wtedy, w sklepie, gdy na ułamek sekundy spotkały się nasze spojrzenia, nie patrzyła na mnie ze wstrętem.

Minionej nocy przyszła do mnie we śnie. Widziałem jej oczy wpatrujące się w moje źrenice i niedostrzegające tego, że jestem poczwarą, zaglądającą w głąb duszy, a nie ślizgającą się po nieciekawej powierzchowności.

To niesamowite, że w jednej chwili szczelnie wypełniła mój umysł. Jak to możliwe – w tak krótkim czasie? Czy naprawdę kilka sekund mogło wywrócić cały świat do góry nogami? Co się ze mną dzieje?

Spojrzała na mnie i, choć była zbyt daleko, abym mógł zajrzeć w jej ciemne tęczęwki – poczułem nagłą duszność. Chciałem pomachać ręką albo podejść do niej i zagadnąć o coś, lecz nie byłem zdolny do wykonania żadnego gestu. Po prostu patrzyłem, ledwo zmuszając się do zdawkowego skinienia głową. Zapewne w tym samym momencie ona uznała mnie za gburę.

Kludia

Cudny był ten wieczorny spacer! Kiedy szłam wśród pól i łąk (Boże, jakie one piękne!), czułam, jak obserwują mnie ciekawskie oczy zerkające zza płotów. Zapewne okoliczni mieszkańcy dobrze wiedzą, że jestem nową nauczycielką. Wiem, że w małych społecznościach wszyscy wiedzą o sobie wszystko. Ten i ów ukłonił mi się z dala.

O ile się nie mylę, widziałam tego człowieka, któremu nadepnęłam w sklepie na buty – miał tak charakterystyczne włosy, że nie sposób zapomnieć. Jego fizjonomia zdała mi się raczej nieciekawa – wygląda na ponurego typa, ale te włosy! Ach! Całe życie marzyłam, żeby mieć takie loki! Nie przyglądałam mu się zbyt, nie wypadało. Jednak gdy mignął mi parę razy wśród sklepowych półek, wprost pożerałam wzrokiem bujną czuprynę ciemnobrązowych spiralek. Mam nadzieję, że nie zauważył mojego natręctwa.

Mężczyzna ów stał właśnie pośród jednego z sadów. Nic sobie nie robił z tego, że spoglądałam w jego stronę, gapił się na mnie otwarcie. On także, jak i inni, których mijałam po drodze, lekko mi się uklonił, więc domyślałam się, że wie, kim jestem. Ciekawe, czy jego dzieci też będą uczyć w szkole? Już sobie wyobrażam takie cherubiny, całe w lokach, o smutnym spojrzeniu swego ojca.

Nazrywałam naręcze polnych kwiatów. Wiem, że ich uroda szybko przeminie, ale nie mogłam się im oprzeć. Będą mi pachniały podczas wieczornej lektury.

Uwielbiam czytać przed snem. Zatapiam się w pasjonującej powieści. Niestety, nie jest mi dane zaznać spokoju, gdyż historia maltretowanego dziecka przywołuje upiorne wspomnienia.

Urodziłam się dwadzieścia pięć lat temu we Wrocławiu.

Wraz z mamą, tatą oraz bliźniakami: Dagmarą i Kazikiem mieszkaliśmy na jednym z popeerelowskich osiedli. Trzy lata po moich narodzinach urodziła się Ewa. Początkowo wiedliśmy życie w miarę spokojne, pozbawione większych trosk. Rodzice byli wspaniałymi, pełnymi miłości ludźmi.

Problemy nastąpiły wraz z pojawieniem się Ewy. Jak przez mgłę pamiętam ciężą mamę i pobyt w szpitalu oraz przyjazd do domu wyłącznie naszej małej siostrzyczki.

Później mama zagościła w moim życiu jeszcze kilkakrotnie, na krótko. Pamiętam jej przeraźliwą bladość, cienie pod oczami, niebieskie żyły prześwitujące przez skórę cieniutką jak pergamin. Pamiętam, jak rozpaczliwie się do niej tuliłam, a ona głaskała mnie po głowie wychudzonymi dłońmi. Można było w nich policzyć wszystkie najdrobniejsze kosteczki. Mamusia nieświadomie krzywiła się z bólu, lecz nigdy mnie nie odepchnęła. Zapadła w moją pamięć jako ulotny, odrealniony

anioł, który pozostawił po sobie nieutuloną tęsknotę.

Zmarła, gdy miałam cztery lata.

Początkowo zdani byliśmy na opiekę dziewięcioletniej Dagmary, która z trudem radziła sobie z domowymi obowiązkami. Z perspektywy lat myślę, że sama potrzebowała przytulenia i pogłaskania. Daga była śliczną dziewczyną, lecz trochę jakby wycofaną. Żyła we własnym świecie, a dostęp do niego miał wyłącznie Kazik. W wieku piętnastu lat moja starsza siostra wspięła się na najwyższe piętro wieżowca, a potem z niego skoczyła, odbierając sobie w ten sposób życie. Po jej śmierci brat stracił kontakt z rzeczywistością. Zupełnie, jakby bliźniaczka zabrała do grobu jego duszę.

Kilka tygodni po pogrzebie mamy przyjechała do nas jej siostra, ciotka Mieczysława. Miała pomóc tacie w wychowaniu naszej czwórki oraz w domowych obowiązkach. Ciotka przyjechała niby na parę tygodni, a została z nami na zawsze. Ukradła miejsce mamy w mieszkaniu, zawłaszczyła sobie jej rzeczy oraz męża. Tylko my, dzieci, byliśmy dla niej zbędnym balastem. Bardzo szybko postarała się o własne potomstwo: kilka miesięcy po ślubie urodziła upośledzonego umysłowo Przemka, który zmarł, nie przeżywszy nawet dwóch tygodni. Dwa lata później ten sam los podzieliła Eliza.

– Ponosi karę za to, że się tu wpierdoliła – stwierdziła wówczas okrutnie Dagmara. – To dlatego jej bachory umierają.

Nie mogłam pojąć pełnych nienawiści słów Dagi. Choć nie lubiłam ciotki Mieczysławy i nigdy nie zmusiłam się do nazywania jej mamą (wciąż mnie o to ganiła), żałowałam tych dzieciątek. Czy one były winne naszemu nieszczęściu?

Miałam jedenaście lat, gdy urodziła się moja najmłodsza siostra, Anka. Dagi już wówczas nie było, z tatusia pozostał zaledwie wrak dawnego człowieka. Kazik zamknął się szczelnie w swojej skorupie i odciął od nas wszystkich – nigdy nie byliśmy sobie w żaden sposób bliscy.

Poza okresem wczesnego dzieciństwa tato był dla mnie obcym człowiekiem. Kiedy zmarł, nie pojechałam do Wrocławia na jego pogrzeb, choć szczerze po nim płakałam. Podobnie było z Ewą, która darowała sobie przyłot zza oceanu, ponieważ bardziej niż na ceremonii pożegnalnej zależało jej na pobycie w Stanach. Gdyby wtedy przekroczyła granicę, zapewne nie mogłaby wrócić do Chicago. Zresztą już parę lat wcześniej, po pochówku Dagi, Ewa oświadczyła, że nigdy w życiu nie pójdzie na żaden pogrzeb, ponieważ nienawidzi fałszywych krokodylich łez i pozerstwa. Ewa miała

wówczas siedem lat, więc jej słowa zabrzmiały nader poważnie i dekadentcko. Zastanawiałam się nawet, skąd podłapała ten tekst, naprawdę niepasujący do ust dziecka, i doszłam do wniosku, że musiała to usłyszeć od któregoś z nielicznych żalobników towarzyszących Dagmarze w jej ostatniej drodze.

Najmniej mogłabym powiedzieć o Ance – ona na zawsze pozostała dla mnie obca, chociaż tak naprawdę to ja ją wychowywałam do momentu, aż zdałam maturę i uciekłam na studia do Krakowa.

Odpycham natrętne wspomnienia. Dostyc tego, nie dzisiaj! Wystarczy defetyzmu jak na jeden dzień. Skupiam wzrok na polnych kwiatkach. Nie popsuję sobie reszty tego uroczego dnia.

Studia! Lepiej wspominać właśnie studia. To był najszczęśliwszy czas w moim życiu. I nieważne, że gdy uczyłam się na trzecim roku, złamano mi serce i podeptano je w proch. Teraz to nie ma najmniejszego znaczenia.

Robię postanowienie, że zapomnę o Wrocławiu i będę żyć tak, jakbym urodziła się pięć lat temu w Krakowie. Niebawem, gdy pomieszkam tutaj trochę dłużej, zgromadzę nowy zasób wspomnień. Muszę tylko zadbać, aby były lepsze i zatarły stare: wyświechtane i brzydkie. Może dlatego tak bacznie przyglądam się teraz otaczającemu mnie światu, chłonę widoki i zachody słońca oraz ludzkie twarze, szukam w pobrużdżonych obliczach tubylców echa ich historii.

Dziwnie zasypia się w nowym miejscu. Przez minione pięć lat powinnam była przywyknąć do zmian, lecz to nie takie proste. Leżę w mroku i nasłuchuję odgłosów mieszkania. Na razie wszystko jest tutaj obce: układ pomieszczeń, meble, które były na wyposażeniu, cienie za oknem, tajemnicze zapachy i kształty. Towarzyszą mi nieznanne szelesty, trzaski i szepty ciemnych zakamarków. Uczę się tych odgłosów, będą mi towarzyszyć przez najbliższe pięć lat, chyba że los wytnie mi jakiś nieprzyjemny kawał.

Wolałabym unikać niespodzianek. Mam ogromną potrzebę, aby osiąść gdzieś na dłużej. Przez ostatnie lata wciąż tułałam się po wynajętych kątach. Zależy mi na stabilizacji, abym mogła nareszcie rozliczyć i zamknąć przeszłość, a później wylizać ostatnie rany z tamtych czasów.

Po raz pierwszy biorę udział w niedzielnej mszy świętej w Jodłówkach. Kapłan kończy odczytywać ogłoszenia. Z mojego miejsca widzę, jak zerka

w stronę nawy, gdzie zajęły miejsce dziewczęta ze scholi, potem rozgląda się wśród parafian i zatrzymuje wzrok na mnie. Uśmiecha się lekko.

– Na koniec pozostała nam jeszcze jedna sprawa. Jak dobrze wiecie, drodzy bracia i siostry, szkoła podstawowa pożegnała w czerwcu nieodżałowaną panią Wiesię, która przeszła na emeryturę. Dzisiaj w imieniu naszej społeczności chciałbym przywitać panią Klaudię Wolak, która będzie uczyć wasze dzieci języka polskiego. Pani Klaudio – zwraca się bezpośrednio w moją stronę – zapraszam bliżej.

Czuję, jak moje policzki zaczynają pałać szkarłatem. Jestem nieśmiała z natury – tylko pomiędzy dziećmi potrafię odnaleźć swobodę. To jeden z powodów, dla którego wybrałam zawód nauczycielki.

Pełna obaw wstaję z ławki w nawie bocznej i przechodzę parę kroków w stronę ołtarza. Przypuszczam, że zgromadzeni oczekują ode mnie, abym powiedziała coś o sobie. Nie jestem na to przygotowana, a powinnam była się tego domyśleć dzień wcześniej, gdy proboszcz zawitał w moim mieszkanku i z zaangażowaniem zapraszał mnie do kościoła właśnie na to konkretne nabożeństwo. Zapewne takie powitania są jakimś lokalnym zwyczajem.

Ruszam ku ołtarzowi odprowadzana natrętnymi spojrzeniami parafian. Czuję, jak ich wzrok lepi się do mojej skóry, włosów i ciemnozielonej sukienki. Odnoszę wrażenie, że stukot obcasów dudni w niewielkim wiejskim kościółku niczym wystrzały armatnie.

Młody ksiądz, zapewne wikary, podchodzi do mnie z mikrofonem. Zduszonym głosem przedstawiam się i klecę kilka słów powitania. Wodzę wzrokiem po zgromadzonych ludziach. Dostrzegam w ich twarzach życzliwość, zainteresowanie, a nawet pewnego rodzaju pobbłażanie.

To ma być moja pierwsza prawdziwa praca w charakterze nauczycielki. Wcześniej miałam praktyki zawodowe, pracowałam także dorywczo w restauracjach, przy roznoszeniu ulotek oraz przy wykładaniu towaru na sklepowe półki.

Obawiam się, czy mój młody wiek – jestem przecież tuż po studiach – nie stanie się przeszkodą w pracy. Czy rodzice uczniów nie zarzucą mi braku doświadczenia? Na razie są życzliwi, lecz jak będą się zachowywać, gdy zostaną zmuszona do postawienia pierwszych jedynek?

Z uwagą słucham dziewczynek z oazy, które, wręczając mi bukiet kwiatów, klepią z pamięci jakieś dwie rymowanki. Od razu notuję w pamięci fakt, że muszę je nauczyć ładniejszej recytacji. Cały trud nauczania się

wierszy poszedł na marne, ponieważ deklamowały na jednym oddechu, bez choćby śladu intonacji. To nie jest odpowiedni czas na krytykę. Wzrusza mnie, że jestem witana tak uroczyście. Szczerze dziękuję i za kwiaty i za wierszyki.

Dawid

Nie wierzę własnemu szczęściu! Jeszcze dziś rano nie wiedziałem o niej absolutnie nic, poza tym, że ma najpiękniejsze na świecie oczy. Teraz jestem mądrzejszy, wiem, że ma na imię Klaudia.

Klaudia... Ładne imię. Klaudynka. Pasuje do niej – jest niepospolite i na pewno bardziej odpowiednie niż Klara lub Klotylda, jak początkowo przypuszczałem.

Zatem sprawa jasna – ona jest tą nową nauczycielką, która przed tygodniem zamieszkała w służbowym mieszkaniu przy podstawówce. I pomyśleć, że zanim tam nastąpiła, pomagałem odświeżyć wnętrza i na zlecenie pani dyrektor wykonałem nowe biurko oraz biblioteczkę. Nawet przez myśl mi wtedy nie przeszło, że wiję gniazdko dla takiego gołąbeczka.

Dziękuję Ci, Boże, za trzecią szansę, gdyż wiem, że tę poprzednią również zmarnowałem. Taki już jestem – nic na to nie poradzę. Powinienem był zaczepić tę dziewczynę, gdy spacerowała wśród łąk. Może łatwiej byłoby to zrobić bez świadków? Może łatwiej przełknąłbym ewentualną porażkę?

Ech! Ta cholerna nieśmiałość, która skutecznie paraliżuje moje poczynania!

Nauczycielka, to jej pierwsza praca w szkole. A więc ma mniej więcej dwadzieścia pięć lat – jest młodziutka. Poczuję się nic niewarty i za stary – dziewięć lat różnicy, podziurawiona ospą gęba. Na dodatek Klaudia jest po studiach, a ja mam tylko maturę z technikum i zawód stolarza. Gdzie mi tam do niej?

Mogę jedynie marzyć. Na jawie jest poza zasięgiem.

Nazbyt ładna. Nazbyt młoda. Nazbyt wykształcona.

Zmarnuję także tę trzecią szansę. Chyba nigdy nie ośmielę się do niej podejść. Widziałem, jak gapili się na nią inni mężczyźni, gdy stała obok proboszcza i dziękowała za ciepłe przyjęcie. Na szczęście Mariusza nie było na mszy, śpioch pewnie pójdzie na wieczorną, o ile w ogóle zawita do kościoła – musi przecież odpocząć po wczorajszej dyskotecie. On na pewno już by ją podrywał, jak wszystkie dziewczęta, które pojawiają się w pobliżu.

Jeszcze przez chwilę mogę łudzić się nadzieją, że mam u niej choćby

mikroskopijną szansę.

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Snuję się po obejściu. Matka zagaduje mnie o powód zadumy, ale tylko ją zbywam. Zajmuję miejsce na leżaku pod rozłożystym klonem, lecz natrętne myśli nie dają mi ani chwili wytchnienia. Wciąż mam przed oczami tę dziewczynę.

Wreszcie, znudzony niedzielną beczynnością, wyszukuję w komórce niewielki kawałek lipowego drzewa. Kiedyś obiecałem proboszczowi, że wystrugam nowe figurki do szopki. Wprawdzie do Bożego Narodzenia zostało jeszcze mnóstwo czasu, lecz dochodzę do wniosku, że najwyższa pora zacząć pomału dłubać. Nie lubię zostawiać takich zleceń na ostatnią chwilę. Figurek ma być dosyć dużo: święty Józef, Maryja, dzieciątko, pastuszkowie, królowie i aniołki. Chcę dodać od siebie stado owieczek i bydłatka, które spoczywałyby obok żłóbka – za resztę obiecał zapłacić pleban.

Oglądam drewniany klocek, analizując jego strukturę, słoje i pęknięcia. Zastanawiam się, na jaką postać nadawałby się najbardziej. Po namyśle biorę jeden z wielu rozłożonych obok kozików i zaczynam strugać pierwsze wióry.

Uwielbiam rzeźbić. To jest moja pasja, której oddaję się popołudniami. Na co dzień zatrudniony jestem w zakładzie renowującym antyki i produkującym stylizowane meble na zamówienie. Zarabiam nieźle. Praca jest wprawdzie mozolna, lecz pozostawia duże pole do popisu komuś, kto, jak ja, obdarzony jest zręcznością i fantazją. Niekiedy odbiegam od zleconych projektów, lecz moje pomysły na ogół podobają się klientom.

Mieszkam z matką sam. Poza kilkoma arami ogródka nie mamy żadnego gospodarstwa, więc nie mam też wielu obowiązków. Początkowo rzeźbiłem dla rozrywki i wyłącznie dla siebie. Z czasem zaczęli mnie nawiedzać znajomi z bliższych i dalszych stron, zamawiając u mnie jakieś drobiazgi do domu: a to figurkę, a to krucyfiks, a to jakieś niewielkie sprzęty. Robię całkiem udane konie na biegunach, kołyski i mebelki do zabawy – na tyle bowiem pozwalają ograniczone możliwości mojego przydomowego warsztatu.

Kiedyś myślałem, żeby uniezależnić się do pracy zawodowej i rozkręcić własny biznes, ale jestem zbyt wygodnicki. Nie chce mi się szukać zleceń, a i z ludźmi też nie lubię dużo gadać. Póki co warsztat w domu starcza dla moich drobnych prac. Zawsze mogę dorobić w ten sposób parę złotych, lecz na co mi te pieniądze?

Zarabiam więcej, niż wydaję. Nie mam dużych potrzeb, nie lubię afiszować się majątkiem. Od lat jeżdżę tym samym samochodem. Trochę wyremontowałem nasz dom. Resztę pieniędzy gromadzę na koncie, myśląc jedynie o tym, że i tak nie zdołam ich wydać.

Czasem ruszam coś z tych oszczędności. Pakuję plecak, śpiwór i namiot do bagażnika starego kombi, aby wyruszyć na kolejną wyprawę w Bieszczady – bez planu, bez konkretnego celu, bez towarzystwa.

U moich stóp ścielą się świeże wióry. Te pierwsze są nieco poszarzałe, ponieważ kawałek lipy, który właśnie obrabiam, długo czekał w szopie na swoją kolej. Następne zestrżyny są jaśniejsze, pachną świeżym drewnem, choć szczapka jest dobrze podsuszona.

Nie zważam na drzazgi wbijające się w moje zniszczone dłonie, uważam tylko, żeby się nie zaciąć. Niekiedy zdarza się, że trafiam na sęk albo wykonam jakiś nieuważny ruch i skaleczenie gotowe. Przywykłem do tego, nie mam zwyczaju wymiękać na widok krwi, ból także mi nie przeszkadza. Zazwyczaj zaklejam ranę plastrem, aby nie poplamić drzewa, i wracam do przerwanej pracy.

Obrabiam niewielki kawałek. Jest dość długi, ale wąski, być może dlatego nie wykorzystywałem go do tej pory. Miałem zamiar wyrzeźbić z niego jakiegoś świątka, najlepiej madonnę. Właśnie z tym nastawieniem zabrałem się dzisiaj do pracy. Zestruguję kolejne warstwy. Już mam proporcje sylwetki, zarys głowy i ramion, lecz niepokorne dłonie zamiast rzeźbić chustę, którą Maria skrzętnie zasłaniała głowę, wycinają właśnie rozwiane wiatrem włosy.

– Ładne, chłopaku, a co to będzie? – Podskakuję, gdy słyszę nad sobą głos matki.

Jestem tak zadumany, że nie usłyszałem, jak zaszła mnie od tyłu, czego bardzo nie lubię. Oczywiście kozik ześlizguje się z kawałka lipy i mocno kaleczy mnie w kciuk lewej dłoni. Krew kapie gęstymi czerwonymi kroplami na „niedzielne” spodnie. Mama już zaczyna lamentować, że ich nie dopierze. Jednocześnie każe mi szybko włożyć dłoń pod kran z zimną wodą oraz zdjąć i oddać do zaprania poplamioną odzież. Zupełnie tak, jakbym mógł zrobić wszystko na raz.

Odkładam na bok nieskończoną figurkę. Jest jeszcze toporna, brak jej miękkości i tej lekkości, którą zapamiętałem, ale ja już wiem, że to będzie moja madonna, nie ta z ołtarzy, lecz z łąki – powiewna i ulotna.

Włosy jeżą mi się na karku i przedramionach, gdy wkładam palec pod

bieżącą wodę. Jest o wiele gorzej niż zazwyczaj. Krew płynie nieprzerwaną strugą. Uciskam żyły powyżej rany, to pomaga. Mama podaje mi opatrunek. Kręci głową z dezaprobatą i mamrocze, że kiedyś poobcinam sobie palce.

Czy ona jest tego warta, aby krwią okupić możliwość jej uwiecznienia?

Te oczy, które zapamiętałem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że tak właśnie jest.

Zmieniam ubranie. O rzeźbieniu mogę dzisiaj zapomnieć. Ręka rwie mnie aż po sam łokieć. Pójdę na spacer po łąkach. Może spotkam na nich dziewczynę, która, nie wiedząc czemu, tak bardzo zapadła mi w pamięć?

Kludia

Piszę krótkiego maila do Ewy, aby poinformować ją o tym, co u mnie słychać. Nie liczę na odpowiedź. Nie utrzymuję kontaktów z Anią i Kazikiem. Przed laty bardziej byłam zżyta z Ewą i Dagmarą, gdy ta jeszcze żyła. Ewa zaszyła się gdzieś w Stanach i prawie nie odpowiada na wiadomości, natomiast Dagmara... Cóż, Dagmary nie ma już od niemalże piętnastu lat. To właśnie dzięki niej, a może raczej przez ten straszny wybór, którego dokonała moja ukochana siostra, zdecydowałam się opuścić Wrocław zaraz po maturze, aby z kilkoma banknotami w kieszeni oraz plecakiem znoszonych ubrań poszukać szczęścia w Krakowie.

Dlaczego akurat w Krakowie?

Ponieważ Kraków jest pięknym miastem, o poznaniu którego marzyłam całe życie, przeglądając ilustracje w prasie oraz książkach. Chciałam poczuć atmosferę prawdziwie królewskiego miasta.

Ponieważ tutaj są najlepsze uczelnie w kraju, a ja miałam świetne świadectwo maturalne i nie chciałam go zmarnować.

Bo Kraków jest daleko od Wrocławia.

Bo Kraków jest daleko... od mojej ciotki.

Kończę pisanie wiadomości. Wyłączam komputer, a następnie wyglądam przez okno. Słońce jest jeszcze wysoko, zaprasza mnie do wyjścia na zewnątrz. Wciągam głęboko w płuca świeże wiejskie powietrze. Z dala od miejskich spalin ma ono zupełnie inny, niepowtarzalny aromat. Oszałamia mnie zapach kwiatów i pobliskiego lasu. Chciałabym poczytać, lecz świergot ptaków nie pozwala skupić się na lekturze. A co tam, książki mogą poczekać na długie jesienne wieczory. Nie mam telewizora, moim jedynym łącznikiem z cywilizacją jest Internet, więc gdy popsuje się pogoda, będę czytać do woli. Teraz pójdę na przechadzkę wśród zmęczonej zieleni łąk oraz żółknących

drzew. Zanim rzucę się w wir obowiązków, powinnam skorzystać z pięknej pogody i swobody ostatniego tygodnia wakacji.

Znowu wkładam indyjską sukienkę do kostek. Bardzo ją polubiłam, jest idealna na spacer po łąkach. Kupiłam ją przed dwoma tygodniami na posezonowej wyprzedaży. Miękki materiał otula moje nogi, z tkaniny unosi się delikatna orientalna woń. Czy nie jestem zbyt wystrojona? Krytycznie przeglądam się w pokrytym patyną czasie lustrze. Kobieca próżność bierze górę. Mam dobry humor, chcę być ładna dla samej siebie. Owijam wokół kostek długie rzemyki sandałów. Śmieję się z własnej głupoty – niezbyt praktyczne obuwie na spacer, a już na pewno nie na wyboiste ścieżki. Zapewne porobią mi się bąble, ale co tam!

Ciotka nie nosiła ładnych ubrań. I bynajmniej nie z biedy, ponieważ pieniądze zawsze się jej trzymały, lecz ze skąpstwa. Jak już kupiła sobie coś nowego, to po kilku użyciach te rzeczy wyglądały jak stare szmaty. Czasem zwracałam jej uwagę, że ma tłuste plamy na bluzce, lecz ona spoglądała na swoje obfite piersi w nieforemnym staniku, wzruszała ramionami i mówiła:

– A co tam. Mądry nie zauważy, a głupi pomyśli, że tak ma być.

Nie inaczej było z naszymi strojami. Ja donaszałam ciuchy darowane ciotce od znajomych lub po starszej ode mnie o jedenaście lat Dagmarze. Niemodne, stare szmaty! Marzyłam o ładnych sukienkach i parze nowiutkich lakierów, których przede mną nie nosiła żadna dziewczynka.

Moje ubrania przechodziły w spadku na Ewę. Zapewne siostra wyglądałaby w nich jak strach na wróble, lecz miała dryg do szycia i potrafiła z tych łachów wykombinować coś ciekawego.

Przypuszczam, że teraz te ciuchy dostały się w spadku Ance.

Dawid

Nie zawiodłem się! Z daleka widzę, jak wśród wysokich traw brnie moja piękna nieznajoma. Zwinnie przechodzi przez wąski *przełazek*, czyli kładkę rzuconą na rzeczce płynącą wśród pól. Potem idzie przed siebie i z ciekawością spogląda na otoczenie.

Co kilka kroków przystaje, pochylając się nad jakimś interesującym znaleziskiem.

– Dzień dobry. – Zdobywam się w końcu na odwagę, aby ją zaczepić.

Zawstydzona, że przyłapano ją na obserwowaniu biedronek, podnosi wzrok.

– Dzień dobry – mówi, bacznie na mnie spoglądając.

– Znowu się spotykamy – zauważam i, widząc jej lekką konsternację, dodaję szybko: – W sklepie...

– Tak, pamiętam. Nadepnęłam na pana nogę. Jeszcze raz przepraszam, ciamajda ze mnie.

Zadzierą głowę do góry – jestem od niej znacznie wyższy. Przygląda mi się wnikliwie. Mruży lekko oczy, ponieważ oślepią ją słońce wyzierające zza moich pleców. Celowo tak stanąłem, żeby moja szpetna gęba pozostała w cieniu.

Teraz ja czuję zmieszanie pod jej badawczym spojrzeniem. Mam wrażenie, jakby blizny na mojej twarzy były jeszcze głębsze niż zazwyczaj. Bezwiednie sięgam lewą dłonią do bujnych pukli i naciągam je nieco na twarz.

– A co stało się panu w rękę? – docieka.

Wskazuje świeży opatrunek, przez który przesiąkło na wierzch nieco krwi, już zaschniętej, lecz przyciągającej wzrok szkarłatną plamą.

– Nic takiego – odpowiadam.

Nigdy nie potrafiłem rozmawiać z kobietami, oneśmielają mnie. Mariusz wciąż sobie pokpiwa, że gdyby nie ofiarna pomoc z jego strony, to umarłbym nie tylko jako stary kawaler, ale również i prawiczek.

– Chyba nie takie znowu „nic takiego” – zauważa Klaudia. – Musiało obficie krwawić. – Wskazuje na plamę.

– No, faktycznie kapnęło trochę krwi. Zaciąłem się kozikiem podczas strugania.

– Strugania? – podejmuje temat. – Pan... rzeźbi? – odgaduje.

– Trochę – przyznaję. – Lubię czasem coś podłubać w drewnie.

– Ach... więc to pan jest artystą, o którym opowiadała mi Waleria! – cieszy się dziewczyna.

– Waleria opowiadała o mnie? – Jestem zdziwiony. – Że jestem artystą? – Nie może mi się pomieścić w głowie.

– Właśnie tak to ujęła – objaśnia dziewczyna. – Gdy wybierałam się do kościoła, powiedziała mi, żebym obejrzała ramy obrazu „Niepokalanej” i figurkę świętego Józefa. Nie omieszkałam tego zrobić. Przepiękne! Ma pan prawdziwy talent, panie... – urywa, uświadamiając sobie, że nie zna mojego imienia.

– Dawid Czarnota – mówię, wyciągając do niej dłoń.

– Klaudia Wolak – odpowiada z uśmiechem.

Energicznie ściska mi prawicę. Wstyd mi teraz, że mam tak zniszczone

ręce o szorstkiej, chropowatej skórze. A ona, jakby czytając w moich myślach, spogląda na moją dłoń.

– Ręka artysty – zauważa. – Miło mi pana poznać, Dawidzie.

– Wystarczy Dawid, bez *pana* – mamroczę, oszołomiony jej reakcją.

Nagle poczułem się jak ktoś wyjątkowy. W oczach Klaudii nie ma kpiny ani odrazy. Jest zainteresowanie i coś na kształt sympatii.

– Miło mi – powtarza. – Cieszę się, że będę mieszkać w Jodłówkach. Pani Waleria mówiła dużo dobrego o tutejszych ludziach. Będę uczyć w waszej szkole – oznajmia.

– Tak, wiem. Pani zaraz po studiach?

– Klaudia – poprawia mnie szybko. – Skoro ja mam do ciebie mówić po imieniu, to i ty daruj sobie *panią*.

– Nie wiem, czy wypada – stwierdzam, co ją rozbawia.

W oczach Klaudii migoczą iskierki, dzięki którym jej twarz ożywa i dostaje blasku.

– Wypada, wypada. Pewnie będę uczyć twoje dzieci, proszę się nie martwić, nie będę nazbyt surowa.

– Ja nie mam dzieci – oznajmiam.

– Nie? Ach... przepraszam. Ależ ze mnie głuptas! Gadam czasem bez sensu, co mi ślina na język przyniesie.

– Widzę, że w sprawozdaniu Walerii znajduje się sporo luk – zauważam z uśmiechem.

Nareszcie się rozluźniam. Nie jestem już spięty jak na początku rozmowy. Ruszamy przed siebie połą ścieżką.

– No tak – potwierdza dziewczyna. – Pani Waleria opowiadała mi o ludziach, którzy jej zdaniem byłiby dla mnie odpowiednim towarzystwem. Bo ona uważa, że taka „panieneczka z miasta” musi mieć znajomych wśród księży, nauczycieli, artystów i biznesmenów. Słowem, same wyższe sfery, a cała reszta to i tak da mi się poznać – pokpiwa.

– Mam nadzieję, że zasłużę na jakieś drobne względy, choć nie wiedzieć czemu, Waleria zrobiła ze mnie artystę. Jestem tylko prostym człowiekiem, który lubi dla zabicia czasu coś postrugać.

– Jestem pewna, że nie przesadzała. Chciałabym, jeśli to możliwe, zobaczyć kiedyś twoje prace – stwierdza z pewną nieśmiałością.

Czuję się tak, jakbym trafił do nieba!

To niesamowite, że udało mi się z nią porozmawiać i nie zobaczyłem w jej

oczach wstrętu, a jedynie życzliwe zainteresowanie. I nieważne, że uznała mnie za starego piernika, który ma dzieci w wieku szkolnym. W gruncie rzeczy większość moich znajomych ze szkolnej ławy już dawno dorobiła się potomstwa. Niektórzy mają w domach nawet gimnazjalistów.

Uskrzydłony wracam ze spaceru. Najpierw jednak odprowadzam Klaudię aż pod szkołę, nie zważając przy tym na oczy wścibskich kumoszek. Mam w nosie, czy jutro cała wieś będzie o tym plotkować.

Dłoń już mnie nie boli. Z miejsca zabieram się za rzeźbienie. Uważam jednak, aby nie urazić newralgicznego miejsca. To nie będzie duża figurka – jakieś pięćdziesiąt centymetrów. Postawię ją na gzymsie kominka albo na komodzie w moim pokoju.

Ten dziwny smutek w mądrych oczach Klaudii... Skąd się bierze? To nie jest iluzja – ona wygląda, jakby niosła na ramionach jakiś ciężar.

Klaudia

Dawid ma nie tylko piękne włosy, lecz i w jego szarych oczach dostrzegłam coś interesującego. Cała reszta jest nieważna, nie oceniam ludzi po wyglądzie. Nawet nie pamiętam, jak był ubrany, coś mi świta w głowie, że miał jeansy i koszulę w kratkę, lecz to nieistotne, na pewno prezentował się schludnie, ponieważ na plamy i niechlujność jestem wyczulona.

Wróciłam ze spaceru radosna, ożywiona nowymi perspektywami i obiecującą znajomością z lokalnym artystą. Co za fascynujący człowiek! Początkowo niełatwo było z nim rozmawiać – przyznaję. Był dziwnie zdystansowany, choć to on pierwszy mnie zagadnął. Przez cały czas chował się za zasłoną włosów, zupełnie jakby na twarzy miał wypalone piętno. Co z tego, że ma blizny? Żaden powód do wstydu, nikt nie jest idealny.

Trochę nam się rwała rozmowa, lecz kurczowo uchwyciłam się wątku jego twórczości. Skromnie i z prostotą odpowiadał na ten temat. Myślę, że w rzeczywistości ten nieco mrukliwy człowiek ma bardzo bogatą osobowość, a jego dłubanina, jak to określił, na pewno nie jest przeciętna.

Wciąż podekscytowana, postanawiam poszukać w Internecie czegoś ciekawego na temat Czarnoty. Sprawdzę tylko moją skrzynkę mailową. Czekam na odpowiedź od Ewy.

Niekochane dzieci mają w życiu trudniej. Dobrze o tym wiem. Nauczyło mnie tego całe moje pokręcone życie.

Jest mail od Ewy: wyjątkowo długi i wylewny, niepodobny do tych, które

pisała do tej pory. Chyba doskwiera jej samotność. W słowach siostry odnajduję coś jakby okrzyk rozpacz, a to mnie dziwi, ponieważ do tej pory Ewa sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej. Czytając wiadomość, myślę nawet, że poprzewracało jej się w głowie i stroi fochy. Po namyśle stwierdzam, że przemawia przez nią tęsknota za krajem.

Moją siostrę wyгнаły do Stanów trzy sprawy: po pierwsze – facet, po drugie – forsa, po trzecie – chęć ucieczki przed ciotką.

Ewa mieszka na obrzeżu Jackowa. Podobno kiedyś osiedlali się tam głównie Polacy i Niemcy, teraz ściąga w to miejsce coraz więcej Portorykańczyków i Meksykan, którzy wypierają Polaków w głąb miasta. Wyprowadzka z Jackowa to pewnego rodzaju nobilitacja. Wiem, że Ewa o tym marzy.

Życie w Ameryce jest zupełnie inne niż w naszym kraju, mimo że na ulicach Chicago, zwłaszcza pomiędzy Diversey, Addison i Pulasky Road a rzeką Chicago, słycać przeważnie język polski. Dużo tam imigrantów – w większości już zasiedziały, z prawem pobytu lub obywatelstwem, ale jest też sporo takich jak Ewa, przebywających na „nielegalu”. Zbyt wielu ich jest, aby urząd imigracyjny mógł się w tym wszystkim połapać. Dla niej to lepiej. Mimo wszystko często budzi się w nocy zlaną potem i nasłuchuje, czy nie idą po nią, żeby ją deportować. Czasem ma dość wszystkiego – ciągłego napięcia, nerwów.

Namawiam ją na powrót do kraju, ale ona twierdzi, że nie ma tu po co wracać. No bo niby do czego? Do biedy z nędzą, niskich zarobków, klaustrofobicznych mieszkań, apodyktycznej ciotki? Zresztą u tej ostatniej nie mamy czego szukać. Ona od początku nas nie chciała, byliśmy dla niej balastem.

List od siostry przywołał ponure wspomnienia. Nie potrafię się od nich uwolnić. Czuję, że czeka mnie kolejna bezsenna noc pełna chaotycznych myśli.

Nie wpisałam w końcu do wyszukiwarki danych Dawida. A na co mi ta wiedza? Po co mam się z kimkolwiek zaprzyjaźniać? Po co przywiązywać się do ludzi, skoro całe życie byłam sama? Przyjaźnie mnie zawodziły, chłopcy zwodzili, a w domu rodzinnym było zimno.

Tak bardzo zimno...

Tatuś i ciotka nigdy nigdzie nie wychodzili razem. Prawie ze sobą nie rozmawiali i nawet nie sypiali w tym samym pokoju. Zapewne ostatni raz

zrobili to wtedy, gdy powołali do króciutkiego życia Elizę, ponieważ co do Anki mam duże wątpliwości. Na co dzień zachowywali się jak zupełnie obcy sobie ludzie i przez wiele lat uważałam to za małżeński standard. Dopiero później, gdy zaczęłam dorastać i chodziłam do domów moich koleżanek, przekonałam się, że coś jest nie tak i można żyć inaczej.

Ja także zapragnęłam dla siebie takiego życia.

Przez wiele lat poszukiwałam miłości, lecz ona mnie zawiodła. Za każdym razem, gdy kochałam, okazywało się, że kocham złudzenia. Dla mnie miłość to uczucie cierpkie lub zaprawione goryczą.

Moi opiekunowie byli największymi nieobecnymi w moim życiu. Nigdy nie mogłam na nich liczyć, zwłaszcza na ojca, który chadzał własnymi ścieżkami. Zapamiętałam go jako pociągającego w ukryciu alkoholika, który nic nie wnosił do naszej rodziny. Ten ohydny obraz przyćmił wszystkie wcześniejsze wspomnienia, gdy był czułym, ciepłym człowiekiem.

Zanim Daga popełniła samobójstwo, Kazik był dość niesfornym nastolatkiem. Niewiele z tego pamiętam, ale nie wydaje mi się, aby potrzebował szkoły specjalnej, do której zapisała go ciotka po tym, jak narozrabiał w czasie lekcji wuefu. Kazik dość dobrze się uczył, nieraz pomagał mi z matematyką. A później... Szkoda gadać, nigdy nie pojmem tej jego metamorfozy.

Czasami myślę, że to wina ciotki. Przecież wiedziała, co tamte gnojki zrobili z Dagmarą. Powinna była zgłosić sprawę i domagać się ścigania gwałcicieli. Nic z tych rzeczy! Ona tylko dała w twarz Dagmarze. Powiedziała, że Daga sama jest winna temu, co się stało i nie będzie za nią świecić oczami i wysłuchiwać po sądach, jak to se wychowała „córeczkę”.

Biedna Dagmara nie wytrzymała presji. Kazik bardzo to przeżył. Najpierw zrobił ciotce straszną awanturę, wrzeszczał, że nie jest naszą matką i nie ma prawa nas tak traktować: poniżać, bić i głodzić. Później przestał się do nas wszystkich odzywać. Już nie był tym samym pogodnym chłopakiem, który żartował z ładnymi dziewczętami. Stał się po prostu warzywem.

Byłam chorobliwie nieśmiałym dzieckiem. Wyrastałam na prawdziwą dzikuskę. Zawsze pozostawałam wyalienowana, zwłaszcza po tym, jak urodziła się Anka. Dość nasłuchiwałam się od innych dzieci docinków na temat jej poczęcia.

Stroniłam od bliskiego koleżeństwa. Wołałam towarzystwo książek – te nigdy mnie nie zawodziły. I tylko czasem było mi przykro, gdy moje bardziej przebojowe koleżanki zwracały się do mnie po nazwisku i mówiły:

– Ej! Wolak... Ale ty jesteś przymulona!

Upłynęło wiele lat, nim ktoś mnie wreszcie polubił. Najpierw jednak musiałam całkowicie zmienić otoczenie i odciąć się od przeszłości. W moim świecie nie ma szczerych przyjaźni, nawet dzisiaj. Nie potrafię się do nikogo zbliżyć, jestem nieufna, zachowawcza. Nie dbam o podtrzymywanie kontaktów towarzyskich. Często palę za sobą wszystkie mosty. Chyba już na zawsze pozostanę outsiderką.

W moim dzieciństwie nie było miejsca na miłość. Była tylko zimna, podstępna nienawiść, sącząca się jadem w nasze serca. Chcę przez to powiedzieć, że nie jestem bohaterką pozytywną i w mojej historii w ogóle nie ma dobrych postaci. Świat, który znam, jest brudny i cuchnący, a ja, chcę tego czy nie, jestem jego częścią.

Dusił mnie koszmar senny. Niespokojnie wiałam się w pościeli wilgotnej od zimnego potu. Tak jest za każdym razem, gdy nieopatrznie wracam do przeszłości. A przecież uciekłam z Wrocławia do Krakowa właśnie po to, żeby zapomnieć. Przez pięć lat studiów usiłowałam odnaleźć wyciszenie. Bywały w moim życiu okresy, gdy wyrzucałam wszystko z pamięci tylko po to, by jakieś słowo, dźwięk lub zapach przywróciły zwielokrotnione echo złych wspomnień.

Krzyk narastał w moim gardle, lecz jakaś część podświadomości skutecznie go tłumiała.

– Nie wolno krzyczeć. Nie wolno płakać. Nie wolno o tym myśleć – powtarzałam sobie setki razy.

I tak byłam w lepszej sytuacji niż Kazik. On nie potrafił zapanować nad emocjami. Czasami wychylał się ze swojego kokonu obojętności. Bywał wówczas agresywny, na przemoc odpowiadał przemocą. Bez litości okładał nas – wszystkie młodsze siostry – pięściami, aby odreagować negatywne emocje. Żył w świecie iluzji i śnił iluzje. Często budził mnie w nocy przeraźliwy wrzask, gdy brat miotał się w sennych koszmarach. Czasem litościwie go budziłam, wiedząc, że na jego łóżku będzie mokra, cuchnąca moczem plama.

Rano jestem bardziej zmęczona, niż gdy kładłam się spać. Nie cieszy mnie słońce za oknem ani ostatni dzień wakacji. Wyrzucam z pamięci miłe niedzielne popołudnie. Nie powinnam myśleć o tamtym człowieku.

Nie szukam przyjaźni, miłości tym bardziej.

Nie potrafię kochać i nie chcę być kochana.

Dawid

Mama wciąż zerka mi przez ramię. Nie mówi nic, nie zadaje pytań, choć wie, że poza posążkami świętych nigdy wcześniej nie rzeźbiłem kobiecych postaci. Figurka już prawie gotowa. Podoba mi się – zdołałem uchwycić lekkość i wiotkość przywodzącą na myśl wiosnę. I tylko na maleńkiej główce nie można rozeznąć rysów twarzy, nie potrafiłbym precyzyjnie oddać smutku, który za każdym razem widzę w oczach Klaudii.

Ona najczęściej uśmiecha się samymi ustami.

Resztę uchwyciłem wiernie: długość włosów, proporcje sylwetki i ruch. Bo moja madonna idzie polną ścieżką. Nie, nie idzie! Ona tańczy.

Szkoda, że Klaudia nie wyszła dzisiaj na spacer. Do zmierzchu siedziałem w ogrodzie, strugając. Zerkałem spod ciężkich konarów jabłoni, czy wśród ziół i dzikich kwiatów nie zobaczę znajomej sylwetki. To cud, że zdołałem skończyć pracę. Rzeźbiłem niemalże po omacku, bo łąka ciągnęła mój wzrok jak magnes.

Nie przyszła.

Cóż, jutro zaczyna pracę, pewnie cały dzień była zajęta.

Co ja tam wiem o wykształconych dziewczynach z miasta? Rozmawiała ze mną uprzejmie, ale przecież nie umawialiśmy się na następny spacer. Zapytała tylko, pewnie z grzeczności, czy może kiedyś zobaczyć moje rzeźby. Nie powiem, mile mnie to połechtało. Nawet ja bywam próżny, choć poza tym, co stworzę własnymi rękami, nie mam innych powodów do dumy.

Na wieczór umówiłem się z Mariuszem do pubu. Wypijemy po piwie, pogadamy. On pewnie znów będzie podrywał jakieś laski – stary scenariusz, znam to już na pamięć. Trudno, wytrzymam jakoś hałaśliwe towarzystwo.

Na szczęście wraz z rozpoczęciem roku szkolnego kończy się sezon urlopowy. Nie będzie tłumów na szlakach, więc może znowu spakuję plecak i wyruszę przed siebie? Mam jeszcze trochę niewykorzystanego urlopu, w pracy nie ma jakiegoś wielkiego nawału zajęć. Nic mnie tutaj nie trzyma.

Nic?

Czy aby na pewno?

A te niezwykle brązowe oczy?

Nie powinienem o niej tyle myśleć. Prawie się nie znamy. Czym jest jeden spacer w niedzielne popołudnie? Byłaby zapewne zdziwiona, gdyby usłyszała, że zadurzyłem się w niej jak jakiś szczeniak.

Klaudia

Nawet nie wiem, kiedy minął cały wrzesień, a po nim październik i listopad. Budzę się dzisiaj rano, zerkam na kalendarz, a to już grudzień – szybko leci czas! Jeszcze nie tak dawno, podczas spaceru, podziwialiśmy z Dawidem krople rosy złapane w pajęczę sieci – cudowne, skrzące się niczym najcenniejsze klejnoty. Żaden jubiler świata nie wykonałby równie kunsztownej ozdoby.

Wieś jest piękna o każdej porze roku.

Miejskie jesienie były brudne, szare i nijakie. Tutaj mienią się barwami czerwieni, złota i ciepłych brązów, zielenieją gęstwiną iglastego lasu. Wprawdzie po pierwszych przymrozkach drzewa straciły swe pyszne kolory, ale piękno można znaleźć wszędzie, nawet i we wspomnianych wcześniej pajęczynach.

Szkoła jest fantastyczna, dzieci cudowne – inne od rozwydrzonych urwisów z krakowskiej podstawówki, gdzie miałam praktykę. Owszem, jest kilku niezgorszych łobuziaków, lecz cała reszta nadrabia za tych niesfornych. Zresztą nawet najbardziej rozbrykanych uczniów udaje mi się jakoś spacyfikować. Pewną prawidłowością jest to, że zamożniejsze dzieciaki są bardziej pewne siebie i aroganckie, stanowią rodzaj szkolnej elity, a większość przewinień uchodzi im na sucho.

Cóż, nie zamierzam walczyć z wiatrakami. Wiem, jak ten świat jest stworzony. Ludzie zawsze dzielili się na bogatych i biednych. W Jodłówkach społeczność dzieli się dodatkowo na inteligencję i plebs.

Powyższe różnice widać zwłaszcza w sposobie mówienia o innych. Mamy więc na wsi: panią doktorową, czyli żonę miejscowego lekarza, panią sołtysową, panią dyrektor (szkoła podstawowa i gimnazjum), panią Czarnotową (to dość dziwne, bo matka naszego lokalnego artysty jest zwyczajną kobietą, być może dzięki synowi zyskała przed nazwiskiem dodatek w postaci „pani”), ale są też: Kubasina, Jaroszowa, Wielgasina... Różnica ewidentna. Ciekawe, do której należą kategorii? Jak na mnie mówią? Wolaczka czy pani nauczycielka?

Zakolegowałam się z tutejszymi nauczycielami. Większość z nich pochodzi z Jodłówek lub okolicy i są ze sobą jakoś skoligaceni. Czasami odnoszę wrażenie, że połowa wsi to ciotki, pociotki i kuzyni. Tylko ja jestem wciąż obca, trochę jak jakaś przybłąda. Nie mam nawet własnego domu, lecz służbowe mieszkanko przy szkole. Nikt mi z tego powodu nie czyni wstrętów, ale czuję, że odstaję od reszty.

Martwi mnie brak wiadomości od Ewy. Znowu nie odpowiada na maile. Nie widziałam jej już cztery lata, to kawał czasu. Tęsknię za nią na swój ograniczony chłodem emocjonalnym sposób. Czasem siostra przysyła mi zdjęcia, ja wysyłam jej moje. Może nasz kontakt byłby lepszy, gdybyśmy rozmawiały ze sobą przez skype, a nie ograniczały się do maili, ale jakoś żadna z nas nie dąży do tego, aby to zmienić. Ewa też ucieka przed ponurymi wspomnieniami. Kojarzę jej się z przeszłością, nic więc dziwnego, że utrzymuje dystans.

Ewa miała zaledwie osiemnaście lat, gdy podjęła decyzję o ucieczce z Polski. Na zaproszenie jakiegoś faceta poznanego przez Internet poleciała samolotem za ocean i zamieszkała w Chicago w stanie Illinois. Teraz tam pracuje i uczy się języka angielskiego (właściwie to powinnam powiedzieć amerykańskiego). Mimo wszystko nigdy nie chciałabym zamienić się z Ewą! Dobrze wiem, że niekochanym dzieciom jest trudniej. Mają więcej dróg do przejścia i przeszkód do pokonania. A ja, w przeciwieństwie do niej, przynajmniej przez chwilę miałam kogoś, kto kochał mnie naprawdę. To było wtedy, zanim urodziła się Anka i nasze życie straciło ostatnie namiastki normalności.

Miałam tatę – prawdziwego, kochającego tatusia. Pamiętam, jak brał mnie na kolana, gdy kartkował dziennik. Był dumny, że w wieku czterech lat potrafię przeczytać artykuły napisane drobnym maczkiem. To on pielęgnował mnie w chorobach. Przykrywał, gdy rozkopałam się w nocy, woził do lekarzy, uśmierzał ból i gorączkę. Wyganiał potwory przyczajone w ciemnościach i chowające się w szafce pod zlewozmywakiem. Zostawiał na noc włączoną słabą żarówkę, ponieważ wiedział, że boję się mroku. Chwalił mnie za sukcesy i dopingował. Kupował książki i czasopisma, zwłaszcza te z wycinankami, bo wiedział, że je uwielbiam. Rozwijał moje zdolności manualne. Cierpliwie wszystko tłumaczył i objaśniał. Nosił mnie na rękach.

– Moja dziewczynka – mawiał.

Tylko on po śmierci mamy głaskał mnie po główce.

Nie wiem, dlaczego z naszego rodzeństwa wyróżniał właśnie mnie. Przez jedenaście lat byłam jego ewidentną ulubienicą, nawet układna i nieskazitelna Dagmara nie cieszyła się aż takimi względami.

Później nasz świat fiknął koziołka i miejsce taty zajął pijak topiący życiowe klęski w tanim alkoholu.

Znowu te wspomnienia! Zupełnie, jakbym nie mogła zająć głowy czymś przyjemniejszym. Nie tęsknię za tamtymi czasami.

Powinnam być szczęśliwa, zwłaszcza teraz, gdyż w ciągu minionych miesięcy wydarzyło się coś bardzo ważnego. Aż boję się o tym pomyśleć, ale to nie jest brudny, podstępny strach, który czai się złowrogo w ciemnościach. Ten lęk powoduje żywsze bicie serca, niepokój, mętlik w myślach i niepewność tego, co będzie dalej – czy nie przeżyję kolejnego rozczarowania.

Zakochałam się.

Rozdział 2

Zakochani

Kludia

Podoba mi się w Jodłówkach.

Odkąd tutaj mieszkam, nawiedza mnie coraz mniej złych wspomnień. Przestałam odczuwać napady paraliżującego strachu. Jestem niemalże radosna. Czy to przez miłość?

Znalazłam tutaj wielu miłych znajomych. Ludzie są życzliwi, przystają ze mną na ulicy, zamieniają parę słów, zagadują.

Czasem, co mnie bawi, ktoś podrzuca przed moje mieszkanie kosz owoców, to jajka, to bukiet polnych kwiatów. Ostatnio, z uwagi na porę roku, coraz częściej są to jaja lub domowe wypieki. Pocziwe duszyczki! Wiedzą, że jako nauczycielka nie mogę przyjmować żadnych prezentów, aby nie być stronnicza wobec uczniów, więc robią to anonimowo.

Najsympatyczniej myślę o miejscowym artyście – Dawid Czarnota ma wielki talent. Pięknie potrafi rzeźbić! Przymówiłam mu się kiedyś o jakiś drobiazg na pamiątkę. Obiecał, że pomyśli, więc wierzę, że dotrzyma słowa.

Lubię spędzać z nim czas, chociaż ma nieco mrukliwą naturę, ale przy nim nawet milczy się interesująco. Czarnota chodzi za mną krok w krok, gdy wybieram się na samotne spacerunki w pola. Niewiele mówi, wręcz zrzuca na mnie ciężar podtrzymywania konwersacji. Te przechadzki stały się naszym rytuałem, wybieram się na nie zawsze, gdy ciąży mi smutek lub dopadają mnie przykre wspomnienia. Dawid jest jak balsam dla znękanego ducha. W jego cichej obecności odkryłam prawdziwego przyjaciela.

Czy wolno mi go tak nazywać?

Mnie, stroniącej zawsze od przyjaźni?

Pamiętam, że kiedyś szliśmy razem po tej „naszej” łące i nagle zasłabłam. Bez konkretnego powodu – często mi się takie rzeczy zdarzają.

– Co ci jest, Klaudyś?! – dopytuje zaniepokojony mężczyzna.

Zatrzymujemy się przy mostku, pod którym szemrze strumyk, obok stoi rozchwierutana ławka – siadamy na niej. Wyciągam z kieszeni tabletki, bez popijania zażywam jedną.

– To nic takiego – wykręcam się. – Trochę mi słabo.

– Ładne trochę, aż poszarzałaś na twarzy! Chorujesz na coś?

– Nie, już nie. Kiedyś bywało gorzej, dawno temu, stare dzieje... Taki już ze mnie słabeusz – uśmiecham się. Wiem, że wypada to blado, ale próbuję zachować twarz.

– Słabeusz? – powtarza Dawid. – A może powinnaś pójść do lekarza – sugeruje. – Przepraszam cię, ale nie wyglądasz najlepiej.

– Naprawdę nic mi nie jest. Nie bój się – dodaję. – To nic zaraźliwego.

– Przepraszam. – Jest zmieszany. – Nie o to mi chodziło. Nie myślałem nawet...

– W porządku. Nie tłumacz się, to ja jestem przewrażliwiona.

– Co tak właściwie ci dolega? – Niepodobne do Dawida są takie dociekania.

Spoglądam mu w oczy. Widzę w nich troskę.

– Długo by o tym mówić – odpowiadam wykrętnie.

– Mam czas. Wiesz, że zawsze cię wysłucham.

Patrzy na mnie wyczekująco. To taka żenująca historia...

Ciotka kochała pieniądze, ale nigdy nie lubiła wydawać ich na jedzenie. Mówiła, że za dużo przelatuje nam przez tyłki. Zanim pojawiła się Anka, w naszej rodzinie panował specyficzny podział obowiązków. Tato zajmował się nami, dziećmi, i kupował żywność. Ciotka pracowała i kupowała dobra materialne. Ze względu na zły stan zdrowia tato dość wcześnie przeszedł na rentę.

Ciotka, wbrew temu, co sugerowała, sprowadzając się do nas – zamiast spędzać czas w domu, wolała uciekać do pracy. Ona całe życie goniła za *pieniężmi*. Ciągłe jej było mało, ale tego, co miała, nie potrafiła sensownie wydać. Moglibyśmy przecież pójść do kina albo na lody, albo pojechać na wczasy. Ona zaś wierzyła tylko w dobra materialne: nowe meble, dywany, kryształowy żyrandol. Żeby inni widzieli i zazdrościli. Na każdym kroku to podkreślała; uwielbiała, gdy jej zazdroszczono. I tak, gdy jej młodsza siostra

kupiła odbiornik telewizyjny, to u nas już następnego dnia, oprócz nowego telewizora, była jeszcze wieża. A wszystko po to, żeby tę drugą pokreśliła z zazdrości. Cieszyło ją, gdy ktoś przychodził do naszego mieszkania i widział, jak w nim bogato. Szczyt szczęścia!

Kupowała w ten sposób nasze posłuszeństwo. W domu zawsze obowiązywał system kar i nagród. Za każde potknięcie – dotkliwa kara, za dostosowanie się do jej woli – prezent.

Z biegiem czasu rozumiałam coraz więcej i coraz rzadziej pozwalałam sobie zmydlić oczy. Prezenty ofiarowywane przez ciotkę nie budziły we mnie pozytywnych uczuć. To logiczne, że zamiast kolejnej drogiej zabawki wolałabym dobry obiad albo ciepłą kurtkę na zimę. Chodziłam wiecznie głodna i zmarznięta. Często kręciło mi się w głowie, do dzisiaj zdarzają mi się nagłe omdlenia. Zamiast mięsa i wędliny mieliśmy w domu kablówkę i wszystkie ówczesne cuda elektroniki, których posiadanie ciotka uważała za nieodzowne.

Powoli, ważąc każde słowo, opowiadam Dawidowi historię mojego życia. Mówię tylko o głodzie i braku miłości. Wiele faktów pomijam milczeniem, ostrożnie dobieram wyrazy. On nie przerywa mi, słucha – widzę w jego oczach ogromne skupienie.

Ufam mu. Wiem, że mnie nie wyśmiej.

Czasem odnoszę wrażenie, że w pewien sposób on też czuje się takim „odmieńcem” jak ja, może tylko z innych względów.

Dawid

Jutro wracam do Jodłówek. Dziś jeszcze łapię ostatnie promienie słońca odbijające się od migotliwej tafli Soliny. Tym razem na cel wyprawy wybrałem Bieszczady – uwielbiam ciszę, która tutaj panuje. Jestem anonimowy, nikt mnie nie zna. Dla wygody wiążę włosy w kucyk, odsłaniam twarz podziurawioną głębokimi bliznami. Wiem, że wyglądam jak zbir spod ciemnej gwiazdy i, spotykając kogoś w pustym zaułku lub na odludnym górskim szlaku, mógłbym wywołać strach. Gdy chodzę po górach i przedzieram się przez leśne ścieżki, o wiele bardziej dzikie niż w zdeptanych przez turystów Tatrach, związane włosy to konieczność. Nie czepiają się ich gałęzie drzew i krzewów. Nie muszę co chwilę wyplątywać z nich jakiegoś paskudztwa. Zresztą w warsztacie Michalika, gdzie pracuję, też je wiążę, ale tam, podobnie jak w Bieszczadach, nikt mnie nie ogląda.

Dziś nie chce mi się łązić po górach. Wczoraj trochę nadwyreżyłem kostkę, czuję jak pulsuje w niej tępy ból. Postanowiłem pozostać nad jeziorem. Pożyczyłem łódkę od mojego gospodarza i teraz spokojnie bujam się na niewielkich falach Soliny. Czasem ruszam wiosłami, żeby odbić od brzegu, w stronę którego znoszą mnie drobne fale.

Nie odstrasza mnie zimno i wilgoć ciągnąca z wody. Co z tego, że jest grudzień? Póki tafla jeziora nie jest skuta lodem, można ciepło się ubrać i wypłynąć bez celu.

Nasyciłem się ciszą Bieszczad, więc dziś wyjątkowo mam w uszach słuchawki od MP3, a z nich cichutko sączą się Strachy Na Lachy. Akurat teraz leci piosenka *Nim wstanie dzień*, która osobliwie pasuje do tego miejsca i pory. Spokojna ballada kołysze się ze mną na mizernej łupinie łódki i skłania do marzeń.

Już nie czuję potrzeby wysiłku. Przez ostatni tydzień usiłowałem udowodnić samemu sobie, że jak zmęczone się fizycznie i będę padał na twarz, to wróci mi trzeźwe myślenie. Nic z tego, myśli wciąż mam takie same, lecz już nie tak chaotyczne. Zaakceptowałem fakt, że tym razem naprawdę poczułem miłość.

Pragnę być z Klaudią, chociaż z jej powodu uciekłem w Bieszczady. Musiałem dać sobie czas do namysłu, złapać oddech i upewnić się, czy właśnie o to chodzi. Teraz jestem przekonany, że nie ma mowy o szczeniackiej fascynacji.

Przez minione miesiące poznałem Klaudię bliżej. Często spacerowaliśmy razem wśród pól. Bywała też w moim domu. Osobliwie przypadła do gustu również mamie. Staruszka jest wprawdzie na tym etapie, że chyba każda dziewczyna, którą bym się zainteresował, bez trudu zyskałaby jej sympatię, ale wiem, że Klaudynkę lubi bez zastrzeżeń. Ona chce dla mnie jak najlepiej, a w jej zaściankowym pojęciu do pełni szczęścia potrzeba mi kobiety. I przynajmniej raz mogę przyznać jej rację.

Podczas naszych spacerów bardzo dużo rozmawiamy. Nie umawiamy się na spotkania. Po prostu widzę, jak ona wychodzi zza drzew i macha do mnie ręką. Wie, że obserwuję ją z naszego ogrodu albo werandy i czekam za pociemniałymi od deszczu sztachetami parkanu. Dołączam do niej i dalej wędrujemy razem. Opowiada mi o swojej pracy, widać, że bardzo ją lubi. Dzieli się ze mną spostrzeżeniami, mówi o pomysłach, czasem pyta o radę.

Kiedyś opowiedziała mi wstrząsającą historię swojego życia. Jej słowa rwały się niczym pajęczki nici. Mówiła o sobie i o przeszłości, która wciąż ją

boli, a ja słuchałem, ani razu nie przerywając. Teraz już wiem, czemu Klaudia tak często, zupełnie nieświadomie, dotyka się dłonią w miejscu, gdzie jest serce. Przykłada tam rozpostarte palce. Czasami bywa bardzo blada, ale się nie skarży.

To, co przeszła, jest przynębiające. Pewnie gdybym usłyszał tę opowieść z innych ust, to bym w nią nie uwierzył, ale ona wybrzmiała tuż po tym, jak Klaudia nieomal zemdląła na moich oczach.

Zawsze wiedziałem, że nosi w sercu jakiś ciężar. Coś mi jednak podpowiada, że na zmurszałej ławce koło strugi nie opowiedziała mi wszystkiego, a jedynie uchyliła rąbka jakiegoś dramatycznego sekretu.

Nie naciskałem na nią, nie przerywałem. Pozwoliłem jej mówić. A później zdobyłem się tylko na to, aby wykrztusić:

– To straszne, Klaudynko, tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem twoim przyjacielem. Teraz, kiedy mi zaufałaś, tym bardziej możesz na mnie liczyć. Gdybyś potrzebowała czegokolwiek, pomocy... Wiesz... Ja zawsze...

– Wiem, Dawid. Dziękuję ci. Wiedziałaś, że ty mnie zrozumiesz i nie wykpisz.

– Boże! Nigdy w życiu!

Moja Klaudynka...

Nigdy nie trzymałem jej za rękę, nie mówiąc już o tym, aby ją pocałować. Nie chcę się spieszyć. Na razie wystarczy mi, że jest obok i mogę dostosować długość moich kroków do jej spacerowego tempa.

To ona pierwsza zdobyła się na poufały gest. Zatrzymaliśmy się na łące, dyskutując zażarcie na jakiś temat. Nawet nie pamiętam, o czym była mowa, ponieważ jeden ruch jej dłoni sprawił, że zapomniałem o całym świecie. Klaudia zamilkła w pół zdania. Spojrzała na mnie uważnie tymi przenikliwymi oczyskami. Wyciągnęła dłoń i zdecydowanym ruchem odgarnęła mi włosy za ucho, muskając przy tym delikatnie mój policzek.

– Popsujesz sobie wzrok – skarciła mnie niczym jakiegoś ucznia – gdy będziesz chował się za włosami. Lubię patrzeć na człowieka, z którym rozmawiam – dodała.

Zamurowało mnie. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie dotykała mojej twarzy. Każdy pocałunek był szybki, powierzchowny, byle jaki. Mniejsza o to...

Nie potrafiłem zareagować na gest Klaudii. Wyrzucałem sobie później, że nie złapałem ją wtedy za dłoń i nie pocałowałem, albo że nie przytuliłem

policzka do jej palców, gdy przesuwiała nimi po mojej twarzy. W tamtej chwili stałem po prostu zaskoczony i patrzyłem na nią tak, jakby cały świat wokół nas przestał istnieć. A ona, niczym na zwolnionym filmie, wolno odwróciła wzrok i nawiązała do przerwanej kwestii, ruszając jednocześnie polną ścieżką.

Potrzebowałem dobrych paru sekund, aby oprzytomnieć i ruszyć za nią. Wiem, że to głupie – ta cała nieśmiałość. Przecież miewałem już dziewczyny na jedną noc, czasem na trochę dłużej. Nigdy jednak nie byłem dla nich ważny. Rozpaczliwie chciałem poczuć do jakiejś coś głębszego, lecz one były nazbyt płytkie. Traktowały znajomość ze mną i seks, jak rodzaj hardcorowej przygody, coś ekstremalnego. Chciały wiedzieć, jak to jest przespać się z kimś tak odstręczającym.

W oczach Klaudii nigdy nie zobaczyłem odrazy.

Czy kiedykolwiek ujrzę w nich miłość?

Jutro wrócę do Jodłówek i szczerze powiem ukochanej, co czuję. Zdam się na nią, powierzę jej moje serce. To, czy je zgniecie i skruszy na miliony kawałków, nie ma teraz znaczenia. Chcę, żeby poznała prawdę, ponieważ tutaj, nad Soliną, uświadomiłem sobie, że gdy Klaudii nie ma blisko, nawet oddychanie sprawia mi fizyczny ból.

Nie jest mi dane spełnienie postanowienia. Ledwo przekraczam próg domu, rozdzwania się moja komórka.

– Cześć, stary, gdzie się chowasz? – Słyszę głos Mariusza, gdy tylko wciskam przycisk „odbierz”.

– Byłem w Bieszczadach.

– Wiem, wiem. Twoja matka mi powiedziała. Słuchaj, domyślam się, że jesteś pewnie zmęczony po podróży, ale możesz wpaść do pubu? Tadek świętuje dziś swój kawalerski, nie możemy chłopaka zostawić w ciężkiej chwili – śmieje się rubasznie.

Przewracam oczami, wiedząc, że on i tak tego nie zobaczy. Nie mam ochoty na hałaśliwe towarzystwo. Dopiero co wróciłem z dziczy, gdzie ciszę mojej samotności zakłócał jedynie szum wiatru i szmer górskich potoków.

– No, nie daj się prosić – naciska przyjaciel. – Pogadamy, wypijemy piwo, fajnie będzie, zobaczysz.

Pomyślałem o zaplanowanej rozmowie z Klaudią. Chyba nie czuję się jeszcze na siłach, aby podjąć tak poważny temat. Mam obawy, że mimo wszystko dziewczyna może mnie wyśmiać. Jest taka młoda i ładna, a ja...

Cóż, jestem, jaki jestem, nie mam na to wpływu.

Tchórzę.

Odkładam telefon i wlokę się pod prysznic. Zmywam z ciała zapach Bieszczad i Soliny. W zaparowanej kabinie wyrzucam sobie, że nic nie potrafię rozegrać jak należy. Nad jeziorem byłem pewny siebie i zdecydowany – ledwo minąłem tablicę z napisem „Jodłówki”, wróciły wszystkie obawy.

Zakręcam wodę i wychodzę z kabiny. Moje ciało pokrywa gęsia skóra wywołana przez szok termiczny. Straszny ziąb, mimo że centralne ogrzewanie mocno podkrecone.

Wycieram wilgoć z zaparowanego lustra i zerkam krytycznie na swoją fizjonomię. Dochodzę do wniosku, że trzeba się ogolić, ponieważ zarosłem jak dzikus, przez co wyglądam jeszcze gorzej niż zwykle.

Wyciskam wodę ze skręconych włosów. Z żalem zauważam, że jest wśród nich coraz więcej siwizny. Te włosy to jedyny przejaw męskiej próżności. Nawet nie próbuję szukać w sobie innych przymiotów zewnętrznych, które mogłyby pociągać kobiety.

– Starzejesz się, kolego – mówię do lustrzanego odbicia.

Godzinę później ruszam na spotkanie z przyjacielem.

Impreza zdążyła się rozkręcić. Wieczór kawalerski jednego z najbogatszych chłopaków we wsi przyciągnął mnóstwo ludzi. Przyszło szczególnie dużo ładnych dziewczyn, które otaczają Mariusza siedzącego przy barze. Udaje mi się przecisnąć na wysoki stółek obok niego. Zamawiam piwo. Barman informuje mnie, że wszystko zapisywane jest na koszt Tadka, który w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zmieni stan cywilny.

Bohater wieczoru kołysze się na parkiecie z jakąś blondyną wystylizowaną na lalkę Barbie. Tulą się do siebie w zmysłowym, mocno erotycznym tańcu. Ze swojego miejsca dobrze widzę, jak dziewczyna ociera się o rozporek Tadka. Przypuszczam, że za jakiś czas ta dwójka zniknie w jednym z pokojów na zapleczu, które za niewielką odpłatnością właściciel knajpy udostępnia potrzebującym.

Krzywię się z niesmakiem – nigdy nie traktowałbym w ten sposób ukochanej kobiety. Myślę o narzeczonej Tadka, Dorocie, która zapewne teraz odpakuje paczuski z frywolną bielizną na zorganizowanym dla niej wieczorze panińskim. Na pewno tęskni za swoim „misiaczkiem”. Jest całkowicie pewna jego wierności i miłości, chociaż on tą pierwszą nie grzeszy.

Mariusz zagaduje o wyprawę w Karpaty, lecz hałas jest nie do przekrzywienia. Siedzę w milczeniu, pijąc zimne piwo. Nie ruszam się ze stołka, podczas gdy mój kumpel raz na jakiś czas odchodzi z jakimiś panienkami, aby na przyciasnym parkiecie podrygiwać do wtóru jazgotliwej muzyki. Obserwując go, żałuję, że nie wymigiałem się od udziału w imprezie. Wiem, że Tadek nie miałby mi tego za złe. Nigdy nie byłem duszą towarzystwa, więc i tak nic nie wnoszę do zabawy.

Kilkanaście minut później, po którymś tańcu, zziębnięty Mariusz łapie kufel z piwem i kiwa na mnie głową.

– Chodźmy na zewnątrz. Tutaj jest stanowczo za gorąco.

Wychodzimy przed pub. Otacza nas wieczorny mrok. Niebo migocze mnóstwem gwiazd.

Chciałbym być chyba wszędzie, tylko nie tutaj. Coraz mniej odpowiada mi cały ten jazgot. Jak ludzie wytrzymują w mieście, skoro nawet na wsi nie ma ani chwili spokoju?

– Co u ciebie? – dopytuje człowiek, którego, nie wiedząc czemu, nazywam przyjacielem.

Nie mam ochoty na zwierzenia – nawet teraz, po wypiciu paru piw. Mariusz to kpiarz, wszystko potrafi strywializować, dla niego nie ma żadnych świętości.

– Przed czym tym razem uciekałeś?

Wzruszam ramionami, milczę. Kubas nie naciska, wie, że i tak nic mu nie powiem. Zresztą wywołał mnie z tej kakofonii dźwięków przede wszystkim po to, aby pochwalić się nowymi *króliczkami*, jak nazywa swoje podboje. Żadnej z nich nie wymienia nigdy z imienia. Czasem myślę, że jego ograniczony mózg nie przyswaja tylu imion i dla wygody określa dziewczyny wspólnym mianem. Pozwala mu to uniknąć przejęzyczeń w bezpośrednich kontaktach. Wiem, ponieważ już nieraz słyszałem jego gadkę.

Nieszczególnie uważnie lecz cierpliwie wysłuchuję sprawozdania. Potakuję, gdy trzeba, ale moje myśli błądzą w innym kierunku.

Wieczór jest wyjątkowo ciepły. Niebo nad nami takie piękne! Czy ona patrzy teraz w gwiazdy z okna w swoim pokoju? Mogliśmy pójść na spacer. Może zdobyłbym się w końcu na odwagę i zamknąłbym jej szczupłą dłoń o długich, smukłych palcach w mojej szorstkiej spracowanej garści?

Czy to źle, że mam takie same pragnienia jak inni?

Czy z taką szpetną gębą wolno mi marzyć o szczęściu?

Koniec z defetyzmem! Jeśli nie spróbuję, nigdy nie poznam odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Mariusz kończy monolog. Zapada cisza. Chciałbym go zmitygować i pokazać, że te miłosne podboje nic dobrego mu nie przyniosą.

– Byłeś kiedyś zakochany?

– Tak, dziesiątki razy. Kochałem prawie wszystkie króliczki.

– Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy byłeś naprawdę zakochany.

Mariusz przygląda mi się ze zdziwieniem.

– A ciebie co tak naszło?

– Nic. Po prostu zastanawiam się nad tymi twoimi... *króliczkami* – wymawiam to słowo z cynizmem. – Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby związać się na stałe z jakąś dziewczyną?

Znowu zapada cisza, o ile można mówić o ciszy, gdy w tle słychać jazgot dyskotekowej muzyki, głośne śmiechy par wymykających się z pubu na szybki numerek oraz warkot samochodów przejeżdżających tuż obok.

Mariusz milczy. Czyżbym zasiał w nim jakąś wątpliwość?

– A wiesz, że myślałem o tym ostatnio? Pasowałoby nareszcie zdobyć swoją przystań. Miejsce, gdzie żona czekałaby na mnie z kapciami i ciepłym obiadem. Mama suszy mi głowę, że wypada się w końcu ustatkować. Obiecała, że jeśli będę grzeczny i założę rodzinę, to przepisze na mnie działkę na stoku. Wiesz: posadzenie drzewa, wybudowanie domu, spłodzenie syna i te sprawy... – Wzrusza niechętnie ramionami. – Mógłbym się ożenić, ale tak za bardzo nie mam z kim. Wszystkie moje króliczki to zwykłe dziwki – stwierdza. – Nie chcę laski wskakującej do łóżka facetowi, który wyrwa ją w pubie. Ja wiem, że wszystkie dziewczice tego świata już dawno zostały pożarte przez smoki, ale chciałbym mieć żonę mało przechodzoną i żeby nie śliniła się na widok innych.

– Boże! Co za argumentacja...

– A ty chciałbyś mieć mocno używany towar? – broni się Mariusz. – Co ci nie leży w tej argumentacji? Do tej pory spotkałem dwie, może trzy tak zwane porządne dziewczyny. Być może dlatego porządne – stwierdza jadowicie – bo mało atrakcyjne. Z drugiej jednak strony żona nie musi być szczególnie atrakcyjna. Przynajmniej nikt nie będzie mi przyprowadzał rogów.

Nie mam chęci na drażnienie tematu. Lubię go, w gruncie rzeczy jest fajnym kumplem i jedyne, co tak naprawdę mogę mu zarzucić, to parszywy stosunek do kobiet. Znamy się jak łyse konie: razem dorastaliśmy, graliśmy w piłkę, jeździliśmy na obozy i zimowiska, siedzieliśmy w tej samej ławce w klasie,

skończyliśmy to samo technikum. Gdy byliśmy smarkaczami, a ja nie miałem jeszcze tych parszywych dziur na całej gębie, kochaliśmy się nawet w tej samej dziewczynie.

Siedzimy w ciszy, sącząc powoli zimne piwo. Nagle Mariusz zadziwia mnie, ponieważ dodaje innym tonem:

– Wiesz... Chyba jednak mógłbym się zakochać.

To dziwne, ale czuję ulgę. Dobrze wiedzieć, że najlepszy kumpel nie jest skończonym bydlakiem.

– A ty? Byłeś kiedyś zakochany?

Zaskoczenie jest tak duże, że niemalże krztuszę się piwem. Przez dłuższą chwilę walczę o porządną, głęboki oddech, kaszel drapie moje gardło. Oczy mi łzawią, po policzkach cieką łzy. Mariusz klepie mnie usłużnie po plecach. Zaczyna rechotać, nagle jednak milknie i stwierdza zadziwiająco poważnie:

– Ty jesteś zakochany.

Święty Boże! Co mnie naszło, żeby zacząć ten temat?! Głupek ze mnie, pozwoliłem, aby podświadomość wzięła górę, ponieważ tak naprawdę nie mogę dłużej tego w sobie tłamsić – chciałbym wyznać, co czuję.

– Tak – mamrocze pod nosem.

– Co: tak?! Kim ona jest? Znam ją? To z wzajemnością? Czy to dlatego zniknąłeś bez słowa na niemal cały tydzień?

Nic więcej mu nie powiem. Milczę. Mariusz jeszcze mnie nagabuje, w końcu daje za wygraną. On wie, że jak się zatnę, to nie wydusi ze mnie ani słowa. A ja chcę, żeby Klaudia jak najdłużej pozostała moim sekretem. Jakaś część podświadomości każe mi naiwnie wierzyć, że póki nie przedstawię jej Mariuszowi, to mam u niej jakieś szanse.

Mimo że popołudnia są coraz krótsze, a wieczory zapadają szybciej, znowu zobaczyłem Klaudię na znajomych ścieżkach. Spojrzała w stronę mojej zagrody i jak zawsze pomachała ręką. Pokazałem jej, żeby na mnie poczekała i pognałem do pokoju po prezent.

Kiedyś zapytała, czy mógłbym zrobić dla niej jakiś drobiazg na pamiątkę. Obiecałem, że o tym pomyślę. Jeszcze tego samego wieczoru miałem w głowie koncepcję. Zapragnąłem podarować Klaudii coś, co zawsze mogłaby nosić przy sobie (albo chociaż czasem, jeśli będzie miała na to ochotę). Po kolacji zacząłem pracę od wycięcia równego krążka z jednolitego kawałka młodego drzewa, które miało cienki pień. Bez naruszania struktury

słojów z łatwością mogłem wykonać z tego bransoletę. Chodziło o to, aby drobiazg się nie rozpadł, gdy Klaudia będzie go nosić. Co innego figurka, którą stawia się na półce, a co innego przedmiot, który może być narażony na uderzanie i który jest w nieustannym ruchu.

Początkowo bransoleta miała być gładka, lecz po namyśle na jej zewnętrznej płaszczyźnie wystrugałem pnącą różę z pączkami, kwiatami w rozkwicie i listkami. W środku wyciąłem napis *Klaudii – w dowód sympatii*. Chciałem napisać *w dowód miłości*, lecz zabrakło mi na to odwagi. Zabejcowalem drobiazg na kolor dojrzałych kasztanów i pociągnąłem warstwą bezbarwnego lakieru. Nie powiem, napracowałem się przy tym jak chyba nigdy. Gładziłem, pieściłem ten kawałek drzewa tak, jakby to było ciało Klaudii. Musiałem pozbawić go wszelkich zadziorów, aby nie wbił drzazg w jej skórę. Skończyłem bransoletę na kilka dni przed Bieszczadami – ponieważ musiała dobrze wyschnąć i stracić zapach lakieru, nie wręczyłem jej Klaudii od razu.

Pomyślałem, że warto byłoby dorobić do niej jakieś opakowanie. Przecież nie mogłem podarować bransolety tak po prostu, gołą ręką, ani tym bardziej w papierowej torebce. Zrobiłem więc niedużą szkatułkę, do której, prócz bransolety, będzie można wkładać jeszcze inne drobiazgi. Pozwoliłem sobie na odrobinę zabawy przy wieczku, ponieważ umieściłem na nim inkrustowaną różę. Ona zapewne nigdy nie dowie się, że pod różą wygrawerowałem napis: *Tak mocno można kochać tylko raz w życiu, Klaudynko*.

W pierwotnym zamyśle miał tam być miniaturowy przycisk, który pozwoliłby podnieść górną część wieczka i odczytać tekst, później zmieniłem zdanie i połączyłem obydwie części na stałe. Aby odkryć litery, musiałaby zniszczyć pudełko, ale mam nadzieję, że tego nie zrobi. Wtedy, gdy pracowałem nad tą szkatułką, jeszcze nie wiedziałem, czy zdobędę się na to, aby wyznać jej, co czuję. Może, gdy będę miał pewność, że nie wykpi moich uczuć, rozdzielę te dwie części.

Ściskając w dłoniach prezent, biegnę do czekającej na mnie dziewczyny. Klaudia ma radosne oczy, migoczą w nich wesołe ogniki.

– Dawid! – cieszy się na mój widok.

Ta radość jest autentyczna, nie mogłem jej sobie wymyślić.

– Cześć, jak leci? – pytam standardowo, jakby nigdy nic, i nie czekając na jej odpowiedź, wyciągam rękę z upominkiem.

– To dla mnie? – dziwi się Klaudia, biorąc szkatułkę w obie dłonie, jakby

to był kruchy, bezcenny przedmiot.

– Tak. Prosiłaś mnie kiedyś o jakiś drobiazg na pamiątkę. Przepraszam, że tak długo to trwało...

– Rzeczy piękne nie powstają z dnia na dzień. Och! To naprawdę dla mnie?! – Nie może się nadziwić, wodząc opuszkami palców po inkrustowanym wieczku szkatułki.

– Dla ciebie – potwierdzam.

– Nie mogę w to uwierzyć... Jaka piękna! Musiałeś się przy niej napracować!

Ogląda uważnie szkatułkę ze wszystkich stron. Obchodzi się z nią delikatnie, jak z surowym jajkiem.

– Klaudia... To jest tylko opakowanie – podpowiadam, ponieważ odnoszę wrażenie, że uznała pudełko za cały prezent.

– Jeśli to jest tylko opakowanie – mówi z niedowierzaniem – to aż boję się zajrzeć do środka. Jeszcze nigdy nie dostałam czegoś równie pięknego! Teraz będę miała wyrzuty sumienia. Naciągnęłam cię na cudny upominek, któremu poświęciłeś zapewne mnóstwo czasu!

– Zajrzyj do środka. Nie wiem, czy ci się spodoba... Ale jesteś kobietą i pomyślałem... – płacząc się nieskładnie. – Zawsze możesz ją dać koleżance – dodaję głupio.

Klaudia unosi wieczko i z jej piersi wydobywa się głośno:

– Och!

Ujmuje w palce bransoletę i oddaje mi szkatułkę do potrzymania. Z zapartym tchem obserwuję, jak ogląda upominek w mdłych promieniach grudniowego słońca.

– Jaka piękna! Dawid! Ale cudo... Mogę ją przymierzyć?

Zaskoczyło mnie i rozbawiło to pytanie. Wyjmuję drobiazg z jej dłoni, obejmuję nadgarstek i wkładam bransoletę na rękę dziewczyny. Mojej uwadze nie umyka fakt, jak delikatne są przeguby rąk Klaudii. Jestem pewien, że byłbym w stanie objąć jedną dłońią obydwu naraz. Jej ręce są szczupłutkie i delikatne jak u filigranowej laleczki. Wzrusza mnie ich kruchość, chciałbym je całować miejsce w miejsce, nie pomijając nawet centymetra.

– Zrobiłem ją dla ciebie, aby ozdabiała twoją dłoń, a nie po to, żeby leżała w pudełku. No, chyba że ci się nie podoba... – mówię asekuracyjnie.

Skąd mam wiedzieć, czy nie uzna ją za tandetną albo kiczowatą? Może nie spodobał jej się motyw z różami? Może pochwaliła mój wyrób wyłącznie

przez grzeczność?

– Dziękuję ci, Dawidzie – mówi zachwycona Klaudia, a potem robi rzecz najbardziej dla mnie zdumiewającą: odgarnia włosy z mojego pobrużdżonego bliznami policzka, wspina się na palce i przykłada do mojej twarzy wargi zimne od grudniowego powietrza.

Trwa to ułamki sekund, a mnie wypełnia szczęście tak wielkie, że aż nieprawdopodobne. Chciałbym przytulić ją do siebie i do utraty tchu całować jej chłodne usta.

Chciałbym, lecz moje ciało jest nieposłuszne. Mimo wysyłanych przez mózg poleceń, ręce zwisają bezradnie wzdłuż tułowia. A ona już odsuwa się ode mnie i powtarza:

– To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam w całym życiu. Tym piękniejszy, że zrobiłeś to specjalnie dla mnie. Jesteś wyjątkowo uzdolniony, Dawidzie. Jesteś artystą i jestem dumna i szczęśliwa, wiedząc, że jesteś moim przyjacielem. Mogę cię tak nazywać, prawda? Zgodzisz się chyba zostać moim przyjacielem?

– Oczywiście, Klaudio – mówię, i chciałbym dodać, że dla mnie ona jest kimś więcej niżli tylko przyjaciółką.

Nie potrafię powiedzieć szczerze, co naprawdę do niej czuję. Jeszcze nie jestem na to gotowy, chociaż tak niedawno postanowiłem to zrobić. Wiem, że ona lubi mnie prawdziwie. Widzę sympatię w jej oczach i to mi wystarczy. Nie będę na nią wywierał presji, czas pokaże, jak rozwinie się nasza znajomość. Serce podpowiada mi, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Klaudia nie jest głupiutką panienką z dyskoteki na szybki numer, a ja nie jestem idiotą, który nie dostrzegąby jej pięknej duszy.

Klaudia

Dawid zaskoczył mnie wspaniałym prezentem. Wciąż spoglądam to na szkatułkę, to na leżącą obok niej bransoletę. Nie mam serca schować ozdoby do pudełka, chcę nacieszyć oczy obydwoma przedmiotami. Czarnota zrobił je specjalnie dla mnie, to takie wzruszające! Nie znam się na tym, ale przypuszczam, że poświęcił długie godziny, aby nadać im kształt, dopracować i dopieścić. Wprost zabrakło mi słów, żeby wyrazić uznanie.

Praca w Jodłówkach – to był chyba najlepszy wybór, jakiego dokonałam w całym moim życiu. Jestem tutaj taka szczęśliwa! Poznałam miłość i przyjaźń. Czuję się potrzebna, akceptowana przez innych.

Siedzę nad wypracowaniami uczniów.

Ech... Pora rzucić poplamione atramentem zeszyty. Lidka, jedna z nauczycielek, zaprosiła mnie oraz parę osób na brydża. Nie grywam w karty, ale obiecałam, że przyjdę. Nie mogę wciąż gnuśnieć w domu i szwendać się po łąkach z Dawidem.

Nie mogę także rozważać w nieskończoność: kocha, nie kocha, kocha...

Gdyby choć były stokrotki! Mogłabym sobie powróżyć, przekonać się, czy słusznie liczę na wzajemność.

Dawid

Rzeźbiłem właśnie ostatniego z Trzech Króli, gdy zadzwonił Mariusz i przypomniał, że mieliśmy w pubie obejrzeć mecz. Nie dałem się długo namawiać, trochę znużyło mnie dotychczasowe zajęcie. Potrzebowałem rozrywki, musiałem rozprostować kości, wyjść między ludzi, a raczej między facetów, ponieważ kobiety nieszczególnie chętnie zaglądają do knajpy, gdy są jakieś ważniejsze rozgrywki. Pewnie wołałyby pokaz mody albo romantyczny film o miłości.

Spotkaliśmy się na krzyżówce i pieszo ruszamy przed siebie. Zasadniczo moglibyśmy podjechać samochodem, do pubu jest daleko, a ja i tak nie mam dziś ochoty na piwo, ale Mariusz marudził, że na pewno zachce mi się pić, więc po co zawracać sobie głowę bryką?

Psiakrew... Że też musiałem go posłuchać!

Idziemy chodnikiem. Jest zimno jak diabli. Zaciskam dłonie w pięści i chowam je do kieszeni, wyrzucam sobie, że nie byłem dość przezorny, aby włożyć rękawiczki. Mam postawiony kołnierz kurtki i, co do mnie niepodobne, owinąłem szyję szalikiem.

Gdzie podziało się wczorajsze słońce, które zachodziło krwawą luną w chwili, gdy wręczałem Klaudii prezent? Dzisiaj wieje przenikliwie zimne wietrzysko – ciska w oczy śnieg z deszczem. Nieprzyjemne szpilki wbijają się w nasze policzki.

Żałuję, że nie związałem włosów, ponieważ wiatr tarnosi je niemilosiernie. Nie mam przed kim chować się za ich zasłoną. Nieliczni przechodnie wtulają nosy w kołnierze kurtek, przemykają chyłkiem, zaciskając zziębnięte dłonie na połach ubrania.

Niechcąc wpadam na drobną postać wyłaniającą się zza zakrętu.

– Przepraszam – mówię, bo to moje gapiostwo.

– Nic nie szkodzi. – Słyszę w odpowiedzi znajomy głos.

Klaudia poprawia kaptur ciepłego kożuszka. Podnosi wzrok i na jej twarzy pojawia się uśmiech pełen szczęścia. Mógłbym rzec, że nagle wśród zamieci zaświeciło słońce.

Boże... Jaka ona jest piękna, gdy się uśmiecha! Radość maluje się na jej twarzy. Spoglądam na nią zaskoczony, że tak ucieszyło ją nasze niespodziewane spotkanie, gdy nagle uświadamiam sobie, że Klaudia wcale nie patrzy na mnie.

To nie dla mnie przeznaczony jest najpiękniejszy uśmiech świata.

– Cześć, króliczku! – Słyszę głos Mariusza, który w jednej chwili staje mi się tak nienawistny, że gotów byłbym zetrzeć go w pył z powierzchni ziemi.

– Dokąd tak pędzisz na ten ziąb?

– Cześć, Mariusz! Co za niespodzianka! Idę do Lidki, zaprosiła mnie na brydża.

– Spotkamy się jutro wieczorem?

– Nie wiem, nic ci teraz nie obiecuję.

– Jutro, króliczku – nalega Mariusz.

– No dobrze, jutro.

Słucham krótkiej wymiany zdań i czuję, jakby ziemia usuwała mi się właśnie spod nóg.

Dlaczego nie słuchałem uważniej wypowiedzi Mariusza?

Dlaczego nie skojarzyłem, że oni się znają?

Tymczasem Mariusz wraca z obłoków na ziemię. Trąca mnie lekko łokciem, kiwa głową w moją stronę i mówi:

– To mój najlepszy przyjaciel...

– Cześć, Dawid. – Słyszę głos Klaudii, która dopiero w tym momencie dostrzega moją obecność.

– Cześć – mamrocze pod nosem. Nie jestem w stanie zdobyć się na choćby jedno słowo więcej.

– A to wy się znacie? – dziwi się Mariusz.

Zaraz przechodzi nad tym do porządku dziennego, nachyla się nad Klaudią i całuje ją krótko w usta.

– Do jutra, króliczku – mówi.

– Do jutra – potwierdza dziewczyna. – Trzymaj się, Dawid.

– Na razie – odpowiadam beznamiętnie, mimo że w moim sercu utkwił właśnie potężny sopel.

Najchętniej pobiegłbym teraz do domu. Chciałbym zaszyć się

w warsztacie, zająć struganiem i zapomnieć.

Zapomnieć, Boże! Zapomnieć!

Wczoraj omal nie zrobiłem z siebie głupca.

Chciałem wyznać jej miłość, a tymczasem okazało się, że ona jest jeszcze jednym *króliczkiem*.

Wszystkie moje króliczki to zwykłe dziwki – słowa Mariusza wciąż dźwięczą w moich uszach.

Nie, to niemożliwe, ona nie jest taka!

Boże! Dlaczego zgodziłem się pójść z Mariuszem na ten mecz? Co mnie podkuśiło? Dlaczego nie zostałem w domu, żeby kończyć figury do kościelnej szopki?

Jeszcze żyłbym w niepewności. Jeszcze nie czułbym się tak, jakby rozdarto mnie na pół i każdą z oderwanych części rzucono w przeciwną stronę.

Mariusz ciągnie mnie w dalszą drogę. Jestem zbyt ogłupiały, żeby protestować. Noga za nogą wlokę się za nim do cholernego pubu, myśląc jedynie o tym, że teraz z przyjemnością skrzyżuję kark człowiekowi, którego jeszcze parę minut wcześniej nazywałem przyjacielem.

W lokalu panuje trudny do zniesienia jazgot, spowodowany przede wszystkim podkreśloną dźwiękiem w ogromnym telewizorze LCD. Właśnie rozpoczyna się mecz. Zajmujemy wysokie stołki przy barze i zamawiamy po kuflu piwa.

– A widzisz? Mówiłem, że zachce ci się pić – komentuje krótko Mariusz.

Wzruszam ramionami i pociągam łyk napoju. Zimna struga rozlewa się nieprzyjemnie po moim przemarzniętym na wskroś organizmie, ale nie zwracam na to uwagi. Potrzebuję alkoholu, by choć na chwilę zagłuszyć krzyki skołowanego umysłu. Wciąż jestem rozdarty pomiędzy chęcią uduszenia siedzącego obok mężczyzny a wyjściem z pubu i powrotem do domu.

Nie mogę uwierzyć, że Klaudia – moje ucieleśnienie ideału – jest taka sama jak te wszystkie idiotki, które dają się posuwać Mariuszowi. Muszę znaleźć potwierdzenie dla moich wątpliwości.

Nie wiem tylko, jak rozegrać tę partię, aby się nie zdradzić. Za nic w świecie nie wyznałbym Mariuszowi, że, podobnie jak przed laty, zakochałem się w tej samej dziewczynie co on. Tylko że wtedy mieliśmy równe pozycje startowe, wyglądałem o wiele lepiej niż teraz, a mimo to i tak

przegrałem rywalizację. Obecnie nie mam najmniejszych szans, aby konkurować z najprzystojniejszym chłopakiem we wsi. Nie zamierzam narażać się na docinki ze strony Mariusza. I za nic w świecie nie zniósłbym teraz, aby Klaudia – która tak radośnie uśmiechała się do mojego kumpla – odkryła, że jestem w niej zakochany. Na samą myśl o tym oblewa mnie fala gorąca i nagle truchleję, ponieważ przypominam sobie słowa, które wyryłem pod wieczkiem szkatułki. Jestem przerażony, że dziewczyna odkryje to przez przypadek, a potem okrutnie wykpi.

Oczywiście wyobraźni widzę, jak chichocząc złośliwie, podsuwa szkatułkę pod nos Mariuszowi, obydwójce oglądają napis zrobiony pod wpływem impulsu, jak śmieją się ze mnie, a potem idą razem do łóżka. Wstyd i zazdrość podpełniają niczym zdradziecki wąż, sącząc jad do mojego umysłu. Powinienem zakraść się do jej mieszkania i zabrać przerażający dowód mojej naiwności.

Usiłuję zachować kamienną twarz. Udaję, że nic się nie stało. Piję duszkiem trzecie piwo – przestało mi przeszkadzać, że jest zimne. W tłoczonym lokalu panuje zaduch, już dawno zrzuciłem szalik i kurtkę. Sprawiam wrażenie, jakbym kibicował razem z innymi. Krzyczę w ferworze walki:

– Gooooool!!! – aż mnie boli gardło.

Nie myślę, nie czuję, jestem zaprogramowany na oglądanie meczu. Wlałem w siebie odpowiednią ilość alkoholu, aby uśmierzyć ból pulsujący tępo w mojej skroni.

Gapię się bezmyślnie na zniszczone dłonie. Są szorstkie, suche i poorane bliznami. W kilku miejscach noszą ślady po nałożonych szwach, raz niemalże odciąłem sobie palec. Na szczęście chirurg zdołał poskładać to do kupy i zalecił większą ostrożność w posługiwaniu się piłą do drzewa. Dobre sobie! Zupełnie jakby stolarz był w stanie zachować komplet palców do grobowej deski.

I co myślałeś, durniu, że tymi łapskami będziesz dotykał Klaudię?!

Ona woli dotyk innych dłoni. Poza ułamkiem sekundy, gdy wkładałeś na jej przegub bransoletkę, nigdy nawet nie trzymałeś jej za rękę. Nie wiesz, jaka w dotyku jest jej skóra, więc po czym tak rozpaczasz? Czemu tak usilnie starasz się zalać robaka?!

– Jeszcze jedno – mówię do barmana, wskazując pusty kufel.

Mariusz spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Podobno miałeś nie pić – przypomina.

– To na rozgrzewkę – burczę nieuprzejmie.

Mojego kumpla nie dziwi, że jestem nieprzyjemny, zna mnie od lat i wie, że ponuractwo to nieodłączna część mojej natury.

Mecz się kończy, w pubie robi się ciszej. Właściciel lokalu, Jacek, wyłączył właśnie telewizor.

Zastanawiam się, jak poprowadzić rozmowę z Mariuszem i wejść na temat Klaudii tak, żeby nie połapał się, o co chodzi. Niespodziewanie on sam mnie wyręcza.

– Skąd znasz Klaudię? – zadaje pytanie.

– Mieszka niedaleko, więc czasem widuję ją, jak chodzi na spacer po łąkach – odpowiadam zdawkowo. – Gadałem z nią parę razy.

Nie powinien dziwić się moim słowom, ponieważ wie, że z okien mojego domu widać zarówno szkołę, jak i łąki. Jest więc czymś naturalnym, że czasem spotykam mieszkającą tam nauczycielkę.

– A skąd ty ją znasz? – pytam, zachowując stoicki spokój. – Jeszcze jeden króliczek?

– Nie do końca. Nieco oporna sztuka, ale chętnie bym ją zaliczył – mówi rozbijając szczerze.

Spoglądam na niego groźnie. Jest mi obojętne, co sobie pomyśli. Mam ochotę złapać go za kołnierz i nakłaść mu po pysku, aż spuchnie.

– Nie mógłbyś sobie w końcu odpuścić? – warczę. – Wygląda na porządną dziewczynę.

– Stary! Opanuj się – mówi szybko Mariusz, zaniepokojony moją agresją. – Jeszcze z nią nie spałem – usprawiedliwia się bardzo głupio. – Czy ona ci się podoba?

– Nie twój interes.

– A więc jednak!

– Spieprzaj! – Odrzucam rękę, którą kładzie mi na przedramieniu.

– Hej! Hej! Dawid, daj spokój. To tylko laska! Nie pokłócimy się chyba o dziewczynę? Dobra, umówmy się tak, że nie będę ci wchodził w paradę. Niech sama wybierze. Pójdziemy do niej jutro razem, co?

– Nie jestem zainteresowany.

– Nie?

– Nie!

– No, to o co ci chodzi, stary?

– O to, że Klaudia jest bardzo miła, a ty traktujesz dziewczyny jak ostatni bydlak. Nie chciałbym, żeby przez ciebie płakała! Rozumiesz? Nie mógłbym

jej spojrzeć w oczy po czymś takim! Jesteś moim przyjacielem, ona przyjaciółką. I niech tak zostanie, dobra?!

– Jesteś pewny, że tylko o to ci chodzi? Nic więcej? – dąży Mariusz.

– Owszem – mówię, chociaż daleko mijam się z prawdą.

Mariusz wydaje z siebie westchnienie ulgi.

– Świetnie. Cieszę się, że nie bierzesz jej pod uwagę. Głupio by mi było startować do tej samej dziewczyny co ty. Bo z tą Klaudią, wiesz... To już chyba tak bardziej serio. Nie to, żeby była jakimś cudem, ale to bardzo porządna dziewczyna, mamie pewnie by się spodobała – mówi. Zerka na mnie, czochrając dłonią włosy.

Mógłbym go zatłuc w tej chwili – za te prostackie słowa: *nie to, żeby była jakimś cudem...* Dla mnie ona jest idealna. Kocham w niej absolutnie wszystko.

Jego słowa trochę mnie uspokoiły. Jeszcze z nią nie spał. Wiedziałem! Czułem, że ona nie jest *taka*. Nie jest pierwszą lepszą, która ochoczo wskakuje do łóżka każdemu napotkanemu facetowi. Przez chwilę obawiałem się, że to tylko mnie nie wolno się do niej zbliżyć, ponieważ jestem odrażający, a wszyscy inni...

Wracam do domu targany zazdrością i irracjonalnym gniewem. Zamykam się w moim pokoju. Usiłuję zagłuszyć niespokojne myśli muzyką, ale żaden hałas nie pomaga. Jestem wściekły sam na siebie – za długo zwlekałem ze zrobieniem kroku naprzód. Szaleję, mając świadomość, że Mariusz zabiera mi Klaudię. Nie mogę znieść myśli, że ona wybrała tego głąba. Wciąż mam przed oczami jej pełen szczęścia uśmiech – w pierwszej chwili nawet mnie nie zauważyła.

Co mam teraz zrobić? Jak się zachować? Unikać jej czy przeciwnie: udawać, że nic się nie stało? Biję się z myślami, mam ochotę wyć.

Przecież niczego mi nie obiecywała, nie kokietowała, nie uśmiechała się zalotnie, nie spoglądała mi głęboko w oczy – to ja mylnie interpretowałem jej gesty.

Ona wybrała mnie na przyjaciela.

Nigdy jej nie zawiodę. Nie zrezygnuję z możliwości przebywania blisko niej. Wątpię, aby cierpienie na odległość było mniej bolesne, gdy każdego dnia budziłbym się z pytaniem: gdzie ona jest, co robi i czy jest szczęśliwa?

Dobrze znam Mariusza i wiem, że za tydzień, dwa, może trochę później, pozna innego *króliczka*. On nigdy nie był stały w uczuciach. Wytrwam,

przeczekam, a gdy Klaudia zostanie sama... może wówczas oprze się na moim ramieniu?

Mariusz

Ależ ten Dawid jest naiwny! Jak zawsze wycofuje się rakiem i ustępuje pola. Nie dalej jak kilka dni temu wycisnąłem z niego wyznanie, że jest zakochany, a dzisiaj ten atak na mnie za Klaudię. Rycerz na białym koniu się znalazł, też coś! Byłbym idiotą, gdybym nie skojarzył faktów.

Żałosny brzydal. Zasadniczo pasowałiby do siebie. Ona też nie jest powalająco piękna. Niebrzydka, to fakt, ale zawsze wolałem blondynki.

To porządna dziewczyna. Może właśnie dlatego nie odpuszczę? Chcę dla odmiany zobaczyć, jak jest z taką panną. Czy seks będzie inny? Bardziej zaangażowany, a nie byle jaki, jak z pozostałymi króliczkami?

Przy okazji zamierzam utrzyć nosa Dawidowi. Wiem, że to odrażające, ponieważ to mój najlepszy przyjaciel, ale mierzi mnie czasem, gdyż jest zbyt idealny. Z czystej przekory nie popuszczę. Za to jego ostatnie mędrkowanie. Pieprzony etyk!

W gruncie rzeczy straszny z niego frajer. Może nie jest przystojny, ale laski na niego lecą, tylko on nie potrafi wykorzystać swoich atutów. Przede wszystkim wzrost – nie jest takim skrzatem jak ja, kobieta może przy nim nosić najwyższe obcasy. Po drugie, jest tajemniczy, to też dziewczyny lubią. Włosów zawsze mu zazdrościłem. Kurczę, tyle razy słyszałem, jak panny zachwycały się jego czupryną! No i co najważniejsze – kasa wręcz się do niego klei. Zarabia w cholerę forsy, prawie nic nie wydaje. Żeby mnie tak się trzymały pieniądze!

Tak więc dobrze wiem, że on zakochał się w Klaudii. Pewnie nawet miałby u niej szansę, gdyby trochę się postarał.

Klaudia

Trochę się zdziwiłam, gdy Mariusz przyprowadził ze sobą Dawida. Nie wiedziałam, że są przyjaciółmi. Przeciwnieństwa idealne – są tacy różni pod każdym względem!

Kiedy poznałam Dawida, bardzo spodobał mi się jego wewnętrzny spokój i opanowanie. On ma takie piękne oczy! Rzadko się uśmiecha, ale gdy już to zrobi, jego twarz wygląda zupełnie inaczej. Właściwie nie zastanawiałam się nad tym, czy jest przystojny, trudno to ocenić, ponieważ ma okropne blizny,

prawdopodobnie po ospie albo po wyjątkowo uporczywym trądziku. Najważniejsze, że ma cudowny charakter. Słucha ze zrozumieniem, jest taktowny, nieco nieśmiały. Nie uważam Dawida za gburę, jak określiła go pani Waleria – wiele zyskuje przy bliższym poznaniu. To wspaniały człowiek i zazdroszczę (tak – zazdroszczę!) dziewczynie, którą pokocha. Bo ktoś taki jak on będzie kochać szczerze.

Na początku myślałam, że Dawid szuka mojego towarzystwa, bo mu się podobam. Minęło jednak parę tygodni, a on nie wykonał żadnego kroku. Wysyłałam mu delikatne sygnały – nie odpowiedział. Nie potrafię się narzucać, wciąż dręczy mnie lęk przed odtrąceniem. Uznałam, że Czarnota szuka przyjaźni. Szkoda, przy nim czułabym się bezpiecznie.

Przyjaźń? Okej. Musi mi wystarczyć.

Byłam pełna rozterek, póki nie spotkałam Mariusza.

Jasne włosy, harmonijna budowa ciała, twarz taka, że chciałoby się oglądać ją w snach, a do tego najbardziej niebieskie w świecie oczy. Nigdy przedtem nie zwracałam uwagi na wygląd zewnętrzny, lecz on przyciąga wzrok tak bardzo, że wciąż chce się na niego patrzeć i patrzeć – bez końca.

Mariusz tak właściwie nie pozostawia mi wyboru ani miejsca na wątpliwości. Wpadliśmy na siebie na jakiejś imprezie i od tamtej pory nieustannie kręci się w pobliżu. Jest tak urzekający, że wprost nie sposób mu się oprzeć. Gdy przebywa w pobliżu, całe otoczenie kurczy się do rozmiarów makowego ziarenka. Nawet Dawid sprawia w jego obecności wrażenie mniejszego, niż jest w rzeczywistości. Może dlatego, że przy Mariuszu jeszcze bardziej się garbi i chowa za zasłoną swoich pięknych włosów.

Mój Boże! Nie planowałam miłości, nie planowałam przyjaźni, nie planowałam takiego życia.

Chłopcy (chyba mogę ich tak nazywać?) rozsiadają się w moim mieszkaniu. Wypełniają niewielką powierzchnię swoją ożywczą obecnością. Częstuję ich kawą i ciastem, które jakaś dobra dusza zostawiła na barierce werandy, gdy uczyłam dzieci zawłośc polskiej gramatyki. Nigdy nie nauczyłam się piec ani gotować – potrafię upichcić jakieś niewyszukane potrawy, aby nie umrzeć z głodu, więc czuję głęboką wdzięczność dla moich darczyńców.

Mariusz od razu zaczyna wygłupy, jest duszą towarzystwa. Czasem zastanawiam się, co on robi u kogoś takiego jak ja.

Dawid jak zwykle jest bardzo powściągliwy, chowa się za zasłoną włosów. Za każdym razem, gdy go widzę, mam ochotę odgarnąć te kędziory na bok,

aby odsłonić jego oczy. Powściągam poufałe gesty – raz jeden zdobyłam się na odwagę, aby to zrobić, i on wtedy cały zeszytniał. Odnoszę wrażenie, że jest przewrażliwiony na punkcie swojego wyglądu, nie potrafię inaczej zinterpretować jego zachowania. Najwyraźniej nie życzy sobie, aby ktokolwiek go dotykał. Szanuję tę autonomię.

Nie powinnam tyle o nim myśleć – to niezdrowe, on jest moim przyjacielem.

Bawi mnie paplanina Mariusza. Uroczy jest, gdy uśmiecha się od ucha do ucha i z wdziękiem kłamie, że jestem najładniejszą dziewczyną w Jodłówkach. Jeszcze chwila i uwierzę, że naprawdę mu się podobam. Idzie za mną do kuchni, gdy wychodzę dokroić ciasta. Staje z tyłu i obejmuje mnie w talii. Wiem, że to on – poznaję go po zapachu. Wstrzymuję oddech, czując jego wargi w okolicach ucha.

– Spotkamy się jutro? Tym razem przyjdę sam. Nie gniewasz, że przyciągnąłem tu Dawida? Było mi go żal, bo to straszny odludek. Gdybym go czasem gdzieś nie wywlókł, to zdziczałby pewnie do reszty.

– Nie gniewam się – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Lubię go, jest miły.

– A jak bardzo go lubisz? Bardziej niż mnie? – docieka Mariusz.

– Nie powiem ci.

– No powiedz – szepce wprost do mojego ucha, zostawiając jednocześnie na małżowinie ślad pocałunku. – Powiedz – judzi – że to mnie lubisz bardziej...

– Głuptas jesteś – zbywam uwodzicielskiego natręta.

Mariusz odwraca mnie do siebie. Ostrożnie odkładam nóż na blat, aby nie zrobić mu krzywdy. Jego wargi kęsają zachłannie moje usta. Mężczyzna napiera na mnie całym ciałem. Czuję o wiele więcej, niż powinnam. Wiem, że robi to specjalnie, chce, abym wiedziała, jak mnie pragnie.

Jeśli go jutro zaproszę... Dobrze wiem, czym to się skończy. Czy tego właśnie chcę?

Jeszcze nie wiem.

Jestem pełna rozterek, ale szczęśliwa.

Pogoda zesłała na psy. Na przemian śnieg z deszczem, deszcz albo wiatr. Niby temperatury oscylują w granicach zera, lecz panuje przenikliwy ziąb. Wolałabym prawdziwą zimę – taką ze śniegiem i mrozem. Przez kaprysy aury musiałam poniechać spacerów po łąkach, przebrzydłe wietrzyisko chciało urwać mi głowę. Na szczęście Dawid zagląda do mnie regularnie.

Brakowałoby mi naszych rozmów o wszystkim i o niczym oraz wspólnego milczenia. Lubię go obserwować, kiedy na mnie nie patrzy i gdy nie chowa się za zasłoną włosów. I tylko czasem, gdy widzę jego smutne, zamyślane spojrzenie, zastanawiam się, co gra w duszy mojego artysty.

Czasami zachodzę do domu Czarnotów. Pani Kasia, matka Dawida, to cudowna i poczciwa kobieta. Jak ona kocha tego swojego chłopaka!

– Chłopaku – mówi do niego. – Chłopaku, poczęstuj Klaudynkę winem, wiesz, tym, co je przeszłego roku upędziłam.

Klaudynka, tak mnie nazywa starsza pani.

Lubię na nią patrzeć. Ma twarz jak za bardzo dojrzałe, rumiane jabłuszko, które ktoś nieopatrznie pozostawił na drzewie i czas wyrzeźbił w nim swe magiczne piętno. Uśmiecha się na każdym kroku, widać, że pogodna z niej kobiecina. Tylko czasem, gdy spogląda na swojego syna, w jej oczach pojawia się troska i ten sam rodzaj smutku, który widuję u Dawida.

Ona martwi się o niego, ja to czuję. Czasem wplata swoją wysuszoną dłoń w jego bujną czuprynę i wzdycha lekko. Wrusza mnie do głębi serdeczność, którą mu okazuje. Jakże bardzo mi tego brakowało przez całe dzieciństwo!

Dawid jest najmłodszy z rodzeństwa. Prócz niego pani Kasia ma jeszcze trzech chłopaków, z których każdy jest już żonaty, dzieciaty i mieszka na swoim. Uczę małych Czarnotów w szkole, to bystre i grzeczne maluchy.

Nabieram przekonania, że po latach emocjonalnej pustki los rzucił mnie do Jodłówek, abym wreszcie zaznała pozytywnych uczuć. Kiedy Mariusz zamyka mnie w objęciach ramion, czuję pełnię szczęścia. Już nie ma złych wspomnień, nocami nie dręczą mnie koszmary. Zasypiam wtulona w ciepłe ciało kochanka, a zaraz po przebudzeniu widzę piękne, niebieskie oczy.

Co jakiś czas miewam lęki, że pewnego dnia obudzę się i znowu będę w tamtym brudnym, klaustrofobicznym świecie. Obecność Mariusza skutecznie odgania złe wspomnienia. Nic mu nie mówiłam o sobie. Wie tylko tyle co inni: że pochodzę z Wrocławia, przyjechałam na studia do Krakowa i uwielbiam pracę w szkole. Jeszcze nie potrafię się przełamać, aby opowiedzieć mu o tym, co mi leży na sercu.

I tylko czasem myślę, że gdybym miała wybrać kiedyś mojego powiernika, to wolałabym, aby był nim Dawid. Nikomu nie ufam równie bezgranicznie jak jemu. Bardzo sobie cenię jego przyjaźń, jest dla mnie jak brat. Nie, to niewłaściwe określenie! Bliższe prawdy jest stwierdzenie, że całe życie marzyłam, aby Kazik był kimś takim jak Dawid.

Dlaczego wybrałam ten zawód?

Nie mogłam postąpić inaczej. Nauczycielstwo było moim powołaniem. Lubię uczyć, lubię dzieci, ale jest też w tym głębszy sens. Czuję potrzebę zrobienia czegoś pożytecznego dla innych – podania pomocnej dłoni komuś, kto przechodziłby takie samo piekło jak ja. Może zdołałabym zapobiec jakiejś tragedii? Bo ja nie udawałabym, że nie widzę na skórze dziecka sinych pręg od paska lub, co gorsza, od kabla. W takiej sytuacji zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc.

Uważnie obserwuję moich uczniów. Ślady pobicia widać nie tylko na pupie lub innych częściach ciała. Można je zauważyć przede wszystkim w załamanych oczach dziecka i w jego osamotnieniu.

Staram się nie wymagać zbyt wiele do moich uczniów. To nie znaczy bynajmniej, że odpuszczam im naukę, o nie! Po prostu nieco bardziej skupiam się na tych słabszych, poświęcam więcej czasu, aby mogli zrozumieć zawilości naszej gramatyki. Nie daję uwag za niegrzeczne zachowanie. Jeśli to konieczne, zostawiam delikwenta na przerwie w klasie i tłumaczę, że jego postępowanie jest niewłaściwe. Aż nazbyt dobrze pamiętam dzień, gdy przyniosłam ze szkoły moją pierwszą i jedyną uwagę w dzienniczku...

Mój Boże! Jak to bolało! Do dzisiaj pamiętam!

W kuchni była okrągła blaszana taca z chińskim motywem. Ciotka sypała na nią suszony groch, który trzymała w szmacianym worku. Groch był okrągły, dobrze wysuszony, twardy i bardzo stary. Odkąd pamiętam, był w naszym domu. Ciekawe, co się z nim stało? Czy jest tam jeszcze?

Ciotka nasypała groch na tacę i położyła ją w kącie pokoju. Kazała mi podwinąć nogawki w spodniach i klęknąć twarzą do ściany. Póki klęczałam nieruchomo, dało się jakoś wytrzymać. Groch rozsypywał się na boki, wtedy było lepiej, ponieważ ziarna nie cisnęły aż tak bardzo. Co jakiś czas ciotka rozkazywała, żebym uniosła najpierw jedno, potem drugie kolano, a ona zagarniała groch na miejsce.

Najgorsze było właśnie poprawianie grochu. Gdy się poruszałam, czułam okropny ból. Twarde ziarna, które wżarły się w moją skórę, z cichymi puknięciami opadały na tacę.

To był najłagodniejszy wymiar kary.

Czasami, kiedy ciotka była o coś wściekła, dodatkowo kazała winowajcy trzymać ręce do góry. Kara za byle gówna mogła trwać nawet kilka godzin.

Przyczyną mogły być podarte rajstopy, niezjedzony wyjątkowo ohydny obiad, uwaga w dzienniczku, słabsze oceny.

Otrząsam się ze złych wspomnień.

– To przeszłość, to już nie wróci – powtarzam.

I tylko czasem, gdy widzę, że jakieś dziecko w szkole porusza się niemrawiej niż zwykle, gdy jest smutne, milczące lub gdy płacze, przytulam je do siebie i pytam, czy mogę jakoś pomóc.

Chciałabym być aniołem, lecz moje skrzydła i aureolę zabrała ze sobą Dagmara.

Zastanawiam się, czy nie powinnam opowiedzieć Mariuszowi mojej historii, zanim nasza znajomość stanie się jeszcze poważniejsza. Czasem zadaję sobie pytanie, dokąd to wszystko zmierza?

Spędzamy sylwestra w pubie. Jest z nami Dawid, Lidka i mnóstwo innych ludzi. Zabawa jest fantastyczna. Tańczę z Mariuszem, wtulona w jego ramię. Powoli kołyszemy się w takt nastrojowej ballady. Dobrze mi z nim, jestem szczęśliwa.

Kątem oka widzę, że Dawid obejmuje w tańcu Lidkę. Czy to wypity alkohol szumi w mojej głowie, czy ona faktycznie spogląda na niego z uczuciem? Przyglądam im się dyskretnie. Ładnie razem wyglądają, ona drobniutka, on duży i rostry. Lidka ma długie włosy, które miękkimi falami opadają na plecy. Jest blondynką o jaśniutkiej, delikatnej karnacji. Wygląda trochę jak anioł i jestem pewna, że niejednen chłopak stracił dla niej głowę.

Czy to o niej myśli Dawid przed snem? Czy to jej figurka stoi na gzymsie kominka w salonie u Czarnotów?

Dawid spogląda na mnie ponad głową Lidii. Uśmiecha się smutno. Może myśli, że ta śliczna panna go nie chce i to z jej powodu jest wiecznie przygnębiony? Jak on mało w siebie wierzy!

Północ. Pierwszy pocałunek w Nowym Roku, oczywiście z Mariuszem. Czy to oznacza, że ten rok będzie należał do niego? Wszyscy tutaj traktują nas jak parę. Nie powiem, rozpiera mnie duma, gdy widzę zazdrosne spojrzenia innych dziewczyn. Składamy sobie życzenia, a następnie mieszamy się z tłumem. Puszczam dłoń Mariusza, wodzę wzrokiem po sali. Już wyściskałam Lidkę i Basię oraz kilka innych osób.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, Klaudyś. – Tylko jeden chłopak zwraca się do mnie w ten sposób.

Ośmielona wypitym wcześniej alkoholem, odwracam się do Dawida i spontanicznie cmokam go w usta. Muszę wspiąć się na palce, żeby tego dokonać. Straszny z niego wielkolud! Ściskam szorstkie, zniszczone pracą dłonie.

– Ja też życzę ci wszystkiego najlepszego. Oby spełniły się wszystkie twoje najskrytsze marzenia – dodaję nieco ciszej, zerkając wymownie na Lidię. – Z całego serca życzę ci tego, przyjacielu.

On spogląda na mnie i mówi szeptem:

– To prawie niemożliwe.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba walczyć o marzenia. – Nadaję mojemu głosowi siłę i stanowczość. Chciałabym, aby on w to uwierzył równie mocno jak ja.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Jeśli naprawdę istnieją anioły, to na pewno on jest jednym z nich. Bardzo go kocham, jest mi bliższy niż brat i rodzone siostry. Czemu Kazik nie przypominał go choć trochę? Zawsze marzyłam o starszym bracie, takim jak Dawid. Co ja bym dała za to, żeby te smutne oczy zajaśniały szczęściem!

Dawid

W pracy chwilowy zastój, zleceń od klientów tyle co na lekarstwo. Mam nieznośnie dużo czasu. Zamykam się w moim małym, niedogrzanym warsztacie. Szukam jakiegoś zajęcia. Zaczynam rzeźbić, lecz czego bym się nie chwycił, marnieje mi w rękach. Tłumaczę sobie głupio, że przez ten ziąb nic mi nie wychodzi, gdyż trudno strugać zgrabiętymi od zimna dłońmi.

Głupie tłumaczenia! Dobrze wiem, że to nieprawda. Kogo chcę oszukać?

Nie potrafię sobie znaleźć miejsca. Mimo że od sylwestra minęło wiele tygodni, wciąż czuję na ustach dotyk warg Klaudii, który pali mnie żywym ogniem. Jej słowa dźwięczą w moich uszach.

Jak miałbym walczyć o marzenia? Nie potrafiłbym ukraść dziewczyny przyjacielowi. To byłaby zagrywka poniżej pasa. Mariusz na pewno nigdy by tak nie postąpił. Honor kumpla – często o tym mówi. Są rzeczy, których facet facetowi po prostu nie robi.

Oni do siebie pasują. Ładna z nich para, nie czarujmy się. Mariusz po raz pierwszy w życiu zachowuje się przyzwoicie. Przestał flirtować z pannami. Widać, że zależy mu na Klaudii. Zawsze zarzucałem mu niestałość w uczuciach, a teraz, gdy powoli buduje swoją stabilizację, żałuję wszystkich słów, które kiedykolwiek powiedziałem na ten temat.

Niechby sobie dalej skakał z kwiatka na kwiatek.

Niechby jej złamał serce, podeptał uczucia, żeby cierpiała i nigdy więcej nie chciała go oglądać!

Boże! O czym ja myślę?! Tak nie wolno!

Nie mogę życzyć Klaudii, aby cierpiała jak ja. Ona bez tego wciąż miewa smutne oczy.

Nie zniósłbym jej krzywdy, nie darował!

Jakże cienka jest granica pomiędzy miłością, przyjaźnią a nienawiścią. Czuję się tak, jakbym balansował na kruchej tafli lodu, a pod stopami miał mroczną, niezgłębioną otchłań.

– Chłopaku! Obiad. – Matka zagląda do warsztatu.

Siedzę zamyślony. Wspieram brodę o zaciśniętą pieść, w której trzymam miniaturową, nieskończoną figurkę. Staruszka podchodzi do mnie, zagląda w oczy i czochra mi włosy. Przytulam głowę do jej brzucha. Wiem, że to dziecinny gest. Mam tylko ją. Ojciec zmarł dawno temu, już go nie pamiętam, bracia rozpierzchli się, pozakładali rodziny. Mama przytula mnie i głaszcze po głowie.

– To o niej myślisz. O tej nauczycielce – mówi domyślnie.

Przełykam głośno ślinę. Nie odpowiadam.

– Chłopaku, chłopaku... – W głosie matki słyszę znajomą troskę.

Nie mówi nic więcej. Mama jest sprawiedliwa. Nie potępia dziewczyny, że wybrała innego, chociaż wie, że cierpię.

Staruszka prosi, abym zaniósł Klaudii trochę jajek i kawałek ciasta. Wzruszając. Przecież powinna jej nienawidzić, ponieważ z powodu nieodwzajemnionej miłości coraz częściej popadam w zadumę.

Odkładam na bok nieskończoną figurkę. Idę z matką do kuchni, gdzie już czekają spakowane dla Klaudii wiejskie jajka i kawałek świeżego placka. Zabieram pakunek i wychodzę w chłodny wieczór. Przemykam w ciemności opłotkami.

Stoję przed jej werandą, spoglądając w jaśniejące okno. Widzę zarys sylwetki, gdy przechadza się po pokoju. Jest u niej Mariusz, ona coś mu opowiada, zawzięcie przy tym gestykułując. Na chwilę staję się podglądaczem, wodzę wygłodniałym wzrokiem za postacią dziewczyny. Nie wejść tam, nie będę mącił im wieczoru. Nie chcę wprawiać Klaudii w zakłopotanie – ona nie wie, kto się o nią troszczy. Zostawiam paczuszkę, jak zawsze, na balustradzie i czmycham w mrok niczym złodziej.

Rozdział 3

Dezserter

Mariusz

Wszystkie chwytły dozwolone – tak jednym zdaniem mógłbym określić moje zachowanie w stosunku do Dawida. Widzę ból w jego oczach, gdy całuję Klaudię.

Zazdrość... Piękne uczucie.

Chcę, żeby zazdrościł mi Klaudii. Ja też zazdrościłem mu całe lata tego, że był wyższy, inteligentniejszy, że jest artystą, że intryguje kobiety, które sypiają ze mną, ponieważ chcą się przekonać, jak to jest odwalić numerek z takim ładnym chłoptasiem, ale i tak bardziej interesują się Dawidem, tylko że ten głębia tego nie zauważa.

Matka zawsze stawiała mi go za przykład. Wciąż słyszałem: *A Dawid to, a Dawid tamto, a Dawid sramto*. Bokami mi wyłaziło! Wciąż ta głupia, narzucana przez matkę rywalizacja. Teraz nareszcie nie suszy mi głowy i nie porównuje mnie z Dawidem – być może dlatego, że podobnie jak ja on także jest singlem. Jestem jednak pewien, że gdyby się ożenił i dochował gromadki małych Czarnociątek, to utyskiwania przybrałyby na sile. To głupie, że nawet teraz, gdy mam trzydzieści cztery lata i zgodnie z wsiowymi standardami osiągnąłem stan starokawalerstwa, wciąż mi się czka starymi czasami.

Psiakrew, jak ja się ucieszyłem z tej jego ospy! Wiem, że to okrutne, ale wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłem go z gębą podziurawioną bliznami, pomyślałem, że to za karę – dostał nauczkę za to, że zawsze był taki idealny.

A teraz znowu mam swoje pięć minut! Posuwam panienkę, którą sprzątnąłem mu sprzed nosa. Żałuję tylko, że on tego nie widzi. Perwersyjnie chciałbym, aby mógł stanąć z boku i obserwować, jak doprowadzam ją do

orgazmu.

W gruncie rzeczy, nie wiedzieć czemu, lubię tego frajera. Może ta ciągła rywalizacja to jakiś rodzaj przewrotności – tego nie wiem, ale Dawid jest mi na swój sposób bliski i poza tym, że zawłaszczyłem Klaudię, życzę mu jak najlepiej.

Klaudia

Wieczorem wpada do mnie Mariusz. Oglądamy film na laptopie. Telewizora nadal nie mam i nie zamierzam kupować – zbędne urządzenie. W połowie fabuły Mariusz zaczyna się do mnie migdalić, więc lądujemy najpierw na dywanie, a później w sypialni.

Kochamy się spokojnie, bez większej pasji, bez dzikiego zdzierania z siebie ubrań. Nasz związek osiągnął stan równowagi. Już wiemy, co nas w sobie podnieca, co nieco mniej, a co wcale nie kręci. Troszkę szybko to wszystko okrzepło, spodziewałam się dłuższego okresu pierwszych wzruszeń, ale cóż... Nie można mieć wszystkiego.

Mariusz jest mało romantyczny, nie lubi trzymania za rączki i zagładania głęboko w oczy. Jeśli ma ochotę na seks, nie stosuje wymyślnych gier, jest prostolinijny. Nie używa wyświechtanych frazesów. Podoba mi się, gdy całuje mnie w ucho, a później szeptem:

– Chodźmy się kochać, króliczku.

Skąd mu się wziął ten *króliczek*? Pytałam go kiedyś o to, lecz wykręcił się śmiechem i zażartował, że może mnie nazywać żabką. Zdecydowanie wolę króliczka niż obślizgłego, zimnokrwistego płaza.

Mariusz wydaje z siebie westchnienie ulgi, później zsuwa się z mojego rozedrganego ciała. Trochę mi go za mało, chciałabym, aby jeszcze był we mnie, lecz on już układa się wygodnie. Przygarnia mnie do siebie, otacza ramieniem i niemalże w tej samej chwili zasypia. Pochrapuje lekko przez w półprzymknięte usta. Przyglądam mu się w mroku. Lubię na niego patrzeć, jest bardzo przystojny.

Najpierw długo nie mogę zasnąć, później dręcą mnie koszmary. Po raz pierwszy odkąd jestem z Mariuszem, budzi mnie ze snu własny krzyk.

– Co się stało? – szeptem przestraszony mężczyzna. – Jesteś cała mokra i rozdygotana. Zły sen? Chodź do mnie. – Obejmuje mnie ściślej i delikatnie kołysze.

– Bardzo zły sen – potwierdzam. – Przytul mnie mocno.

– Cii... Już nic się nie dzieje. Chcesz o tym opowiedzieć?

– To nic takiego. Już nawet nie pamiętam – kłamię.

Przecież nie powiem mu, że w koszmarze widziałam ciotkę z tacą grochu i ogniem płonącym na palniku kuchenki gazowej.

Mariusz zerka na zegarek. Wiem, że zanim zacznie świtać, wyślizgnie się z mojej pościeli i pod osłoną nocy wróci do domu. Kiedyś zapytałam go, czemu nie zostaje do rana, aby zjeść ze mną śniadanie. Odpowiedział, że nie chce, aby o nas plotkowano, i robi to dla mojego dobra.

Oddech mężczyzny znowu jest spokojny. Mariusz śpi, a ja wciąż boję się zamknąć powieki, aby nie powróciły resztki koszmaru. Skąd sen o ogniu? Czemu nawiedziło mnie akurat to wspomnienie?

Groch, pasek, kabel od magnetofonu – repertuar kar był bardzo bogaty. Ciotka w roli Temidy. Wyrok zawsze ten sam: jesteście winni. Kiedyś Kazik zrobił coś wyjątkowo głupiego – zanim odeszła Dagmara, często się to zdarzało. Ciotce puściły nerwy. Zawlokła go do kuchni, odkręciła gaz, trzasnęła zapałką.

– Wkładaj rękę w ogień! Bóg cię skarze za twoje uczynki! Pójdiesz do piekła! Wkładaj tu łapę, ale już! Zobacz, jak jest w piekle, gnoju!

Piekło było tam – w naszym mieszkaniu.

Pamiętam rozdzierający krzyk Kazika, gdy ciotka złapała go za nadgarstek i na chwilę włożyła jego dłoń między sinoniebieskie płomienie. To było straszne!

Nigdy nie bałam się ciotki równie mocno jak tamtego dnia. Nie zapomniałam twarzy wykrzywionej grymasem nienawiści. Przez lata straszyla nas piekłem i szatanami, a sama zachowywała się niczym opętana diablica. Nie, nie diablica! Jak szalona inkwizytorka. Nieustannie nakładała na nas okrutne pokuty. Lubowała się w wymierzaniu nam *sprawiedliwości*. Och... W tym ciotka była naprawdę dobra! Czasami zastanawiam się, skąd czerpała pomysły na to, jak wymusić w nas karność i posłuszeństwo.

W tamtych czasach pojęcie przemocy w rodzinie nie było tak spopularyzowane jak teraz. To, co działo się w czterech ścianach naszego mieszkania, nie obchodziło absolutnie nikogo. Mogliśmy płakać do woli.

Nawet jeśli któryś sąsiad słyszał awantury, to był głuchy na nasz płacz i wołania:

– Ciociu, nie bij! Ja już nie będę... Przysięgam, tylko nie bij!

Wtulam się w ciepłe ciało Mariusza. Powoli wraca poczucie

bezpieczeństwa. Mój kochanek sapie cichutko przez sen, zazdroszczę mu tego spokoju.

Nie mogę uwierzyć, że to już czerwiec. Bardzo szybko minął rok szkolny – bez większych wstrząsów i wpadek, spokojnie, wręcz sielankowo.

Wrosłam w Jodłówki, zaczęłam zapuszczać korzenie. Tak mi tutaj dobrze! Mam przyjaciół i ukochanego mężczyznę. Zostałam wciągnięta w wir życia towarzyskiego. Wciąż jestem zapraszana na babskie ploty, podczas których moje nowe koleżanki, bez względu na swój stan cywilny, poddają dogłębnej analizie wszystkich znanych im facetów. Muszę przyznać, że moja wiedza na temat tutejszej populacji mężczyzn bardzo wzrosła. Na początku trochę mnie niepokoiło, gdy często padało imię Mariusza. Z biegiem czasu uznano nas za parę.

Wiem, że on miał przede mną dużo dziewcząt. Nic dziwnego – najprzystojniejszy chłopak w okolicy. Tym bardziej jestem zaskoczona, że zwrócił uwagę właśnie na mnie – kogoś zupełnie pospolitego i przeciętnego. Ostatnio zaczął przebąkiwać o założeniu rodziny i sformalizowaniu naszego związku.

Nigdy nie myślałam poważnie o małżeństwie i dzieciach. Nie nadaję się do tego. Nie wiem, czy potrafiłabym być dobrą matką. Nie miałam odpowiedniego przykładu w rodzinnym domu.

Nie chcę teraz o tym myśleć!

Zadziwiająco podczas babskich spotkań jest to, że moje koleżanki intrygująco dużo mówią o Dawidzie. Nie spodziewałabym się, że ten nieco mrukliwy i mało atrakcyjny wizualnie mężczyzna może wzbudzać aż tak duże zainteresowanie. Tymczasem dziewczyny jednogłośnie twierdzą, że jest w nim coś bardzo pociągającego, zwłaszcza w pełnym namysłu spojrzeniu szarych oczu, w ukrywaniu się za zasłoną włosów i dystansie do całego świata. Niejedna chciałaby zdobyć jego zainteresowanie. Szczególnie często wałkuje ten temat Lidka.

– Ty tego nie wiesz, Klaudia, ale na jakimś etapie kochają się w nim wszystkie dziewczuchy ze wsi – mówi z nieśmiałym uśmiechem na ślicznie wykrojonych ustach. – Niejedna by za nim poszła, tylko trudno do niego dotrzeć.

Czyżby temu wielkoludowi brakowało śmiałości? Dziewczyna wysyła w jego stronę aż nader czytelne sygnały, nieustannie usiłuje go sprowokować. W pubie, na prywatkach, na festynach – wciąż kręci się blisko

Czarnoty. Rzuca mu wymowne spojrzenia, wyciąga go do tańca. On nie odmawia, lecz nie widzę, aby traktował ją inaczej niż Dorotę, Kryskę lub inne dziewczęta. Myślę, że on i Lidzia bardzo by do siebie pasowali. Ona jest poczciwa, miła i troskliwa – zadbałaby o niego jak należy. Wiem, że pani Czarnota byłaby rada takiej synowej.

Och... Gdyby udało się ich wyswatać! Dziewczyna się marnuje, jemu lata lecą, na co czekać? Muszę pomyśleć, jak im pomóc. Chciałabym, żeby byli szczęśliwi – obydwój.

Dawid

– Słyszałeś, chłopaku, że twój kolega się żeni?

Grom z jasnego nieba! Czuję nagłą duszność. Moje serce drga nerwowo, gwałtownie, oddech staje się niespokojny.

Nie chcę tego słuchać. Nie chcę wiedzieć, o jakiego kolegę chodzi. Czy to dlatego zaprosili mnie do Klaudii na wieczór jakoś tak oficjalnie? Czemu mnie to nie zdziwiło?

Mama ściska moje ramię. Nie musi nic mówić, ja wiem.

– Mają się pobrać jeszcze w tym roku.

Świat zatrzymał się w miejscu, zapadła nagła cisza. I tylko słońce boleśnie wdziera się w moje źrenice. Dlaczego i ono nie zgasło?

Nigdzie nie pójdę. Nie dam rady.

Brak mi powietrza.

Duszę się.

Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba walczyć o swoje marzenia.

Kto to powiedział? Ona?

Zazdrość pali mnie jak ogień.

Wszystko stracone!

Moje dłonie poruszają się automatycznie. Nie wiem, co strugam w miękkim kawałku lipy. Robię to bezwiednie, na oślep, niemalże z furją, aż wióry ulatują na boki. Czuję ich drażniący zapach.

Powinienem wyrzeźbić popękaną połówkę serca, ale uświadamiam sobie, że nawet tyle mi nie zostało. Nie można żyć z połówką serca – ja oddałem Klaudii całe.

Dlaczego obraz przed moimi oczami jest taki zamazany? Czemu się rozmywa, jakby był widziany przez strugi deszczu? Czuję w ustach dziwny, słony smak.

To łyż?

Przecież faceci nie płaczą, gdzieś już słyszałem takie mądre słowa.

Dłoń z kozikiem ześlizguje się po mojej ręce. Nie czuję bólu, gdy gęsta krew kapie na spodnie, nie pierwszy to raz ani nie ostatni. Słyszę krzyk matki dobiegający do mnie jak z otchłani. Ogarnia mnie wielka nicość.

– Chłopaku! Chłopaku, ocknijże się wreszcie. Co ci jest, dziecko? – Głos mamy wdziera się w mój umysł.

Spoglądam tępo wokół siebie. Staruszka stoi obok i załamuje ręce. Skąd się wzięłam na kanapie? Przecież byłem w warsztacie.

Nic nie pamiętam. Mam w głowie pustkę.

W moich myślach krąży coś ulotnego, lecz bardzo ważnego. Nie mogę sobie przypomnieć. Nie chcę!

– Słabyś? Pociemniało ci w oczach? To pewnie przez ten wpływ krwi.

Ręka owinięta świeżym bandażem pulsuje tępym bólem.

– Już dobrze, Dawidzie? – Lekarka sprowadzona z ośrodka zdrowia pochyla się nade mną.

– Tak, pani doktor. Już dobrze – mamroczę.

– Całe szczęście, bo odjechałeś nam bardzo szybko. Musiało cię okropnie boleć. dzielny chłopak, nawet nie pisnąłeś. Sześć szwów. Jutro trzeba będzie zmienić opatrunek. Zgłoś się w ośrodku do pani Danusi. Dałam ci zastrzyk przeciwbólowy, ale pewnie też nie poczułeś, co?

Pamięć wraca. Klaudia...

Biję się z myślami: pójść, nie pójść?

Jestem rozdarty na pół. Jedna część umysłu chce zostać w bezpiecznym schronieniu domu, druga woła, abym poszedł, ponieważ jestem to winien Klaudii i Mariuszowi. Są moimi przyjaciółmi. Powinienem być z nimi w chwili ich szczęścia, mniejsza o to, że budują je na moim cierpieniu.

Oni nie wiedzą, że ja... że Klaudię...

I niech już tak zostanie, na zawsze.

Mogę ucieszyć oczy jej widokiem, lecz wtedy dłonie jeszcze bardziej będą mnie boleć i wołać o dotyk.

Mogę na nią więcej nie spojrzeć, uciec, zniknąć... ale i tak, gdy zamknę powieki, zobaczę jej smutne oczy i blady uśmiech na twarzy.

To jakieś szaleństwo!

Kludia

Mariusz nie zaskoczył mnie oświadczeniami. Już wcześniej przebąkiwał coś o stabilizacji, jakby chciał wybadać grunt i sprawdzić, czy mu nie odmówię. Nie mogę powiedzieć, aby zrobił to romantycznie.

– Pobierzmy się – mruczy mi do ucha tuż po tym, jak skończyliśmy się kochać.

W pierwszej chwili nie traktuję go serio. Myślę, że mówi tak pod wpływem impulsu, ponieważ ma ochotę na jeszcze.

– Głuptas jesteś. Możemy *to* robić bez małżeństwa – odpowiadam.

– Nie chodzi o seks – protestuje szybko. – Po prostu już na zawsze chcę być z tobą, króliczku.

Siadam na łóżku, mimo mroku zasłaniam piersi kołdrą. W mojej głowie kłębią się myśli. Mam mnóstwo wątpliwości, ale nie dotyczą one Mariusza, lecz mnie. Nie wiem, czy będę dobrą żoną. Nie nadaję się do tego. Z rodzinnego domu nie wyniosłam żadnego wzorca. Pamiętam tylko krzyki, awantury, kłótnie o wszystko i o nic. Zimną nienawiść. Niekończącą się wojnę podjazdową.

Oni nigdy się nie kochali. A przynajmniej ciotka nie kochała taty, ponieważ z tego, co pamiętam, to on był o nią zazdrosny i wypominał jej kochanków. Nigdy nie dowiedziałam się, czy słusznie, lecz mam podstawy, aby przypuszczać, że tak.

Odkąd pamiętam, dla ciotki najważniejsze były pieniądze. Praca, zarobki, godziny nadliczbowe – drogi, którymi mogła dojść do źródła swoich pragnień.

W życiu niczego nie otrzymuje się za darmo. Wszystko ma swoją cenę. Nawet, a może zwłaszcza, miłość. Moja ciotka potrafiła kochać tylko tych, którzy na to zasługiwali. Ja nigdy nie umiałam wkupić się w jej łaski. Byłam przez nią postrzegana jak czarna owca, chociaż nie mogłam pojąć, co jest tego powodem. Ciotka zawsze traktowała mnie jak nielojalną zdrajczynię.

– Tatusiowa córeczka – kpiła. – No leć, poskarż się ojcu! Idź, poopowiadaj

mu, gdzie byłam i co robiłam.

Z jakiegoś powodu rodzina ciotki także uważała mnie za konfidentkę.

– A kogo kochasz bardziej: tatusia czy mamusię? – To było pytanie, które najczęściej słyszałam w dzieciństwie. Stawiały je osoby z jej rodziny.

Nienawidziłam tego niesprawiedliwego, krzywdzącego pytania. Najbardziej zaś nie podobało mi się, że ciotkę tytułowano *mamusią*. Ona nigdy nie była w stanie jej zastąpić w żaden sposób!

Co gorsza, na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, wszystkie były złe. Wciąż musiałam lawirować.

Nie mogłam powiedzieć, że bardziej Kocham ciotkę, bo to było niezgodne z prawdą. Zawsze bliższy był mi tato, to z nim spędzałam więcej czasu, był cierpliwy i nigdy nie wrzeszczał bez powodu. Ciotka zaś próbowała kupić nas prezentami.

Nie mogłam odpowiedzieć, że Kocham ich oboje jednakowo, ponieważ to nie była odpowiedź, której ode nie oczekiwano, ponadto mijała się znacznie z prawdą. Ta jedyna słuszna nie przechodziła mi przez gardło.

Wolę nie myśleć, co by było, gdybym zgodnie z głosem sumienia przechyliła szalę zwycięstwa tych najbardziej idiotycznych zawodów świata na korzyść taty.

Może nagięłabym się do woli krewnych i postawiła na miłość do ciotki, gdyby nie to, że poza dobrami materialnymi, ciotka nie oferowała nic więcej. Nie miała dla nas słów miłości, nie potrafiła nas przytulić, nie czuliśmy ciepła z jej strony.

Czy z takim bagażem doświadczeń mogę budować własną rodzinę, wziąć w dłonie czyjeś szczęście? Przecież małżeństwo to nie tylko przyjemności, ale również ogromna odpowiedzialność za siebie i za innych.

Za dzieci.

Czuję na nagich plecach ciepłą dłoń Mariusza. Gładzi mnie wzdłuż kręgosłupa.

– Nad czym tak dumasz?

– Myślę o tym, co powiedziałaś przed chwilą.

– Nad czym tu rozmyślać? Przecież wiesz, że cię Kocham, króliczku. Ty Kochasz mnie, to oczywiste, że się pobierzemy. Zamieszkamy razem, nie będę musiał wymykać się od ciebie przed świtem.

On nie ma pojęcia o niczym. Nigdy nie opowiedziałam mu mojej historii. Nie wie, skąd mam na plecach blizny. Kiedyś zapytał o cienie, niemalże

białe pręgi, a ja mu objaśniłam, że to rozstępy.

Zdumiewające, ale bardziej zaufałam Dawidowi niż mężczyźnie, którego kocham. Jedynie Czarnocie napomknęłam o upiorach przeszłości, a i to bardzo zdawkowo, ograniczając się jedynie do opowieści o głodzie.

Powinnam powiedzieć Mariuszowi, że mogę być złą żoną i jeszcze gorszą matką.

Bardzo lubię dzieci, uwielbiam pracę z nimi, ale mimo to nie powinnam dawać życia.

– Co ci jest? – W głosie Mariusza słyszę naleganie.

– To takie... skomplikowane.

– Powiedz.

Milczę. Zastanawiam się, co mu powiedzieć. Skupić się wyłącznie na sobie, czy wyrzucić z siebie całą historię, łącznie z Dagmarą, Ewą, Anką i Kazikiem?

– Okej. Zapomnijmy na chwilę o tym, co mówiłeś. Muszę ci coś wyznać. A później, gdy skończę, będziesz mógł wyjść stad po cichutku i udawać, że nic się nie stało lub rozważymy twoją propozycję.

– Niepokoisz mnie.

Odwracam się do niego. W ciemności lśnią jego oczy.

Streszczam moją historię powoli, starannie dobierając słowa. Pomijam wiele faktów, skracam temat do niezbędnego minimum. Nie ma sensu wywlekać wszystkich potworów czających się w szufladkach mojej pamięci. Mówię i mówię, a dłoń Mariusza niestrudzenie głaszcze moje plecy. On nie przerywa mi ani jednym słowem. Zrzucam ciężar, który nosiłam do tej pory w sercu.

Czy jest mi lżej? Chyba nie.

Zapada cisza. Mariusz jeszcze chwilę czeka, czy nie podejmę dalszej opowieści. Później, rozedrganą emocjami, przytula mnie mocno do siebie. Czuję jego usta w moich zwichrzonych włosach.

– Nigdy więcej nikt cię nie uderzy ani nie przezwie. Nie pozwolę na to. Wyjdź za mnie, Klaudio.

– Ale czy dobrze to wszystko przemyślałeś? – Chcę się upewnić. – Nie mówisz tego pod wpływem impulsu, z litości?

– Klaudia, Klaudia... Tamto to przeszłość, dla mnie nie ma znaczenia.

– A jeżeli nie będę dobrą żoną? Przecież nie wiem, nie umiem... – płacząc się nieskładnie.

– To zależy tylko od ciebie. Znam cię, wiem, jaka jesteś.

- Nie znasz mojej ciotki...
- Nie muszę. Na pewno jesteś inna. Zresztą, to tylko ciotka...
- Bliźniacza siostra mamy – wchodzę mu w zdanie. – Moja najbliższa krewna.
- Nie przesadzajmy – mówi lekceważąco. – Boisz się, że macie te same charaktery? Nie jesteś taką suką jak kobieta, o której mówiłaś.
- Teraz nie, a co będzie za rok, dwa, później? A jeśli jestem taka jak ona? Może mam to w genach?
- Nie wierzę. Zresztą nie wyglądasz na kogoś, kto krzywdzi innych.
- Mariusz, ja naprawdę się boję. A dzieci? Pomyślałeś o tym? Nie wiem, czy będę potrafiła...
- Przecież zajmowałaś się Anką, tak?
- No... tak, ale nie o to chodzi. Każdy może zmienić pieluchę i dać dziecku butelkę. Chodzi o to, że nie wiem, czy wystarczy mi cierpliwości oraz czy będę miała instynkt macierzyński.
- O nic się nie martw, króliczku. We wszystkim będę cię wspierał. Przecież nie musimy mieć dzieci tak od razu. Jeśli uznasz, że nie chcesz mieć ich wcale, to też nic się nie stanie. Mnie tam do pieluch niepilno. Zależy mi na tobie, wiesz?

Przytula mnie bardzo mocno. Czuję, że mówił szczerze. Nagle wszystko wydaje się takie proste! Jestem szczęśliwa, jak chyba nigdy w życiu.

Planujemy wspólną przyszłość. Według Mariusza powinniśmy porozumieć się z dyrektorką szkoły, żeby pozwoliła nam mieszkać tutaj do czasu, aż wybudujemy dom. Matka obiecała przepisać na niego prześlicznie zlokalizowaną działkę budowlaną, więc na początek mielibyśmy z głowy spory wydatek. Trochę się martwię tym, czy podołamy budowie. Nie zarabiam kokosów, Mariusz chyba też nie, ale on jest pełen optymizmu, już wizualizuje jakiś skomplikowany projekt z dużym salonem i sypialniami w skosach na poddaszu. Zaczynam to widzieć oczyma wyobraźni.

Zaręczyny, pierścionek, obrączki. Skromne wesele, tylko dla najbliższej rodziny. To od razu przypomina mi o niemiłej konieczności złożenia wizyty we Wrocławiu. Powinnam, mimo wszystko, przedstawić ciotce narzeczonego. A może Ewa zdecyduje się przylecieć ze Stanów na mój ślub? Byłoby cudownie, tyle lat jej nie widziałam! Mogłaby być moją druhną, bo jak nie ona, to chyba musiałabym poprosić Lidzię.

Po namyśle decyduję się na przyjaciółkę z Jodłówek – prawdopodobieństwo przyjazdu Ewy jest znikome. Przecież przebywa za

oceanem nielegalnie, jej wiza od dawna jest nieważna. Gdyby teraz przyleciała do Polski, to nigdy więcej nie mogłaby przekroczyć granicy. A ona poukładała sobie tam życie: ma pracę, mieszkanie i chłopaka, który jest pół krwi Chińczykiem, pół Afroamerykaninem, więc ich dzieci będą zapewne w cętki.

Mariusz oczywiście nie ma problemu z decyzją. Postanawia poprosić na drużbę Dawida. Ja też cieszę się na myśl, że ten wielkolud będzie tak blisko w najszcześniejszej chwili mojego życia. Dobrze się składa, że będzie nam zaświadczać wraz z Lidką. Kto wie, może to pozwoli mu na przełamanie lodów?

Jedna za drugą mijają godziny, a my wciąż snujemy plany i marzenia. Niebo zaczyna się przejaśniać. Mariusz niechętnie wysuwa się z moich objęć.

– Muszę już lecieć, króliczku – mówi, całując mnie w nos.

– Musisz? – W moim głosie brzmi zawód. – Tak bym chciała, żebyś został dłużej.

– Już niedługo, króliczku, za trzy miesiące – uśmiecha się szeroko. – Zobaczysz, jeszcze będziesz miała mnie dość.

Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. On jest taki słodki!

Mariusz

Nie do końca rozumiem uprzedzenia Klaudii. Co dziwnego w tym, że ciotka ją biła? Każdy kiedyś dostał lanie od rodziców. Mało razy ojciec zdzielił mnie pasem? Klaudia jest przewrażliwiona i nazbyt egzaltowana.

Swoją drogą, jest mi na rękę, że nie będę miał teściowej na karku. Moja żona nie będzie wydzwaniać ze łzami do mamuśki z powodu byle kłótni.

Będzie dobrze, wierzę w to. Ona coś w sobie ma, już nie dziwię się Dawidowi, że stracił dla niej głowę, bo ja również jestem zakochany po uszy.

Dawid

Po co ja tutaj przyszedłem?

Nie sposób przeoczyć pierścionka połyskującego na serdecznym palcu Klaudii. Niby nic szczególnego, zresztą nie znam się na biżuterii, ale ona nie ma jej wiele, więc od razu dostrzegam nowość. Dziewczyna nie przyzwyczaiła się jeszcze do złotego krążka, raz po raz poprawia go kciukiem i pociera, jakby chciała sprawdzić, czy jest na miejscu.

Jej oczy nabrały nowego blasku. Jest szczęśliwa.

Przecież chciałem, aby była szczęśliwa, więc czemu teraz jej szczęście sprawia mi taki ból?

Przyglądam się Klaudii, gdy na mnie nie patrzy. Prócz radości dostrzegam coś jeszcze. To niepewność i lęk, czy może znowu ulegam iluzji?

Siedzę jak na szpilkach. Podekscytowana Klaudia krząta się pomiędzy kuchnią a pokojem dziennym. Serwuje kawę i ciasto.

Przenoszę wzrok na Mariusza. Widzę, jak rozpiera go duma. Siedzi w fotelu rozwalony niczym basza, już czuje się panem na włościach.

Boże! Jak ja mu teraz zazdroszczę!

Chciałbym powiedzieć, że czuję gorzką, palącą nienawiść do obydwójga. Nierealne, chociaż granica pomiędzy zazdrością a nienawiścią jest delikatna jak bańka mydlana.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Wydaje mi się, czy atmosfera jest jakaś sztuczna? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, a więc skąd te błahe pogaduszki?

Unikam spoglądania na dłoń Klaudii. Nie poruszę tematu zaręczyn, niech myśli, że mnie to nie obeszło.

– Co ci się stało? – dopytuje mnie i od razu odgaduje. – Znowu skaleczyłeś się podczas rzeźbienia? Nie boisz się, że kiedyś poobcinasz sobie palce?

– Raz już mało brakowało – mówię i bezwiednie rozcieram dłoń naznaczoną szwami w miejscu, gdzie palec wisiał niemalże na strzępach skóry.

Mariusz rzuca jakąś żartobliwą uwagę.

Męczy mnie ta wizyta. Chciałbym wrócić do pachnącego drzewem warsztatu. Poszukuję w myślach pretekstu, aby wyjść.

Dzwonek do drzwi przerywa jałową konwersację – zatem mamy jeszcze jedną osobę do towarzystwa. Do pokoju wchodzi Lidka. Śmieje się, papla o pogodzie, wyciąga nas na słoneczną werandę. Zgarniamy kawę, napoje chłodzące oraz ciasto i zgodnie z jej radą wychodzimy na powietrze. Nastroje od razu ulegają zmianie. Robi się gwarno i wesoło. Słowo daję, nie wytrzymałbym pod jednym dachem z taką gadułą jak Lidka. Miła z niej dziewczyna, kiedyś nawet kręciliśmy trochę ze sobą, lecz nie poczuliśmy żadnej *mięty przez rumianek*, więc sprawa szybko rozeszła się po kościach.

– A co tak błyszczysz na twoim palcu? – dopytuje Lidka, choć pewnie dobrze wie, co jest grane. Na pewno dotarły do niej plotki.

Klaudia uśmiecha się. Jej oczy lśnią. Spogląda na Mariusza. Bez wątplenia jest szczęśliwa, to ja musiałem sobie coś uroić, ponieważ już taki ze mnie

ponurak, że wszędzie dopatruję się defetyzmu.

– Zaręczyliśmy się – odpowiada za nią Mariusz.

Sypią się gratulacje. Trwają oględziny pierścionka i te wszystkie okolicznościowe *achy* i *ochy*.

Zdobywam się na postawienie pytania:

– Kiedy ten szczęśliwy dzień?

Tak naprawdę wolałbym tego nie wiedzieć albo usłyszeć, że nie będą się spieszyć, ponieważ muszą dać sobie jeszcze trochę czasu. Nic z tego! Oczywiście musieli się z tym szybko uwinąć.

– Pod koniec sierpnia. Planujemy nieduże wesele, tylko dla najbliższych.

Oddycham z ulgą. Przynajmniej mnie ten cyrk ominie. Nie wierzę, że Mariusz będzie dobry dla Klaudii i odpowiednio się o nią zatroszczy. On jest pieprzonym egocentrykiem! Znam jego niestałość w uczuciach i już spekuluję, kiedy i z kim zdradzi żonę po raz pierwszy.

Gorycz zazdrości podływa mi do gardła.

Nikt nie zdaje sobie sprawy, ile kosztuje mnie zachowanie spokojnej twarzy podczas dzisiejszej farsy. Chętnie porwałbym Klaudię na spacer łakami lub jeszcze dalej, w ciemną puszczy, aby z dała od ciekawskich uszu przemówić jej do rozsądku. Powinna wiedzieć, że Mariusz to zwykły drań i miał panienek na pęczki. Tacy jak on nigdy się nie zmieniają.

Zamiast tego siedzę, popijając kawę, i udaję, że stoję ponad tym wszystkim.

Patrzę na uśmiech Klaudii i jej ożywione spojrzenie. Ona nie wie, jak bardzo mocno ugodziła mnie teraz w serce. Nie jestem takim pasikonikiem jak Mariusz, nie skaczę z kwiatka na kwiatek. Nie odkocham się z dnia na dzień, nawet teraz, gdy jest zaręczona. Kocham Klaudię od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem ją w sklepie. Kochałem ją, gdy Mariusz, bardzo niedyskretnie, całował ją przy mnie w usta, gdy przytulała się do niego w tańcu i promieniała radością na jego widok.

Nie potrafiłem znienawidzić jej wtedy, jak więc mam to zrobić teraz?

Znienawidzić? Też coś – ja nawet nie potrafię mieć do niej żalu. Przecież dziewczyny zawsze wybierają bardziej atrakcyjnych partnerów. Nie jestem ani przystojny, ani wygadany. Daleko mi do Mariusza, który każdej potrafi zawrócić w głowie.

Tymczasem Klaudia łapie za rękę Lidzie, zerka też nieśmiało na mnie.

– Pomyśleliśmy z Mariuszem, że jako nasi najbliżsi przyjaciele, moglibyście drużbować podczas ślubu. Proszę, wyświadczyć nam ten

zaszczyt?

Kolejny wybuch dziewczęcej euforii. Lidka wisi na szyi przyszłej panny młodej.

Dobrze, że w tym momencie siedzę, ponieważ nogi mam jak z waty. A już myślałem, że ominie mnie wątpliwa przyjemność udziału w tej tragikomedii. Jak mogę stać z nimi przy ołtarzu, wiedząc, że ich małżeństwo rozsypie się, zanim wyschną podpisy pod dokumentami?

A może nie powinienem zakładać od razu czarnych scenariuszy? Czy Mariuszowi nie należy się dobrodziejstwo zaufania?

Przystaję na prośbę Klaudii. Jak mógłbym odmówić? Przecież jestem jej przyjacielem. Traktuje mnie jak brata – tyle razy to podkreślała, że chyba sama w to uwierzyła. Trudno, muszę zgodzić się na rolę, którą mi wyznaczyła.

Jestem masochistą.

Nagle zostaję wciągnięty w wir ich planów. Słucham pomysłów na ceremonię ślubną i wesele. Mariusz trąca mnie łokciem, przypomina o konieczności zorganizowania wieczoru kawalerskiego.

Ogarnia mnie wściekłość.

Ja ci dam wieczór kawalerski, skurwielu – odpowiadam w myślach.

Drań! Już szuka sposobności, żeby się rozerwać i bzyknąć jakąś panienkę. Nie wątpię, że podobnie jak Tadek będzie hucznie żegnał wolny stan.

Nie dam rady! To mnie przerasta. Tydzień mija za tygodniem w jakimś dziwnym, szaleńczym tempie. Do wesela został miesiąc.

W szafie wisi szyty na miarę garnitur. Mam też dwie nowe koszule i musznik w kolorze kiecki, którą włoży Lidia – dziewczyny bardzo na to nastawały, takie tam ceregiele, które mało mnie obchodzą – zgodziłem się dla świętego spokoju. Baby mają bzika na tym punkcie.

Niekiedy myślę, że to wszystko dzieje się poza mną i mnie nie dotyczy.

I tylko czasem, w biegu, pomiędzy pracą, koszeniem ogrodu, struganiem figurek a spotkaniami z parą szczęśliwych narzeczonych, dopada mnie nagły ból, co nie boli, lecz ścisza serce żelazną obręczą.

Widzę Klaudię szczęśliwą i cierpię, ponieważ to nie ja jestem sprawcą tego szczęścia.

A jeżeli ona kiedyś przez niego zapłacze... Jak mi Bóg miły – zatłukę go jak kundla!

Trzy tygodnie.

Zazdrość dusi mnie jak postronek.

Zamierzam urwać się na kilka dni w Bieszczady. Nieważne, że wciąż trwa sezon turystyczny. Z dala od wszystkich na pewno zdołam ochłonąć i nabrać dystansu.

Pakuje plecak. Wrzucam do niego ciuchy jak popadnie, biorę też paszport, może skoczę na kilka dni gdzieś dalej?

Muszę coś ze sobą zrobić, zanim eksploduje we mnie zazdrość, która nawarstwia się od miesięcy. W przeciwnym razie gotów jestem wywołać jakiś skandal podczas ślubu, na przykład wystąpić przy słowach: *a jeśli ktoś zna powód, dla którego małżeństwo to nie może być zawarte...* – bo ja znam taki powód. Znam ich nawet kilka – nazywają się zbiorowo: *króliczki*. I jest też moja miłość, uczucie tak wielkie, że jego bezmiar przeraża mnie samego.

Kludia

Dzień ślubu zbliża się zatrważająco szybko. Przepętnia mnie strach, że nie sprawdzę się w roli żony. Biedny Mariusz, wciąż znosi moje humory. Aż się dziwię, że chce się żenić, ponieważ ostatnio na każdym kroku wyłazi ze mnie jęzda. Jestem kłótniwa, czepiam się wszystkiego. Być może podsuwam mu w ten sposób pretekst, dla którego mógłby ze mną zerwać. Możliwe, że moja podświadomość usiłuje wycofać się rakiem z tego związku.

Ostatnio ciągle popłakuję po kątach. Strach niemalże paraliżuje moje poczynania. Dobrze, że są wakacje. Nie mam pojęcia, jak radziłabym sobie teraz z pracą. Przypuszczam, że to lęk przed nowym, nieznanym. No, bo czy da się przeświecić czyjeś myśli i zawartość serca? Żaden rentgen, ultrasonograf ani inne medyczne urządzenie nie da mi odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Czy zaznamy szczęścia? Czy on kocha szczerze? Czy będę dobrą żoną?

Dawid

Połonina Caryńska.

Oddycham pełną piersią. Poraża mnie surowe piękno krajobrazu. Przedemną dzicz.

I tylko ucisk w sercu nie słabnie.

Jeszcze jestem zbyt blisko. Zdaje mi się czasami, że za następnym jarem usłyszę ich głosy.

Gdzieś wśród klifów Irlandii.

Mgła. Chłód poranka głaszcze moją pooraną bliznami twarz.

Ona dziś wychodzi za mąż.

Zdezerterowałem, uciekłem. Nie mogłem tam tak po prostu wrócić i rzucić się w wir weselnego zamętu.

Pewnego dnia obudziłem się i stwierdziłem, że nie dam rady tego zrobić – za wiele ode mnie oczekiwali. Zadzwoiłem do szefa, poprosiłem o bezpłatny urlop. Niechętnie się zgodził, mówił, że jestem mu potrzebny, ma dużo zleceń. Zasugerowałem, aby przyjął kogoś na moje miejsce. Nie wiem, czy zdecyduję się na powrót do kraju. Nic mnie tam nie ciągnie. Matką zajmą się moi bracia i bratowe. Nie mam żadnych zleceń, za które bym wziął zaliczki.

Z perspektywy Irlandii widzę, że ostatnie tygodnie w Polsce były przygotowaniem do ucieczki. Pozamykałem wszystkie sprawy, uprzedziłem rodzinę, że może mnie jakiś czas nie być.

Mama płakała, gdy wyjeżdżałem w Bieszczady. Ona wiedziała, że to nie skończy się na połoninach i Wetlinie.

Zadzwoiłem do Mariusza dwa tygodnie temu, już z Irlandii (znalazłem się tutaj nagle, przez czysty przypadek). Powiedziałem mu, aby poszukał sobie innego drużby i żeby przekazał Klaudii życzenia szczęścia.

Mariusz

Cholerny Dawid! To przez niego chce mi eksplodować łeb. Gdyby ten osioł nie dał nogi do Irlandii, nie miałbym dzisiaj tak potwornego kaca. On by mnie wczoraj zmitygował, abym tyle nie pił.

Wieczór kawalerski zaciera się w mojej pamięci. Świta mi w głowie, że wypilem zdecydowanie za dużo alkoholu. I jeszcze że bzykałem się z jakąś lalką, ale ni cholery nie mogę sobie przypomnieć, kto to był. Pozostaje mieć nadzieję, że Klaudia się nie dowie.

Psiakrew! Ależ mam zaschnięte gardło!

Drżącymi palcami zapinam guziki ślubnego garnituru.

Klaudia

Welon już na głowie, kwiaty w dłoni, jeszcze tylko uśmiech na usta.

Dzień zaczął się od łez. Płakałam rano tuż po przebudzeniu.

Tak bardzo boję się przyszłości. Co będzie dalej? Czy podołam?

Nowe życie. Już nie sama, od dzisiaj z nim. Jestem bardzo szczęśliwa i równie pełna obaw. Nie boję się o Mariusza. Ufam mu, jest takim pocziwcem! Szkoda, że brak mu romantyzmu, nie będzie kolacji przy świecach, nie będziemy patrzeć sobie głęboko w oczy. Może lepiej, że on tak twardo stąpa po ziemi? Ktoś musi mieć rozsądek i wiarę, że wszystko będzie dobrze.

Nie boję się przesądów. Wkładam na szyję sznur pereł i perłową bransoletę na nadgarstek. Szkoda, że nie mogę włożyć tej, którą podarował mi Dawid – nie pasuje kolorystycznie, lecz nadal uważam ją za najpiękniejszą rzecz na świecie.

Dawid... Jaka szkoda, że nagle trafiła mu się praca w Irlandii i nie mógł odłożyć wyjazdu o kilka tygodni. Będzie mi brakowało tego wielkoluda w najważniejszej chwili mojego życia. Przez miniony rok był dla mnie bratem.

CZEŚĆ II

Proza życia

Rozdział 4

Nocny motyl

Dwa lata później

Dawid

Lubię siedzieć na plaży. Patrzę na nieskończony bezmiar wód. Ocean kołysze się, słona woda liże moje gołe stopy. Podwinąłem nogawki wytartych jeansów bardzo wysoko, ale jest tak ciepło, że nawet gdyby przemokły, to i tak by mi to nie przeszkadzało.

Jedyne, co przeszkadza, to te chwile, gdy zamykam oczy.

Widzę Klaudię, jak kładzie dłoń na policzku Mariusza. Jak się całują...

Podnoszę zmęczone powieki. Oczy mam zaczerwienione, jakby ktoś sypnął w nie garść piasku. To ta cholerna bezsenność! Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz wyspałem się jak człowiek.

Mój wzrok, utkwiony w rozkołysany Atlantyk, szuka linii horyzontu.

Klaudia

Zastanawiam się ostatnio, jak do tego doszło, że Mariusz z księcia z bajki przemienił się w ogra. Nastąpiło to z dnia na dzień? A może było tak, że nieustannie zachodziły jakieś subtelne zmiany, których ja początkowo nie zauważałam lub nie zwracałam na nie uwagi, aż do momentu, gdy doszłam do wniosku, że poślubiłam zupełnie innego człowieka, a żyję teraz z kimś zgoła do niego niepodobnym?

Jako narzeczony przychodził do mnie czyściutki i pachnący, niemalże metroseksualny. Teraz wciąż muszę mu przypominać, żeby zmienił

skarpetki, wziął prysznic i się ogolił. Jedyne jak gdzieś wychodzi, coraz częściej sam, dba o wygląd.

To jeszcze nic.

Kiedyś próbowałam sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy beknął głośno po jedzeniu i uznał to za świetny żart, albo dzień, w którym zaczął puszczać bąki w mojej obecności. Czy to już tak jest, że spotykamy się z cudownymi mężczyznami, a wychodzimy za mąż za obleśnych flejtuchów?

Ciągle zbieram porzucone w różnych dziwnych miejscach skarpetki i inne części garderoby. Nie utyskuję, że pranie, prasowanie oraz większość domowych obowiązków to moja powinność. Drażni mnie tylko, że on nie potrafi sprzątać nawet po sobie. Już dawno się nauczyłam, że zanim włączę pralkę, muszę przetrząsnąć wszystkie zakamarki mieszkania w poszukiwaniu przechodzonych ubrań. A przecież to tylko dwa pokoiki. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, gdy wybudujemy dom.

Budowę zaczęliśmy wczesną wiosną ubiegłego roku. Plany są piękne, a działka położona jest malowniczo, na zboczu góry. Wzdłuż granicy posesji szmerze niewielki potok. Kiedyś, gdy znikną kupki z piaskiem, cegły oraz inne budowlane rupiecie, będzie to uroczy zakątek. Ziemię dostaliśmy niby w prezencie ślubnym od jego rodziców, lecz w papierach i tak jest zapisana na Mariusza. Czasem on stroi sobie żarty, że i dom będzie jego, więc mam być grzeczna, bo inaczej zostawi mnie w służbowym mieszkaniu. Nie muszę chyba dodawać, że te żarty wcale mnie nie bawią...

Wciąż kłócimy się o budowę. Przeznaczamy na nią to, co zarabiamy obydwójce, ale Mariusz strasznie się szarogęsi i w ogóle nie bierze pod uwagę mojego zdania. Sam wybrał projekt, nawiasem mówiąc o wiele za duży jak dla nas dwojga, ponieważ nie zamierzamy mieć dzieci. Martwi mnie, że porwaliśmy się na przedsięwzięcie znacznie przekraczające nasze możliwości finansowe. Już od dawna widzę, że inwestycja nas przerasta – to zdecydowanie ponad nasze siły.

Przygnębia mnie brak pieniędzy. Prace utknęły w martwym punkcie. Mariusz wciąż jest wściekły i rozładowuje frustracje na mnie. To nie moja wina, że nam się nie wiedzie, więc czemu on wciąż jest na mnie zły?

Dorabiam korepetycjami, troszkę pieniędzy udaje mi się uciuć z redagowania prac licencjackich i magisterskich. Wszystko jest kroplą w morzu potrzeb – za dużo wydajemy i zbyt wielkie podjęliśmy wyzwanie.

Mariusz nie potrafi oszczędzać. Ma w głowie tylko głupoty: ciągle chodzi z kumplami na piwo, lubi jadać na mieście. Twierdzi, że gotuję marnie i musi

nadganiać hamburgerami. To nie moja wina, że w kuchni jestem do niczego. Niby gdzie miałam się nauczyć gotowania? Robię, co mogę, wciąż ślęczę nad książkami kucharskimi, ale jemu trudno jest dogodzić. Rzadko kiedy chwali domowe jedzenie, za to u mamusi rozplęwa się w zachwytach.

No właśnie – u mamusi! Teściowa mnie nie lubi. Kiedyś słyszałam, jak utyskuje, że ma za synową biedną nauczycielkę. Według niej nic nie potrafię zrobić w domu i nie jestem gospodarna.

Łatwo jej mówić. Nie mieszkamy u siebie, więc nie mogę skopać ogródka na grządki ani posadzić drzewek owocowych, ani uhodować kur na jajka i mięso. Cały tok rozumowania mojej teściowej kręci się właśnie wokół tego.

Coraz bardziej oddalamy się z mężem od siebie. Mariusz jest burkliwy, nieprzystępny. Przez cały dzień potrafi na mnie warczeć, a wieczorem, jakby nigdy nic, ma ochotę na seks. Czasami zamykam oczy i myślę o tym, co stało się z moim życiem przez minione dwa lata. Kiedy zrobiło się takie beznadziejne?

Nawet Lidzia nie ma już dla mnie tyle czasu co niegdyś. Coraz rzadziej do mnie zagląda, a i mnie do niej niepilno lecieć, ponieważ muszę myśleć o obiedzie, prowadzeniu domu i pracy. A może Lidka odbiła się od nas dlatego, że Dawid wyjechał, więc nie spotka go, jak niegdyś, u mnie? Może gdyby nie wyjechał do Irlandii, prawdopodobnie na stałe, to wciąż byśmy się przyjaźniły, bo on byłby stałym bywalcem naszego mieszkanka.

Czy to ładnie tak myśleć o przyjaciółce?

Miałam zafajdane dzieciństwo. Wciąż toczyłam walkę o przetrwanie. Później nastąpiło parę lat względnego spokoju – podczas studiów i przez pierwszy rok w Jodłówkach. Teraz znowu budzę się co rano i nie mam ochoty wstawać z łóżka.

Jeszcze tylko praca i pani Kasia trzymają mnie jakoś przy życiu.

Jestem potrzebna moim uczniom, choć wiem, że gdyby zaszła taka potrzeba, łatwo byłoby zastąpić mnie kimś innym.

Do pani Kasi zaglądam tak często, jak tylko pozwalają mi domowe obowiązki. Biedna staruszka, po wyjeździe Dawida czuje się bardzo osamotniona. Niby ma jeszcze trzech synów, ale każdy myśli o własnej rodzinie. Nie mają dość czasu, wciąż są w niekończącej się pogoni niewiadomo za czym. Pomagam pani Kasi w ogródku, podczas mycia okien, a czasami po prostu przesiaduję w jej kuchni i gawędzimy sobie o wszystkim i o niczym. Kocham tę staruszkę, jest ciepła i serdeczna, chwytła człowieka za serce.

Dawid

Tutaj nikt nie patrzy, jak wyglądam – dla Irlandczyków liczą się moje sprawne dłonie. Mam dobrą pracę, zarabiam kupę pieniędzy. Zastanawiam się czasem – co mi z tego? Przecież nie jestem tutaj dla mamony. W Polsce nie narzekałem ani na zarobki, ani na brak pracy.

Spędziłem dwa lata w tym dziwnym, zielonym kraju. Boże... Jak to szybko minęło! Jakoś zaczynam rozumieć ten pokręcony język, coraz rzadziej dogaduję się na migi. Polubiłem tutejsze piwo, wszelkie odmiany gulaszu z kluskami oraz lokalne dziewczęta.

Te ostatnie nie stronią ode mnie tak jak ślicznotki z Jodłówek. Rzekłbym, że przyciągam je jak jakaś zoologiczna ciekawostka, bowiem w niczym nie przypominam rudowłosych, krępych Irlandczyków. Coraz częściej budzę się w łóżku nie sam, lecz z krzepką dziewczyną u boku. Ostatnio przeważnie tą samą – małą, wesołą Aileen.

Coraz rzadziej myślę o Polsce i rodzinnym domu.

I tylko każdego wieczoru, niezmiennie od dwóch lat, widzę przed snem orzechowe oczy Klaudii z chwili, gdy spojrzała na mnie po raz pierwszy.

Boże... Jak ja za nią tęsknię!

Niewyobrażalne uczucie, nie do opisanie słowami.

Czasami dzwonię do matki.

– Dawid, wracaj. – Płacze biedna staruszka. – Co ci z tych pieniędzy, chłopaku? Małoś zarabiał w kraju? Na co ci tyle? I tak nie wydasz. Wracaj, chłopaku...

I tak w kółko.

Nie mam sił na powrót.

Nigdy podczas rozmów nie zapytałem jej o Klaudię. Ona też nic na ten temat nie mówi. Mama wie, że z tego powodu uciekłem. Może gdybym usłyszał, że jej małżeństwo z Mariuszem źle się układa, to rzuciłbym wszystko tak, jak stoję i wsiadł na pokład pierwszego samolotu do Polski.

Pewnie dobrze im ze sobą. Któż nie byłby szczęśliwy z Klaudią?

Nie chcę wiedzieć o ich wspólnym życiu, nie chcę tam wracać, myśleć o niej.

Czy mają już dziecko? Realny dowód miłości...

Klaudia

Ciężko mi na sercu. Zastanawiam się, jak to jest, że tak bardzo kocham i nienawidzę Mariusza. Zupełnie jakby były we mnie dwie skrajnie różne Klaudie i każda chciała czegoś innego.

Pokłóciliśmy się, znowu.

Już nawet nie pamiętam, od czego się zaczęło, zapewne od kolejnej bzdury, gdyż on zawsze przyczepia się głupot: zapchanego włosami sitka w wannie, wypranej w kieszeni chusteczki do nosa, tego, że znowu siedzę nad zeszytami uczniów albo przed komputerem zamiast oglądać z nim telewizję.

Skończyło się krzykami i trzaśnięciem drzwi. Już wiem, że wróci późno w nocy, będzie śmierdział alkoholem, a jutro nie piśnie nawet słowa na ten temat.

On nigdy nie przeprosza. A ja, jak ćma lecąca na oślep do żarówki, spalam się w fałszywym świetle jego niebieskich oczu. Starczy, że wróci, obejmie mnie w pół bez słowa, poczuję jego usta na mojej szyi, a zapominam mu wcześniejszą awanturę. Uwięziona w świecie iluzji... Nie czekam na przeprosiny.

Mariusz nigdy nie chce mi przyznać racji! Wszystkie rozumy pozjadał – Pan Nieomyślny!

Powstrzymuję łzy. Nie mogę płakać nad zeszytami, bo jak by to wyglądało, gdybym je poplamiła?

Lidka robi jutro babską nasiadówkę. Nie miałam chęci na spotkanie, ale zaczynam dojrzywać do tego, aby ruszyć tyłek z mieszkania. Mariusz na pewno będzie o to stroił fochy. Jemu wolno szlajać się Bóg wie gdzie. Gdy ja spotykam się z koleżankami, to jest cały w pretensjach. Nie mogę jednak wciąż tkwić w czterech ścianach, bo w końcu zwariuję. Mam wprowadzić panią Kasię, lecz potrzebuję także towarzystwa moich rówieśnic.

Dawid

Czy poczułbym się lepiej w Jodłówkach?

Tutaj tęsknota nie jest nawet odrobinę mniejsza.

Aileen przywołuje mnie zza skały, bawi się w chowanego. Ja uczestniczę w tej grze dosyć biernie, odpowiadam tylko, gdy gdzieś mignie jej czerwona kurtka. Chodzimy razem na długie spacerów. To w niczym nie przypomina mi TAMTYCH spacerów.

Tutaj są inne łąki, inne niebo nad nimi, inna towarzyszką przechadzek.

Jestem bydlakiem. Sypiam z Aileen, łączę z nią po wrzosowiskach, daję jej nadzieję bez pokrycia. Ona z każdym dniem coraz mocniej przywiązuje się do mnie. Zaczyna więc gniazdko, jest troskliwa. Używa w stosunku do mnie zaimków dzierżawczych.

– Mój Dave – mówi, śmiejąc się zaraźliwie. – Nawet nie wiesz, jak cię kocham, ponuraku.

Nigdy nie powiedziałem, że ją kocham. Nie potrafię kłamać.

Ale nie powiedziałem też o miłości do innej kobiety i tęsknocie graniczącej z szaleństwem.

Kludia

Nie mam dokąd pójść. Mariusz dobrze o tym wie. Wykorzystuje to, że cokolwiek zrobi czy powie, ja i tak nie odejdę.

Wszystko mi się zagmatwało. Rozgrzebana budowa, długi, wieczne pretensje o wszystko i o nic.

Boże! Dłużej już nie wytrzymam!

– Przecież nie robię tego dla siebie! – wrzeszczy mąż.

Przed chwilą wytknęłam mu, że mogliśmy wybrać mniejszy projekt i ten dom będzie za duży dla nas dwojga.

– A dla kogo to robisz, jak nie dla siebie? – Nie pozostaję mu dłużna. – To ty upierałeś się przy tej kamienicy! Ja chciałam mały parterowy domek. Taki, na który byłoby nas stać, a nie dwukondygnacyjną willę z tarasami i wykuszami.

– Przecież podobał ci się ten projekt!

– Ale to nie oznaczało, że od razu muszę go mieć!

– Nie wykręcaj kota ogonem. Nie protestowałaś przy wyborze!

– Przestań mnie w końcu obwiniać!

I tak w kółko... Znam to na pamięć. Ten sam scenariusz, ci sami aktorzy, czasem tylko trochę zmieniają się dialogi.

Niekochane dzieci mają w życiu trudniej. Całe moje życie jest jednym wielkim poszukiwaniem miłości – nieważne jakiej i nieważne za jaką cenę. Byle przytulić się na chwilę, ogrzać w ciepłe cudzego ogniska. Być może właśnie dlatego staram się za wszelką cenę trzymać w kupie nasze chwiejne małżeństwo – bo tylko tyle mi zostało na tym pokreconym świecie.

Nawet nie mam za czym tęsknić. Mama zmarła dawno temu, prawie jej nie pamiętam. Tato zapił się na śmierć. Daga popełniła samobójstwo. Ewa

uciekła na koniec świata, a Kazik zamknął się szczelnie w swojej skorupie.

Od dawna wiedziałam, że muszę sama sobie radzić. Kobieta, w której powinnam mieć oparcie, nie zamierza, nie chce, bądź nie potrafi mi go udzielić. Właściwie nigdy nie mogłam na niej polegać. Ciotka nie dawała nawet namiastki poczucia bezpieczeństwa.

Mówią, że co nas nie zabije, to nas wzmocni. Jest w tym ziarno prawdy.

Dawid

Śniłem o Klaudii.

Nie pamiętam treści snu, wiem tylko, że przebudziłem się gwałtownie, zupełnie zamroczony, niemalże nieprzytomny. Czuję obok siebie wierzące się niecierpliwie ciało.

– Kto to jest Klaudia? – Słyszę głos Aileen. – Wciąż powtarzasz jej imię przez sen. Parę razy, chyba nieświadomie, tak mnie nazwałeś. To twoja dziewczyna w Polsce?

Siadam na łóżku. Jest gorąca noc, lecz naciągam kołdrę na biodra. Mimo ciemności, chcę osłonić moją nagość. To nie pasuje do tematu, który poruszyła leżąca obok Irlandka.

Dziewczyna delikatnie zaciska palce na moim barku.

– Kim jest Klaudia? – ponawia pytanie. – To twoja żona?

– Nie, Aileen. Nie jestem żonaty. – Odwracam się do niej.

– Ale wciąż ją wołasz we śnie. Jestem zazdrosna – stwierdza, wydymając grube wargi.

– Przykro mi, Aileen. – To jedyne, co potrafię powiedzieć.

Wcale się nie zdziwię, jeśli teraz ona wygrzebie się z ciepłej pościeli i zniknie w mroku nocy. Ma prawo się na mnie gniewać, złościć, obrażać. Przecież mówiłem, że jestem bydlakiem, ponieważ sypiam z nią, a myślę o innej.

Zawsze zamykam oczy, kiedy się kochamy. Dotykam ustami ciepłej skóry Aileen, ona wplata palce w moje włosy. Już nie pamiętam, że to ona. Przywołuję widok Klaudii – nawet nie muszę się przy tym wysilać, noszę jej obraz przed oczami od chwili, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz. Wodzę wargami po rozgrzanym ciele. Centymetr po centymetrze całuję każdy fragment jej skóry.

Klaudia... – powtarzam w myślach, pilnując się, aby nie wypowiedzieć tego imienia na głos.

Ciało obok mnie wygina się przyzwalająco, jest chętne, ufne i łaknące pieśczot. Nigdy wcześniej nie miałem tak fantastycznej kochanki, ale to zapewne dlatego, że biorąc ciało Aileen, myślę o Klaudii – to jej powieki całuję, dotykam nabrzmiąłych pożądaniami piersi, zanurzam się w rozgrzanym wnętrzu.

Tak jest za każdym razem.

Rano czuję wyrzuty sumienia, że kolejny raz wykorzystałem tę małą, przysadzistą Irlandkę.

– Jesteś cudowna – mówię. – Nie zasługuję na kogoś takiego jak ty.

Czy to możliwe, że ona o tym wie i ma świadomość mojej dwulicowości?

– Opowiedz mi o niej – nalega.

Opowiadam. Bardzo nieskładnie, chaotycznie. Tyle, na ile pozwala mi bariera językowa.

Aileen słucha cierpliwie, wyjątkowo nie przerywa mi, nie wchodzi w słowo, jak to ma w zwyczaju, nie podpowiada, gdy brakuje mi wyrazów.

– I naprawdę nigdy nawet jej nie pocałowałeś? – dziwi się, gdy przestaję w końcu mówić.

Potwierdzam to ruchem głowy. Dostyc gadania na jedną noc.

Co zrobi Aileen? Nazwie mnie idiotą? Pośle do diabła? Powie, że z nami koniec, bo posuwam ją, myśląc o innej, i traktuję ją przedmiotowo, gdyż ona jest tylko ciałem?

Dziewczyna oplata mnie ramieniem i przywiera do moich pleców.

– Och, Dave... Wy, Polacy, naprawdę jesteście romantyczni. I za to cię kocham, wiesz?

Wzruszenie odbiera mi mowę. Spodziewałem się... No właśnie – czego? Ataku histerii? Krzyków? Awantury?

Moja mała Aileen. Jak żadna inna zasługuje na miłość.

Chciałbym ją pokochać, słowo daję.

Pół roku później

Klaudia

Wiem, że Mariusz mnie zdradza. Zabrakło mi determinacji, aby walczyć o miłość męża. Zresztą po co? Nie mam sił już na nic.

Zawsze łatwo się poddawałam.

Chciałabym go zostawić i odejść, ale nie mam dokąd pójść. Tutaj trzymają mnie jeszcze dwa lata kontraktu i służbowe mieszkanie – miniaturowa namiastka stabilizacji. Brak mi energii, aby kolejny raz zaczynać wszystko od nowa.

Kryję twarz w dłoniach, zanoszę się płaczem. Szlocham na głos, ponieważ nikt mnie nie usłyszy. Jestem w domu sama. On znowu dokądś poszedł.

Wróci cuchnący alkoholem i tanimi perfumami innej kobiety. Kolejny raz upokorzy mnie byle jakim, brudnym seksem. Strywializował już absolutnie wszystko. Tak bardzo go nienawidzę! Brzydę się nim i sobą.

Odnoszę wrażenie, że historia zatoczyła krąg i znowu znalazłam się w zimnym, pozbawionym miłości domu. Każdego dnia obojętnie mijam męża. Jesteśmy obcymi sobie ludźmi. Pod wieloma względami czuję się tak samo jak wtedy, gdy będąc jedenastoletnim dzieckiem, chciałam, aby moje życie dobiegło końca.

Nie mam po co żyć.

Nie chcę mówić i myśleć o tym, ile razy prosiłam, aby śmierć przyszła jak najszybciej.

Pierwszy raz chciałam umrzeć niedługo po tym, jak urodziła się Anka. Miałam jedenaście lat i samobójcze myśli. Szokujące? Nie, prawdziwe.

Już nie było *mojego* taty. Pozostał wypalony wrak człowieka – pusty, bezmyślny, skupiony sam na sobie. Posłuszny woli mojej ciotki. Bierny. Pogubiony.

Wcale się nie dziwię, że stracił radość życia. Kiedyś może spróbuje usprawiedliwić go za to, kim się stał. Bądź co bądź, on nie zasługuje na potępienie. Poświecił się chyba najbardziej i nawet nie wiem, w imię czego. Bo przecież nie miłości. Nie do tej strasznej, dwulicowej wiedźmy.

Tamtej wiosny w naszym domu pojawił się wrzeszczący intruz, który pochłaniał całą (znikomą zresztą) uwagę ciotki. Ewie musiało być znacznie trudniej niż mnie, bo do tej pory najmłodsza i najbardziej przez ciotkę „rozpieszczona” (o ile można tutaj mówić o rozpieszczaniu), została nagle zepchnięta na dalszy tor i jedyne, co słyszała, to:

– Daj mi spokój! Idź się pobawić! Nie zawracaj głowy!

Odrącona przez ciotkę, szukała oparcia we mnie – starszej siostrze. Nianczyłam ją, ile mogłam, ale to przerastało moje dziecięce siły. Sama potrzebowałam ciepła i miłości.

Pomyślałam, że powinnam uciec z domu, lecz ciemności i wyludnione zaułki budziły we mnie grozę. To w nich czały się demony, którymi straszyla nas ciotka. Lękałam się ich równie mocno jak ognia piekielnego. Nie wiedziałam, gdzie mogłabym spać ani co bym jadła. Nie miałam pieniędzy. Bałam się, że jeśli wsiądę do pociągu i pojedę dokądś na gapę, to zatrzyma mnie konduktor i przekaże dalej, w ręce *sprawiedliwości*. A ta *sprawiedliwość* miała do dyspozycji cały arsenał obelg i wyzwisk, kabel od magnetofonu oraz rzecz najgorszą – worek suszonego grochu.

Nie potrafiłam zaplanować ucieczki. Nie miałam nikogo, do kogo mogłabym się udać po pomoc, abym nie musiała wracać do ciotki i tego okropnego mieszkania, które było niczym więcej jak wystawą mebli i tapet – paradnym więzieniem, piekłem wyłożonym wełnianymi dywanami i boazerią.

Pomyślałam, że gdybym jednak uciekła, to może zabraliby mnie do domu dziecka. Przecież i tak całe życie spędziłam w nieustannym zagrożeniu, że któregoś dnia tam się znajdę. Sierociniec wisiał nam nad głowami niczym miecz Damoklesa. Groźny, czający się w pobliżu, będący widmem kary za zupełnie głupiutkie przestępstwa, jak niezjedzona zupa, rozdarte spodnie, wybita szyba, słabsza ocena w dzienniczku...

– Jak będziecie tacy dożarci – groziła ciotka – to oddam was do domu dziecka! Zobaczycie, tam wam wybiorą piórka z dupy. Ja was nauczę, wy świnie!

Oczywiście wiedziałam, jak wygląda dom dziecka, nieraz koło niego przechodziłam. Instytucja ta zajmowała piętrowy budynek niedaleko naszego osiedla. Podobał mi się duży ogród z ładnie pomalowanymi huśtawkami. Słyszałam, że panuje tam dyscyplina i porządek. Widziałam dziewczynki w moim wieku przechadzające się starannie utrzymanymi alejkami. Czasami zaczepiały mnie i zagadywały.

Pragnęłam się tam znaleźć! Przecież ciotka i tak nas nie chciała. Ona miała za cel przeprowadzkę ze wsi do miasta, zdobycie ładnego mieszkania oraz męża. Zyskała to w pokrętny sposób, i tylko my, dzieci, byliśmy dla niej balastem.

Wyobrażałam sobie, że gdy już będę dorosła, to przyjadę ją odwiedzić. Zamierzałam się z nią spotkać już po opuszczeniu domu dziecka (w którym oczywiście nigdy się nie znalazłam), aby zadać nurtujące mnie pytanie:

– Dlaczego?

W tym jednym słowie kryły się wszystkie sekrety, które dręczyły mnie

przez całe lata.

Dlaczego wyszłaś za mąż za tatę, choć wcale go nie kochałaś? Dlaczego tak bardzo go nienawidziłaś? Dlaczego nie wzięliście rozwodu? Dlaczego przyszła na świat Anka? Dlaczego wciąż na nas krzyczałaś i nas biłaś, czy nie potrafiłaś wychowywać nas w inny sposób? I wreszcie, to najważniejsze, najbardziej bolesne i piekące ze wszystkich: dlaczego nas nie kochałaś, chociaż obiecywałaś stworzyć dla nas dom pełen miłości?

Czy ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie, że dziecko wychowujące się w na pozór normalnej rodzinie wolałoby przebywać w sierocińcu? I że to nie jest żadna fanaberia ani chęć przeżycia przygody.

W domu już od dawna nikt nie zwracał na mnie uwagi. Byłam głodna. Od trzech dni nie jadłam porządnego posiłku. Oszukiwałam głód byle czym, aby tylko go nie czuć. Było mi zimno. Dygotałam wewnątrz. Każdą komórkę ciała wołałam o pomoc. Ciotka wciąż warczała, była niewyspana i zła. Karmiła Ankę butelką, ponieważ zaraz po porodzie dostała zapalenia piersi i straciła pokarm.

Ance nie odpowiadało butelkowe jedzenie. Darła się wniebogłose, bo miała kolki. A może miała już dość wiecznie odparzonej pupy, szorstkich, niedopranych pieluch z tetry, nieprzyjemnego zapachu linomagu i taniej oliwki dla niemowląt? W starych, brzydkich ubrankach, których używały dziesiątki innych dzieci przed nią, wyglądała żałośnie. Wiecznie ufajdana jedzeniem, śmierząca wymiocinami, ponieważ ciągle jej się ulewało – musiała czuć wściekłość na nieudolną matkę. Rozładowywała frustrację tak, jak potrafiła najlepiej – głośnym krzykiem i nieutulonym płaczem po nocach.

Ciotka tylko patrzyła, żeby przerzucić opiekę nad dzieckiem na kogoś innego. Wciąż mnie wołała do telepania wózkem, gdyż Kazik się do tego nie nadawał, a Ewie zawsze udawało się gdzieś umknąć. Anka miała tylko spać i jeść, byle nie zawracała głowy marudzeniem.

Miałam dość telepania wózkem, wrzasków i śmierzącego niemowlęcia.

Chciałam, jak inne dziewczynki, mieć miłych, troskliwych rodziców, sielskie dzieciństwo i więcej swobody po lekcjach.

Kiedy ciotka powiedziała, że będę miała braciszka albo siostrzyczkę, to nawet się ucieszyłam. Nie pamiętałam fazy niemowlęctwa Ewy. Myślałam, że to nowe dziecko, to będzie taki ładny, różowy bobas w ślicznych, welurowych pajacykach, a ja będę wozić dzidziusia jak lalkę – w kolorowym wózeczku, i chwalić się koleżankom.

Wózek był równie paskudny jak wszystkie rzeczy Anki. Podobnie jak

ubranka, ciotka otrzymała go od kogoś, kto także dostał go po kimś innym i zasadniczo geneza pochodzenia brudnego, obdartego wózka była nam obca.

Początkowo wcale nie myślałam o tym, aby ze sobą skończyć. Musiałam po prostu wyrwać się z mieszkania – mimo obrzydliwej pogody i głodu mruczącego w moim brzuchu. Zapragnęłam choć przez chwilę nie słyszeć wrzasków Anki.

Wciąż pamiętam przenikliwy chłód tamtego dnia. Na dworze było szaroburo, mżył deszcz. Miałam na sobie okropny beżowy płaszcz, którego nienawidziłam z całego serca, i dzierganą ręcznie opaskę na uszy w bliżej nieokreślonym kolorze. Wszystkie moje ubrania były bure, granatowe albo po prostu nijakie. W brudnym płaszczyku i z włosami posklejanymi w strączki wyglądałam jak sierota.

Ponieważ nie miałam planu ucieczki, postanowiłam pojechać w moje ulubione miejsce – nad zalew. To był ładny zakątek: nieduży zbiornik wodny z małą wyspą porośniętą wierzbami płaczącymi, starannie utrzymane alejki, barierki, schodkowe zejścia do wody, przystań dla rowerków wodnych, klub wędkarza i restauracja. Czasami, bardzo rzadko, chodziliśmy tam na spacer. Zawsze prosiliśmy, aby ciotka kupiła nam po ciastku z kremem. Oczywiście nigdy tego nie zrobiła, wszystkie cukiernie omijała szerokim łukiem. Nie chciała też zabrać nas na rowerek wodny.

Wsiadłam do tramwaju i na gapę przejechałam cztery przystanki. Chodnikami przemykali ponurzy przechodnie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, ktoś mnie potrącił i nie przeprosił, ktoś inny nadepnął na buty.

Tamtego dnia nie zobaczyłam rowerków kołyszących się na zalewie, nie było pani z preclami ani żadnych spacerowiczów. Były krople deszczu, które rozchodziły się małymi kręgami na tafli wody, asfaltowe alejki wypłukane mżawką, mokre ławeczki. Woda była mętna i błotnista, pływało w niej pełno śmieci oraz zeszłorocznych liści. Powietrze było stęchłe, wilgotne i równie zbutwiałe, jak gałęzie sterczące z zalewu.

Weszłam na betonowy pomost ogrodzony wysoką, pordezewiałą barierką. Wsparłam się o nią i utkwiłam wzrok w wodzie. Pamiętam rdzę i metaliczny zapach, który szybko wsiąkł w moje dłonie. Obserwowałam kręgi rozchodzące się po wodzie. Nie było ich dużo, ponieważ deszcz był rzadki. Wystarczający, żeby mi dokuczyć, za słaby, aby przepłoszyć w suche miejsce.

– Na złość ciotce chcę dostać zapalenia opon mózgowych – stwierdziłam.

Ona wciąż mówiła, że od chodzenia z mokrą głową dostaje się choroby.

Zresztą straszyla mnie, Ewę i Kazika chyba wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy: z piekłem i szatanami na czele, poprzez dom dziecka, a skończywszy na tym, że nauczy się palić papierosy(!), pochoruje się i, podobnie jak kilka lat wcześniej nasza mama, ona także umrze. Posuwała się do wszystkiego, byle tylko wymusić na nas posłuszeństwo. Ewa oczywiście śmiała się z niej w żywe oczy, zwłaszcza z tych papierosów, bo uważała, że to głupie pogróżki.

Chciałam ciotkę ukarać, ale zapalenie opon mózgowych to byłaby za mała zemsta za to, że o nas nie dbała, miałam wiecznie dziurawe rajstopy, donaszałam rzeczy po starszej ode mnie o pięć lat siostrze i byłam wiecznie głodna. Jej byłoby trzeba czegoś więcej! Czegoś takiego, co wstrząsnęłoby nią do głębi, aby przejrzała na oczy, uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje nam miłości i choć odrobiny ciepła.

– Dlaczego nigdy nas nie przytula? Ona nas nie kocha. Nie chciała nas, tak jak nie chciała, żeby była Anka.

Plakałam. Moje łzy mieszały się z mżącym deszczem. Byłam rozpaczliwie, boleśnie samotna. Nikt mnie nie potrzebował. Nie mogłam zwierzyć się Ewie, ponieważ od niej usłyszałabym tylko: *Nie becz, głupia!*. Nawet koleżanek miałam mało, a takiej od serca ani jednej. Byłam zawsze nieśmiała, wylękniona, wycofana. Wszelkie próby rozerwania tego sztywno krępującego mnie kokonu kończyły się totalną porażką.

Nienawidziłam samej siebie – za brzydkie ubrania i niechlujnie obcięte włosy, za brak koleżanek, przebojowości, za to, że tato się ode mnie odwrócił, a ciotka mnie nie kochała.

Nagle pojęłam bolesny wybór Dagmary. Zrozumiałam, czemu moja starsza siostra odebrała sobie życie krótko po tym, jak ciotka zaserwowała nam nowinę, że w domu będzie nowe dziecko.

Wspięłam się na barierkę do połowy jej wysokości.

– Gdybym się utopiła, to zrozumiałaby, że nas skrzywdziła. Mam dość straszenia domem dziecka. Już wolałabym się tam znaleźć, niż żeby nadal miała mnie szarpać i bić. Nie chcę, aby wyzywała mnie od wiedźm, suk i szmat. Chcę umrzeć!

Stałam wpatrzona w rozkołysaną, mętną taflę. Otaczał mnie plusk wody, czułam zapach butwiejącej roślinności. Gdzieś w oddali mknęły po szynach tramwaje.

Wtedy zabrakło mi odwagi.

Czy starczy mi jej teraz, gdy już naprawdę nie mam sił na cokolwiek?

Nie wytrzymałam. Wykrzyczałam Mariuszowi w twarz, co o nim myślę.

– Wynoś się z mojego życia, ty dziwkarzu! – dodałam na koniec, gdy, przerażony moją nagłą furią, wkładał kurtkę i buty.

Nie wrócił na noc.

Lekcje w szkole odbywały się z moim udziałem, lecz poza moją świadomością. Rozdrażniona snuję się po mieszkaniu.

To koniec – Mariusz dał wyraz temu, że nasze małżeństwo jest fikcją.

Moje serce jest rozedrgane. Wsłuchuję się we wszystkie szelesty mieszkania. Nasłuchuję kroków męża. Jeszcze łudzę się jakąś głupią nadzieją, tylko po co? Tak naprawdę sama nie wiem, czy jeszcze go chcę.

Oddałam mu wszystko, co było we mnie najlepsze. Kochałam go głupią, ślepą miłością. Wierzyłam, że on kocha mnie. Źle wybrałam trzy lata temu.

Powinłam była zakochać się w Dawidzie. Przynajmniej nie cierpiałybym z jego powodu. On wyjechał, zniknął z moich oczu. Szybko wyleczyłabym się z tęsknoty za nim. Nie cierpiałybym tak jak teraz, ponieważ Dawid nigdy nie podeptałby mojego serca. Nie upokarzałby mnie przed całą wsią jak Mariusz, szlajając się z jakimiś dziwkami, o czym usłudnie doniosło mi kilka *życzliwych* osób. Co więcej, wiem, że Dawid nigdy nie złapałby mnie w sieć fałszywej, nieistniejącej miłości.

Powinłam była, lecz *serce nie sługa, nie zna co to pany, nie da się okuć przemocą w kajdany*^[1]. Moje serce drgało delikatnie na jego widok, wysyłałam mu sygnały, które trafiały w próżnię. On mnie nie chciał, a później zjawił się Mariusz i namącił mi w głowie. Naiwnie wierzyłam, że kocham go z wzajemnością. Rozpaczliwie chciałam poczuć jakąś przynależność – nieważne za jaką cenę. Byle nie być zawieszoną w próżni i samotną.

Czasami zastanawiam się, po co Mariusz się ze mną ożenił? Co tak naprawdę nim powodowało? On nigdy się ze mną nie liczył. Nawet w noc naszego wesela przepadł gdzieś na godzinę. Pytałam go później, gdzie był, lecz on roześmiał się i powiedział:

– Nigdzie. Opijałem z kumplami moje kawalerstwo.

Czy już wtedy mnie zdradzał?

Starłam się wierzyć, że jest szczerzy, ale już wtedy w moim umyśle zostało zasiane ziarno nieufności i być może z tego powodu nasza noc poślubna była

nieudana. Kochaliśmy się bez uniesień i entuzjazmu. Przekonałam się wówczas, dlaczego seks nazywany jest małżeńskim obowiązkiem.

Już wtedy przestało mi to sprawiać przyjemność.

Coraz częściej, zamiast czynnie uczestniczyć w poczynaniach męża, spokojnie leżę i liczę w myślach do stu. Unikam robienia tego w rytm jego ruchów. Skupiam się na samym fakcie odliczania.

Miłość fizyczna wygląda pięknie tylko na filmach i w książkach. W rzeczywistości jest czynnością fizjologiczną: mniej lub bardziej rytmicznymi ruchami i posapywaniem, zapachem rozgrzanego ciała. A przecież kiedyś było inaczej! Może nie celebrowaliśmy szczególnie naszej intymnej bliskości, ale nie była też taka... prymitywna. To było jednak dawno temu. Wtedy, gdy seks sprawiał mi namiastkę przyjemności.

Dawid

Postanowiłem, że ożenię się z Aileen. To cudowna dziewczyna, na każdym kroku okazuje mi ciepło i zaangażowanie. Wierzę, że mogę ją pokochać, a przynajmniej stworzyć dla niej dom.

Mama płakała w telefon, gdy powiedziałem jej o mojej decyzji.

– Chłopaku, chłopaku – łkała. – To ty już tutaj nie wrócisz?

– Tak będzie lepiej, mamo.

– Lepiej? Dla kogo? Myślałam, że wyhuśtam i wybawię twoje dzieci. Zostałam sama, nawet nie zobaczę moich wnuków!

– Nie przesadzaj, mamo, masz dość wnuków na miejscu. Przyślę ci bilety lotnicze, przyjedziesz na nasz ślub. Będziesz mogła tu zostać tak długo, jak zechcesz. Zobaczysz, spodoba ci się. A może z nami zamieszkasz?

– Głupi jesteś. Starych drzew się nie przesadza. Mam siedemdziesiąt lat, jak ty sobie to wyobrażasz? I jak miałabym rozmawiać z twoją żoną, skoro nie znam jej języka? A ty? Jak ty się z nią dogadujesz?

– Nauczyłem się jej języka tyle, ile było trzeba. Dogadujemy się ze sobą.

– Czy ona cię kocha?

– Kocha.

– A czy ty ją kochasz?

Milczę. Na to pytanie nie ma odpowiedzi twierdzącej.

Nie ma powodu, dla którego miałbym wrócić do Polski. Kocham matkę, lecz nawet jej prośby niczego nie zmieniają. Tutaj, w tym pięknym kraju, odnalazłem równowagę duchową i spokój. Mam perspektywę normalnego życia.

Jest też szansa, że kiedyś zdołam wyrwać z serca Klaudię.

Klaudia

Przez dwa dni nie miałam żadnych wieści o Mariuszu. Telefon milczał głucho. Nie dzwoniłam do męża, nie pisałam SMS-ów. Dosyć upokorzeń! Wybrał inne życie. Przekreślił nasze małżeństwo.

Trzeba znowu zacząć wszystko od nowa, poukładać świat, podnieść głowę i stawić czoła rzeczywistości.

Nie jest łatwo wstawać rano do pracy i z uśmiechem na ustach wchodzić do klasy. W Jodłówkach nie ma tajemnic przed ludźmi. Informacja o tym, że Mariusz nie sypia w naszym mieszkaniu, na pewno obiegła już całą okolicę. Prawdopodobnie jestem jedyną osobą, która nie ma pojęcia, gdzie on aktualnie przebywa. Mógł wrócić do matki lub pójść do dziwki, z którą mnie zdradzał. Stawiam na to drugie, niestety.

Byłoby mi lżej, gdybym miała komu zwierzyć się z rozterek. Wstydzę się mówić o tym z Lidzią, kontakt mailowy z Ewą jest marny. Siostra nie pisała do mnie od ładnych paru tygodni. Żadna nowość – pod tym względem jesteśmy okropne i bardzo do siebie podobne.

Sprawdzam wypracowania. W tym tygodniu wrzuciłam na luz, zadałam uczniom wolny temat – mikołajkowy. Ach, ten dziecięcy świat marzeń! Nie, nie zastanawiam się teraz nad moimi wspomnieniami mikołajkowymi. Mam dość innych zmartwień.

Gdybym dzisiaj mogła prosić o coś świętego Mikołaja, to byłyby to: wiara, że będzie lepiej, nadzieja, że Mariusz się zmieni, i miłość, bez której nic nie ma sensu.

Pochylam się nad kolejnym zeszytem – sprawdzam je machinalnie, jeden po drugim.

Nagle słyszę chrobot klucza w zamku. Moje serce rozpoczyna gwałtowną palpację. Wiem, że to Mariusz. Siłą woli zmuszam się do pozostania w miejscu. On na pewno przyjechał po swoje rzeczy. Bardzo dobrze, niech zabierze wszystko i zniknie z mojego życia! Dam sobie radę sama. Pal licha, że wtopiłam tyle pieniędzy w budowę domu. Od początku byłam sceptycznie nastawiona do tej wycudowanej willi.

Mąż zatrzymuje się w progu. Wiem to, bo chociaż jestem pochylona nad zeszytami, moje uszy chciwie łowią każdy szelest. Boję się chwili, która ma zaraz nastąpić: słów pożegnania, które padną, albo – co gorsza –

bezdusznego milczenia. Oddałam Mariuszowi dwa i pół roku życia. Nie jest łatwo przyznać się do porażki. Czuję gorycz podpływającą do zaciśniętego gardła.

Nie będę płakać, nie będę!

– Klaudia – mówi zachrypniętym głosem.

Podnoszę wzrok. Nie wstaję, choć moje serce rozpaczliwie wyrywa się do męża. Nie wierzę własnym oczom – Mariusz trzyma w dłoniach bukiet frezji. Czyżby pojednanie? Byłam nastawiona na kolejną awanturę, podniesiony głos i trzaskanie drzwi, a nie na kwiaty i skrucę.

Wciąż targana gniewem, to znów chęcią rzucenia mu się na szyję, tkwię w fotelu obrotowym przy biurku, niezdolna do żadnego działania. Powinnam wyrzucić go za drzwi z krzykiem, że mam już dosyć upokorzeń i brzydzę się nim po tym, co mi zrobił.

Mariusz, pełen obaw, podchodzi do mnie. Boi się, że znowu zacznę na niego wrzeszczeć. Klęka przede mną i podaje mi kwiaty.

– Jestem skończonym głupcem. Nie potrafię bez ciebie żyć. Kocham cię. Wybacz mi, że zawiodłem. No, powiedz coś – prosi, gdyż wciąż milczę.

Przyglądam mu się uważnie. Czy w jego niebieskich oczach jest szczerłość, której tak bardzo nam trzeba? Jestem straszną idiotką! Naiwnie wierzę w jego skrucę. Tak rozpaczliwie boję się samotności i czających się w niej demonów, że gotowa jestem wybaczyć mu zdradę.

– Powiedz coś, Klaudia... Króliczku... Kochanie... Ja już nigdy, obiecuję, przysięgam, Klaudia...

– Piłeś? – pytam podejrzliwie, chociaż nie czuję od niego alkoholu.

– Nie. Byłem u mamy. Musiałem wszystko przemyśleć. Wiem, że byłem wredny. Ja się zmienię, obiecuję!

To jego inicjatywa czy matka zmyła mu głowę? Nigdy nie byłam w zażyłych stosunkach z panią Kubasową. Zawsze traktowałyśmy się z uprzejmym dystansem. Nawet zwracam się do niej bezosobowo, ponieważ słowo „mama” nie może mi przejść przez gardło, co zresztą także było powodem niejednej kłótni z mężem.

On wygląda tak bezradnie w tej chwili: duży, niesforny chłopiec, który wie, że bardzo nabroił i należy mu się dotkliwa kara.

Targają mną sprzeczne uczucia.

Skąd mam wiedzieć, czy znów mnie nie zdradzi? Czy mogę mu zaufać po tym wszystkim?

Jeśli wybaczę Mariuszowi, to będzie oznaczało, że znowu będzie na mnie

warczał, rozładowywał swoje frustracje, bo on inaczej nie potrafi. Będę musiała godzić się na porozrzucane byle gdzie skarpetki i walczyć z jego niechlujstwem. Będę stawać na głowie, żeby go zmienić, nauczyć porządku. Będziemy kłócić się o głupoty i o pieniądze.

Czy mam na to siłę? Czy kocham go wystarczająco mocno?

Mój mąż – najprzystojniejszy mężczyzna w Jodłówkach. Nic dziwnego, że dziewczyny wciąż się za nim uganiają.

Odkładam na biurko czerwony długopis. Wstaję, nie zważając na to, że z moich kolan spadają frezje. Kładę dłoń na policzku Mariusza. Nie potrafię się na niego gniewać. Jestem idiotką, której na sam jego widok wymiękają kolana.

Muszę wierzyć, że on w końcu zmądrzeje i zacznie dochowywać wierności.

Nasze usta łączy pocałunek.

Łądujemy w łóżku. Godzimy się namiętnie, gorąco, bez słów. Zdieramy z siebie ubrania, byle jak rozrzucając je wokół siebie. Nie potrzebujemy gry wstępnej. Mariusz szybko odnajduje do mnie drogę. Zanurza się w moim gorącym, wilgotnym wnętrzu. Jego wargi parzą moją szyję. Już dawno seks z nim nie był równie ekscytujący. Wyrzucam z pamięci tamtą dziewczynę. Ona się nie liczy, skoro wrócił. Oddaję mu się z pasją, niech wie, że jestem najlepsza i żadna nie da mu z siebie tyle co ja.

Dawid

Aileen cieszy się planowanym małżeństwem. Jest szczęśliwa, a mnie wciąż to dziwi – przecież dla większości jej rodaków jestem tylko nic nieznaczącym robotnikiem, Polaczkiem z podejrzanym wyglądem. Biorąc ze mną ślub, ryzykuje, że narazi się na cięte komentarze ze strony ziomków. Do tej pory nie okazywano mi wrogości, ale nikt nie lubi obcych. I nawet jeśli teraz popijam razem z jej rodakami piwo w miejscowym pubie, to skąd mam wiedzieć, czy jutro ktoś nie obije mi gęby w ciemnej ulicy? Nie do końca rozumiem mowę tych ludzi. Skąd mam wiedzieć, czy pod przyjaznymi uśmiechami nie kryje się obłuda?

Chciałbym cieszyć się tak samo jak ona, lecz nie potrafię. Czym bliżej do dnia ślubu, tym mocniej ciągnie mnie z powrotem do kraju. Chciałbym jeszcze jeden raz zobaczyć Klaudię. Pożegnać ją bez słów, a później po prostu zapomnieć.

Mama wciąż płacze, gdy wspominam o planowanym małżeństwie.

– Nie takiego życia chciałam dla ciebie, synku – mówi przez telefon.

Dzieli nas ponad dwa tysiące kilometrów. Nie widzę jej, lecz wiem, że po twarzy staruszki płyną łzy. Zaciskam dłoń na słuchawce, aż bieleją mi knykcie. Wyrzucam sobie, że sprawiłem jej zawód. Miałem się o nią troszczyć, zapewnić spokojną starość – zawałem na całej linii. A ona nawet teraz nie myśli o sobie, lecz o moim szczęściu.

Szczęściu? Też coś! Straciłem szansę na szczęście w dniu, gdy Klaudia poznała Mariusza. A może nawet wcześniej? Wtedy, gdy jako piętnastolatek zachorowałem na wyjątkowo ciężką, powikłaną ospę. To cud, że po chorobie zostały mi tylko blizny, mogłem się z tego nie wykaraskać, przeleżałem w szpitalu długie tygodnie, faszerywany różnymi środkami. Do dziś pamiętam, jak koszmarnie mnie wszystko swędziało. Drapałem się do krwi, do mięsa, w jednym miejscu niemalże do kości. Czasami lekarze kazali wiązać mi ręce, ale wyłem wówczas jak potępieniec, nie mogli ze mną wytrzymać, więc rozwiązywali mnie, a ja znowu rozdrapywałem krosty.

– Wiem, mamó, wiem... Przepraszam – mówię skruszony.

– Za co mnie przepraszasz? Za to, że chcę dla ciebie jak najlepiej? Gdybyś ją chociaż kochał... Albo gdyby ona była Polką! Na co ci przyszło? Żenić się z obcą! Czy ona chociaż wierzy w naszego Boga? Czy chodzi do kościoła?

– Tak, przecież ci mówiłem, że bierzemy katolicki ślub. Jak poznasz Aileen, to pewno ją polubisz. Jest miła i radosna. Przylecisz, mamó?

– No, nie wiem.

– Mamó, to już za dwa tygodnie. Nie zostawiaj mnie samego w takiej chwili. Już i tak mi przykro, że Paweł, Mirek i Janek nie przylecą – wspominam braci.

Chciałem posłać pieniądze na bilety lotnicze dla nich, lecz oni i tak nie zostawiliby swoich żon i dzieci, a całej gromady nie sposób zaprosić. Gdzie ja bym ich wszystkich umieścił? W wynajętych pokojach obscurnego pubu? W moim klaustrofobicznym mieszkanku na tyłach warsztatu, w którym pracuję? Bo u rodziców Aileen to już zupełnie nie wypada.

Noc taka niespokojna, sztormowa.

Nie mogę zasnąć, duszę się. Po rozmowie z mamą jestem doszczętnie rozbity. Obiecała mi, że przyleci, lecz wiem, ile ją ta wyprawa kosztuje. Już samo to, że nigdy nie leciała samolotem! Boi się, moje biedne matczysko. Gdyby chociaż któryś z braci z nią leciał, byłoby jej raźniej. Na domiar złego

ona nadal nie pochwała tego, co robię. Ciężko mi z tą myślą!

Nie tylko to jest powodem bezsenności. Za kilka dni cały mój świat wywróci się do góry nogami. Już nie będę sam. Nie to, żebym bał się odpowiedzialności – nie żeniłbym się, gdyby tak było.

Boję się moich uczuć, tego, że są niezmiennie.

Nie ma sensu szamotać się w skotłowanej pościeli. Tarzam się jak potępieniec, a Aileen śpi spokojnie i słodko – jeszcze ją zbudzę. Wiem, że rano musi wstać wcześniej do pracy. Wkładam ciepłe ubranie, stąпам po pokoju na palcach, po ciemku. Staram się zachowywać jak najciszej. Zamieram w bezruchu, gdy skrzypi zdradziecko podłoga.

Wymykam się na klif. Zimny wiatr szarpie włosy i chlaszcze policzki. Siadam w moim ulubionym zakamarku, częściowo ukryty przed podmuchami za załomem skalnym.

Często przychodzę w to zapomniane przez Boga miejsce. Nieraz, po pracy, godzinami patrzę w odległy horyzont, kołyszącą się powierzchnię oceanu, i czekam, czekam, czekam... Sam nie wiem, na co.

Niedaleko, w mrocznej głębi, kipi i kotłuje się Atlantyk. Wiatr przynosi słoną rosę, która osiada na moich ustach. Nie przeszkadza mi przenikliwy ziąb. Jestem nieczuły na wszelkie bodźce. Nawet ciepła, słodka Aileen o piegowatym, zadartym nosku nie potrafi rozgrzać mojej zimnej duszy.

Aileen... Aileen... Aileen...

Żałuję, że nie poznałem jej wcześniej. Ma dobre serce i mnóstwo radości w zielonych oczach. Nie patrzę na nią przez pryzmat urody. Jest niebrzydka, chociaż nieco za niska i z zadatkami na tęgą kobietę. Ma dobry charakter, ale czy upływ czasu i moja gorycz nie zatrą tej niewinnej radości? Zawsze byłem ponurakiem, teraz to się jeszcze pogłębia.

Za tydzień będzie moją żoną. Na dobre i na złe, w szczęściu i niedoli, w zdrowiu i chorobie. Ogarniają mnie coraz większe wątpliwości. Mam wrażenie, że ją krzywdzę, choć ona wygląda na szczęśliwą.

Zamykam oczy, lecz gdy to robię, nie pojawia się przed nimi twarz narzeczonej. Widzę ciemne włosy Klaudii, jej nadgarstki tak kruche, że przywodzą na myśl porcelanowe cacko, i brązowe źrenice, w których często gości zaduma.

Fale z hukiem rozbijają się o przybrzeżne skały. Nikt nie może usłyszeć, ani tym bardziej zrozumieć, jak krzyczę w ciemną, kotłującą się pustkę:

– Klaudia! Klaudia! Tak bardzo cię kocham!

Pragnienie ujrzenia jej jest tak silne, że gdy znienacka mój kark obejmuje

czyjeś ramię, ulegam iluzji, że to ona przyszła do mnie wśród huku fal. Nasze wargi przywierają do siebie – jej usta mają słony smak morskiej wody i łez. Całuję ją jak nieprzytomny szaleniec, w zamroczeniu, z zamkniętymi oczami. Raz po raz szeptem wymawiam jej imię, powtarzam, jak bardzo ją kocham.

– Jedź do niej, Dave! – Słyszę nagle głos Aileen. – Myślisz, że nie wiem, co znaczą słowa *kocham* cze? Sprawdziłam, jak w twoim języku brzmi wyznanie miłości. Jak mogłyby zabrzmieć słowa, których nigdy mi nie powiesz. Wracaj tam, Dave – mówi przez łyzy.

Aileen

Musiałam z niego zrezygnować, choć taka miłość zdarza się raz w życiu. Nie bylibyśmy razem szczęśliwi. On kocha tamtą dziewczynę z dalekiego kraju. Tęsknię za nim, lecz to minie.

Nawet nie potrafię czuć do niego żalu. To ja za nim goniłam i chciałam, żeby się oświadczył. Skradł mi serce, bo jest inny od chłopców z mojej wsi: zadumany, milczący, tajemniczy. Polacy są tacy romantyczni!

Czasami całował mnie w rękę. Powoli, bez pośpiechu, każdy palec osobno, samymi wargami, bez ssania, bez użycia języka. To było bardziej podniecające niż najbardziej ogniste pieszczoty. Zresztą on nie lubił ostrego seksu, przy nim nigdy nie miałam szansy poczuć się jak dziwka. Dla niego byłam damą, a nie zwykłą, wiejską puszczałką, jak określają mnie chłopcy z okolicy. Po każdej wspólnie spędzonej nocy zachowywał się tak, jakbym zrobiła dla niego coś nadzwyczajnego: był czuły, delikatny i nigdy nie zadał mi tego idiotycznego pytania: *Jak było?*

Zawsze bardziej dbał o moją niż własną przyjemność. Przez minione dwa lata czułam się przy nim jak bogini. Wiem, że będąc ze mną, myślał o innej i tak naprawdę pieścił tamtą, nie mnie. A jednak było cudownie.

Nigdy go nie zapomnę.

Tamta Polka – Klaudia – ona nawet nie wie, co straciła, wychodząc za mąż za innego.

Upiję się tej nocy, sama.

Kiedyś o nim zapomnę.

Gdzieś w chmurach, na pokładzie samolotu.

Dawid

Mam miejsce przy oknie. Unoszę się w przestworzach, wysoko nad ziemią. Podo mną skłębione obłoki. Nie widać nic więcej, tylko pierzaste, białe chmury.

Aileen bardzo mnie zaskoczyła – żadnych scen zazdrości, awantur. Po prostu kazała mi wracać do Polski. Podjęła za mnie decyzję.

– Jedź – powiedziała. – Skoro nie potrafisz o niej zapomnieć na odległość, nic tu po tobie. Tak samo będziesz tęsknił tam, jak i tutaj. Twoja matka się ucieszy, a ze mną i tak nie byłbyś szczęśliwy. Ludzie czasem się rozstają. Kto wie, może twoja Klaudia też weźmie rozwód?

Nigdy nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Czy to nie głupie wracać tam z nadzieją, że jej małżeństwo się rozpadnie? Sam w to nie wierzę. W Jodłówkach rozwody nie są oczywistą sprawą. Mimo wszystko jesteśmy trochę zacofani pod tym względem. Ludzie żyją całe lata nie ze sobą, lecz obok siebie, ponieważ trzyma ich w kupie majątek, dzieci, wspólne zobowiązania, przyzwyczajenie.

Mama nigdy nie wspomina przez telefon o Klaudii. Myślę, że gdyby coś było nie tak, to staruszka nie omieszkaby mi wspomnieć. Ona wie, że gdybym usłyszał, że Klaudii dzieje się choćby najmniejsza krzywda, to rzuciłbym wszystko w cholerę, aby być przy niej i ją wspierać.

Nigdy nic takiego nie nastąpiło.

Mam jak pies czekać na resztki z pańskiego stołu?

Argument Aileen nie przemówił do mnie, a jednak siedzę teraz na pokładzie samolotu, pełen niespokojnych myśli.

Wiem, że popełniam błąd, ale jeśli ktoś będzie cierpieł z tego powodu – to wyłącznie ja. Jestem jak nocny motyl, który zawsze podąża w stronę złudnego blasku świecy, tylko po to, aby spalić sobie skrzydła. Wiem, że powrót do domu mnie poparzy, będzie mi ciężko, gdy będę patrzył na Klaudię – bliską w myślach, daleką w rzeczywistości.

Samolot kołuje nad Balicami. Widzę płytę lotniska.

Czuję gwałtowne migotanie w sercu.

[1] Fragment utworu *Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale*, autor: Jan Nepomucen Kamiński

Rozdział 5

Pajęcza sieć

Klaudia

Dzisiaj Lidka przyniosła do szkoły plotkę, że wrócił Dawid.

– Coś takiego – mówi z ożywieniem. – Podobno zamierzał brać ślub z jakąś Irlandką. Pani Czarnotowa już spakowała walizki i miała bilet lotniczy do Dublina. Omal nie rozminęli się w drodze. Coś musiało się stać, że tak nagle wrócił! To niemalże jak ucieczka sprzed ołtarza!

– Pewnie ta cała Irlandka przejrzała na oczy i zobaczyła jego szpetną gębę – pokpiwa starszawa nauczycielka przyrody.

– Pani Jadziu! – oburza się Lidka. – Jak pani może?! To nie jego wina, że tak wygląda. A zresztą, to artysta... – stwierdza rozmarzonym głosem. – Takiemu można wybaczyć wiele niedoskonałości.

– Jak taki z niego artysta – mówi z przekąsem Jadwiga – to niech sobie wystruga maskę, żeby ludzi nie straszył.

Nie spodziewałabym się nietolerancji i jadu po tej kobiecie. Nauczycielka, inteligentna, wykształcona – skąd w niej tyle cynizmu?

Patrzę pytająco na Lidkę, która za plecami pokazuje Jadwidze język, wykrzywiając się przy tym niemiłosiernie, co wzbudza ogromny aplauz męskiej części szkolnego personelu. W pokoju nauczycielskim rozgorzałyby zapewne ostra dyskusja, bo już i inni nauczyciele zaczęli wygłaszać komentarze, lecz dzwonek wzywający na lekcje kładzie kres dywagacjom.

Zaczynam zajęcia z szóstą klasą.

– Proszę pani, a mój wujek wrócił wczoraj z Irlandii – donosi Piotrek Czarnota.

– Bardzo się cieszę, że nasz artysta jest znowu z nami – odpowiadam

i zaganiam uczniów do ławek. – Siadać szybciotko na miejsca. Wyciągamy podręczniki. No już, już! Koniec rozmów!

Uciszam klasę i rozpoczynam zajęcia.

Dawid wrócił. Och, szkoda, że nie będziemy mogli jak za dawnych czasów wyjść razem na spacer po łąkach. Teraz nie wypada. Jestem mężatką, miejscowi zaraz dorobiliby do naszej przyjaźni jakąś nieprzyzwoitą śpiewkę. Nie chcę być przedmiotem plotek. Wiem, jak okrutni potrafią być ludzie.

Pani Jadwiga często pokpiwa, że jak Lidka będzie trzymać cnotę dla Czarnoty, to na pewno jej zgnije. Ciekawa jestem, dlaczego nauczycielka przyrody jest tak jadowita w stosunku do niego. Czym jej podpadł? Przecież niemożliwe, aby to była nieodwzajemniona miłość, ponieważ pani Jadzia jest w wieku niemalże przedemerytalnym i, o ile dobrze kojarzę, kiedyś musiała uczyć go geografii. Zapytam później o to Lidkę – przypuszczam, że będzie wiedzieć.

Lidka nie jest szczególnie ochocza w wyjawieniu powodów, dla których Szymczykowa nienawidzi Dawida. Tym bardziej budzi moje zainteresowanie.

– Wiesz, że Jadźka ma syna? – zadaje mi po chwili pytanie.

– Coś mi się obilo o uszy – mówię, zastanawiając się, jaki to ma związek ze sprawą Czarnoty. – On tu chyba nie mieszka.

– Ano nie. Wyprowadził się krótko po tym, jak mu Dawid obił ryja.

– Że co? – pytam niedorzecznie. Nie może mi się pomieścić w głowie, że on pozwolił sobie na jakiś chuligański wybryk.

– Obił. Mu. Ryja – powtarza dosadnie Lidka.

– A za co? – dociekam.

Zapada cisza. Lidzia marszczy czoło. Widzę, że gnębi ją jakieś nieprzyjemne wspomnienie, które wolałaby oddalić. I chociaż pali mnie chęć poznania prawdy, nie naciskam na nią, każdy ma prawo do sekretów. Po chwili milczenia pada odpowiedź:

– Za to, że tamten skurczybyk chciał mnie zgwałcić.

– O mój Boże! – wrywa mi się okrzyk.

Milczę, nie zadaję więcej pytań, to zbyt bolesne dla mojej przyjaciółki, lecz ona najwyraźniej pokonała wewnętrzny opór i czuje potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego.

– To było z dziesięć lat temu. Byliśmy smarkaczami, bo czym jest osiemnaście lat? Niczym. Robert był w moim wieku, w liceum byliśmy parą,

ale nie sypialiśmy ze sobą. On chciał, mnie się nie spieszyło, wołałam poczekać. Nie zamierzałam robić tego byle jak: w czasie dyskoteki, w cuchnącej ubikacji. Marzyłam o świecach, kwiatach i pachnącej, czystej pościeli. Wiesz, jak jest w tym wieku: nie było sposobności i wolnej chaty. Robertowi znudziło się czekanie. Pewnej nocy wracaliśmy z zabawy. On był wypity, nie na tyle jednak, aby mnie nie nagabywać. Próbowałam go zbyć, lecz stał się agresywny i nachalny. Byliśmy sami, wieś już spała. Weszliśmy na Jaworzynkę, wiesz, tę ścieżkę na skróty, przez zagajnik, i wtedy... rzucił się na mnie! Zaczął ze mnie zdzierać ubranie. Boże! To było straszne, byłam przerażona! Robert cuchnął alkoholem, był brutalny i niecierpliwy. Krzyczałam, wołałam o pomoc. Nie wiem, skąd wziął się tam Dawid. Po prostu szarpnął nagle Roberta za kołnierz. Wrzeszczeli na siebie i tłukli się bez opamiętania. Oczywiście Dawid, jako trzeźwy, miał miażdżącą przewagę nad tym draniem. Przeraziłam się, że w końcu go zabije, spuścił mu wtedy straszny łomot. Nie chciałam, żeby poszedł siedzieć za takiego bydlaka. Krzyczałam, płakałam. Zaczęli przybiegać zaspani ludzie. Ktoś zadzwonił po policję. Dawid dostał dwa lata w zawieszeniu. Na szczęście w sądzie przemilczeli powód bójki, a ja nie wniosłam oskarżenia przeciw Robertowi. Bałam się, że mnie ludzie napiętnują i cała wieś będzie mnie wytykać palcami. Wszyscy wiedzieli, że Robert to mój chłopak, no i przecież poszłam z nim przez ten zagajnik, w środku nocy.

Przytulam Lidzię. Głaszczę jej długie, jasne włosy. Biedactwo drży w moich objęciach. Nawet teraz, po latach, to wspomnienie wciąż ją boli. Już się nie dziwię, że tak sobie wypatruje oczy za Dawidem – to jej bohater!

Swoją drogą, nie spodziewałam się, że mój przyjaciel jest takim zabijaką.

– Nie zgadniesz, z kim rozmawiałem przez telefon! Dawid wpadnie dzisiaj na kawę – oznajmia Mariusz po powrocie z pracy.

– Co za niespodzianka! – mówię.

Nie chcę psuć Mariuszowi satysfakcji z przyniesionej do domu nowiny, widzę, że cieszy się z powrotu przyjaciela. Od czasu naszej ostatniej sprzeczki bardzo złagodniał, nie jest taki jadowity jak niegdyś, niech więc ma tę swoją drobną przyjemność, że jako pierwszy przekazał mi wiadomości.

– Będzie musiał się wytłumaczyć, czemu nawiał trzy tygodnie przed naszym weselem. O ile się nie mylę, to na dniach miał się żenić. Co on ma z tymi ślubami, że tak ucieka, najpierw z naszego, potem z własnego? Czyżby ta Irlandka kopnęła go w tyłek? – pokpiwa, niczym obleśne echo

Jadwigi.

– Skąd założenie, że to ona go zostawiła? – drażni mnie jego stosunek do przyjaciela. – Może to on się rozmyślił?

– Kobieto! Z taką gębą to naprawdę szczęście od Boga, żeby się ożenić. To musiała być jakaś straszna desperatka, skoro go zechciała. Chociaż, może nie było jeszcze tak dramatycznie, jeżeli zmieniła zdanie. Widać znalazła innego frajera. Na cholerę jej jakiś tam Polaczek?

Nie podoba mi się, gdy Mariusz tak lekceważąco mówi o Dawidzie. Znam Czarnotę dobrze, przynajmniej tak mi się wydaje, i wiem, że w jego przypadku wygląd nie ma najmniejszego znaczenia. Liczy się charakter. Jestem przekonana, że do ślubu nie doszło z innych powodów. I prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się z jakich, ponieważ Dawid jest bardzo taktowny i dyskretny, czego niestety nie mogę powiedzieć o Mariuszu oraz większości znanych mi mieszkańców Jodłówek.

Kolejny raz, z bólem serca, uświadamiam sobie, że mój ukochany mężczyzna to zwyczajny burak.

Dawid

Za parę minut zobaczę ją znowu.

Minęło niemalże dwa i pół roku. Zastanawiam się, jak zareaguję na jej widok. Czy takim samym, przyspieszonym biciem serca jak niegdyś? A może będzie inaczej, spokojniej?

Wróciłem wczoraj wieczorem. Mama i bracia zgotowali mi ciepłe powitanie. Boże! Jak ja za nimi tęskniłem! Nie myślałem o tym, bo wszystko inne zostało przyćmione przez myśli o Klaudii. A jednak widok ich kochanych twarzy bardzo mnie uradował.

Głupie – stary chłop, włosy mi siwieją, a tak się wzruszam na widok rodziny.

Przez resztę wieczoru obchodziłem gospodarstwo w nieodłącznej asyście matki.

– Chłopaku, chłopaku! Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaka jestem szczęśliwa, żeś wrócił.

Po wyjaśnieniu kwestii mojego niedosłego małżeństwa, szybko przeszła nad nim do porządku dziennego. Nie wspomniałem, jaki był rzeczywisty powód rozstania – bąknąłem coś o różnicy kulturowej i tęsknocie za krajem – mamie to wystarczyło, nie drażyła tematu. Widać, spośród wszystkich kobiet, z którymi się spotykałem, Aileen miała u niej najmniejsze notowania. Mama

od lat chce mnie ożenić, jednakże pomysł ślubu z dziewczyną z Irlandii najwyraźniej nie przypadł jej do gustu.

Staruszka wciąż drecze za mną i ściska mnie, powtarzając, jak bardzo cieszy się z mojego powrotu. Spoglądam na nią kątem oka. Jest drobniutka, wysuszona przez czas i krucha. Jak mogłem być takim egoistą i wyjechać? Zostawiłem ją samą z całym obejściem, ze wszystkimi zmartwieniami, w pustym domu, zdaną jedynie na doraźną pomoc ze strony moich braci. A przecież starych drzew się nie przesadza, ona tak często mi to powtarzała! Byłem głupi, myśląc, że mama pójdzie mieszkać do któregoś z nich.

Dzisiaj również snuję się po zagrodzie. Sporo czasu spędzam w warsztacie. Jeszcze nie chce mi się wychodzić na wieś, pokazywać ludziom, kłuć ich w oczy moim powrotem. Na pewno będą sobie na mnie ostrzyć języki, plotkować o tym, że narzeczona zostawiła mnie przed ołtarzem. Będą wymyślać niestworzone historyjki o dziewczynie, której nikt nigdy nie zobaczy na własne oczy.

Nikt nie dowie się, że Aileen zerwała ze mną w imię miłości, ponieważ nie mogła patrzeć, jak się gryzę.

Nie zapomnę o tej małej, piegowatej Irlandce. Szkoda, że nie potrafiłem otworzyć się na jej uczucie.

Dzwoniłem do byłego szefa, aby wybadać, jak się sprawy mają. Wprawdzie przyjął już kogoś na moje miejsce, ale obiecał, że jeżeli zechcę wrócić, to i dla mnie wystarczy zajęcia. Jeszcze nie wiem, co zrobię. Może pójdę pracować do niego, a może otworzę w końcu własny warsztat, taki z prawdziwego zdarzenia? Mam dosyć pieniędzy, żeby ruszyć z przedsięwzięciem, nie muszę zaciągać kredytów, znam się na robocie. Na początek pewnie dłużyłbym sam, ewentualnie wziąłbym kogoś do pomocy na fuchę. A potem, kto wie? Czas pokaże, co będzie. Nie muszę się spieszyć z żadnymi decyzjami.

Odkładam telefon do Mariusza tak długo, że ostatecznie to on pierwszy do mnie dzwoni.

– Żyjesz jeszcze, stary? Ładnie tak wystawiać kumpla na chwilę przed ślubem, a potem wracać ukradkiem i nie dać znaku życia? Dobrze, że Czesiek Bugaj do mnie przekreślił, bo nawet nie wiedziałbym, że jesteś.

Mogłem się domyślić – poczta pantoflowa. Bugajowie mieszkają kilka zagród dalej, po wschodniej stronie mojego domu. Ich uwadze nie mógł ujść

mój powrót.

– Cześć. Właśnie miałem do ciebie dzwonić – odpowiadam.

– Taa... jasne! – pokpiwa Mariusz. – Zapomniałeś o starym kumplu? Forsa uderzyła do łepetyny? Pogardza się biednymi przyjaciółmi?

Gadamy chwilę w ten głupkowaty sposób, w końcu Mariusz rzuca:

– A może wpadniesz wieczorem na kawę i coś mocniejszego? Klaudia na pewno się ucieszy.

Przyjmuję zaproszenie. Wszak chciałem się z nimi spotkać. Winien im jestem przeprosiny za to, że wyjechałem bez pożegnania.

To było parę godzin temu. Teraz siedzę w warsztacie i strugam. Bardzo mało rzeźbiłem przez ostatnie dwa lata. Brakowało mi czasu i chęci. Kilka nielicznych figurek zrobionych w Irlandii oddałem Aileen. Mam nadzieję, że po moim wylocie nie spaliła ich w piecu.

Jestem draniem.

Mieszkaliśmy razem, zanim tutaj wróciłem. Jej suknia ślubna, zapakowana w foliowy pokrowiec, wisiała na drzwiach szafy. W pubie za rogiem przygotowywano dla nas przyjęcie weselne – nieduże, zaledwie dla garstki gości.

Aileen na pewno płakała, gdy samolot wzbijał się w przestworza. Wiem o tym. Nalegała, żeby odwieźć mnie na lotnisko. W hali odlotów pocałowała mnie ostatni raz, bardzo długo – smakowała wtedy łzami.

– Nie zapomnę o tobie, Dave.

Pogłaskałem jej rude loki.

– Ja też cię nie zapomnę, Aileen. Jesteś najlepszym, co spotkało mnie w ostatnich latach – przyznałem szczerze.

– A jednak nie byłem na tyle dobra, aby zatrzymać cię tu na zawsze.

Jestem rozdarty. Jutro odbyłby się nasz ślub.

Zastanawiam się jeszcze, jak by to było, i myślę, że popełnilibyśmy błąd. Na jak długo mogłoby nam wystarczyć jej miłości? Ona musiałaby kochać za nas dwoje, ponieważ ja nie potrafiłbym obdarzyć jej tym uczuciem – dobrze o tym wiem.

Zegar wybija kolejne godziny. Czas się zbierać.

Migotanie serca narasta.

Sam nie wiem, czego się spodziewać: gruchających gołąbków czy znudzonej pary małżonków?

Kludia

Czuję dziwny skurcz serca, gdy Dawid wchodzi do naszego mieszkania. Fizycznie niewiele się zmienił. Przybyło mu siwych włosów oraz zmarszczek wokół oczu, zeszczupełił, wygląda na zmęczonego, ale to wciąż ten sam Dawid: nieco mrukliwy, taktowny i pocziwy.

Chciałabym wyściskać go ze wszystkich sił, usłyszeć, że już nas nie opuści i znowu będę mogła na niego liczyć. Tak bardzo mi go brakowało – mojego przyjaciela. Tęskniłam za jego równowagą i spokojem. Chciałabym, aby wyciszenie Dawida udzieliło się temu okropnemu nerwusowi, którego poślubiłam.

Zachowuję stosowny dystans, nie chcę się narażać na późniejsze docinki Mariusza. Zamiast zamknąć Dawida w uścisku ramion, powściągliwie wyciągam rękę, którą on na ułamek sekundy przyciska do ust. Uśmiecham się ciepło.

– Jak miło znowu cię widzieć.

– Ja też się cieszę, że tu jestem, Klaudyś – odpowiada, a później odwraca się do Mariusza.

Ściskają sobie dłonie, klepią się po plecach. Wymieniają stosowne do okoliczności uwagi. Póki co pomijamy dyskretnym milczeniem powód jego nagłego powrotu do kraju. Przypuszczam, że prędzej czy później temat wypłynie. Cała wieś huczy od złośliwych plotek, których obiektem jest Dawid. Część ludzi jest zdania, że niezły z niego bydlak, skoro zostawił narzeczoną tuż przed ślubem, inni twierdzą, że to ona musiała przejrzeć na oczy i go pogonić. Nie podoba mi się żadna z tych opcji. Może i prawdą jest, że znam Dawida krócej niż jodłowczanie, ale znam go lepiej niż większość z nich.

Rzeczywiście, gdy już rozsiedliśmy się z kawą i ciastem, mój mało taktowny małżonek zadaje Dawidowi niedyskretne pytania. Dawid zerka na mnie z ukosa, być może wolałby, abym nie słuchała tego, co ma do powiedzenia, to pewnie jakieś męskie sprawy.

Wychodzę do kuchni pod pretekstem dokrojenia ciasta. Nie zamierzam stawiać przyjaciela w niezręcznej sytuacji. Znając Mariusza, prędzej czy później i tak wyklepie mi sekret Dawida.

Jak się okazuje, moje wyjście było zbędne, ponieważ gdy wracam, Dawid mówi:

– Po prostu uznaliśmy zgodnie z Aileen, że trochę się zagalopowaliśmy i nic z tego nie wyjdzie. Za dużo nas dzieliło: bariera językowa, różnice

kulturowe, środowisko.

– No to jak się z nią dogadywałeś?

– Mówiłem tyle o ile. Więcej rozumiałem.

– He, he, he! W łóżku na pewno porozumiewaliście się bez słów – komentuje rubasznie Mariusz.

Jego słowa wydają mi się obrzydliwe. On potrafi strywializować absolutnie wszystko. Dla niego nie ma żadnego tabu. Nie pojmuje głębszych uczuć. Nasze pożycie też sprowadza do mechanicznych czynności – zero romantyzmu, zero subtelności. Czasem zastanawiam się, co ja w nim widziałam? Jest pustogłowym, zimnym draniem. Wstyd mi za niego, chciałabym coś powiedzieć i załagodzić nieprzyjemne wrażenie, jakie zostawiają jego słowa, lecz nie potrafię.

Dawid dobrze zna Mariusza. Nie komentuje głupiej wypowiedzi.

– Mówcie lepiej, co u was słyhać. Jak leci?

Mariusz zaczyna snuć opowieści o pracy, której ma po dziurki w nosie, o budowie domu, ciągnącej nas po kieszeniach, oraz o tym, że chętnie rzuciłby to wszystko w cholerę i wyjechał gdzieś daleko, za lepszym zarobkiem i łatwiejszym życiem. Przytacza przykłady tych, którzy emigrowali, a teraz przysyłają rodzinie forszę. Mówi o tym, ile nowych domów buduje się w Jodłówkach za pieniądze płynące z zagranicy.

Nic, tylko forsa i forsa! Jakbym słyszała ciotkę.

Ostatnio Mariusz często wspomina o wyjeździe. Twierdzi, że tutaj nic nas nie trzyma, gdyż rozpoczętą budowę można sprzedać, a na zachodzie zawsze żyło się łatwiej. Nie chcę się z nim zgodzić. To prawda, że z rodziną nie wiążą mnie żadne relacje, również wśród Kubasów nie czuję się szczególnie dobrze, ale tutaj mam przyjaciół, fantastyczną pracę, dzięki której spełniam się i realizuję moją życiową pasję. Tutaj zyskałam szacunek innych. Tam byłabym nikim. Mój zawód byłby nieprzydatny. Nie znam języków obcych w stopniu na tyle komunikatywnym, żeby znaleźć konkretne zajęcie. Skończyłabym jako sprzątaczką albo opiekunką niedołączonych ludzi.

– Myślisz, że tam byłoby wam lżej? – mityguje go Dawid.

– A nie? – Mariusz ma już swoją opinię na ten temat. – Nawet ty nie wysiedziałeś w kraju i wyjechałeś, gdy nadarzyła się sposobność. A podobno miałeś tutaj bardzo dobrą pracę.

– Słuchaj, stary – oponuje Czarnota. – Byłem, widziałem, doświadczyłem na własnej skórze i nie polecam. O pracę nie jest łatwo, a jak już ją masz, to traktują cię jak wyrobniaka. Pot się po dupie leje, żeby nie powiedzieć

dosadniej, nie masz czasu na złapanie oddechu, a pieniądze, jak na tamtejsze warunki, wcale nie są rewelacyjne. Jak chcesz coś odłożyć, to musisz żyć bardzo oszczędnie. Jedzenie jest cholernie drogie, czynsze za mieszkania astronomiczne. Bądź pewien, że gdyby było cudownie, nie wracałbym tutaj tak szybko.

– Nie pieprz. Nie wierzę, że wyjazd ci się nie opłacił – podpuszcza go Mariusz.

Nienawidzę go w tej chwili. Z niepokojem obserwuję Dawida. Jeżeli on powie, że zarobił tam jakieś pieniądze, to Mariusz wciąż będzie mi zatruwał życie wyjazdem. Liczę na głos rozsądku ze strony przyjaciela. Nie zawodzę się.

– Wiesz, ja wyjechałem głównie dlatego, że tutaj nic mnie nie trzymało. Pojawiła się okazja, aby się trochę powłóczyć i pozwiedzać świat.

– Taa... – wchodzi mu w zdanie Mariusz. – O ile wiem, to siedziałeś na dupie w jakiejś zapyziałej dziurze i migdałiłeś się do tamtej Irlandki. Jakoś nie dostaliśmy z Klaudią wielu widokówek. Nie miałeś czasu napisać paru słów i przykleić znaczka, podziwiając irlandzkie pejzaże?

– Sorry! – oburza się Dawid. – Nie wiedziałem, że z takim utęsknieniem czekasz na wiadomości ode mnie.

Spogląda na Mariusza strasznie wrogo. Widzę, jak zaciska dłonie w pięści, w jego szarych oczach pojawia się zimny błysk. Czuję wibrującą w powietrzu niechęć. Nie znałam go takiego. Nie mogę pojąć tej nagłej przemiany. Wygląda, jakby miał zamiar rzucić się na Mariusza z pięściami i spuścić mu lanie.

Nagle odwraca się w moją stronę.

– Przepraszam, Klaudia – mówi. – Burak ze mnie. Powinienem był przysłać wam chociaż kartkę z życzeniami. Gratuluję i życzę wszystkiego dobrego na, już nie takiej nowej, drodze życia. Czas na mnie. I tak się zasiedziałem.

Wstaje, zmierza do wyjścia. Próbuję go zatrzymać, lecz on tylko uśmiecha się smutno.

– Nie będę wam przeszkadzał. Pewnie chcecie pobyć trochę ze sobą. Nie wypada zbyt długo przesiadywać u młodego małżeństwa. Miłego wieczoru, Klaudyś.

Nic z tego nie rozumiem.

Dawid

Coś jest nie tak z ich małżeństwem. Klaudia jest smutna, choć stara się tego nie okazywać. Była spięta, gdy Mariusz zaczął mówić o wyjeździe za granicę. Widać, że ona tego nie chce.

Psiakrew! Muszę coś zrobić i jakoś go powstrzymać. Ten głupek faktycznie gotów wprowadzić swoje słowa w czyn. Nie po to wróciłem do Jodłówek, żeby znowu stracić Klaudię z oczu. Wiem, że nie mogę z nią być i na zawsze straciłem szansę zdobycia ukochanej kobiety, ale pozostała jeszcze przyjaźń, która jest dla mnie bezcenna.

Przyjaźń... Smutny substytut miłości.

Myślę, myślę, myślę... Dzień mija za dniem, a ja nadal mam w głowie pustkę. Szukam sposobu na zatrzymanie Mariusza w Jodłówkach. On jest cholernie uparty! Wbił sobie do głowy ten wyjazd i koniecznie chce zabrać Klaudię. Już snuje plany i zasięga języka gdzie tylko może. Przelicza niezarobione jeszcze pieniądze, w swoich rojeniach już je nawet wydaje. Zaślepia go wizja mamony. Głupek!

To oczywiste, że nie zatrzymam go tu siłą.

Nie chodzi nawet o to, że znowu straciłbym z oczu Klaudię i tęskniłbym za nią jak wariat. I tak tęsknię i zachodzę w głowę, jak to jest możliwe, że ta dziewczyna załazła mi za skórę tak głęboko. Ja po prostu wiem, że ona nie chce stąd wyjeżdżać. Powiedziała o tym kilkakrotnie w obecności męża. Kiedyś nawet posprzeczali się o to przy mnie. Było mi głupio, że muszę ich słuchać. Mariusz jest kretynem. Wychodzi z założenia, że żona powinna robić to, co on zadecyduje. Nie liczy się z jej zdaniem.

Rozumiem obawy Klaudii. Na zachodzie byłaby nikim. Jej subtelny wdzięk zniszczyłaby ciężka praca. Tam nikt nie potrzebuje nauczycielek języka polskiego, nikogo nie interesuje nasza ojczysta poezja, gramatyka i ortografia. Co mogłaby robić? Pracować na zmywaku? Nalewać piwo ochlaptusom? Wycierać tyłki niedołącznym starcom?

To nie jest życie dla niej.

Klaudia

Dobrze, że Dawid wrócił. Ma pozytywny wpływ na Mariusza. Może jeszcze się wszystko ułoży? Wprawdzie wciąż spieramy się o wyjazd na zachód, lecz Dawid nieustannie mityguje mojego męża.

Nie chcę wyjeżdżać. Wrosłam w Jodłówki, zapuściłam tutaj korzenie. Rytm mojego życia wyznaczają semestry w szkole, wyjazdy z dziećmi na

kolonie i zimowiska, prywatne lekcje.

Lubię tę wioskę oraz ludzi, którzy tutaj żyją. Od nikogo nie zaznałam przykrości. Obyło się bez wstrząsów nawet wtedy, gdy mały Antoś Domagalik przyszedł do szkoły ze śladami po pobiciu i interweniowałam w tej sprawie u jego rodziców.

Wprawdzie Domagalik senior odgrażał się, że jak będę wtykać nos w cudze sprawy, to popamiętam, ale koniec końców wszystko rozeszło się po kościach. Pouczyłam chłopca o jego prawach, przekazałam ojcu, jakie konsekwencje grożą za znęcanie się nad rodziną. Zagroziłam, że będę go miała na oku – jeszcze jedno pobicie, a zgłoszę sprawę na policję. Wystarczyło. Nawet pani Madzia, dyrektorka szkoły, pochwaliła, że byłam czujna i delikatnie rozwiązałam kwestię.

– Wiesz, Klaudio, jak to jest... Coś się dzieje i nikt nic na ten temat nie mówi, ale jak dojdzie do nieszczęścia, to kto jest winien? Oczywiście, że szkoła i nauczyciele, bo nie zareagowaliśmy w porę. Zupełnie, jakby do nas należało wszystko, całe wychowanie tych młodych ludzi. A gdzie rodzina i sąsiedzi? Czemu nikt nie zwraca uwagi na płacz dziecka?! Jeden patrzy na drugiego, ale nikt nic nie robi. Mam nadzieję, że to odosobniony przypadek.

– Ja też, pani Magdaleno. Wolałabym, aby obyło się bez takich sensacji.

Jestem potrzebna tutaj, w Jodłówkach. Moi uczniowie są tego żywym dowodem. Nie mam dzieci i prawdopodobnie nigdy nie będę miała. W tej jednej kwestii jesteśmy z Mariuszem zgodni – nie nadajemy się na rodziców. Ani ja, ani on. Mąż twierdzi, zgodnie z prawdą, że uczniowie absorbują mnie wystarczająco. Czasami nieco za bardzo trzęsę się nad nimi, ale w końcu po raz pierwszy dostałam wychowawstwo nad klasą. Odpowiadam za kilkunastoosobową gromadkę i staram się przekazać dzieciakom jak najwięcej, nie tylko prawidła polskiej mowy.

Wraz z nadejściem wiosny ruszyły prace budowlane przy naszym domu. Może to nieco szumne słowa, ponieważ wciąż brak nam pieniędzy, a jak ognia boimy się brania kredytów, lecz nareszcie Mariusz ma zajęcie. Nie leży odłogiem przed telewizorem, nie łązi beczynn timer po mieszkaniu, nie szuka zaczepki i nie awanturuje się z byle powodu.

Dawid dużo mu pomaga, razem pracują do późnych godzin. Mariusz wraca tak zmęczony, że pada na kanapę w pokoju dziennym i po kilku minutach zasypia przed telewizorem. Początkowo go budziłam. Prosiłam, aby wziął prysznic i szedł spać jak człowiek do sypialni, ale warczał na mnie

tak nieprzyjemnie, że poniechałam zachodów. Po co mam się narażać na złość? W imię czego? Wygody, która nie jest mu potrzebna?

Zazwyczaj rano zwleka się z kanapy, lezie pod prysznic, a później jedzie do pracy. Coraz bardziej oddalamy się od siebie. Trudno nawet mówić o mijaniu się w drzwiach. Nawet w niedzielę nie mamy dla siebie wiele czasu. Śniadanie, kościół, obiad, spotkanie ze znajomymi lub teściami. Przeważnie Dawid wpada do nas z wizytą albo Mariusz ciągnie mnie do niego.

Zryw z budową podzielał na mnie optymistycznie, choć wiem, że jak Mariuszowi strzeli do głowy, aby sprzedać dom, to i tak dopnie swego. Parcela jest zapisana na niego i wszystko w dokumentach jest tak prowadzone. To naiwność z mojej strony, ponieważ on może robić, co tylko zechce. Jeżeli się uprze, trudno – nie pojedę z nim. Nie chcę! Nie mogę! Wolę stracić dorobek całego życia.

Ostatnio Dawid podzielił się swoim pomysłem. Chce otworzyć firmę – zakład produkujący meble na zamówienie. Coś podobnego do miejsca, gdzie pracował przed wyjazdem do Irlandii. Ma lokal na działalność, ponieważ w obejściu Czarnotów stoi dosyć solidna stodoła, z której od wielu lat nikt nie korzysta. Posiada także trochę pieniędzy przywiezionych z Irlandii. Twierdzi, że za mało, aby wystartować w pojedynkę. Wystarczy mu zaledwie na przystosowanie budynku do działalności. Na maszyny trzeba byłoby wziąć kredyt. No i wymyślił sobie, że skoro Mariusza tak frustruje praca, to może wszedłby z nim w spółkę i razem prowadziliby firmę.

– Stary, to jest świetny pomysł – judzi. – Miałyś robotę na miejscu, sami ustalilibyśmy sobie godziny pracy. Zleceń na start miałbym dość, a później to już tylko z górki.

Projekt zaczyna się podobać mojemu mężowi. Wprawdzie udziały w spółce nie byłyby równe, ponieważ Dawid wnosi w nią lokal i część kapitału, ale Czarnota twierdzi, że Mariusz i tak wyjdzie na tym lepiej niż z pracy na etat.

– Czysty pieniądz, bez użerania się za granicą. Nie byłbyś niczym popychadłem.

Jesteśmy sceptycznie nastawieni do kredytu. Mariusz mówi, że może być problem z jego uzyskaniem, bo on część wypłaty dostaje z kamizelki szefa.

– A może Klaudia zostanie twoją współniczką? – sugeruje mąż. – Jej prędzej dadzą kredyt, ma, przynajmniej oficjalnie, wyższe zarobki i pracę na

umowę, a nie na zlecenie.

– Ale ja się na tym kompletnie nie znam.

– A na czym tu się znać? – odpowiada Dawid. – Zarejestrujemy spółkę, Mariusza zatrudnimy jako pracownika, księgowość poprowadzi biuro rachunkowe. Nie będziesz musiała robić absolutnie nic, raz na jakiś czas podpiszesz jakieś dokumenty i tyle. A twój mąż będzie do ciebie mówił „szefowa”. Co ty na to? – Puszcza do mnie oko.

– Prawie mnie przekonałeś. – Uśmiecham się do Czarnoty.

Rozważam jego słowa.

Jeżeli wejdziemy w spółkę, będzie to oznaczało konieczność zaciągnięcia sporego kredytu. Zawsze bałam się takich zobowiązań. Czy podołamy? Dawid jest przekonany o powodzeniu przedsięwzięcia. Twierdzi, że sukces jest pewny jak w banku i naprawdę nie ma się czego obawiać. Z drugiej strony, takie zobowiązanie będzie oznaczało, że zostajemy w kraju, bo o ile dom można sprzedać bez problemu, tak odkręcanie sprawy z kredytem i firmą oznacza większe komplikacje. Poza tym, jeżeli biznes wypali, to ta cała Irlandia, Francja czy Niemcy nie będą nam do niczego potrzebne, bo przecież to o forszę chodzi Mariuszowi, a nie o sam fakt wyjazdu.

Dawid

Zgodziła się! Mogę odetchnąć z ulgą. Nie było łatwo, a teraz okazuje się, że sprawy ułożyły się o wiele lepiej, niż mogłem przypuszczać w najśmielszych wyobrażeniach. Klaudia zostanie moją współniczką.

Dodatkową korzyścią jest to, że będę miał na oku tego błazna, Mariusza. Mama nie omieszkała mi wspomnieć, z niepodobną do niej satysfakcją, że chodziły słuchy, jakoby ten idiota zdradzał Klaudię z Martą Filipiakówną, okoliczną zdzirą. Przypilnuję, aby nie szwendał się z dziwkami. Chciał jechać za granicę? Okej. Zadbam o to, żeby miał taki sam wycisk tutaj, w kraju.

Oczywiście oszukałem Kubasów, że brakuje mi pieniędzy na start i potrzebujemy kredytu. Wstyd przyznać, ale inaczej nie wmanewrowałbym ich w tę firmę. Po pierwsze, chciałem dzięki temu udowodnić Mariuszowi, że za granicą wcale nie dorobi się cudów, a po drugie, potrzebowałem racjonalnych podstaw do tego, aby zawrzeć z nimi spółkę i nie działać na własną rękę. Cała reszta to prawda – mam zaklepane kilka lukratywnych zleceń do realizacji po wakacjach, jest więc z czym wystartować. O to, co będzie później, zupełnie się nie martwię. Solidna praca zawsze znajdzie

nabywców.

Wkurwia mnie, gdy widzę, jak Mariusz odnosi się do Klaudii. Wciąż na nią warczy i traktuje ją jak osobę pozbawioną rozumu. A przecież to ona dopisuje przed nazwiskiem tytuł magistra, jest czytana i elokwentna. Nie, żeby popisywała się swoją wiedzą! Klaudia jest bardzo subtelna i nikogo nie próbuje onieśmielać, ale rozmawiając z nią, czuje się jej inteligencję.

Klaudia

Moje małżeństwo to porażka, powinniśmy się rozstać. Wciąż się kłócimy i już od dawna nie śpimy ze sobą. Niestety uwikłałam się tak bardzo, że sama nie wiem, jak się z tego wyplątać. Budowa domu i włożone w nią pieniądze to jedno – firma i kredyt, który na nią zaciągnęłam, to drugie. Jestem pewna, że gdybym tylko wspomniała o rozwodzie, Mariusz bez skrupułów wmanewrowałby mnie w spłatę swoich długów. Jestem całkowicie załamana. Czuję się tak, jakbym miała na szyi ciasną obrozę z króciutką smyczą. Mariusz może mną pomiatać do woli, ponieważ wie, że nigdzie nie pójdę. Nie zostawię go – razem w tym tkwimy.

Mariusz

Wszystko przecieka mi przez palce: żona mnie irytuje, budowa dobiega, zyski z firmy są mizerne – nie ma się co dziwić, to dopiero dwa miesiące działalności.

Wciąż czuję na sobie spojrzenie Dawida. Mam wrażenie, jakby nieustannie mnie kontrolował. Muszę cholernie uważać na każdy dzwonek telefonu, SMS-y albo głupi słowotok. Zastanawiam się, czy gdyby wiedział, że śpiam z Martą, to usłużnie doniósłby o tym Klaudii.

To nie moja wina, że ona mnie nie pociąga. Zawsze lubiłem atrakcyjne, pewne siebie blondynki. Klaudia jest jak ciepłe kapcie i wygodny fotel – poręczna, użyteczna – doceniam jej troskę. Dzięki niej nie chodzę głodny, mam czyste ubrania i nie muszę myśleć o płaceniu rachunków. W nagrodę za dobre sprawowanie posuwam ją od czasu do czasu, w końcu muszę troszkę o nią zadbać. Na szczęście nie jest wymagająca i zadowolona się byle drobiazgiem.

Mimo że często mnie irytuje, cieszę się, że ją mam. To dobra dziewczyna: porządna, pracowita, cenię ją za lojalność, ponieważ wiem, że o naszych

kłótniach nie opowiada koleżankom z pokoju nauczycielskiego, nigdy nie wydzwania z płaczem do ciotki, ani tym bardziej do mojej matki. I co najważniejsze: jest ze mną zgodna w kwestii posiadania dzieci.

Prawdę mówiąc, był taki czas, gdy się obawiałem, że zmieni zdanie i zapragnie pieluch oraz niańczenia. Ona na szczęście ma tę swoją klasę, a poza tym jeszcze kilkudziesięciu innych uczniów. Na nich może do woli uzewnętrzniać śladowe instynkty macierzyńskie.

Kludia

Mucha w pajęczej sieci ma więcej swobody ode mnie.

Doskwiera mi depresja. Wciąż mam napady płaczu – zupełnie bez powodu. Czasami wystarczy, że mąż popatrzy na mnie spode łba lub rzuci jakąś kąśliwą uwagę. Już się nie bronię, nie kłócę, nie mam siły.

Zdobyłam się na odwagę i poszłam do lekarki. Nie było łatwo, czułam straszne zażenowanie. Bałam się, że pani doktor nie potraktuje mnie serio. Na szczęście podeszła do sprawy poważnie. Zleciła mi różne badania. W analizach krwi nie znalazła niczego. Czego się spodziewała? Małych diabełków, które szczyrzyłyby zęby do laborantki i wymachiwały gniewnie widłami?

Strasznie gnębi mnie kredyt zaciągnięty na warsztat. Pięć lat to kawał czasu. Ostatnio przyszedł mi do głowy pomysł, żeby odejść od Mariusza, jak tylko skończymy spłacać ten cholerny dług. Fakt, że nie czuję ciężaru rat, ponieważ są one pokrywane z przychodów firmy, lecz nie chcę mieć zobowiązań, gdy będę oznajmiać Mariuszowi, że między nami koniec. Aż nadto dobrze go znam, aby wiedzieć, że gdybym mu wycięła taki numer, to wrobiłby mnie w spłatę zadłużenia. Wyplączę się z fikcyjnej spółki, a później przetnę ostatnie więzi łączące mnie z tym cynikiem. Trudno, kolejny raz zacznę wszystko od nowa. I nieważne, że będę wówczas po trzydziestce. Jakie to ma znaczenie?

Nie zamierzam szukać nowego związku. Miłość nie jest dla mnie. Uległam iluzji, że mogę być szczęśliwa. Mariusz na każdym kroku przypomina mi o tym, jak nieudane było małżeństwo mojego taty. Według niego nie wyniosłam z domu dobrego przykładu i dlatego obarcza mnie winą za nasze niepowodzenia. Gdy tylko próbuję się przeciwstawić, to zarzuca mi, że zachowuję się tak jak moja ciotka.

Nienawidzę go za te porównania! Przecież on jej nie zna. Widział ciotkę tylko raz w życiu, gdy byliśmy we Wrocławiu poinformować ją o naszym

ślubie, na który i tak nie przyjechała. Jakim więc prawem Mariusz twierdzi, że jesteśmy takie same?

Nie mam siły na kłótnie. Coraz częściej zamykam się w sobie. Wolę milczeć. Jeżeli postępuję tak, jak mąż tego oczekuje, życie jest znośniejsze. Gram rolę grzecznego, potulnego żony – teatr jednej aktorki.

A gdy jest mi już bardzo źle, tak, że nie mogę wytrzymać, powtarzam moją mantrę:

– Będzie dobrze, dasz radę. Za niespełna pięć lat znowu będziesz wolna.

Nie pójdę w ślady Dagmary, ponieważ wciąż tli się we mnie nadzieja na spokojniejszą przyszłość. Łykam kolejne pigułki, walczę o moje być albo nie być. Chcę udowodnić całemu światu, że przetrwam.

Będę miała trzydzieści trzy lata w dniu, gdy znowu się usamodzielnę.

Pięć lat. Pięć cholernie długich lat.

Przetrwam!

Rozdział 6

Wieczna pogoń

Dawid

Klaudia jest tak blisko i daleko zarazem. Widuję ją bardzo często, zwykle pod pretekstem interesów. Nie chcę, aby Mariusz połapał się, o co tak naprawdę mi chodzi – on bardzo krzywo patrzy na naszą przyjaźń. A zresztą, czy przyjaźń to odpowiednie słowo? Odkąd jest mężatką, ani razu nie zamieniłem z nią nawet słowa na osobności. Nie chodzimy na spacerów jak za dawnych czasów. Póki Klaudia była jego dziewczyną, a później narzeczoną, pozwalaliśmy sobie na przechadzki, mimo że już wtedy miejscowe plotkary czujnie śledziły nasze kroki. Teraz tym bardziej nie wypada, zaraz wieś wzięłaby ją na języki.

Mariusz ciągle płacze się w pobliżu i strzyże uszami. Czyżby miał obawy, że Klaudia może powiedzieć coś, co postawiłoby go w złym świetle? To chyba jedyne logiczne wytłumaczenie, bo przecież dobrze wie, że honor kumpla nie pozwala na podrywanie żony kogoś, kogo nazywa się przyjacielem, nawet umownie, ponieważ z naszej niegdysiejszej przyjaźni niewiele zostało.

Kiedyś natarłem uszu jednemu gnojkwowi za to, że źle potraktował dziewczynę. Dostałem za to wyrok w zawiasach, ale ani przez chwilę nie żałowałem tego, co zrobiłem. Od tamtej pory okoliczne zabijaki schodzą mi z drogi. Mariusz na pewno o tym pamięta. Wie, że jeżeli Klaudia piśnie choć słówko skargi, to nie ręczę za siebie. Bez trudu spuściłbym mu taki łomot, że zapamiętałby go do końca życia. Nic nie powstrzymałoby mnie przed wymierzeniem sprawiedliwości. Nawet, gdybym miał za to siedzieć. Przypuszczam, że tym razem sąd nie byłby dla mnie taki wyrozumiały.

Kartotekę mam już zafajdaną przez tamtego idiotę, prawdopodobnie zostałem potraktowany jak recydywista.

Dla Klaudii poświęciłbym absolutnie wszystko. Wiem, ciężko komuś postronnemu zrozumieć bezmiar mojego uczucia. Nigdy nie kochałem tak bardzo. Czas nie jest w stanie rozluźnić więzi, która mnie z nią łączy. Z każdym dniem miłość zdaje się przybierać na sile. Znam ją już tak dobrze, że jej myśli są dla mnie czytelne. Widzę, jak męczy się w tym związku, Mariusz wciąż ją rani, ale ona z jakiegoś powodu nie chce lub nie może go zostawić. Musi go bardzo kochać, skoro godzi się na taki stan rzeczy.

Mam go wciąż na oku, ale nie dam sobie głowy uciąć, czy znowu nie zwąchał się z jakąś latawicą. Jego komórka dzwoni niepokojąco często, ciągle dostaje jakieś SMS-y. Nie potrafię go rozgryźć. Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o Klaudii, przy tym temacie obydwaj nabieramy wody w usta.

Firma powoli się rozkręca. Przybywa zleceń i klientów. Czasami jest tyle roboty, że ledwo wyrabiamy we dwóch. Bardzo dobrze, ponieważ Mariusz nie ma czasu na myślenie o głupotach.

– Może powinniśmy wziąć kogoś do pomocy? – sugeruję, gdy jęczy, że tak ciężko pracujemy.

– Jasne, i będziemy musieli płacić dodatkową pensję i składki ubezpieczeniowe – utyskuje.

– Skoro nie chcesz, sami musimy się sprężyć.

Kasa! Pieprzony materialista, wszystko przelicza na pieniądze. Nie znałem go od tej strony. Kiedyś, dawno temu, byliśmy tylko i aż przyjaciółmi. Dzisiaj już sam nie wiem, kim dla siebie jesteśmy.

Wspólnikami? Nie do końca.

Niby pracujemy zgodnie, ramię w ramię, lecz pomimo pozornej kompatybilności, wciąż patrzymy jak sobie przywalić. Kiedy nie ogłusza nas huk pił do drewna i robimy coś wspólnie, nie szcędzimy sobie docinków. Mariusz ma wyjątkowo cięty jęzor. Ciekaw jestem, kiedy mu się tak wyostrzył. Nigdy nie pozostaję mu dłużny, znajduję odpowiedź na każdy głupi tekst.

Czy żonę też traktuje tak jak mnie? Na pewno. Nie raz rzucał w mojej obecności takie uwagi, że mnie szło w pięty, a co dopiero jej? Jeśli tak wygląda Klaudii codzienność, to nie dziwię się, że na ogół jest smutna. Ona nie potrafi odpłacać pięknym za nadobne. A może po blisko trzech latach

szarpaniny z tym przygłupem ma już po prostu dosyć?

Spółka z Mariuszem to zło konieczne. Lepiej wyszedłbym na firmie, gdybym sam ją prowadził i zatrudniał ludzi według uznania. Mariusz nie pała chęciami do pracy. Tylko patrzy, żeby odpocząć, szuka pretekstów do przerwy. Jak tak dalej pójdzie, to faktycznie trzeba będzie kogoś przyjąć – czy mu się to podoba, czy nie.

Chyba powinienem porozmawiać na ten temat z Klaudią. To ona jest moją współpracowniczką i tak naprawdę Mariusz ma głównie do gadania w tej sprawie. Może najwyższa pora odwrócić role, aby ona zaczęła dyrygować tym głąbem? Bez trudu moglibyśmy mu pokazać, gdzie jest jego miejsce. A jak się nie spodoba – dobrze wie, gdzie są drzwi. Płakał po nim nie będę.

Klaudii i tak należą się udziały w zyskach. Może lepiej byłoby dawać pieniądze bezpośrednio jej, a nie Mariuszowi? Podejrzewam, że on sporo forsy trwoni na Martę Filipiak, a biedna Klaudia zarzyna się przez korepetycje, zimowiska, redagowanie prac magisterskich i wszelkie zlecenia, jakie zdoła podłapać.

Mama często zagląda do naszego warsztatu. Cieszy się, że zorganizowałem tę działalność. Ma mnie teraz zawsze pod ręką, gdy potrzebuje pomocy, bo na przykład słoik z kompotem za mocno zassał i nie może go odkręcić. Poza tym wie, że już nie wyjadę z Jodłówek.

Ciągnie mnie na kolejną włóczęgę po Bieszczadach. Ech, brakuje na to czasu! A tam zielenieją bukowe lasy i słońce przegląda się w Solinie. Skoczyłbym choć na weekend. Mógłbym wynająć kwaterę w Wołkowie. Tym razem wystarczyłoby mi jezioro, obeszloby się bez dalekich, pieszych wycieczek.

Jestem zmęczony latami wyteżonej pracy. W Irlandii nie próżnowałem, tutaj tym bardziej. Mógłbym więc z czystym sumieniem poleniuchować, bujając się na łódce.

Klaudia

Ostatnio Dawid podarował mi płytę z muzyką zespołu Indios Bravos.

– Muza w sam raz dla kobiety – stwierdził.

– Dziękuję. A z jakiej to okazji?

– Wygrałem w radiowym konkursie. Pomyślałem, że ci się spodoba. Mam już ten album, więc wiem, co mówię.

Miło, że pomyślał właśnie o mnie. Niestety, to kolejny sygnał, że on

i Lidka nie będą parą – równie dobrze mógłby płytę podarować jej. Na pewno skakałaby ze szczęścia, gdyby to zrobił.

Odtwarzam muzykę codziennie po zakończonych lekcjach, gdy Mariusz jest jeszcze w pracy. Nigdy wcześniej nie słuchałam czegoś takiego – to spokojne, kołyszące rytmy, coś w stylu reggae. Szczególnie podoba mi się piosenka pt. *Ściana*. Jej słowa są mi tak bliskie, jakby płynęły z moich ust.

Mówię tylko do tych, którzy chcą mnie słuchać

Ci, którzy nie chcą, nie obchodzą mnie.

Po co mam czas tracić na mówienie do ściany,

ściana i tak zawsze swoje wie[2]

Często nucę ją pod nosem. Wiem, że Mariusza to irytuje. On osobliwie nie lubi tego zespołu, więc staram się nie słuchać muzyki przy nim.

Nareszcie mamy trochę więcej pieniędzy. Spłaciliśmy drobne długi zaciągnięte na kupno okien i innych materiałów. Dom na stoku nabiera kształtu, zaczynam wierzyć, że wkrótce tam zamieszkamy. Tego nam właśnie trzeba do pełni szczęścia – aby żyć na swoim.

Ostatnio Mariusz bardzo złagodniał. Przestał wściekać się o byle co, już na mnie nie warczy. Często mnie przytula i całuje, nawet w obecności Dawida. Traktuje mnie jak człowieka, a ja naiwnie wierzę, że to już tak na zawsze. Zachowuje się jak w czasie narzeczeństwa. Podoba mi się taki odmieniony.

Znowu ze sobą sypiamy. Odżyła namiętność, którą uważałam za wygasłą. Już nie odliczam w myślach do stu, gdy mąż jest ze mną. Wprawdzie seks nadal nie sprawia mi przyjemności (cóż, może jestem oziębła?), lecz nie jest też uciążliwy.

W końcu poczułam przebłyski szczęścia. Przestałam myśleć o ucieczce. Nie, żebym zrezygnowała z niej definitywnie, to wciąż jest mój plan awaryjny, ale mam nadzieję, że nie będę musiała z niego korzystać.

Myślę, że Mariusz tak się odmienił za sprawą Dawida. W ostatnim czasie Czarnota kilkakrotnie wyraził przy nim uznanie pod moim adresem.

– Powinieneś swoją panią nosić na rękach, tak dba o ciebie.

Mąż popatrzył na niego dziwnie. Myślałam, że jak zwykle skończy się na jakiejś cynicznej uwadze, ale nie – przemilczał słowa przyjaciela. Czyżby wziął sobie do serca jego uwagi? I tylko raz, pod wpływem alkoholu, powiedział coś nedorzecznego:

– Dawid się w tobie podkochuje.

– Głuptas z ciebie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jest dla mnie jak brat,

a raczej jest taki, jaki powinien być brat – poprawiłam szybko, ponieważ skojarzenie z Kazikiem nie leżało mi w tym kontekście.

Mariusz machnął ręką i nie podjął wątku. Może zreflektował się, że przeholował w kpinach? Nigdy więcej nie nawiązał do tematu, a ja, obserwując Dawida, nie zauważyłam nic, co mogłoby wskazywać, aby żywił do mnie uczucia inne niż przyjaźń.

Przestałam łudzić się nadzieją, że zdołam wyswatać go z Lidką. Nawet jeśli ona wypatruje sobie za nim oczy, to on i tak nie czuje bluesa. Nic na siłę.

Nadal spotykamy się w stałym gronie, czasem wychodzimy razem do pubu. Lidka nie narzeka na brak zainteresowania ze strony chłopców. Być może usiłuje wzbudzić w ten sposób zazdrość w Dawidzie. A może po prostu ma już dosyć czekania? Ostatnio coraz częściej widuję ją z chłopakiem z sąsiedniej wsi.

Przytulam się do Mariusza. Dobrze mi z nim teraz. Już zapomniałam, jak to miło, gdy w nocy leży obok mnie, pochrapując lekko przez sen. Jest zawsze ciepły, a mnie strasznie marzną stopy. Czasami ogrzewam je o jego rozgrzane łydki, a on śmieje się, że jestem zimna jak ropucha.

Mój chłodny dotyk budzi męża.

– Rozgrzeję cię inaczej – proponuje, przyciskając mnie do pościeli.

Nachyla się nade mną. W mroku majaczy jego sylwetka. Mariusz szuka moich ust, zamyka je pocałunkiem. Unosimy się na falach namiętności.

– Kocham cię – mówi.

Przytulam się do niego mocniej. Nie odwzajemniam wyznania miłości, dawno przestałam o tym mówić i nie jestem pewna, czy nadal żywię jakieś uczucia do męża. Zranił mnie zbyt wiele razy, nie chcę nagradzać go zapewnieniami. Przyjdzie być może czas i na to, pod warunkiem, że znowu zdołam zaufać Mariuszowi. Teraz musi mu wystarczyć mój dotyk i obecność.

Mariusz

Ciekaw jestem, czy Dawid wciąż kocha się w Klaudii. Wtedy, gdy wyjechał, wiedziałem, że to była ucieczka – nie chciał być na naszym ślubie. On jest wyjątkowo przewidywalny. Nosi emocje jak odzież wierzchnią – wszystko po nim widać.

Obserwuję tych dwoje – nie pozwolę sobie przyprawić rogów. On może dawać mojej żonie płyty z głupią, sentymentalną muzyką, strugać figurki,

robić różne duperele do domu: serwetniki, półeczki, kwietniki. I tak nic u niej nie wskóra. Nigdy nie zabierze tego, co moje.

Wbiłem się pomiędzy nich jak klin. Rozkochałem ją w sobie do tego stopnia, że ta idiotka wszystko potrafi mi wybaczyć. Jestem w stanie stłamsić każdy opór, ze wszystkich sprzeczek wychodzę obronną ręką.

Gdy Czarnota wrócił z Irlandii, zaproponował nam biznes. Faktycznie potrzebował współnika, czy to tylko ściema, żeby zbliżyć się do Klaudii? Trudno ocenić. Zawsze spotyka się z nią w mojej obecności i, co mnie bardzo irytuje, nie mogą się wtedy nagadać. Jedno i drugie staje się nagle rozmowne, a na co dzień to dwa ponure milczki. Na ogół nie uczestniczę w ich konwersacjach – męczą mnie. Mam jednak satysfakcję, że udało mi się zagrać Dawidowi na nosie.

Za lata upokorzeń! Za to, że zawsze był ode mnie w czymś lepszy! Zabrałem mu Klaudię i on wie, że ona już nigdy nie będzie jego. Nawet, jeśli żona mnie nudzi. Najbardziej śmiać mi się chce z tej głupiej miny, gdy w jego obecności obejmuję Klaudię – na twarzy ma wypisaną zazdrość. Po czymś takim nawet seks z tą górą lodu jest bardziej satysfakcjonujący.

Klaudia

I pomyśleć, że już koniec maja. Wczoraj Mariusz przyniósł mi z ogródka matki bukiet wczesnych, ciemnoróżowych piwonii. Cud, że teściowa zgodziła się poświęcić dla mnie kwiaty, nie pałamy przecież do siebie jakąś szczególną sympatią. Uwielbiam zapach, który rozchodzi się po mieszkaniu – to aromat nadchodzącego lata.

Uśmiecham się do Mariusza znad zeszytów. Obserwuję, jak pałaszuje spóźniony obiad, za chwilę pójdzie pewnie na budowę, gdzie razem z Dawidem kończą tynkować parter. Podziwiam ich – wszystko robią samodzielnie. Zaoszczędziliśmy dzięki temu mnóstwo pieniędzy. Wystarczy, że murarz i dekarze puścili nas z torbami.

Mariusz odkłada sztućce, podchodzi i całuje mnie w kark.

– Pędzę. Dawid już pewnie na mnie czeka. Wrócę, jak się ściemni. Poczekasz na mnie?

Wiem, co kryje się w tym niby na pozór niewinnym: *Poczekasz na mnie?*. Mariusz sugeruje w ten sposób, że będziemy się kochać, jak wróci.

– Poczekam – obiecuję.

Dobrze, że nasz związek osiągnął stan równowagi. Jestem nieprzyzwoicie szczęśliwa.

I tylko czasami zastanawiam się, czy szczęście, które czuję, nie jest nazbyt duże i nie przyjdzie mi za nie słono zapłacić. Nauczyłam się, że każdą chwilę radości trzeba okupić łzami. Spycham na bok ponure myśli. Udaję, że ta cała huśtawka emocjonalna mnie nie dotyczy.

Koniec roku szkolnego za pasem. We wrześniu zaczynam piąty rok pracy w Jodłówkach. To ostatni rok kontraktu. Ależ to szybko zleciało! Zastanawiam się, co będzie dalej. Czy pani Magda przedłuży moją umowę? Chciałabym nadal uczyć w tej szkole. Miałam kilka zatargów z rodzicami. Domagalik do tej pory nie kłania mi się na ulicy, zadarłam też z paroma innymi *troskliwymi* tatusiami. Każda następna ingerencja w przemoc domową była trudniejsza, ponieważ rozjuszeni ojcowie nieprzyjemnie się odgrażali. Ja jednak nie dam się zastraszyć. Aż nadto dobrze pamiętam, jak to jest być ofiarą.

Mariusz wyraża niezadowolenie, że znowu jestem zaangażowana w sprawę maltretowanego dziecka.

– W końcu podpalą nam samochód albo narobią dziadostwa na budowie.

– Będziemy wiedzieć, czyja to zasługa. – Wzruszam ramionami. – Ja nie popuszczę. Znęcanie się nad dziećmi to barbarzyństwo.

– Nie przesadzaj. Powinnaś bardziej troszczyć się o nas i nasze sprawy. Przez twoje lekkomyślne zachowanie możemy stracić dorobek życia.

– Bez obaw, nic nie stracimy.

– Wolę się bać. A ty lepiej nie wtykaj nosa w cudze sprawy.

– Nie mogę dawać przyzwolenia na przemoc.

– Nie przesadzaj. Jaka znowu przemoc? Przecież to normalne, że rodzice biją rozwydrzone bachory. Inaczej gówniarze powchodziliby im na głowy.

– I ty to mówisz?

Nie dociera do mnie jego ignorancja. Jestem rozczarowana. Przecież on wie, czemu odczuwam takie zaangażowanie. Ma świadomość, przez co przeszłam. Czasem wierzyć mi się nie chce, że człowiek, z którym dzisiaj dzielę życie, jest tym samym mężczyzną, który kiedyś tulił mnie w ramionach i zapewniał, że przy nim będę zawsze szczęśliwa. Czemu tak bardzo zmienił się po ślubie? Przecież ja jestem taka sama.

Mariusz nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo ranią mnie jego słowa. Znowu czuję niechęć. Przez kilka tygodni wszystko wspaniale się układało, byłam pełna szczęścia i optymizmu, a teraz zaczyna się dziać coś niedobrego. Intuicja podpowiada mi, abym miała się na baczności.

Kolejny raz dociera do mnie straszna prawda, że nigdy nie osiągnę porozumienia z tym ignorantem. Mariusz i ja nie nadajemy na tych samych częstotliwościach. Tylko patrzeć, jak on wskoczy w swoją skórę i znowu zacznie maltretować mnie psychicznie. Dobry w tym jest. Przez minione trzy lata nabył wprawy w podcinaniu moich skrzydeł.

Nie mam ochoty wzniecać kolejnej awantury. Rok szkolny właśnie się kończy, więc na najbliższe dwa miesiące tracę kontakt z większością uczniów. Ja swoje wiem i nie ugnę się pod presją męża. Czy mu się to podoba, czy nie, jestem zaangażowana. Nie potrafię patrzeć bezczynnie na czyjaś krzywdę. Jestem przekonana, że gdyby mnie ktoś pomógł, kiedy ciotka tłukła nas i obsypywała obelgami, to dzisiaj byłabym innym człowiekiem. Nie miałabym wahań nastrojów, nie wpadałabym co rusz w depresję.

Mariusz siada przed telewizorem, dyskusja zakończona. Przynajmniej udało nam się nie posprzeczać. Zapewne stan zawieszenia broni nie potrwa długo, więc wolę cieszyć się resztkami względnego spokoju. Chętnie zaszyłabym się teraz w kąciku z laptopem – muszę napisać do Ewy, ale czuję, że zaczyna się migrena. Przed moimi oczami latają ciemne płatki. Postanawiam wykorzystać wolny czas bardziej egoistycznie.

– Pójdę się zdrzemnąć – mówię do Mariusza i wychodzę do sypialni.

Od jakiegoś czasu wciąż jestem zmęczona i drażliwa. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Moje ciało przypomina ciężką kamienną bryłę. Doskwiera mi dziwny ból, który nie boli, lecz rozchodzi się promieniście w krwiobiegu. Dygoczę wewnątrz, czuję, jak drży każdy nerw.

Przykrywam się ciepłym kocem. Niemalże natychmiast zapadam w głęboki sen, a gdy późnym wieczorem przychodzi przebudzenie, jestem jeszcze bardziej zmęczona i obolała niż po południu.

Dawid zauważył moją nienaturalną bladość. Jego zdaniem powinnam wyjechać na parę dni i wypocząć. Oczywiście polecił mi Bieszczady.

– Za bardzo się forsujesz. Szkoła, korepetycje, wieczne zmartwienia o budowę domu i firmę. To dużo, wiem, że masz mało czasu na wypoczynek – mówi z troską.

– Dzięki. To miłe, że się o mnie troszczysz, ale Bieszczady? Nic z tego, mam już lato zaplanowane: za trzy tygodnie jadę na obóz z dziećmi z naszej szkoły, później kilka dni na ogarnięcie wszystkiego i wyjazd na rekolekcje z oazą. Wypocznę z młodzieżą – stwierdzam.

– To żaden wypoczynek – odpowiada Dawid. – To jeszcze jedna praca i na dodatek odpowiedzialność. Przy dzieciach trzeba mieć oczy dookoła głowy. Moim zdaniem powinnaś odpuścić.

– Niech jedzie – wtrąca się Mariusz – przecież nie będzie całymi dniami niańczyć bachorów. Na pewno znajdzie czas na wypoczynek. A kasa się przyda, trzeba położyć w domu podłogi.

– Kasa! Kasa! – Dawid jest oburzony. – Mało ci? Przecież dobrze zarabiasz, a twoja żona goni resztką sił.

– Adwokat diabła się znalazł – mruczy niezadowolony mąż.

Przez następne dni moje samopoczucie nie poprawia się nawet o włos. Do kompletu wątpliwych przyjemności dochodzą zawroty głowy. Znowu jestem płaczliwa i niespokojna. Kładę się spać obolała i rozbita. W nocy dręczą mnie koszmary. Rano, gdy się budzę, nadal jestem zmęczona. Znam te objawy aż nazbyt dobrze – tylko że tym razem są wyjątkowo nasilone.

To depresja.

Ale dlaczego? Przecież ostatnio wszystko układało się lepiej, nie sprzeczałam się z Mariuszem, nie miałam problemów w pracy.

Jak na złość, pigułki na depresję zużyłam dawno temu. Powinnam pójść do lekarza, ale nawet to stanowi wysiłek.

Boże, tak mi teraz źle!

Ulubiona kapela Dawida śpiewa właśnie:

Bez łez i złudzeń

I bez prawa weta

Między językiem a śliną

Między pierwszym skurczem a drobnym dreszczem

Gdzieś między karą a winą

Hej, po co ten płacz?

Hej, kobieto, po co ten płacz?^[3]

Płaczę, póki w mieszkaniu nie pojawia się Mariusz. Mąż bez słowa wyłącza muzykę, obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem i włącza telewizor.

Milczy.

Przez moment uwierzyłam, że mogę zostać z Mariuszem na całe życie, bo się zmienił i przemyślał swoje zachowanie. Znowu nie układa się między nami. Awantury powstają właściwie z niczego. Mąż przyczepia się jak rzep do jakiejś bzdury i z uporem maniaka wałkuje temat. Drobiazgi urastają do

gigantycznych rozmiarów. Czasem, po kolejnej kłótni, usiłuję sobie przypomnieć jej powód i ni cholery nie mogę tego zrobić.

Mariusz uzewnętrznia swoje żale. Nie mogę tego znieść! Tak bym chciała, żeby w końcu się zamknął. Proszę go kilkakrotnie, aby dał już spokój, lecz on nakręca się jeszcze bardziej. Ostatecznie nie wytrzymuję tego utyskiwania.

– Powinieneś pójść do psychiatry – stwierdzam. – Jesteś pełen gniewu. Nie rozumiem, skąd bierze się w tobie tyle wściekłości. – Jak na złość, mój głos łamie się w połowie zdania, ledwo jestem w stanie wykrztusić te słowa.

Czemu tak się zapowietrzyłam? W ogóle nie mogę złapać oddechu. To straszne, co dzieje się z moim organizmem – jest poza moją kontrolą, odmawia posłuszeństwa.

– Sama idź do psychiatry! – wrzeszczy mąż idealny, którego zazdroszczą mi inne dziewczyny. – Masz problem z osobowością. Wiecznie nieszczęśliwa, tobie po prostu w żaden sposób nie można dogodzić! Przestań w końcu beczeć!

Wychodzi, trzaska drzwiami. Cud, że futryna jeszcze się trzyma.

Oczywiście! Wszystko to moja wina, jak zawsze.

Nadzieja – ona umiera ostatnia. Coraz częściej przychodzą chwile, gdy marzę o tym, co będzie za pięć lat. Snuję plany, wyobrażam sobie dalsze życie. Będę singielką – z wyboru. Wystarczą mi przyjaciele. Żadnego męża, dzieci, zobowiązań.

Zapewne opuszczę Jodłówki. Nie wyobrażam sobie, że miałabym mieszkać blisko Mariusza, narażona na przypadkowe spotkania i kąśliwe uwagi.

To zakrawa na tchórzostwo, ale nie mam innego wyjścia.

Jeżeli do tego dojdzie – będzie mi bardzo brakowało tutejszych przyjaźni, zwłaszcza z Dawidem i Lidką. Nie wiem, gdzie rzuci mnie los. Może przeprowadzę się na przeciwległy koniec Polski? Przecież tutaj i tak nic mnie nie trzyma.

Tak, to dobry pomysł, aby wyjechać daleko, daleko...

Znowu czeka mnie tułaczka po wynajętych kątach i zaczynanie wszystkiego od zera.

Złe samopoczucie pogłębia się. Z każdym dniem jest coraz gorzej. Straciłam apetyt, jedzenie budzi wstręt.

Nie ma nic gorszego niż depresja – podstępna żmija, która sączy jad do

krwiobieg niepostrzeżenie, lecz do bólu skutecznie.

Pewnego dnia budzisz się jak co dzień i stwierdzasz, że nie masz powodu, aby otworzyć oczy, wstać i funkcjonować. Każdy wysiłek sprawia wewnętrzny ból, napotyka na opór organizmu. Uświadamiasz sobie bezsens egzystencji. Spoglądasz wstecz i już nie pamiętasz rzeczy dobrych, a jedynie wszystkie mroczne chwile, które szczerzą kły i czekają sposobności, by cię dotkliwie pokąsać. Ten, kto nigdy nie miał depresji, nie jest w stanie pojąć, co dzieje się w skołowanym umyśle. Każde słowo, gest i spojrzenie mogą zranić, pchnąć w otchłań rozpacz.

Moja biedna Dagmara! Czy właśnie to wszystko czuła, wspinając się na najwyższe piętro wieżowca? Dlaczego nikt nie zauważył, co się z nią dzieje? Pamiętam jej łzy – wciąż płakała. Prawie nic nie mówiła. Odpychała wszystkich, nawet Kazika, który bezsilnie patrzył, jak cierpi jego bliźniacza siostra.

Czy mogę równać moje nieszczęścia z brzemieniem, które pchnęło ją w dół, w jedyny krótki lot ku wieczności? Czasami wyrzucam sobie, że wyolbrzymiam drobiazgi. Czuję, jakbym zabrnęła w ślepy zaułek, z którego jest wyjście, tylko trzeba zrobić kilka kroków w tył, a ja panicznie boję się zawrócić, a nawet obejrzeć wstecz.

W takich chwilach intensywnie tęsknię za Ewą. Brakuje mi obecności siostry. Gdyby była ze mną, mogłybyśmy porozmawiać o Dagmarze – o tym, czemu podjęła taką decyzję.

Nie wytrzymałam napięcia, zmęczenia i poczucia bezsilności. Odwołałam uczestnictwo w obozie. Chętnych na moje miejsce nie brakuje, a ja naprawdę nie czuję się na siłach, aby jechać.

Oczywiście Mariuszowi było to nie w smak.

– Przelewa ci się? Za dużo masz pieniędzy? Ciekaw jestem, za co położymy podłogę w salonie? Całymi dniami robię jak głupi, a ty stroisz fochy.

– Przepraszam... Naprawdę nie daję rady, nie mam siły... – szlocham.

– Przestań beczeć! Bierz się w końcu za życie! – warczy Mariusz. – Można jeszcze odkręcić sprawę wyjazdu? W głowie ci się poprzewracało! To przez tego pieprzonego Dawida! Niepotrzebnie bierzesz sobie do serca jego słowa. Łatwo mu się gada! On nie ma rozgrzebanej budowy, dostał chałupę po rodzicach. A my co? Całe życie chcesz tu mieszkać? A co będzie, jeżeli Magda nie przedłuży ci kontraktu?! Dokąd pójdziemy?! Pod most?!

Słowa męża przechodzą w krzyk. Nie mogę tego znieść, zasłaniam uszy

dłońmi, chcę się od tego odciąć. Boże! Jak ja go nienawidzę. Nienawidzę!

Pieprzony materialista!

– Czy dla ciebie nie liczy się już nic poza forszą?! Ja naprawdę źle się czuję.

– Wmawiasz sobie jakieś nieistniejące choroby! Spójrz na siebie! Zobacz, jak wyglądasz, wiecznie uryczana, rozmemłana! Nie mogę na ciebie patrzeć!

– Świetnie, idź popatrzeć na swoje dziwki! – Wyjątkowo nie pozostaję mu dłużna, niech wie, że i ja potrafię krzyczeć.

– A żebyś wiedziała, że pójde!

Trzaśnięcie drzwiami. Ze ściany spada obraz.

Siedzę, kuląc się w objęciach własnych ramion.

Godzina mija za godziną, a jego nie ma. Pewnie znowu poszedł do tamtej lafiryndy.

Rano, jeszcze przed wyjściem do szkoły, wykręcam numer do ośrodka zdrowia. Rejestruję się do lekarza rodzinnego. Muszę odzyskać równowagę, bo inaczej oszaleję. Czuję się fatalnie. Jestem roztrzęsiona jak w febrze, choć powinno mi być gorąco – przecież jest początek lata. Mam zawroty głowy i nogi jak z waty. Na domiar złego zaszkoziła mi wczorajsza kolacja.

Odkładałam słuchawkę i w ostatniej chwili dobiegam do toalety. Przez kolejne dziesięć minut moimi wnętrznościami szarpią torsje. Gdy w końcu żołądek jest pusty, w moich ustach pozostaje nieprzyjemny posmak. Siadam na podłodze obok ustępu i usiłuję złapać łyk świeżego powietrza. Chociaż w mieszkaniu panuje nieznośny, czerwcowy upał, całe moje ciało jest zroszone zimnym potem. Dygoczę.

Tak źle nie czułam się jeszcze nigdy w życiu.

Strach podpełza do mnie jak zdradziecka ośmiornica, oplata mnie swoimi mackami.

Dawid

Mógłbym zabić Mariusza za smutek w oczach Klaudii.

Przyjaźń to fikcja.

Człowiek, którego nazywałem przyjacielem, jest skończonym bydlakiem.

Kobieta, która określa mnie mianem przyjaciela, jest mi w rzeczywistości droższa niż własne życie. Dla niej to ja nie jestem przyjacielem, ponieważ wciąż ją okłamuję. Zapewniam o braterskim przywiązaniu, lecz tak naprawdę marzę o tym, aby skrócić kark jej mężowi i zająć jego miejsce.

Jak dużo można zrobić w imię miłości?

[2] Fragment tekstu piosenki pt. *Ściana*, autor: Piotr Banach 2009 r., Studio S4, płyta *Indios Bravos*, rep. Indios Bravos

[3] Fragment tekstu piosenki pt. *Hej kobieto*, autor: Zygmunt Wilimowski, Ernest Maszczak 2003 r., S. P. Records, płyta *Grabież Strachy na Lachy* z repertuaru Strachy na Lachy

CZEŚĆ III

180^o

Rozdział 7

To nie sen

Klaudia

Siedzę w pustej poczekalni. Słońce zagląda przez okna, z oddali dobiega śmiech bawiących się dzieci. Pani doktor jeszcze nie ma, przyszłam za wcześnie. Tysięczny raz zadaję sobie pytanie o to, co ja tutaj robię. Przecież jestem zdrowa. Trochę trzęsą mi się dłonie, czasem boli mnie głowa. To zwykłe przemęczenie, Dawid miał rację, doradzając mi wypoczynek. Nie ma czym zawracać głowy lekarce.

Może na moje problemy jest inna recepta?

Może powinnam machnąć ręką na wszystko i rozwieść się z Mariuszem, teraz, zaraz, jak najszybciej? Nie czekać, aż spłacimy kredyt zaciągnięty na rozwój firmy. Dogadałabym się jakoś z Dawidem, jest moim przyjacielem, zrozumie. Z drugiej strony, on nie wie, że moje małżeństwo to tylko gra pozorów i tkwię w tym absurdalnym związku wbrew samej sobie. Może z uwagi na wieloletnią przyjaźń z Mariuszem opowiedziałby się po stronie człowieka, który oficjalnie jest moim mężem. Tylko oficjalnie, ponieważ od miesiąca znowu śpimy osobno.

Coraz bardziej podoba mi się myśl o rozstaniu. Po co czekać? Przecież mogę uwolnić się od niego w każdej chwili. Będzie musiał opuścić mieszkanie – ono nie jest nasze i Mariusz mieszka w nim tylko dlatego, że poprosiłam o to panią Magdę. Zgodę na to można cofnąć w każdej chwili. Mam już dosyć. Nie zniosę ciągłych pretensji, krzyków i awantur! Zamiast zabierać czas pani doktor, powinnam wziąć sprawy w moje ręce. Wystarczy podjąć szybką decyzję. Tak jak wtedy, gdy spakowałam plecak i z dnia na dzień opuściłam Wrocław.

Przez ostatnie miesiące prawie wcale nie myślałam o przeszłości. Wieczne problemy małżeńskie przysłoniły koszmary z dzieciństwa, czas zaczął zbawienną misję, pozacierał najostrejsze kandy wspomnień.

Czasami myślę, że ciotka była po prostu bezsilna. Nie potrafiła kochać, przerastała ją konieczność wychowania pięciorga dzieci, z czego czwórka nie była jej. Nie miała oparcia w mężu, ani później w kochanku – ojcu Anki. Być może to jej wieczne poplątanie wynikało stąd, że sama szukała miłości.

Tak! Biorę sprawy w swoje ręce!

Wstaję i zmierzam w stronę rejestracji, aby odwołać wizytę. Po co tracić czas, skoro znalazłam terapię idealną? W tym momencie do poczekalni wchodzi lekarka.

– Dzień dobry, pani Klaudio. Przepraszam za spóźnienie, proszę poczekać, zaraz panią przyjmę – wyrzuca jednym tchem.

Dobrze, skoro przyszła, poproszę ją o pomoc. Dostanę tabletki, po których mój głos przestanie się łamać, nie będę miała ataków nagłej duszności i panicznego strachu. Muszę szybko się zregenerować i zebrać siły, aby ostatni raz stawić czoła Mariuszowi. Niech sobie weźmie rozpoczętą budowę, niech zabiera telewizor, który kupił zaraz po ślubie, niech pozbiera wszystkie swoje rzeczy i zniknie z mojego życia na zawsze! Wytrzymam jeden rok razem z nim w tej samej wsi, a kiedy skończy się kontrakt – wyjadę z Jodłówek.

Z tym postanowieniem wkraczam do gabinetu.

– Co panią do mnie sprowadza? – Pani doktor uśmiecha się zachęcająco, a ja czuję narastającą panikę. Nie mogę nic wykrztusić, łapię nerwowo powietrze. – No spokojnie, proszę się nie denerwować. Co się dzieje? Jakie ma pani objawy?

Opowiadam o ostatnim fatalnym samopoczuciu. Kobieta wszystko skrzętnie notuje, zadaje mnóstwo pytań.

– To wygląda na depresję, ale nim coś pani zapiszę, musimy zrobić rutynowe badania. Mocz, krew, może EKG... Zmierzę pani ciśnienie, proszę podać rękę.

Lekarka przykładła stetoskop w zagięcie mojego łokcia. Nadmuchuje pompką pas zaciskowy na ramieniu.

– Bardzo niskie ciśnienie. Dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. Powinno być znacznie wyższe. Nie jest pani w ciąży?

– W ciąży? – wyrażam zdziwienie. – Nie, to raczej niemożliwe. – Wzruszam ramionami.

– Raczej. Niemożliwe – powtarza lekarka, oddzielając od siebie te dwa wyrazy. – A kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

Wyteżam pamięć. To musiało być dość dawno temu, chyba jeszcze w maju. Nie mogę sobie przypomnieć, ponieważ zawsze miałam nieregularne cykle. Namyślałam się. Kwiecień, maj... Mariusz słodki jak miód. Kochamy się niemalże każdej nocy, nie pamiętam o niedogodnościach związanych z krwawieniem. Później złapałam przeziębienie, zaczęły się bóle głowy i dreszcze, ciągłe zmęczenie oraz wstręt do jedzenia...

– Na początku kwietnia – odpowiadam i tłumaczę: – To o niczym nie świadczy, zawsze miałam nieregularne miesiączki.

– Przecież jest pani mężatką.

– Zawsze się zabezpieczamy.

– Jak?

– Prezerwatywy.

– Około dziesięć kobiet na sto zachodzi w ciążę, mimo ich stosowania. Zalecam te badania. – Podaje mi skierowanie. – Istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że oczekuje pani dziecka. Tak czy inaczej, radziłabym skonsultować się z ginekologiem. Jeśli nie mam racji, doktor Mroziński na pewno zapisze coś na uregulowanie cykli.

Robi mi się duszno.

Ciąża?!

O Boże, to niemożliwe! To jakiś zły sen! Ja nie mogę mieć dzieci! Nigdy ich nie planowałam, nie chciałam! Mariusz też nie. On się wścieknie, jak mu powiem! Co gorsza, w tej sytuacji rozwód chyba nie jest najlepszym pomysłem.

To niemożliwe! To po prostu niemożliwe...

Lekarka na pewno się myli. Udowodnię jej, że przyjęła błędne założenie! Zrobię te badania już jutro, nie będę zwlekać.

Mariusz nie wrócił na noc, nie było go cały dzień. Siedzę sama w mieszkaniu, a właściwie kulę się pod kocem, ponieważ wciąż trzęsie mną zimno. Nawet lepiej, że męża nie ma, mogę spokojnie ocenić sytuację.

Dziecko?

Miałam zrobić badania, lecz rano brakło mi sił. A może po prostu usiłuję odwlec wyrok, który zapadnie w chwili, gdy lekarka przeanalizuje wyniki?

Wszystko wywróci się do góry nogami. Nie będę mogła rozstać się z mężem. Bo niby jak poradzę sobie z dzieckiem, wynajmowaniem

mieszkania i wszystkimi problemami, które temu towarzyszą?

Nie, niemożliwe, lekarka musiała się pomylić!

Gdzie jest ten cholerny drań? Dlaczego nie siedzi tutaj i nie podnosi mnie na duchu? Powinien mnie tulić, zapewniać, że wszystko będzie dobrze, nie jestem sama i że mam jego.

Gówno prawda! Nigdy go nie miałam. Nie jest moją własnością, to raczej on traktuje mnie jak przedmiot, który można rozstawiać po kątach.

Jestem rozpaczliwie samotna!

Otulałam się pledem. Wciąż świeci słońce, a mnie jest zimno. Nie mogę się rozgrzać, dygoczę.

Najgorsze są myśli krążące po mojej głowie.

Nie jestem w ciąży. Nie jestem w ciąży. Nie jestem w ciąży. Niejestemwciąży. Niejestemwciąży. Nie jestem... Nie mogę być! Nie z draniem, którego tak bardzo nienawidzę za moją depresję, za piekło małżeńskie, które mi zgotował, za wszystkie obietnice bez pokrycia, za brak zrozumienia, wsparcia i ciepła.

Z letargu wyrywa mnie dzwonek do drzwi. Zrywam się jak oparzona. To nie może być Mariusz, on nigdy nie dzwoni. Nawet, gdyby nie miał kluczy, to najpierw nacisnąłby klamkę, a dopiero potem zaczęłyby się dobijać.

Niechętnie porzucam ciepły koc, spoglądam w lustro i ocieram łzy. Zapuchnięte oczy wyglądają okropnie. Natarczywy dzwonek nie pozwala mi na wycofanie się w głąb mieszkania i zrobienie makijażu, który nadałby choć trochę kolorytu woskowo bladym policzkom.

Zrezygnowana otwieram drzwi.

– Dawid? – dziwię się, gdyż on nigdy nie przychodzi pod nieobecność Mariusza.

– Klaudia? A co ty, płaczesz?

– Nie, nie! Ja tylko... Spałam. Obudziłeś mnie – kłamię.

– Aha. – W krótkim słówku słyszę niedowierzanie. – Jest Mariusz?

– Nie. Nie ma go, wyszedł.

– Kiedy? Teraz? Nie było go w pracy, myślałem, że coś się stało.

Stoimy w progu, Dawid spogląda na mnie podejrzliwie. Cofam się, żeby wpuścić go do mieszkania. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawialiśmy sam na sam. To musiało być jeszcze przed moim ślubem, podczas spaceru łąkami. Jak dawno temu to było! Jaka ja byłam wtedy szczęśliwa!

– Proszę, wejdź – mówię.

– Nie wiem, czy wypada wchodzić do mężatki pod nieobecność męża. –

Rozgląda się wokół. – A może on zaraz wróci?

– Wejdz – wzdycham. – Nie będziemy przecież rozmawiać w drzwiach.

Siadamy przy stole. Proponuję kawę, lecz Dawid odmawia. Przygląda mi się badawczo. Chciałabym umknąć przed czujnym spojrzeniem jego szarych oczu. Żałuję, że nie mogę po prostu zniknąć.

– Co z Mariuszem? – docieka Dawid.

– Wszedł wczoraj – mówię rozbrajająco szczerze.

Nie mam już sił na udawanie i kolejne kłamstwa wypowiedane w imię lojalności. Walczę ze łzami, przegrywam. Upokorzona opuszczam głowę. Po mojej twarzy płyną krople wielkie jak ziarna grochu. Ukrywam się za drżącymi dłońmi.

– Bydlak! Powinienem nakopać mu do tyłka – warczy Dawid.

Wstaje, nachyla się nade mną i po chwili tonę w uścisku jego mocnych ramion. Otacza mnie obcy zapach wody po goleniu, proszku, w którym pani Kasia uprała jego koszulę oraz woń świeżego drzewa, która zawsze mu towarzyszy. Dawid głaszcze mnie szorstką dłonią po policzku, wyciera łzy. Wtulam się w niego ze wszystkich wątłych sił, szukam punktu, o który mogłabym choć na pięć minut oprzeć mój chwiejny świat.

– Nie płacz, maleńka. Klaudysia, Klaudynka...

Szlocham, nie jestem w stanie zapanować nad emocjami.

– Już dobrze, już dobrze... Wszystko będzie dobrze – powtarza w kółko Dawid. – Czy on cię skrzywdził? Uderzył cię?

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, przeczę ruchem głowy.

Milczymy dłuższą chwilę. Kojąca moc ramion przyjaciela pozwala mi się uspokoić. Przystaję drzeć, szloch cichnie.

– Czemu tak płaczesz, maleńka? Co się stało? – wypytuje Dawid. – Mogę ci jakoś pomóc?

Siadamy przy pustym stole. Czarnota trzyma mnie za rękę. Do moich oczu wciąż nadpływają łzy. Nie potrafię nad nimi zapanować. Wiem, że jestem żałosna, wstyd mi, że Dawid widzi mnie taką. Milczymy razem. Jestem wdzięczna za brak dalszych pytań oraz za to, że nie naciska, daje mi czas na ochłonięcie i zebranie myśli. Ostatecznie, uspokojona, na ile jest to możliwe, sama zaczynam mówić. Opowiadam o moim dzieciństwie i ciotce, o przemocy fizycznej i psychicznej, o wyborze Dagmary, o reakcji Mariusza na tę historię oraz jak inaczej ułożyło się nasze małżeństwo, niż obiecywał mi to tamtej nocy.

– Myślałam, że go kocham i jest to miłość na całe życie. Teraz potrafię go

już tylko nienawidzić. Za każde słowo, które padło z jego ust, chociaż nie powinno i za każde słowo, które powinien był powiedzieć, lecz je przemilczał. Wysłałam za niego, ponieważ się zakochałam, ale wiem, że pomiędzy zakochaniem a pokochaniem zabrakło bardzo ważnego ogniwa.

Już nie szlocham, choć łzy nadal spływają z moich oczu. Nie szczędzę Dawidowi najdrobniejszych szczegółów, niczego nie przemilczam, nie upiększam, po prostu mówię.

Dawid

Kiedy Klaudia przestała mówić, cisza, która zapadła, rozdzwoniła się boleśnie w moich uszach.

Wstaję, przytulam rozedrganą dziewczynę. Teraz wiem, dlaczego tak bardzo chciała widzieć we mnie brata i przyjaciela. Ktoś musiał jej pomóc, dać oparcie. Przeżyła lata koszmaru.

Klaudia milczy. Widać, opowiedziała o wszystkim, co dźwigała na swoich wątłych ramionach. Brak mi słów. Chciałbym jej ulżyć, pocieszyć ją, lecz cokolwiek teraz powiem, będzie brzmiało trywialnie.

– Moja maleńka – mówię, obejmując ją ramionami. – Moja maleńka... To niewyobrażalnie straszne.

Biedna Klaudia, jest na granicy załamania psychicznego.

Jak mam jej pomóc? Samo przytulenie i pogłaskanie po głowie niewiele zmieni, podobnie jak słowa. Już raz usłyszała obietnice bez pokrycia z ust Mariusza. Zaufała mu, powierzyła ciężar swoich trosk, a ten drań wykorzystał jej bolesne wspomnienia, aby się nad nią pastwić, uzależnił ją od siebie finansowo i na każdym kroku podkreślał, że jest nikim i ma być posłuszna, ponieważ gdyby ją kopnął w tyłek, to nie miałaby dokąd pójść.

Zaciskam dłonie w pięści. W głowie rodzi się straszna, pełna nienawiści myśl – choćbym miał spędzić w więzieniu resztę życia, zabiję skurczybyka! Nic mu nie pomoże. Brzydzę się tym kundlem, który nie dość, że ukradł miłość mojego życia, to jeszcze tak bardzo ją unieszczęśliwił. Wyrwę Klaudię z łap degenerata, który zamiast docenić swój skarb, łązi z dziwkami po knajpach. Domyślam się, gdzie mogę go znaleźć, lecz nie chcę teraz zostawiać Klaudii samej – ona jest w całkowitej rozsypce.

Ocieram kciukami łzy płynące po jej twarzy i przyciskam usta do jej czoła. Boże... Ile razy modliłem się o to, by ją trzymać w ramionach, ale nie tak! Nie w taki sposób! Nie w tych okolicznościach!

Historia Klaudii wstrząsnęła mną do głębi – poczułem ból, jakby to na

moich plecach odbiły się pręgi po kablu, jakby w moje kolana wbijały się twarde ziarna grochu, jakby moją, nie Kazika dłoń włożono w ogień. Jakby to mnie Mariusz nie szczydził tych wszystkich awantur i wiecznych pretensji.

Cholerny nieudacznik, wyładowujący frustracje na bezbronnej kobiecie! Ona potrzebuje wsparcia, wyciszenia, miłości. Potrzebuje ciepła, by zapomnieć o chłodzie dzieciństwa. Potrzebuje... mnie, emocjonalnego brata. Wiem, że nigdy nie spojrzy na mnie jak na mężczyznę. Nawet jeżeli na jakimś etapie swojego życia poszukiwała miłości, Mariusz zabił w niej tę potrzebę. Zresztą dla mnie jako kobieta i tak jest stracona – należy do tego gnoja. Jeśli ją uwolnię od jego obecności, to pewnie nigdy więcej jej nie zobaczę, gdyż widokiem towarzyszącym mi do końca moich dni będzie krata w więziennym oknie. Gotów jestem nawet na to wyrzeczenie, byle Klaudia odzyskała spokój ducha.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Jesteś dla mnie jak siostra – mówię. – Zaopiekuję się tobą, coś wymyślę. Tylko już nie płacz, maleńka. Jadłaś coś? – Zaprzeczenie. – Jesteś głodna? – Kolejne zaprzeczenie. – A może powinnaś się położyć? Musisz odpocząć. Na pewno chcesz iść jutro do pracy?

– Muszę. Jest zakończenie roku szkolnego.

– Dasz radę? – wyrażam niepokój. – Jesteś strasznie mizerna. Martwię się o ciebie.

– Dam radę. Prześpię się, a rano zrobię mocniejszy makijaż. – Sili się na uśmiech.

Nie zmyli mnie. Dobrze wiem, jak cierpi.

Zostaję z Klaudią jeszcze jakiś czas. Proszę, aby się położyła. Idę za nią do sypialni i otulam ją kocem. To dziwne, że drży z zimna i ma takie chłodne dłonie, gdy na zewnątrz panuje czerwcowy skwar. Siadam na podłodze obok łóżka, przyglądam się jej wycieńczonej twarzy.

– Powinnaś pójść do lekarza, Klaudynko. Wiem, że może to dla ciebie krępujące, ale sama nie dasz sobie rady, ta rozpacz cię wyniszcza. Marniejesz w oczach, bardzo schudłaś w ostatnich dniach, jesteś bledziutka – głaszczę pergaminowo biały policzek.

Klaudia przytrzymuje moją dłoń na swej twarzy. Wciąż ma oczy pełne łez.

– Nic mi nie będzie – zapewnia. – Byłam wczoraj u lekarki. Dała mi skierowanie na badania. To tylko depresja. Już to przerabiałam.

– Klaudyś... To nie jest „tylko depresja”. Nie lekceważ tego. Obiecuj mi, że o siebie zadbasz – naciskam.

Muszę wiedzieć, że mogę ją zostawić samą i pozbiera się, gdy mnie

zabraknie.

– Obiecuj mi – powtarzam.

– Obiecuję – mówi potulnie.

– Pójdę już, a ty wypoczywaj. Bez względu na to, co się wydarzy, wiedz, że kocham cię jak siostrę – kłamię, ponieważ w mojej miłości do niej nie ma nic z braterskich uczuć. – Pamiętaj, Klaudynko – dodaję, całując ją w czoło na pożegnanie.

– Ja też cię kocham, Dawid. Żałuję, że nie jesteś moim prawdziwym, rodzonym bratem. Jesteś mi bliższy niż Kazik.

Moje serce kolejny raz pęka na milion drobnych kawałków – gorzki jest smak tej miłości.

Dłużej niż to konieczne ściskam dłoń ukochanej. Spoglądam w zaczerwienione płaczem oczy. Chcę, aby ten widok towarzyszył mi do końca moich dni, bo po tym, co zamierzam zrobić, nie wątpię, że dostanę dożywocie. Wspominając ból w jej źrenicach, będę utwierdzał się w przekonaniu, że zrobiłem to dla jej dobra.

Nachylam się i dotykam wargami mokrego policzka – braterski całus na pożegnanie, na nic więcej nie mogę sobie pozwolić.

To straszne – poznać miękkość skóry, przekonać się, jak doskonale jej głowa przylega do mojego obojczyka, poczuć z bliska zapach ciała i włosów w chwili, która prawdopodobnie jest naszym pożegnaniem. Być może, wbrew temu, co Klaudia twierdzi, nie przestała kochać Mariusza. Istnieje prawdopodobieństwo, że tego, co zrobię, nie wybaczy mi nigdy.

– Śpij spokojnie, Klaudynko – mówię, a później cicho zamykam za sobą drzwi.

Wychodzę w gwieździstą, czerwcową noc. Świerszcze wygrywają koncert. Towarzyszy im chór żab, brzęk komarów, pohukiwanie puszczyka.

Zadziwiająco, jak bardzo mam w tej chwili wyczułone zmysły.

Ogarnia mnie ogień – jestem jak w gorączce. Wszelkie bodźce odbieram ze zdwojoną mocą, lecz w świadomości mam tylko jedną myśl: zabić tego gnoja.

Biegnę. Nie czuję zmęczenia – nie mam zadyszki, pokonując kolejne wzniesienie. To rozgrzewka przed bitwą, ponieważ zamierzam zatłoc Mariusza na śmierć. Skręcę mu kark jak nędznemu robalowi. Mam dość siły w ramionach, a on nie należy do osiłków – tylko w gębie jest mocny.

Przyjemny chłód owiewa moje skronie. Zmierzam do pubu, tam najprędzej

znajdę tego bydlaka. Oczywiście wyobraźni już widzę, jak wywlekam go na zewnątrz, wygarniam mu w twarz, co o nim myślę i słyszę chrupnięcie kości kręgosłupa, gdy stalowym uściskiem wykręcam jego głowę. Będzie zdychał z poczuciem, że zniszczył życie całej naszej trójce.

Zatrzymuję się przed drzwiami. Już mam nacisnąć klamkę i wejść, gdy nagle uświadamiam sobie, że to, co chcę zrobić, to straszna niedorzeczność.

Przecież Klaudia może się z nim rozwieść, wcale nie muszę brudzić sobie rąk tym ścierwem. Dlaczego mam robić coś, czego nigdy by mi nie wybaczyła? Przecież go kochała, może nadal kocha! Nie mam prawa odbierać życia. Muszę to jakoś inaczej rozwiązać, ale jak?

Siadam na ławce, chowam twarz w dłoniach. Znowu widzę zapuchnięte płaczem oczy Klaudii, widzę jej rozpacz, desperację... Dlaczego ona się na to godzi? Dlaczego od niego nie odeszła? Musi go kochać, mimo wszystko.

Wiem, jak ślepa i nieracjonalna jest miłość, jak trudno wykorzenić ją z serca. Wściekłość zalewa mi oczy, rzuca pomroczność na umysł. Znowu pragnę zabić Mariusza. Ten bydlak na nią nie zasługuje!

Nie wytrzymuję. Dzika furia popycha mnie do przodu. Otwieram drzwi, jak burza wpadam do pubu. Z daleka widzę Mariusza, siedzi przy barowym stole z tą małą puszczałką od Filipiaków. To podsycia mój gniew. Toruję sobie przejście, kopiąc w krzesła zastawiające mi drogę. Nie zwracam uwagi na zaniepokojone spojrzenia rozstępujących się przede mną ludzi. Idę wprost do Mariusza, który już mnie dostrzegł i przestał chichotać z Martą. Odsuwa się od niej, spogląda na mnie z niepokojem. Jest wstawiony. Staję o krok od niego, owiewa mnie oddech cuchnący alkoholem.

– Ty! – Tylko tyle jestem w stanie wykrztusić.

Łapię go za kołnierz.

– No co ty? Dawid?! Pogięło cię?!

Mariusz wije się jak piskorz, lecz ze mną nie ma szans. Zawsze byłem od niego silniejszy, przynajmniej w tym mam nad nim przewagę. Łapię go za kark i popycham w stronę wyjścia. Mimo wściekłości dociera do mnie, że nie powinienem demolować pubu, Jacek nic mi nie zawinił. Mijam zdziwione twarze, nie słucham dobiegających głosów, nie zwracam uwagi na szarpiącego się Mariusza. Człowiek, którego do niedawna nazywałem przyjacielem, nawet nie próbuje się bronić. Czuję obrzydzenie do tego żalostnego typu.

Kopniakiem otwieram drzwi, a potem na zbity pysk ciskam Mariuszem

o głebę. Gramoli się bezradnie, więc daję mu czas, aby się pozbierał.

– Pojechało cię?! O co ci, kurwa, chodzi?! – wrzeszczy, nieco orzeźwiony świeżym powietrzem.

Nie może utrzymać równowagi, choć stoi w lekkim rozkroku. Bez ostrzeżenia ładuję go w głebę tak mocno, że znowu zarywa w trawnik.

– Odbiło ci?! Co jest, kurwa?! – mamrocze, podnosząc się.

– Już ty dobrze wiesz – warczę, wymierzając kolejny cios.

Mam gdzieś, że jest ode mnie słabszy, alkohol utrudnia mu koncentrację i ledwo stoi na nogach, nie wspominając o tym, aby dosięgnął mnie pięściami. To niehonorowa walka, ale czy on był honorowy, zdradzając żonę, pokpiwając z jej przeszłości i raniąc ją na każdym kroku? Teraz chcę mu oddać z nawiązką za wszystkie krzywdy wyrządzone Klaudii. Niech poczuje to samo upokorzenie, którego doświadczała, gdy robił z niej pośmiewisko na oczach całej wsi, szlajając się z miejscową zdirą.

Ignoruję otaczające nas krzyki, wyrywam się ramionom, które usiłują mnie powstrzymać. Spuszczam Mariuszowi regularny łomot, a gdy pada ostatni raz, zalany krwią z rozciętej głebę, zaciskam palce na jego blond kołtunach i odchyłam głowę tak, by mógł na mnie spojrzeć.

– Mógłbym cię zabić, gnoju – syczę – ale szkoda sobie brudzić ręce. A jeśli pytasz *za co?*, to odpowiedź znajdziesz w swoim domu. Klaudia jest dla mnie jak siostra i jeśli jeszcze raz przez ciebie zapłacze, to, jak mi Bóg miły, zabiję cię. Bądź pewny, że następnym razem ci nie odpuszczę. Słyszysz, kurwa, co do ciebie mówię?! Słyszysz?! A jutro, siódma rano, meldujesz się w warsztacie, żebym nie musiał wywalić cię z roboty na zbity pysk.

– Nie masz prawa. Jesteśmy współnikami – bełkoce.

– Wspólnikami to jesteśmy ja i Klaudia – przypominam z jadowitą satysfakcją. – Ty masz gówna do gadania. Od tej pory udziały z zysku będę wypłacał jej, a nie tobie, żebyś nie przepuszczał forsy na dziwki.

– W dupie mam pieniądze – mruży, gramoląc się nieporadnie. Chciałby wstać, lecz brak mu sił, pada bezsilnie na głebę. – Ciebie też mam w dupie! Taki z ciebie kumpel, kurwa? Pojechało cię?!

Ignoruję go. Roztrącam sterczących wokół gapiów. Pod rynną okalającą dach nad pubem stoi beczka z deszczówką, a obok jest wiadro. Czerpię i wylewam kubel zimnej wody na łeb Mariusza. Kubas parska i wrzeszczy w niebogłosy.

– Wypierdalaj do domu – rzucam mu na odchodnym.

Zatrzymuję się nieco dalej i odwracam w stronę lokalu. Widzę, jak Mariusz chwiejnie wstaje, wyciera twarz w rękaw koszuli i, zataczając się, rusza w stronę szkoły. Za nim biegnie lamentująca Marta. Krzyczy, aby wezwać policję, czepia się Mariuszowej szyi, próbuje mu obetrzeć krew z twarzy, lecz ktoś domyślny odciąga ją na bok.

Biedna Klaudia, mam nadzieję, że ten skunks jej nie obudzi.

Klaudia

Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. Ukołysał mnie mój płacz i ciepłe słowa Dawida. Znowu poczułam bliskość, która łączyła nas przed jego wyjazdem. Obecność przyjaciela przyniosła mi pokrzepienie. Nareszcie wyrzuciłam z siebie wszystko, co mnie gnębiło. Nie wspomniałam jedynie o przypuszczeniach pani doktor. Jakoś nie mogę jej uwierzyć. To niemożliwe...

Po prostu niemożliwe.

Jako jedenastoletnia dziewczynka dobrze wiedziałam, skąd biorą się dzieci. Uczyłam się o tym na lekcjach biologii. W swej naiwności nie mogłam jednak przyjąć do świadomości faktu, że ta prawidłowość odnosi się do wszystkich – również do ojca i ciotki. Pamiętam, jak kilka miesięcy wcześniej nawrzeszczałam na koleżankę, która sugerowała, że skoro ciotka jest w ciąży, to znaczy, że musiała uprawiać seks z tatusiem.

– To niemożliwe! Nie oni! Przecież oni ze sobą nie sypiają. Nawet nie śpią w tym samym pokoju!

– No, to skąd będą mieli bachora? – zapytała.

– Nie wiem. Bo są małżeństwem i już! Oni nigdy by ze sobą nie poszli do łóżka, bo się nienawidzą, a dzieci są z kochania! – broniłam się naiwnie i głupio, nie dopuszczając do siebie myśli o tym, że owo *kochanie się* ma również sferę fizyczną.

Dzisiaj chce mi się śmiać z tamtej naiwności.

W nocy budzi mnie hałas dobiegający z drugiego pokoju i przekleństwa mamrotane półgłosem. Mariusz wrócił. Na pewno jest nieźle wypity. Nie zamierzam wstawać i wychodzić do niego. Jak sobie rozwali łeb o kant stołu, to będzie jego problem. Mam dosyć cuchnącego oddechu oraz awantur wszczynanych pod wpływem alkoholu. Jeszcze zdążymy porozmawiać na ten temat.

Naciągam kołdrę na głowę, aby odgrodzić się od atakujących mnie odgłosów. Jest mi duszno, gorąco i nieprzyjemnie, lecz trwam nieporuszona z obawy, aby nie zdradził mnie jakiś szelest. Ostatnie, czego mogłabym sobie życzyć w tej chwili, to nieszczerze, pijackie przeprosiny, które zapewne skończyłyby się kolejną sprzeczką albo, co gorsza, brudnym, odrażającym seksem. Moje ciało mówi zdecydowane *nie!*. Dostyc uległości, dotyku obmierzłych rąk i ust tuż po tym, jak zadawał się z inną. Z dwojga złego wolę leżeć stłamszona pod kołdrą i znosić niewygodę.

Hałasy cichną, a po jakimś czasie dobiega mnie głośnie chrapanie. Mariusz zawsze chrapie, jak popije. Nie sposób usnąć przy tych odgłosach, przypominających kwik zarzynanego wieprza. Wstaję, na palcach podchodzę do drzwi. Zamykam je cichutko i wracam w objęcia Morfeusza.

Rano Mariusza już nie ma, są natomiast ślady jego obecności: ubranie zwinięte niedbale w kłębek i wciśnięte do kosza na brudy, rozrzucony na kanapie koc, szklanka z mętym osadem na dnie – prawdopodobnie pozostałość po aspirynie.

Nadal czuję się fatalnie. Przypominam sobie o zleconych przez panią doktor analizach. Siusiam do plastikowego kubeczka, a później biegnę do ośrodka zdrowia. Przezornie rejestruję się na poniedziałek do lekarki. Skoro już robię badania, niech od razu przejrzy moje wyniki. Na pewno jest to tylko anemia albo coś równie banalnego. W świetle czerwcowego poranka wierzę, że gadanina o ciąży była zwyczajną pomyłką.

Wracam do mieszkania, aby poprawić makijaż i włożyć elegancką sukienkę – wszak dzisiaj koniec roku szkolnego. Krytycznie oglądam twarz, na szczęście po wczorajszym płaczu nie dostrzegam większych spustoszeń. Kilka godzin mocnego snu dobrze wpłynęło na mój wygląd, chociaż nadal jestem blada i mam pod oczami ciemne obwódki.

Pociągam ostatni łyk kawy. Chcę umyć szklankę, lecz wyslizguje mi się z dłoni i z brzdękiem rozbija się w zlewozmywaku.

– To na szczęście – uznaję.

Czuję przyływ radości – takie zachwiania równowagi są normalne przy depresji. Napawam się chwilą spokoju, dobrze wiem, że nie potrwa długo. Kto wie, czy wieczorem znowu nie będę tonąć we łzach?

Dawid

Mariusz ma podbite oko, posiniaczoną twarz, rozciętą wargę i łuk

brwiowy. Ha, ha, ha! Nieźle go urządziłem! Stoi w drzwiach warsztatu, spogląda na mnie spode łba. To cud, że się zjawił. Prawdę mówiąc, nie liczyłem na jego obecność. Nie miałbym nic przeciwko pozbyciu się go z firmy, więcej z nim kłopotu niż pożytku. Zastanawiałem się już nad tym, czy nie spłacić Klaudii i nie zwolnić tego lesera, lecz powstrzymuje mnie obawa, że idiota wywiezie ją za granicę.

Może przyszedł pozbierać swoje rzeczy?

Wyłączam i odkładam na bok ręczną szlifierkę. Z satysfakcją patrzę na obitą gębę, choć mam obawy, czy Klaudia nie obraziła się na mnie o to, że tak urządziłem jej męża. Jedno jest pewne – to koniec przyjaźni. Przyznaję, że postąpiłem nazbyt impulsywnie. Tłukąc tego oszołoma, zatrasnąłem sobie drzwi do ich mieszkania. Wątpię, aby po tym wszystkim chciał podejmować mnie kurtuazyjną herbatką. Trudno, znajdę sposób, aby widywać Klaudię. Jakby na to nie patrzeć, jesteśmy przyjaciółmi, więc zrozumiałe, że zawsze będę interesował się jej losem. Nie muszę mieć zgody tego palanta, aby zamienić z nią parę słów.

No dobra, trzeba coś zrobić, nie możemy tak stać i mierzyć się wrogimi spojrzzeniami. Spróbuję podejść go z zaskoczenia.

– Jesteś – mówię krótko na powitanie. – Wczoraj rano podpisałem z proboszczem z Bielinek umowę na zrobienie ławek do kościoła. Pamiętasz? Parę tygodni temu byliśmy tam na pomiarach. Trzeba jechać do tartaku po deski. Załatwisz to czy wolisz wykończyć gabloty do Muzeum Regionalnego?

Dobrze wiem, że za nic w świecie nie pojechałby do tartaku. Po pierwsze: on się do tego w ogóle nie nadaje, po drugie: nigdy nie wyraża chęci wyjazdów, twierdzi, że nienawidzi użerania się z prostytutkami, po trzecie: choćby nawet lubił to zajęcie, to z taką gębą nie pojechałby między ludzi, żeby nie robić z siebie pośmiewiska. Celowo daję mu wybór, chcę, aby miał świadomość, że w warsztacie nic się nie zmieniło, przynajmniej na razie.

Bynajmniej nie robię tego przez wzgląd na dawną przyjaźń. Z perspektywy czasu już sam nie wiem, czy mogę nazwać przyjaźnią nawet to, co było między nami, zanim pojawiła się Klaudia. Robię to wyłącznie dla niej – nie potrafię pomóc w inny sposób. Ten głąb musi zarabiać. Nie dopuszczę do tego, aby wróciły rojenia o wyjeździe na zachód.

– Gabloty – mruczy Mariusz i bez dyskusji zabiera się do pracy.

Witek Duca, którego zatrudniamy do pomocy, też nic nie mówi, tylko pochyla się nad krzesłem w stylu neorenesansowym. Nie jest z naszej wsi,

więc pewnie jeszcze nie wie, że to ja tak załatwiłem Mariusza. W warsztacie zapada cisza, przerywana jedynie hałasem narzędzi.

Idę do domu, biorę kasę i kluczyki od furgonetki, którą kupiłem na wyjazd. Jadę zamówić drzewo na ławki. Może nawet uda mi się coś przywieźć. Przydałoby się chociaż trochę materiału, aby zacząć robotę.

W tartaku jest sporo ładnych, dobrze wysuszonych desek. Wprawdzie dla mnie to za mało, ale dobijam targu i zamawiam brakującą partię. Rysiek zaciera ręce, akurat ma w suszarni odpowiednią ilość. Za trzy tygodnie drzewo będzie gotowe do odbioru.

Załadowanym samochodem wracam do Jodłówek. Zaczyna padać, gdy docieram na miejsce. We trzech rozładujemy auto. Ostatnie deski zdejmujemy z paki w strugach ulewnego deszczu. Nie możemy ich zostawić na samochodzie. Mokre na pewno by się wykoślawiły i nie miałbym z nich pożytku. Przemakamy do suchej nitki, lecz drzewo jest ważniejsze od ubrań.

Dopiero na fajrant, gdy Witek odjeżdża, spoglądam Mariuszowi w oczy. Przez cały dzień skutecznie unikaliśmy rozmowy.

– I co teraz będzie? – pytam go obcesowo.

– Nie musiałeś robić ze mnie pośmiewiska na oczach całej wsi – warczy, dotykając podbitego oka.

– Należało ci się. Wszystko ostatnio olewałeś. Począwszy od pracy, a skończywszy...

– Chuj cię to obchodzi! – przerywa mi agresywnie.

– Obchodzi. Nie zmuszaj mnie, żebym jeszcze raz obił ci ryja.

– Nie masz prawa mieszać się w moje prywatne sprawy. Zasadniczo to nie powinienem być tu w ogóle przychodzić!

– Jasne! Najlepiej stchórzyć, zwiąć z podkulonym ogonem. Nie bądź idiotą. Może i zagalopowałem się wczoraj, ale należało ci się, jak mało komu. Radzę ci więc – mówię ostro – żebyś miał się na baczności. Obym więcej nie widział, jak twoja żona płacze, bo nie ręczę za siebie.

– A co ty, kurwa, masz do Klaudii?! Sypiasz z nią?! Przyprawiacie mi rogi?! – Widzę wściekłość w jego oczach.

Boże... Co za kretyn!

– Nie mierz Klaudii swoją miarą – odpowiadam tak spokojnie, jak tylko jest to możliwe. – Ona nigdy by cię nie zdradziła i ty dobrze o tym wiesz.

Sprzeczamy się w tym tonie dobrą godzinę. Mariusz odgraża się, że odejdzie z firmy, wrzeszczy na mnie, oskarża o romansowanie ze swoją żoną. W końcu nie wytrzymuję i łapię go za kołnierz. Rozkazuję mu zamknąć

dziób i w dosadnych słowach ujmuję, że ma się wziąć za życie. Nie wiem, ile dociera do tej zakutej pały, ale Mariusz przestaje się wydzierać i sprawia wrażenie, jakby przyjmował do wiadomości to, co do niego mówię.

Rozluźniam uścisk, pozwalam mu odejść. Muszę wierzyć, że nie będzie rozładowywał frustracji na Klaudii. Chętnie pognałbym za nim, żeby osobiście się o tym przekonać, ale dość już namieszałem. Po tym wszystkim wcale bym się nie zdziwił, gdyby Klaudia nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

Całe szczęście, zem się w porę opamiętałem. Pobicie Mariusza może mi kiedyś wybaczyć, gdybym go zabił... Wolę nawet o tym nie myśleć!

Klaudia

W pokoju nauczycielskim panuje hałas, lecz gdy wchodzę, koleżanki i koledzy milkną. Zapada nieprzyjemna cisza, widzę dziwne, znaczące spojrzenia. No ładnie. Czyżby pani doktor puściła plotkę o depresji? A gdzie tajemnica lekarska?

Wszystko, tylko nie to... – jęczę w duchu. Nie zamierzam tłumaczyć się przed nikim.

Na szczęście nikt o nic nie zagaduje.

Po raz ostatni w tym roku szkolnym rozchodzimy się do klas.

Staję przed drzwiami. Czuję wzruszenie. Zazwyczaj my, nauczyciele, marzymy o odrobinie ciszy i spokoju, tymczasem coś mnie boleśnie ściska. W sali wrze jak w ulu. Widać, uczniowie są już podekscytowani wakacjami. Wykrzykują coś jedno przez drugie. Uśmiecham się. Będzie mi brakowało tego gwaru. Moje dzieciaki!

Naciskam klamkę i wchodzę. Jeszcze przez moment klasa brzęczy głośnymi rozmowami, z których nie jestem w stanie wyłapać nic sensownego, gdyż dzieci przekrzykują się wzajemnie. Nareszcie ktoś mnie zauważa.

– Ej! Cicho! Pani przyszła!

– Przestańcie gadać!

– Cisza!

Na twarzach uczniów widzę niebywałe ożywienie. Nic dziwnego, za dwie godziny zaczynają się upragnione wakacje. Jeszcze tylko rozdanie świadectw i uroczyste zakończenie roku w sali gimnastycznej, gdzie zostaną wręczone nagrody.

– Proszę pani, czy to prawda, że wujek Pawła pobił się z pani mężem? –

Pada nagle zatrważające pytanie.

Ktoś syczy ostrzegawczo, a później wszystko zamiera w bezruchu. Cichną nawet najdrobniejsze szmery i szelesty.

Dawid pobił się z Mariuszem? Nie mogę uwierzyć, to musi być jakieś nieporozumienie!

Dawid?

O Boże! Mogłam się domyśleć, że on coś wykombinuje, w końcu to facet, zadziałał „po męsku”. Wcale go o to nie prosiłam! Czy aby nie odwieszą mu przez to wyroku? Co go podkusiło?!

Jeśli Dawid pójdzie siedzieć, to będzie moja wina! Nie powinnam była mu się zwierzać. Mogłam przewidzieć, że poczuje się zobowiązany, aby w moim imieniu spuścić lanie Mariuszowi.

Najgorsze jest to, że nie odczuwam współczucia dla męża.

Stoję jak idiotka przed gromadą jedenastolatków. Język mi skołowaciał. Czuję utkwiony w sobie wzrok wychowanków i gorączkowo zastanawiam się, jak wybrnąć z mało komfortowej sytuacji. Cokolwiek zaszło, nic o tym nie wiem. Nie widziałam Mariusza od kilku dni, chociaż część minionej nocy spędził w naszym mieszkaniu.

Jestem beznadziejną żoną.

Uchodzą ze mnie wszystkie pozytywne emocje.

– To nieładnie tak plotkować. Gdzie wasze maniery? – Staram się nadać głosowi stanowczość.

Skracam do minimum proces rozdawania świadectw. Pomędzy ławkami trwają gorączkowe rozmowy, tym razem prowadzone szeptem. Przed udaniem się do sali gimnastycznej wypyuję uczniów o ich plany wakacyjne. Staję na głowie, żeby odwrócić zarówno ich, jak i moją uwagę od rzekomej bójki.

Niestety, gdy dołączamy do pozostałych uczniów zgromadzonych w sali gimnastycznej, kłują mnie dziesiątki par oczu. Słyszę stłumione rozmowy prowadzone półgłosem, raz po raz padają imiona mego męża i przyjaciela. Ponownie uświadamiam sobie, że jak zwykle żona dowiaduje się ostatnia.

Przerabiałam to nie tak dawno temu, gdy Mariusz zdradzał mnie na oczach całej wsi, o czym wiedzieli wszyscy prócz mnie – najbardziej zainteresowanej idiotki. Jak widać historia się powtarza. Teraz upokorzenie zafundowali mi dwaj najważniejsi mężczyźni w moim życiu.

Z trudem znoszę ostrzał spojrzeń. Biernie uczestniczę w szkolnych uroczystościach. Dopiero słowa pani Magdy wrywają mnie z kokonu

zadumy.

– A zatem, moi drodzy, nie mówię *żegnajcie*, bo przecież będę was odwiedzać. Mówię jedynie *do widzenia*.

Rozglądam się oszołomiona i machinalnie biję brawo z innymi. Czyżby coś mi umknęło? Pani Magda odchodzi?

Przy wyjściu ze szkoły łapię Lidkę. Zagaduję ją o moje przypuszczenia. Przyjaciółka kręci głową z politowaniem, a później mówi:

– Nawet się nie dziwię, że byłaś obecna-nieprzytomna. Po tej bójce pewnie przez pół nocy niańczyłaś obolałego męża.

– Cii... – Rozglądam się wśród strzygących uszami uczniów i nauczycieli oraz rodziców, którzy dopisali tego dnia wyjątkowo licznie. – Chodźmy do mnie na kawę, pogadamy spokojnie.

Parę minut później siedzimy na niewielkiej werandzie. Zamiast kawy pijemy zimny sok. W szklankach grzechoczą kostki lodu. Słodko pachną późne piwonie kwitnące w cieniu żywopłotu. Dzieciarnia rozpierzchła się do domów, więc wokół nas słychać jedynie zwyczajne odgłosy wsi: porykiwanie bydła, gdakanie kur, warkot przejeżdżających w oddali samochodów.

– O co chodziło z Magdą?

– Złożyła rezygnację. Od września będzie dyrektorką w jakimś krakowskim gimnazjum.

– Źle jej tu było? – wyrażam zdziwienie. – Miała świetną fuchę: na miejscu, dobre stanowisko...

– To ty nic nie wiesz? Białeccy przeprowadzają się do Krakowa. Mąż Magdy dostał bardzo atrakcyjną pracę w mieście i już dawno kupił tam mieszkanie. Było do przewidzenia, że nie zostaną tutaj dłużej niż do końca roku szkolnego.

No tak – do tego stopnia pochłoneły mnie własne bolączki, że przestałam zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół.

– Niedobrze. Ciekawe, jak ta zmiana odbije się na mnie – wyrażam na głos obawy. – Mam umowę jeszcze tylko na rok. A jak nastanie nowy dyrektor, może być różnie.

– Na jakim świecie ty żyjesz, dziewczyno? Naprawdę jesteś oderwana od rzeczywistości! Poniekąd się nie dziwię, ale naprawdę nie słyszałaś, kto będzie teraz trząsł naszą szkołą?

– Nie. – Kręcę głową bezradnie.

Wyraz twarzy Lidki nie wróży nic dobrego. Chyba wolałabym nie

wiedzieć, lecz ona nie robi tajemnic z rzeczy oczywistych.

– Szymczykowa.

– Jadwiga?! – jęczę.

– A znasz kogoś innego o tym nazwisku?

– Nie mówisz tego poważnie...

Przyjaciółka spogląda na mnie wymownie. Obydwie dobrze wiemy, co to oznacza – Jadwiga nie należy do sympatycznych osób. Jest burkliwa i zgorzkniała, do wszystkich odnosi się z rezerwą. Nie rozumiem, czemu wybrała pracę w tym zawodzie.

– I co teraz?

– Nie martw się. Jakoś to będzie.

– Jakoś... – powtarzam za nią jak ponure echo.

Mam obawy o moje dalsze być albo nie być w Jodłówkach. Wszystko się sypie: praca, związek z Mariuszem. I jeszcze te nieszczęsne badania, których wyników oczekuję – to mnie przerasta. Czuję gorycz podpełzającą do gardła. Dlaczego nic mi się nie układa?

– Nie płacz – mówi Lidzia, głaszcząc mnie po ręce. – Klaudia, zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Mam już dość tego wszystkiego! Brakuje mi sił.

– Pracą się nie przejmuj – pociesza mnie przyjaciółka. – Tobie chodzi o wczorajszą bójkę, tak? O co im poszło? Przecież byli przyjaciółmi. Pracują razem. Znam dobrze Dawida i wiem, że z byle powodu nie rzuca się na ludzi z pięściami.

– Szkoda gadać. Nie mam pojęcia, czemu im odbiło – wykręcam się od wyznania prawdy.

Przecież jej nie powiem.

– Cała wieś huczy od plotek, że w nocy Dawid wywłókł twojego męża z pubu i obił mu głowę. Powiesz coś na ten temat? Jeśli nie chcesz mówić, to w porządku, nie obrażę się.

Spoglądam na nią. Wzdycham ciężko.

– Nic ci nie powiem, bo tak właściwie sama nic nie wiem.

– Ale jak to? A Mariusz? Nic ci nie powiedział? Przecież musiał jakoś usprawiedliwić swój wygląd.

Zagryzam wargi ze wstydu. W milczeniu spuszczam głowę.

Po chwili podnoszę wzrok. Komu innemu mogłabym się zwierzyć jak nie przyjaciółce? Psiakrew! Przecież nie muszę jej opowiadać o wszystkim, ale, do cholery, muszę się wyzalić!

– Pokłóciliśmy się z Mariuszem i nie widziałam go kilka dni. Wiem od Dawida, że do pracy też nie chodził. Może o to się pobili. Tak naprawdę aż do momentu wejścia do klasy o niczym nie miałam pojęcia. Dobrze wiesz, że nasze małżeństwo dalekie jest od ideału.

Nie potrafię zapanować nad łzami. Lidia przytula twarz do mojego mokrego policzka. Głaszcze mnie po ramieniu.

– Chcesz o tym opowiedzieć?

Kręcę głową przecząco – dość zwierzeń. Nie, żebym jej nie ufała – nic z tych rzeczy. Po prostu wystarczy, że powierzyłam moje troski Dawidowi. On zrozumiał mnie jak nikt inny. Po co mam jeszcze zawracać głowę Lidce? To, czy opowiem moją historię również jej, nie cofnie czasu, nie zmieni przeszłości, nie przywróci wszystkich straconych chwil, które mogły być szczęśliwe, a zostały zmarnowane.

Na szczęście Lidka nie nalega. Siedzimy przytulone do siebie, ona kojąco głaszcze mnie po ramieniu.

– Faceci są podli – stwierdza. – Chyba nie wyjdę za mąż, jeśli tak ma to wyglądać.

– Nie wygłupiaj się – protestuję. – Nie wszyscy są tacy sami. Nie możesz rezygnować ze szczęścia.

– Jakie tam szczęście. – Wzrusza ramionami. – Szczęście, to by było wówczas, gdybym spotykała się z Dawidem, a nie Radkiem... – Jej głos dziwnie zaczyna się łamać.

– No co ty, Liduś... Aż tak źle? – Martwi mnie nagła zmiana nastroju przyjaciółki.

Dziewczyna potakuje.

– Widzisz, spotykam się z Radkiem, ponieważ chciałam wzbudzić zazdrość w Dawidzie. Niestety jego to nie obeszło. Co gorsza, namąciłam w głowie Radkowi i teraz bardzo się boję. On chyba zamierza prosić mnie o rękę, a ja nie jestem na to gotowa.

– Wciąż myślisz o Dawidzie?

– Otóż to. Sama powiedz, przecież się przyjaźnicie, co w nim jest, że tak pociąga dziewczyny? Ani on ładny, ani piękny, strasznie mrukliwy, mało co gbur. A jednak starczyłoby, żeby kiwnął palcem, a niejedna poleciałaby za nim na oślep. Co ty o tym myślisz?

– Nie wiem. Dla mnie jest jak brat. Nigdy nie zastanawiałam się nad jego wyglądem, a nad charakterem owszem. Jest wspaniałym człowiekiem – przyznaję.

– A widzisz? Też cię zafascynował – stwierdza triumfalnie Lidia.

– Poniekąd tak, ale nie w tym sensie, co ciebie. Naprawdę świetny z niego facet. Zachodzę w głowę, czemu nie ułożył sobie życia.

– Słyszałam, że przespał się z tą i ową, ale nigdy nie był w stałym związku. Szkoda, że tak się marnuje. Pominąwszy blizny po ospie, całkiem do rzeczy z niego facet. Wysoki, krzepki, nie obrósł w tłuszcz jak jego rówieśnicy. I włosy ma ładne, i oczy. Wcale mi nie przeszkadzają te dziury w twarzy, innym dziewczynom też nie. Już samo to, że jest artystą... – mówi z rozmarzeniem.

Wśród damskich pogaduszek moje przygnębienie mija jak ręką odjął. Wyrzucam z pamięci bójkę Mariusza z Dawidem, skupiam się na wynurzeniach przyjaciółki.

Ależ ją wzięło, bidulkę!

Rozmowę przerywa deszcz, który przegania nas z werandy.

– Czas na mnie – reflektuje się Lidka. – Okropnie się zasiedziałam!

Jest mi smutno, gdy wychodzi.

– Nie martw się, będę do ciebie zaglądać – mówi na odchodnym.

– Dzięki. Jesteś kochana.

Zostaję sama. Spekuluję, gdzie przez cały dzień przebywa moje ślubne nieszczęście. Nie wierzę, że rano tak po prostu wstał i poszedł do pracy. Stawiam raczej na to, że udał się do matki albo tamtej dziewczyny i prawdopodobnie znowu wróci pijany.

O ile wróci.

Wrócił. Stał w drzwiach bez słowa. Zaskoczył mnie widok jego twarzy – Dawid spuścił mu konkretne lanie. (Czy on też tak strasznie wygląda?) Mimo wszystko nie żał mi Mariusza, nie potrafię zmusić się do litości. Mierzę go wrogim spojrzeniem, w żaden sposób nie zamierzam mu pomagać.

Co zrobi? Urządzi awanturę, że nasłałam na niego Dawida? Przecież tak nie było! Nawet przez myśl mi nie przeszło, że wezmą się za łby.

– Jestem – mówi, spoglądając na mnie niepewnie.

– Nie sposób nie zauważyć – odpowiadam obojętnym tonem. – Ładnie zaszalałeś – pokpiwam.

Nie dam mu satysfakcji, nie pozwolę, aby obarczył mnie winą za pobicie. Znam go i wiem, że chętnie rozładowałby frustrację na mnie. Nie mogę do tego dopuścić, muszę stawić mu czoła, nawet jeśli znowu pół nocy przepłaczę w poduszkę. Jeszcze dość niepewności przede mną, a ja nie mogę

sobie pozwolić na słabość. Jeżeli faktycznie jestem w ciąży, będę musiała pozierać się do kupy, ponieważ do tej pory byłam w rozsypce. Już nigdy nie wolno mi dopuścić do tego, by on tak się zachowywał – rodzicielstwo to nie przelewki, moje dziecko nie będzie dorastało w skisłej atmosferze niechęci. Nie zafunduję mu powtórki z tego, co przerobiłam na własnej skórze.

Na razie o niczym nie mówię. Zachowuję rewelację dla siebie. Wolę nie znać reakcji Mariusza na wypadek, gdyby okazało się, że to tylko absurdalna pomyłka. Przypuszczam, że mąż nie byłby zachwycony taką nowiną. Nigdy nie wspomniał o powiększeniu rodziny. Wręcz przeciwnie – niejednym raz podkreślał, jak bardzo irytują go wiecznie zapłakane niemowlęta.

Mariusz dotyka posiniaczonej twarzy, która przypomina groteskową maskę. Opuszcza wzrok. Czyżby zabrakło mu języka w gębie?

– Przepraszam – mówi ze skruchą.

Czy prawdziwą? Już nieraz mnie przeproszał i nic z tego nie wynikało.

– Nie chcę twoich przeprosin. Jak do tej pory żadne nie były szczere. Przyszedłeś po swoje rzeczy? – Rzykuję pokerową zagrywkę.

Celowo stawiam wszystko na jedną kartę. Albo ze mną zostanie i będzie się zachowywał jak należy, albo pał go lichem, jakoś poradzę sobie sama. Może w poniedziałek usłyszę, że to tylko niegroźna anemia połączona z depresją i wówczas mąż nie będzie mi do niczego potrzebny.

Mój głos brzmi spokojnie.

– Nie przyszedłem po rzeczy. Przecież wróciłem na noc... – tłumaczy idiotycznie.

– Gdzie byłeś cały dzień? – pytam obojętnie. Tak naprawdę wcale mnie to nie interesuje. Co on może zaserwować mi w tej chwili? Kolejne kłamstwo?

– W pracy.

Unoszę głowę, przyglądam mu się badawczo.

– Doprawdy? Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Wczoraj wzięliście się za łby, a dziś grzecznie pracowaliście ramię w ramię? – pokpiwam.

– Naprawdę byłem w pracy, Klaudia. Nie wierzysz mi?

– Tobie już w nic nie uwierzę.

– Zapytaj Dawida.

– O co się pobiliście? – atakuję brawurowo.

– O nic.

– Taa... Jasne. Byliście przecież przyjaciółmi. Przyjaciele nie tłuką się o nic na oczach całej wsi. Słuchaj, ja nie wiem, co jest grane i nie chcę znać prawdy. Mam już tego dosyć, rozumiesz? Nie będę więcej świecić oczami za

ciebie. Zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji mnie stawiasz? Mariusz! Cholera! Przecież jestem nauczycielką! Jak mam zdobyć szacunek i posłuch, skoro cała wieś huczy od plotek na nasz temat? Na każdym kroku robisz ze mnie idiotkę. Ja już tego nie dźwigam!

– Przepraszam – powtarza.

– A co mi z twoich przeprosin?! Ty zawsze przepraszasz, a później robisz swoje. Zostaw mnie! Idź na piwo, na dziewczyny, do matki, gdziekolwiek! Tylko daj mi święty spokój. Nie zmuszaj mnie, żebym wywaliła twoje rzeczy na deszcz.

Mariusz podchodzi od tyłu, obejmuje mnie ramionami, przytula się do pleców. Sztywnieję.

– Przepraszam cię, Klaudio. Wiem, że jesteś wściekła. Nie zasługuję na ciebie. Jestem do niczego, nic mi nie wychodzi. Ja też tego nie dźwigam. Budowa, ciągły brak pieniędzy, życie w wynajętym mieszkaniu... Pogubiłem się w tym wszystkim. Proszę cię, Klaudia, wybacz mi. Sprzedajmy dom w cholere i zacznijmy wszystko od nowa. Wyjedźmy jak najdalej stąd. Tam, gdzie nikt nas nie zna i nie będzie wlekle się za nami echo porażek. Tutaj i tak nic nie osiągniemy. Sama widzisz, jak się to wszystko nie składa. Proszę, króliczku.

– Mariusz, przestań! Już to przerabialiśmy. Nie wyjadę za granicę, tam byłabym nikim, rozumiesz? Kocham moją pracę, nie potrafię robić nic innego.

– Przecież nie musimy jechać za granicę. Po prostu wyjedźmy z tych pieprzonych Jodłówek. Duszę się w tej dziurze, tutaj każdy wtyka nos w cudze sprawy, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Proszę, Klaudia. Wiesz, że cię kocham.

Nachyla się, zagląda mi w oczy jednym okiem, drugie ma zasłonięte zapuchniętą powieką. Nie dziwię się, że wzięło go na wyjazd. To musiał być spory wysiłek – paradować po wsi z obitą gębą. Coś mi podpowiada, że Dawid, nawet jeśli jest równie potłuczony, nie musi chodzić ze zwieszoną głową.

– A niby dokąd mielibyśmy pojechać? Przecież obydwoje tutaj pracujemy, tutaj budujemy dom, mamy przyjaciół, ty masz rodzinę.

– Do Krakowa chociażby. Gdybyśmy sprzedali dom, taki jak jest, nawet niewykończony, spokojnie moglibyśmy kupić jakieś mieszkanko na wtórnym rynku. Kraków jest blisko, moglibyśmy odwiedzać przyjaciół i rodzinę, kiedy tylko byś chciała. A i o pracę byłoby tam łatwiej – argumentuje zapalczywie,

widać, wierzy w to, co mówi.

Może to nie jest zły pomysł? Zacząć wszystko od nowa, oderwać go od zdziiry, z którą wciąż mnie zdradza.

Wyzwalam się z jego objęć. Przechodzę kilka kroków tam i z powrotem.

– Przemyślę to – mówię – ale nie obiecuj sobie zbyt wiele.

Mariusz dopada mnie jednym susem, gniecie w uścisku ramion, czuję jego wargi na policzku. Uchylam głowę w bok. Nie chcę, by całował mnie w usta.

– Daj mi trochę czasu. Nie ukrywam, że jestem na ciebie wściekła i tym razem to już nie są przelewki.

Następnego dnia, gdy robię zakupy, spotykam w sklepie Dawida. Ku mojemu zdziwieniu, jego twarz nie nosi żadnych śladów bójk. Widząc mnie, mężczyzna robi minę pełną skruchy.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz? – szepce i wskazuje głową na drzwi.

– Jak skończę robić zakupy – odpowiadam.

Chętnie zamienię z nim parę słów. Cokolwiek zrobił Mariuszowi, nie mam do niego pretensji. Dobrze wiem, że nie na długo odmienił mojego męża, choć od powrotu do domu, Mariusz jest potulny jak baranek: sam zrobił dla nas kolację, nie przeszkadzał mi, gdy pisałam do Ewy, obejrzał po cichu jakiś film w telewizji. Później zapytał, czy wolę, żeby spał na kanapie, czy może wrócić do sypialni. Z całym okrucieństwem wcisnęłam mu do rąk koc oraz poduszkę i wskazałam palcem kanapę. Nie skomentował tego w żaden sposób. Dziś od rana snuje plany przeprowadzki do miasta i jak może, stara się mi nadskakiwać.

Dawid

Klaudia uśmiecha się na mój widok. Uff... Dobrze jest widzieć blask w jej oczach. Kamień spadł mi z serca. Już się bałam, że jest na mnie wściekła i jak mnie zobaczy, to zmyje mi głowę i pośle do diabła. Walczę z chęcią porwania jej w ramiona i zamknięcia w niedźwiedzim uścisku, lecz powstrzymuje mnie obawa, żeby wsiowe plotkary nie dorobiłyby sobie do tego jakiejś pieprzonej historyjki. Nie boję się ludzkiego gadania, lecz chodzi mi o Klaudię – nie chcę, aby ją szkalowano.

– Co ty narobiłeś, Dawid? – strofuje mnie łagodnie Klaudia, gdy wychodzimy przed sklep.

Ponieważ od wczoraj pada deszcz, chowamy się pod daszkiem. Stoimy

blisko siebie, wilgotne powietrze uintensyfikuje zapachy, czuję delikatne perfumy Klaudii.

Spoglądam na nią niepewnie, lecz nie widzę oznak gniewu.

– Nie masz do mnie żalu?

– Dawid, głuptasie, przecież mogli cię zamknąć. Chciałbyś, żeby odwiesili twój wyrok?

– To już przedawnione. – Wzruszam ramionami i ogarnia mnie wstyd. – Wiedziałaś?

– Jodłówki to mała dziura, tutaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich – mówi. – Oczywiście, że wiem. Wiem też, za co cię skazali, ty... wybawco uciśnionych – uśmiecha się szeroko. – I po co ci to było?

– Nieważne. Zasłużył sobie na łomot. Mam nadzieję, że wyciągnął wnioski.

– Wyciągnął, wyciągnął – potwierdza. – Nie powinieneś być ryzykować, Dawid!

– Klaudyś, ja musiałem. Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. Nie mogłem patrzeć na to, co się dzieje. Już dawno powinienem był nakłaskać mu po ryju. Od powrotu z Irlandii wciąż się we mnie gotowało, gdy widziałem, jak on cię traktuje. Ten bydlak nie zasłużył na ciebie. Przepraszam, Klaudynko, wiem, nie powinienem tego mówić. I pomyśleć, że kiedyś był moim przyjacielem... – Kręcę głową.

– Co teraz będzie? Z waszą przyjaźnią i pracą?

– Nie wiem – przyznaję. – Wprawdzie wczoraj był w warsztacie, ale nie mam pojęcia, w jakim kierunku to zmierza.

Szepcemy między sobą, gdy ze sklepu wychodzi Jakubowa – największa plotkara w całej wsi. Odskakuję w tył jak oparzony, co dość głupio wygląda i tylko będzie wodą na młyn dla tej wiedźmy. Kobieta mierzy nas sępiim wzrokiem i odchodzi w deszcz, cały czas oglądając się w naszym kierunku.

– Nawet nie chcę myśleć, co jeszcze dzisiaj będzie o nas wygadywać połowa Jodłówek – mówi Klaudia pozornie lekkim tonem. – Rozmawiam jakby nigdy nic z facetem, który nakładł po gębie mojemu mężowi. Jakubowa gotowa pomyśleć, że to ja cię na niego nasłałam. – Markotnieje, gdyż uświadamia sobie, że naprawdę tak będzie.

– Przepraszam cię, Klaudyś. Prawdę mówiąc, trochę mnie poniosło. Nie powinienem był, ale na myśl o tym wszystkim, co powiedziałaś, nie mogłem się powstrzymać.

– Och, Dawid! Obiecuj, że więcej tak nie zrobisz. Zbyt wiele ryzykowałeś,

nie warto było, mogłeś wpakować się w nieliczne kłopoty.

– Uwierz mi, że było warto – mówię. – Wystarczy tylko spojrzeć na ciebie dzisiaj i porównać widok z przedwczorajszym. Bez wahania zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby Mariusz mnie zmusił.

Nie do końca jestem z nią szczery. Przecież nie powiem, że na myśl o ich pojednaniu ściska mnie w dołku.

Czy godzili się namiętnie?

Kludia

– No i mamy ciążę – mówi lekarka, a ja czuję, jak na moje ciało występuje gęsia skórka. Momentalnie tracę zdolność oddychania. – Wszystko w porządku, pani Kludio?

– Tak, tak – odpowiadam, choć przed oczami wirują ciemne płatki. – To pewne?

– Jak najszybciej powinna pani udać się do doktora Mrozińskiego. Ja wprawdzie nie specjalizuję się w ginekologii, ale dla mnie sprawa jest oczywista, będzie pani matką.

Wracam do domu doszczętnie zdruzgotana.

Ciąża. Dziecko. Będę matką.

O Boże! Powinnam powiedzieć Mariuszowi. Jak on zareaguje? Ucieszy się czy będzie wściekły? Z głębokim przygnębieniem stawiam na tę drugą opcję.

Z niedowierzaniem przykładam dłoń do wciąż płaskiego brzucha. To oczywiste, że nie czuję ruchów. Każdy dotyk sprawia mi teraz dyskomfort, wszystkie ubrania stały się nagle niewygodne, czuję napięcie w piersiach i mam okropne mdłości. Przez ostatnie tygodnie udawałam, że nic takiego nie ma miejsca, a to, co odczuwam, jest efektem przejedzenia lub głodu, niewyspania, depresji i tysiąca innych powodów, z których żaden nie był ciążą – tak bardzo broniłam się przed tą myślą.

Nie odejdę od Mariusza. Sama sobie nie poradzę. Teraz on będzie miał mnie w garści, znowu będzie panem sytuacji. Nie chcę, żeby mną pomiatał! Nie chcę być w ciąży, chcę odzyskać moje dawne życie!!!

Tylko które życie? To sprzed ciąży, sprzed ślubu czy może sprzed przyjazdu do Jodłówek? Ależ to wszystko beznadziejne! Cały mój świat zrobił właśnie obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Szczypię się z całej siły w przedramię, lecz to nie sen.

Pamiętam, jak dawno temu oglądaliśmy jakiś serial w telewizji – jedna

z bohaterek bardzo chciała mieć dziecko. Rozpaczała, że nie może zajść w ciążę. Ciotka śmiała się z dezaprobatą.

– Co za debilka – powiedziała. – Żadna kobieta nie chce mieć dzieci. Ona nawet nie wie, jak to boli, gdy się rodzi! W ciążę się zachodzi i już, czy tego się chce, czy nie!

Brawo, ciociu!

Rozdział 8

Szum deszczu

Dawid

Deszcz pada kolejny dzień.

Mama zmyła mi głowę za bójkę z Mariuszem. Poczułem się jak szczeniak, który ledwo odrósł od ziemi.

– Byliście przyjaciółmi! Jak mogłeś? – zapytała na koniec łamiącym się głosem. – Byłam rano w sklepie, cała wieś huczy od plotek. Coś ty najlepszego narobił! Jakubowa wciąż miele ozorem, że najpierw pobiłeś Mariusza, a później chichrałeś się pod sklepem z jego żoną. Już snuje domysły, czy Klaudia nie poszczuła cię na niego za to, że ją zdradzał. A to tylko krok od tego, żeby was posądzano o Bóg wie co!

Mogłem się domyślić. Ludzie są podli. Psiakrew, czy nikt nie ma większych problemów nad wtykanie nosa w cudze sprawy? Lepiej, by jedna z drugą popilnowała własnego chłopca i dzieci, a nie strzępiła jęzor pod sklepem.

– Klaudia o niczym nie wiedziała. Bójka to sprawa między mną a tym dupkiem.

– Powiedz to ludziom ze wsi – utyskuje. – Zdajesz sobie sprawę, że naraziłeś tę bidulkę na plotki? Mało sobie ludzie na niej używali, jak ją chłop zdradzał? Biedne dziecko. – Kręci głową. – Nie dość, że jest sama na tym świecie, nieboraczka, w nikim nie ma oparcia, teściowa ma ją za nic, a mąż ladaco, to jeszcze i ty musiałeś ją pogrzyźć?

Nie dziwi mnie, że matka stanęła po stronie tej biduli. Bardzo ją lubi, a i Klaudia garnie się do staruszki. Mama opowiadała mi, że gdy byłem w Irlandii, to właśnie ona była jej najczęstszym gościem. Pomagała

w domowych obowiązkach, zakupach, obieraniu porzeczek. A czasami zachodziła do nas tylko po to, żeby pogwarzyć i dotrzymać towarzystwa.

Biedna Klaudia. Teraz już wiem, czemu tak do niej lgnie – potrzebuje matki. Rodzona nie żyje, Kubasowa jej nie lubi, a o ciotce lepiej nie mówić. Logiczne, że skoro mnie upatrzyła sobie na brata, to moja matka dobrze wkomponowała się w tę wizję.

Narobiłem biedy tą bójką! Trudno, trzeba teraz zagryźć zęby i ponosić konsekwencje. A może powinienem pokazać się w pubie z Mariuszem? Gdybym zaprosił go na piwo – jedno, żeby ten idiota znowu nie zapił – to stępiłbym ostrze komentarzy? Ludziska musieliby przejść do porządku dziennego nad bójką, uznaliby ją za nieporozumienie i zostawiliby Klaudię w spokoju.

– Naprawię to, mammo, obiecuję. – Ściskam pomarszczoną dłoń staruszki.

– No myślę. To dobra dziewczyna, a tak jej się nie wiecie. Och, ten hultaj, ladaco! Czemuś ty się z nią nie ożenił?

– Woląłem tamtego – mamrocze, niezadowolony ze zmiany tematu.

– Pytałeś chociaż, czy cię zechce? Nie! Oczywiście – odpowiada za mnie.

– Jak zawsze schowałeś się za zasłoną włosów. Nawet nie spróbowałeś, a może miałbyś szansę? Oto cały ty. – Kręci głową z dezaprobatą. – A Lidka? Czemu z nią się nie umówisz, skoro nie wyszło z Klaudią? To też porządna dziewczyna.

No i rozgadała się, ech...

Mam prawie czterdzieści lat, włosy mi siwieją, a ona traktuje mnie jak smarkacza.

Klaudia

Nie mogę uwierzyć w ciążę – jeszcze nie powiedziałam Mariuszowi. Po pierwsze: u lekarki byłam przed południem, w czasie, gdy on jest w pracy, po drugie między nami trwa stan napięcia. Utrzymuję męża na dystans. Nie pozwalam mu się do siebie zbliżyć, nie wpuszczam go do sypialni. Na samą myśl, że dotykał innej i był w niej, robi mi się niedobrze.

Muszę powiedzieć Mariuszowi, że będziemy mieli dziecko – zrobię to wieczorem. Powinam zaplanować przyszłość, ponieważ ciąża wiele zmienia. Nie wiem, co będzie z pracą. Czy przysługują mi jakieś świadczenia, skoro moja umowa kończy się krótko po tym, jak urodzę dziecko? Pani doktor obliczyła przybliżony termin rozwiązania na początek grudnia. To oznacza, że nie dotrzmam w szkole nawet do końca semestru.

Zapewne Szymczykowa od razu odbierze mi wychowawstwo. Na myśl o tym czuję smutek.

A co z mieszkaniem? W tej sytuacji może być problem. Czy nadal będziemy mogli je wynajmować? Jadźka musi przecież zatrudnić nowego nauczyciela. Strasznie się to wszystko skomplikowało!

Powinniśmy pospieszyć się z wykończeniem domu. Wystarczy jeden pokój, kuchnia i łazienka. Nic więcej nie trzeba mi do szczęścia – byle mieszkać u siebie, a nie na cudzej łasce.

Martwi mnie, jak poradzę sobie z dzieckiem. Skąd mam czerpać pokłady miłości?

Nie planowałam tego! Nie chciałam! Nie czuję się na siłach!

Moją zadumę przerywa dzwonek do drzwi.

Mariusz zrywa się sprzed telewizora i idzie otworzyć. Miła odmiana – jeszcze parę dni temu wrzeszczałyby, abym to ja się ruszyła.

Ku niebotycznemu zaskoczeniu najpierw słyszę głos, a później widzę... Dawida.

– Jak się masz, Klaudyś? – Przesyła mi uśmiech.

Jego włosy są związane w schludną kitkę. Dawid jest przemoczony, wygląda, jakby biegł w deszczu bez parasola. Mimo opadów jest bardzo ciepło, lecz widząc, jak wilgotna koszulka oblepia jego muskularny tors, martwię się, że złapie przeziębienie.

– Dziękuję, dobrze – kłamię.

Wcale nie mam się dobrze. Jestem skołowana i właśnie zbieram odwagę na wyjątkowo trudną rozmowę z mężem.

– Wpadłem zapytać, czy nie poszlibyście ze mną do pubu. Jak za starych, dobrych czasów – dodaje znacząco.

Rozumiem jego intencje – niezły sposób, żeby ukręcić łeb plotkom. Miejscowe kumochy na pewno wzięły mnie na języki. W poczekalni przed gabinetem pani doktor widziałam znaczące spojrzenia i słyszałam rwące się szepty. Może nie jest to jeszcze jawny ostracyzm, ale męczy mnie ostatnia negatywna popularność.

Myśl o spędzeniu czasu w zadymionym pubie wywołuje gwałtowny protest w moim organizmie. Poza tym brak mi sił, aby udzielać się towarzysko.

– Idźcie sami – proponuję. – Muszę zrobić przelewy oraz napisać maila do siostry. – Wskazuję niewidoczny ich oczom, ciemny ekran laptopa.

Mariusza nikt nie pyta o zdanie. Dawid przez chwilę namawia mnie na

wspólne wyjście, lecz widząc znużenie na mojej twarzy, odpuszcza.

– Nie będziesz miała nic przeciw temu, że pójdziemy sami? Nie będzie ci przykro? – upewnia się na koniec.

– Idźcie – nalegam.

Tak naprawdę jest mi to na rękę. Będę miała jeszcze chwilę na przemyślenia. Ufam, że pod czujnym okiem Dawida Mariusz nie uchleje się jak wieprz.

Rzeczywiście, gdy wraca dwie godziny później, jest trzeźwy. Wygląda na wyluzowanego i spokojnego. Zapewne jest na swój sposób wdzięczny Dawidowi, że próbuje wybrnąć z tej pokręconej sytuacji i ratuje tyłek również jemu. Cóż, trzeba skorzystać z okazji, że mąż jest pokojowo usposobiony i powiedzieć o wynikach badań.

Może się ucieszy?

Przecież głównym powodem, dla którego nie zdecydowaliśmy się na dziecko, była przede wszystkim moja niechęć – ale teraz, trudno, stało się – będziemy rodzicami i nic tego nie zmieni. W żaden magiczny sposób nie cofnę czasu, żeby przyjmować pigułki antykoncepcyjne. Chciałabym, aby było to możliwe, ponieważ przeraźliwie lękam się życia, które kiełkuje w moim brzuchu.

Chowam twarz w dłoniach.

– Coś się stało? – pyta mnie Mariusz.

Widzi moją przerażoną minę. Wie, że chcę powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Jesteś w ciąży?! – Na pozór ciche słowa Mariusza mają w sobie wykrzyknik.

Jego mina to mieszanka niedowierzania, zaskoczenia i gniewu. Widzę, jak mąż usiłuje zapanować nad emocjami. A może się mylę? Może wyobraźnia podsuwa mi najczarniejsze wizje, ponieważ wciąż tkwię w tłamszących uściskach depresji?

– Tak, jestem w ciąży – powtarzam.

– Żartujesz.

– Nie.

– To pewne?

Boże, ten spokojny, opanowany ton! Mariusz jest konkretny i rzeczowy jak nigdy. Już wolałabym, żeby krzyczał i trząsał drzwiami, byle nie zachowywał się jak policjant podczas przesłuchania.

– Tak – odpowiadam lakonicznie.

Nerwy mam napięte do granic możliwości. Jestem przygotowana na awanturę, nie dam się zwieść pozornemu spokojowi męża. Sztywnieję, gdy się zbliża, lecz on nieoczekiwanie obejmuje mnie i przytula. Nie widzę jego twarzy, czuję oddech w moich włosach.

– To cudownie – mówi.

Chciałabym spojrzeć mu w oczy, zobaczyć radość na jego twarzy i przekonać się, że mówi prawdę, lecz on wciąż mnie ściska.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Słyszę cichy głos.

To zachowanie jest do niego niepodobne. Reakcja na wieść, że zostanie ojcem, przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Czyżby poczuł się zobligowany do tego, aby w końcu dorosnąć?

– Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku z naszym... Hm... dzieckiem?

– Tak. To właśnie dlatego ostatnio byłam wciąż zmęczona i rozbita. To normalne w tym stanie.

Nie do końca jestem z nim szczera, ponieważ tak naprawdę moje samopoczucie nakręca depresja, ale nie chcę mącić spokojnej chwili *chorobą z urojeń*, jak to określa Mariusz.

Mąż całuje mnie w czoło, zamknięte powieki i usta. Jego dłonie błądzą po moim ciele, wiem, dokąd to zmierza. Nie mam ochoty na seks, jestem senna i zmęczona. Nie chcę teraz sprawiać przykrości Mariuszowi, może on w ten sposób wyraża radość? Kochamy się – pierwszy raz od wielu tygodni. Nie czuję namiętności. Przywykłam, że to tylko mechaniczna czynność.

Jest już po wszystkim. Monotonny szum deszczu kołysze mnie do snu. Zapadam w sen, wierząc, że wszystko będzie dobrze i moje dziecko będzie miało ojca. Nawet jeśli między nami nie układa się idealnie, nie mogę skazać maleństwa na rozbitą rodzinę. Dla dobra dzidziusia zostanę z mężem. Liczę na to, że Mariusz stanie na wysokości zadania.

Jeszcze nie potrafię się cieszyć i kochać tego, co rośnie w moim wnętrzu. Może ten dzień nigdy nie nadejdzie? Biorę to pod uwagę, lecz będę dokładała starań, aby dziecko nie czuło chłodu, który towarzyszył mojemu dzieciństwu. Właśnie dlatego rozpaczliwie potrzebuję teraz Mariusza. Skoro tak dobrze przyjął wiadomość o ciąży, to jest nadzieja, że będzie troszczył się o dziecko.

Mariusz

Nie planowałem tego, nie chciałem!

Kurwa, jak mogło do tego dojść?

Co robić?

Może powinienem powiedzieć Klaudii, żeby usunęła ciążę? Tak byłoby najprościej. Przecież ona też nie pragnęła mieć dzieci.

A może rodzicielstwo, które tak nagle na nas spadło, nie jest najgorszą opcją? Gdybyśmy teraz wyjechali za granicę, do Anglii na przykład, wiele byśmy na tym zyskali – tam podobno są wysokie zasiłki na dzieci. Ona mogłaby zajmować się małym i brać kasę od państwa, ja bym pracował i zarabiał.

Wbrew temu, co mówi Dawid, tam musi być łatwiejsze życie, tutaj jest tylko beznadzieja. Nawet tej cholernej budowy nie mogę skończyć, ponieważ wciąż brak nam pieniędzy. Sprzedałbym to wszystko w diabły i wyjechał. Jakoś zmobilizuję tę wiecznie rozmemlaną bekse, żeby w końcu wzięła się za życie. Teraz, gdy będzie miała dziecko, musi mnie posłuchać – nie ma wyjścia, sama nie dałaby sobie rady, w nikim nie ma oparcia.

A to się Dawid zdziwi! Skręci go z zazdrości! Jakiegokolwiek były jego wyobrażenia o naszym związku – będzie wiedział, że ze sobą sypiamy. Kto wie, czy nie liczył na to, że weźmiemy rozwód?

Niedoczekanie! Nareszcie mam satysfakcję! Za to, że dałem się zaskoczyć po pijaku i tak mi wlał, bo nawet nie miałem sił, aby się bronić!

Robimy przerwę w pracy. We trzech idziemy nad rzekę, aby sprawdzić, czy faktycznie przybrała tak bardzo, jak mówią ludzie. Mokniemy w siąpiącym deszczu, ponieważ żaden z nas nie wziął parasola. Błotnista woda jest wyjątkowo wysoka, wypełnia całe koryto. Trochę to niepokojące, jeszcze nie widziałem, żeby lokalna struga była tak szeroka i rwąca. Nic dziwnego, skoro pada nieprzerwanie piąty dzień.

Podobno podtopiło kilka gospodarstw. Ludzie mają wodę w piwnicach i ogrodach. Z ponurymi minami przemieszczają się po obejściach w nieprzemakalnych kurtkach oraz kaloszach. Chłopcy z OSP szykują worki z piaskiem, zwołują chętnych do pomocy. Istnieje ryzyko, że rzeka wyleje. Niedobrze – nasz dom jest na brzegu.

Dawid proponuje, żebyśmy pomogli w umacnianiu lichych wałów. Jeśli o mnie chodzi, bardzo mi to pasuje. Nie chciałbym, aby zalało budowę. Dopiero co położyłem podłogi w kuchni i salonie. Jakby woda podeszła i narobiła dziadostwa, mógłbym nie dostać dobrej ceny przy sprzedaży.

Spoglądam z nadzieją w niebo. Chyba zaczyna się przecierać. Deszcz

trochę nacichł, nie leje tak intensywnie jak przez ostatnie godziny.

Wracam do domu zmęczony i mokry.

Klaudia podaje obiad – chyba czuje się lepiej, nie becząca przynajmniej, bo nie ma zapuchniętych oczu. Patrzcie państwo, jak dobrze wpływa seks na kobietę. Wystarczy ją tylko przytulić, szepnąć do ucha jakieś dyrdymały, a już wymięka. Bardzo łatwo urabia się baby!

Tak samo jest z Martą. Niby struga czasem cnotkę. Złości ją, że mam żonę i ona już tak nie chce. Według niej powinienem wziąć rozwód. Najpierw marudzi, a potem i tak rozkłada nogi, pozwalając mi na wszystko. Idiotka! Sama za mną łązi i wodzi na pokuszenie. Wiadomo, że pies by nie wziął, jakby mu suka nie dała.

I co, dla niej miałbym się rozstać z Klaudią? Musiałbym dzielić majątek i płacić alimenty na bachora. Nigdy w życiu! Zresztą Klaudia jest dobrą żoną – mimo wszystko. Mam ciepłe obiady, gazetę na stole, wyprane łachy w szafie. Jest czyściutka i oszczędna, nie trwoni forsy na głupoty. Co najważniejsze, nie należy do pyskatek bab – z dwojga złego lepsze są ciche płacze niż nieustanne wrzaski, jak u Tadka i Doroty. Co prawda, muszę ją czasem opieprzyć, żeby jej się w głowie nie poprzewracało, ale rozwód? O nie, nigdy w życiu!

– Wyjeżdżamy na zachód – mówię. Jestem stanowczy, to nie jest propozycja. – Dostaniemy pieniądze na dziecko, a poza tym pójdę tam do pracy. Nawet nie musimy wynajmować mieszkania, bo po sprzedaży domu będzie nas stać na to, żeby tam coś kupić. Zaczniemy wszystko od nowa.

– Nie ma mowy, nie chcę wyjeżdżać. Jak ty to sobie wyobrażasz? Mam rzucić pracę i przyjaciół? Tam będę nikim, co najwyżej sprzątaczką. Przecież opieka nad dzieckiem nie potrwa w nieskończoność.

Protest Klaudii jest spokojny. Ona nie krzyczy, nie płacze, po prostu mówi. Wiem, że ją przekonam – tutaj nie ma dla nas przyszłości. Kładę jej do głowy moje racje. Próbuję zrobić to bez nerwów, ale zaczyna mnie już irytować.

– Jak chcesz, wyjeźdź sam. Możesz zarabiać, przysyłać nam pieniądze. Skończę budowę domu, dopilnuję wszystkiego, poradzę sobie. Nie wyjadę, a już na pewno nie z dzieckiem. Nie zmienię decyzji w tej sprawie, nie opuszczę Jodłówek! To moje ostatnie zdanie. Nie zamierzam więcej dyskutować na ten temat – oświadczam dobitnie.

– Przecież niedawno byłaś skłonna wyjechać!

– Ale nie za granicę, tylko do Krakowa! Nie pojedę z dzieckiem na zachód.

– Dlaczego?! Przecież byłoby nam lżej!

– Dlatego, że nie znam języka angielskiego na tyle dobrze, by funkcjonować w obcym kraju z noworodkiem. Jak ty sobie to wyobrażasz? Wizyty u lekarza, zakupy, załatwienie czegokolwiek w urzędzie?

– Ludzie wyjeżdżają i jakoś sobie radzą!

– No właśnie: jakoś! Ja nie mogę sobie pozwolić na żadne *jakoś*. Z dzieckiem nie wyjadę nigdzie! – upiera się głupio.

– A bez dziecka?

– Co to znaczy bez dziecka? Mam je oddać do adopcji czy jak? Bo chyba nie myślisz o tym, że zajęłaby się nim twoja matka? Ma dość swoich dzieci i zmarwień.

Co za idiotka?! Że też nie przychodzi jej na myśl najprostsze z możliwych rozwiązań.

– To je, kurwa, usuń! Problem z głowy!

Cisza, która zapada, boleśnie dzwoni w moich uszach. No dobra, wyrzuciłem to. Powinienem być od razu jej tak powiedzieć, zamiast okazywać udawaną radość, ale wystraszyłem się, że będzie wściekła, zażąda rozwodu i alimentów. Myślałem, że powoli naprowadzę ją na to rozwiązanie – kroczek po kroczeniu.

Klaudia stoi jak słup soli i gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Co ty mówisz? – W jej głosie brzmi przerażenie. – Mam zabić nasze dziecko? Myślałam, że się cieszysz, myślałam... – Jej głos przechodzi w szloch, po twarzy płyną łzy.

Psiakrew. Muszę się ewakuować, zanim będzie za późno.

– Idę nad rzekę – oznajmiam. – Sprawdzę, czy woda opadła.

Klaudia

Nie mogę w to uwierzyć. Najpierw wrzeszczy, żebym usunęła ciążę, a potem padają spokojne słowa: *Idę nad rzekę. Sprawdzę, czy woda opadła* – to jakieś szaleństwo!

On chyba nie mówił tego poważnie! To znaczy, nie tego o rzece, tylko o aborcji.

Nie chciałam zająć w ciążę, ale żeby zabić nienarodzone dziecko? To małe coś w moim brzuchu, które jeszcze nic nie zobaczyło, nie przeżyło i nie ma siły, aby się bronić?

Przykładam dłonie do brzucha – troszkę mnie boli i jest jeszcze płaski, choć mam wrażenie, jakbym była wzdęta niczym balon.

– Nie zabiję cię, dziecko, skoro już jesteś. To nie twoja wina, że masz tak głupich, beznadziejnych rodziców. Przepraszam.

Już wiem, że muszę się nauczyć kochać je sama – za nas dwoje.

W nocy przeszła nad Jodłówkami straszna burza. Bałam się jak nigdy w życiu. Czy maleństwo także czuło strach? Głaskałam brzuch i szeptałam, co mi przyszło do głowy. Nie wiem, kiedy dzieci zaczynają słyszeć, ale myślę, że ono rozumie i wraz z pokarmem, który czerpie z mojego krwiobiegu, dostaje też dawkę adrenaliny.

Zdziwiłam się, gdy Mariusz wrócił na noc. Zakładałam, że wizyta nad rzeką skończy się w pubie lub u tamtej dziwki. A jednak przyszedł. Położył się i przytulił do moich pleców, jakby nigdy nic. Markowałam spokojny oddech, aby myślał, że śpię. Nie chciałam, żeby zaczynał rozmowę. Na szczęście mąż zawsze szybko zasypia. Gdy zaczął lekko pochrapywać, odsunęłam się od niego, aby dziecko nie czuło jadu płynącego z jego ramion. Nie chciałam, żeby mnie... żeby nas dotykał. Nie ma prawa. Nie po tym, co powiedział.

To je, kurwa, usuń, problem z głowy!

Chciałabym o tym zapomnieć, udawać, że te słowa nigdy nie padły, lecz nie potrafię ich wyrwać z pamięci. One krzyczą w moich myślach.

To je, kurwa, usuń, problem z głowy!

Tak się nie da – to nie jest rozwiązanie!

Tyle ludzi nie może mieć dzieci – leczą się, modlą o cud. Czy mogłabym więc zabić cud, który właśnie powstaje we mnie? Nawet moja zepsuta do szpiku kości ciotka nie dokonywała aborcji, mimo że jej ciążę były wysokiego ryzyka.

To je, kurwa, usuń, problem z głowy!

Wracają koszmary z dzieciństwa: duszą za gardło, podpływają jadem do serca. Tak bardzo się boję...

Nie! Nie będę przywoływała złych wspomnień, bez tego jest mi wystarczająco źle.

Poranek przynosi złe wiadomości. Kilkudniowe deszcze podmyły drogę, pojawiły się osuwiska, sporo gospodarstw jest podtopionych. Na szczęście teraz świeci słońce.

Wkładam kalosze i z przygnębieniem idę zobaczyć obraz zniszczeń.

Zalany został sklep u Anosiaków – cała rodzina i sąsiedzi, których nie podtopiło, pomagają opróżnić magazyn. Antosiakowa głośno lamentuje – duże straty, brak ubezpieczenia, czwórka małych dzieci. Żyli z tego sklepu.

Biblioteka publiczna straciła część zbiorów ułożonych na najniższych półkach. Tutaj także uwija się mnóstwo ludzi. Ocalałe książki wynoszone są z budynku. Na razie trafią do domu ludowego, który usytuowany jest nieco wyżej.

Rzeka przerwała miejscami wały, podmyło kilka domów na prawym brzegu. Nasz stoi na lewym, wyższym, gdzie nie ma żadnych szkód. W tłumie mężczyzn, którzy pomagają usuwać zniszczenia, widzę jasną czuprynę Mariusza oraz kędzierzawe włosy Dawida.

Zamieniam parę słów z tym i owym, chciałabym pomóc, lecz nie mogę dźwigać nic ciężkiego, raz: z uwagi na wciąż dokuczające serce, dwa: ze względu na ciążę. Wprawdzie nie dotarłam jeszcze do ginekologa, lecz testy ciążowe, badania krwi i moje samopoczucie nie kłamią. Doktor Nowicka nie pozostawiła mi cienia wątpliwości i od razu dała listę zaleceń, których muszę bezwzględnie przestrzegać. Napomniała mnie również, abym bezzwłocznie skonsultowała się z Mrozińskim.

W gorączkowej krzątaninie, która trwa dookoła, czuję się nieprzydatna.

Postanawiam, że pójdę do pani Kasi, matki Dawida. Zobaczę, co u niej i czy nie trzeba w czymś pomóc.

Pani Czarnotowa opiera się o niewielki płotek ogradzający ogródek warzywny. Podobnie jak ja ma na nogach kalosze, w innych butach na pewno by tam nie dotarła, woda wokół niej sięga do połowy łydek.

– Pani Kasiu, ogródek... Och... – mówię, podchodząc do niej.

Staruszka jest przygnębiona.

– Już trzeci dzień wszystko stoi w wodzie. Zgnije jak nic, zgnije.

– Przykro mi. Tyle się pani napracowała.

Jadłam rzodkiewkę, sałatę i miałam koperek do ziemniaków z jej ogródka. Co roku za pomoc w pieleniu i podlewaniu pani Kasia szczerze obdarza mnie plonami. Zawsze wzbraniam się przed przyjęciem czegokolwiek – pomagam dla zabicia czasu, a także dlatego, że bardzo ją lubię. To najpoczciwsza kobieta we wsi – zawsze zagada, przytuli, nawet pocałuje. Ma serce na dłoni – nie to co moja teściowa, która tylko wilkiem patrzy.

– Trudno, Klaudynko – mówi. – To tylko trochę jarzyny. Ludziom całe gospodarstwa pozatapiało. Pod lasem osuwa się ziemia, Kowalskim pękają

ściany w domu, to dopiero nieszczęście, dopiero co skończyli remontować! Nawet ubezpieczenia nie mają. A co ty, dziecinko, taka bledziutka? Burza nie dała ci pospać? Strasznieś mi zmizerniała ostatnio. Chodź, dziecko. Mam pierogi z kapustą i grzybami, takie jak lubisz.

Kochana pani Kasia. Już nie martwi się o swoją jarzynę. Spogląda na mnie z troską i głaszcze po policzku. Nie wytrzymuję napięcia, zacznę płakać. Pani Czarnota przygarnia mnie do siebie i tuli jak dziecko.

– Chodź, Klaudynko, do domu. Porozmawiamy.

Kubek kawy później jestem już spokojniejsza.

– Dzieciątko to dar od Boga, nie trzeba się martwić. Na pewno sobie poradzisz. Zobaczysz, będziesz dobrą matką. Instynkt sam przychodzi. Nie bój się, ja, jeśli będzie trzeba, to ci pomogę. Dziecko mogę zabawić, jak będziesz chciała dokądś pójść albo odpocząć.

Nie mówię, dlaczego tak bardzo boję się ciąży. Nie mam odwagi powiedzieć, że Mariusz kazał mi ją usunąć. Jeszcze mam złudzenia, że tak tylko mu się głupio wyrwało i on już żałuje swoich słów. Przecież wrócił do domu na noc, był trzeźwy, położył się obok mnie... obok nas do łóżka. Nie zrobiłby tego, gdyby było inaczej, gdyby naprawdę chciał aborcji.

Proszę panią Czarnotową, aby nikomu nie mówiła o ciąży.

– Ależ to zrozumiałe, dziecinko, że sama chcesz się wszystkim pochwalić. Nie byłoby dobrze, gdyby twoja teściowa usłyszała takie nowiny jako sklepową plotkę. Sama wszystkim powiesz, jak już będziesz gotowa. No, napij się jeszcze mleczka. – Podsuwa mi kubek.

Czuję błogi spokój. Siedząc w kuchni u Czarnotów, mam poczucie, że wszystko się ułoży.

Zmieniamy temat, wracamy do ostatnich ulew. Próbujemy zachować optymizm, gdyż pogoda uległa poprawie. Wprawdzie jest parno, lecz świeci słońce – całe szczęście, niech osuszy ziemię nasiąkniętą niczym gąbka.

Późnym popołudniem wracam do domu, dzierżąc w dłoni talerz pierogów dla Mariusza. Pani Czarnotowa rozumie, że mam okropne mdłości i odstręcza mnie zapach jedzenia. Dzięki jej szczodrości przynajmniej dziś nie będę stać przy garach.

Mariusz wpada jak burza, jest głodny, od razu rzuca się na pierogi. Po posiłku rozmawiamy o zniszczeniach we wsi, potem on sięga po pilota od telewizora i włącza wiadomości.

Powódź. Ludzie odcięci od świata. Zalane dziesiątki gospodarstw. Żywiół

uszkodził wiele dróg i mostów. Rozmokła deszczami ziemia osuwa się, zabierając ludziom domy. Obraz zniszczeń jest makabryczny.

– O mój Boże – powtarzam raz po raz, zerkając z niepokojem na ekran.

Pani Kasia miała rację – u nas i tak obeszło się bez większych kataklizmów.

Nie gadamy o niczym innym. Wiem, że temat ciąży wisi nam nad głowami. Nie zacznę rozmowy pierwsza, to on powinien wycofać się ze słów wypowiedzianych pod wpływem impulsu i przeprosić. Czekam na to... czekamy: i ja, i ta maleńka istotka, która wciąż nie mieści się w mojej wyobraźni, lecz z każdą chwilą jest coraz bardziej realna.

On nic nie mówi.

W domu panuje martwa cisza. Jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi, rzuconych przez los w to samo miejsce.

Zapada wczesny zmierzch. Bardzo szybko się ściemnia. Spoglądam przez okno na niebo, które ponownie zasnuły ołowiane chmury. Martwię się, że nadciągnie ulewa i podtopi kolejne gospodarstwa. Nasz dom jest bezpieczny, stoi na skarpie: zbyt wysoko, aby mogło go zalać, nazbyt nisko, żeby groziło mu osunięcie ziemi, wystarczająco daleko od koryta rzeki, by nie mogło go podmyć.

Teraz w tych murach pokładam całą nadzieję. Muszę zmotywować Mariusza, aby jak najszybciej przygotował dom do zamieszkania. Niewiele nam trzeba. Dzięki warsztatowi Dawida (poniekąd również naszemu, choć moje udziały w nim są mniejsze) stanęliśmy na nogi. Nie mamy już długów po rodzinie, które ciągnęły się za nami od dłuższego czasu. W domu wstawiliśmy wszystkie okna, położyliśmy część podłóg, na ścianach są płyty gipsowe. Trzeba tylko pomalować i jakoś urządzić, cała reszta może poczekać. Nie muszę mieć płytek w kuchni i łazience, nie potrzebuję drogich mebli – może Mariusz zrobiłby coś po godzinach w warsztacie.

Nadciągająca burza zmusza męża do wyłączenia telewizora.

Pięć minut później zaczyna się prawdziwe piekło. Wiatr wyje przeraźliwie, tłucze starymi, wypaczonymi oknami. Z głośnym bębnieniem spadają na parapet pierwsze krople. Ołowiane chmury rozdziera oślepiający blask błyskawic, w ich świetle widać ścianę deszczu. Łoskot piorunów jest tak donośny, że nie słyszę własnych myśli.

Moje serce łomocze ze strachu jak oszalałe.

– Nie bój się, fasolko – szepcę, głaszcząc brzuch. – To tylko letnia burza.

– Mówiłaś coś? – docieka Mariusz.

– Nie, nic nie mówiłam.

Spoglądamy po sobie niepewnie. Czy to apokalipsa? Słyszymy dziwne jęki, trzaski i huk. Szum wody jest tak donośny, że aż przeraża. Burza kotłuje się niczym eliksir w czarcim kotle.

Modłę się bez słów, po cichu, w głębi duszy. Mariusz nie chodzi już od dawna do kościoła, wyśmiałby mnie pewnie, że jak trwoga, to do Boga.

Tak bardzo boję się szalejącego żywiołu!

Mija godzina piekła.

Mimo przerażającego zgiełku burzy, słychać syrenę alarmową wyjąca na remizie Ochotniczej Straży Pożarnej. Nagle ktoś łomocze pięścią w nasze drzwi, a potem, nie czekając na zaproszenie, naciska klamkę i wchodzi. To jeden ze strażaków.

– Ubieraj się – wydaje polecenie Mariuszowi. – Rzeka zmieniła koryto, płynie przez całą wieś. Trzeba ratować co się da!

Nie czeka na odpowiedź, znika wśród ulewnego deszczu.

Mariusz narzuca kurtkę przeciwdeszczową, wkłada gumofilce i wybiega za nim. Zostaję sama, na wpół oszalała ze strachu, rozdygotana. Przez chwilę płaczę się bez celu, później ubieram się w pelerynę i wychodzę. Nie biorę parasola, ponieważ wiatr zaraz by go połamał.

Wicher szarpie moją odzież, chlaszcze deszczem po twarzy. Kulę się przy kolejnych błyskawicach, lecz wciąż biegnę przed siebie. Miejscami woda zagradza przejście, muszę szukać innej drogi. Brodzę po kostki i do połowy łydki, omijam większe rozlewiska. Wszędzie panuje chaotyczna, gorączkowa gonitwa. Huk pomp strażackich wtóruje łoskotowi piorunów.

Tak musi wyglądać Armagedon.

Z niemałym wysiłkiem docieram nad dawne koryto rzeczne i zamieram z grozy. Zasłaniam dłonią usta, tłumię jęk. Główny nurt płynie teraz wzdłuż naszego domu, liże jego ściany, podmywa fundamenty. Nieco wyżej strażacy usiłują zagrozić rzece drogę, zmusić ją do powrotu w normalne koryto. Ich wysiłki są daremne.

Najpierw odrywa się kawał muru i z pluskiem wpada w spienione, błotniste fale, potem nie wytrzymuje druga ściana, która pociąga za sobą dach. Bezsilnie patrzę, jak żywioł zabiera wysiłek naszej kilkuletniej pracy.

Padam na kolana, krzyczę, z rozpaczyny szarpie włosy. Nie zważam na wiatr i deszcz – mogę przemoknąć do suchej nitki, i tak nic nie poczuję.

Mieliśmy tam zamieszkać w trójkę. Jeszcze godzinę temu rozmyślałam, jakich mebli będziemy potrzebować na początek.

Już nic nam nie trzeba.

Czyjeś ramiona unoszą mnie z błotnistej ziemi, prowadzą w bok, pod zadaszenie. Nic nie słyszę, nie widzę, tracę kontakt z rzeczywistością.

Nie pamiętam, jak znalazłam się w domu ani co działo się przez kolejne trzy dni. Obrazy mieszają się i zacierają w mojej świadomości. Gdzieś przed oczami miga mi śmiertelnie blada twarz Mariusza, czuję przesycony alkoholem oddech, słyszę krzyki, przekleństwa, wyrzekanie. Widzę zatroskane spojrzenie Dawida oraz pani Kasi. Nie mam na nic sił, wycofuję się we własny świat.

Otwieram szerzej oczy. Słońce boleśnie kłuje mnie w źrenice, mam suchość w gardle i spieczone usta. Jestem w służbowym mieszkaniu, leżę w łóżku. Czuję osłabienie, każdy fragment mego ciała zdaje się ważyć tonę.

– Nie śpisz już, dziecinko? – Pani Kasia nachyla się nade mną, kładzie dłoń na moim czole. – W końcu spadła ci temperatura – stwierdza z ulgą. – Napędziłaś nam strachu.

Jak przez mgłę przypominam sobie burzę, rzekę, która zmieniła bieg, osunięcie się naszego domu.

– Nasz dom – szepczę.

– Trudno, dziecinko. Dom można odbudować. Ważne, że nikt nie utonął. Martwiliśmy się o ciebie, miałaś strasznie wysoką gorączkę, a pogotowie nie mogło dojechać. Jodłówki są całkowicie odcięte od świata. Zerwały się wszystkie mosty, rzeka zabrała drogę. Od trzech dni żołnierze amfibiami dowożą nam wodę i żywność. Prawdziwy kataklizm, ale najważniejsze, że wszyscy żyją – powtarza. – Jest paru rannych, lecz na szczęście niegroźnie.

– Dawid?

– Nic mu nie jest. Pracuje przy udrażnianiu rzeki.

– Mariusz? – Niewiele mnie to obchodzi, ale pytam, bo tak wypada.

– Eee... też pomaga – odpowiada niepewnie.

– Pije, prawda? Znowu pije!

– Pił – przyznaje pani Czarnotowa – lecz Dawid go pilnuje. Nie odstąpi go teraz na krok.

– Dobrze – wzdycham z ulgą.

Nie mam sił, żeby się martwić i rozpaczać. Jeszcze przyjdzie na to czas. Zасыpiam.

Budzę się kilka godzin później. W sypialni panuje półmrok, słyszę krzątanie, jakieś wyciszone rozmowy. Ktoś jest w mieszkaniu prócz pani Kasi.

– Przebudziła się nareszcie. – Słyszę, jak mówi półgłosem. – Biedactwo, jest bardzo osłabiona. Nie męczcie jej. Tak, pamięta... Widziała...

Skrzypnięcie drzwi. W smudze światła widzę postać Mariusza, za jego plecami góruje Dawid.

– Nie śpisz? – pyta mąż.

– Nie, wejdźcie – odpowiadam słabym głosem.

Wchodzą do pokoju, Mariusz siada na krawędzi łóżka, Dawid na krześle. Obydwaj są zmęczeni, mają cienie pod oczami, wymizerowane twarze. Widzę ciężar, który ich przytłacza, rozpacz w oczach Mariusza, zakłopotane spojrzenie Dawida.

– Jak się czujesz? – To Dawid pierwszy przełamuje ciszę.

– Dobrze – kłamię, nie chcę robić wokół siebie zamętu teraz, gdy spadło na nas takie straszne nieszczęście.

Wypytuję ich o rozmiary kataklizmu. Początkowo unikają odpowiedzi, chcą mi oszczędzić szczegółów, lecz nie dają za wygraną, przecież wiem, że straciliśmy niemalże cały dorobek naszego życia. Co nam zostało? Ubrania, telewizor, laptop, troszkę pieniędzy, które w najbliższych dniach miały pójść na dalsze prace w domu.

Opowiadają szerzej o tym, czego dowiedziałam się wcześniej od pani Kasi. Już wiem, że woda zabrała siedemnaście domów, w tym nasz, zalała przedszkole, bibliotekę i sklepy, podtopiła kościół i chyba wszystkie gospodarstwa. Dom Czarnotów również był zalany, na szczęście tylko trochę. Ludzie ponieśli niewyobrażalne straty, błoto zniszczyło całe plony. Rodziny, które straciły mieszkania, tymczasowo znalazły schronienie w szkole lub u krewnych.

Prawie nikt nie był ubezpieczony, my również.

A teraz trzeba to wszystko jakoś posprzątać, ogarnąć, odbudować. Zacząć nowe życie, które będzie zupełnie inne. Dla większości mieszkańców Jodłówek czas będzie dzielił się na *przed* i *po*.

Dawid uznaje, że należy zostawić mnie w spokoju. Zbiera się do wyjścia. Ściska moją dłoń.

– Strasznie mi przykro, Klaudyś. Trzymaj się. Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie. Dom można odbudować – powtarza słowa pani Kasi.

Mariusz przewraca oczami. Dobrze wiem, co myśli, wręcz słyszę, jak

zżyma się w duchu, że Dawid może mędrkować, ponieważ nie stracił prawie nic. A ja cieszę się, że jego ominęło to najgorsze – ma tylko trochę bałaganu w piwnicy i na parterze.

Zagląda do mnie pani Kasia. Żegna się, obiecuje zajrzeć nazajutrz. Musi ogarnąć swój dom. Wyrzucam sobie, że zamiast pilnować dobytku i suszyć dywany, zajmowała się mną pod nieobecność Mariusza.

Zostajemy sami – w nieznośnej ciszy, która ciąży jak ołów. Chciałabym zapytać, co teraz będzie, ale widzę, że to nie jest odpowiednia pora na takie rozmowy. Tylko czy taka chwila nadejdzie kiedykolwiek?

Rozdział 9

Krajobraz po burzy

Klaudia

Mijają dni. Dochodzę do siebie, wstaję z łóżka. W mieszkaniu panuje martwa cisza – przez większość czasu jestem sama. Dziwi mnie, że co wieczór mąż wraca trzeźwy, widać Dawid pilnuje go na każdym kroku. I tylko to milczenie jest bardziej przerażające niż niegdyś awantury.

A jednak któregoś wieczoru Mariusz wymknął się spod kontroli Czarnoty.

Z daleka słyszę zachrypnięty, pijacki śpiew:

Nie mam nic, nie mam nic

Woda mi zabrała

Tylko mi dziewczyna

Na łódzcie została.^[4]

Mąż wchodzi do domu, spogląda na mnie z wyrzutem. Za mało wypił, aby paść jak kłoda na kanapę, za dużo, aby nie szukać zaczepki. Unikam jego wzroku, nie chcę, żeby wszczynał awanturę.

– To twoja wina! – ryczy. – Przez ciebie straciłem wszystko. Tyrałem jak głupi, pot mi się lał po jajach, a teraz nic nam nie zostało! Kurwa! Gdybyś mnie tylko posłuchała! Mogliśmy to sprzedać w pizdu i wynieść się z tej wiochy jeszcze przed potopem. Mogłabyś, kurwa, żyć teraz jak pani, a tak, proszę, masz czego chciałaś, dziadówko! Mówiłem ci, kurwa, wyjedźmy! – Dopada mnie jednym susem, łapie za włosy, ściska je w garści i zmusza, żebym na niego spojrziała.

– Puść, to boli – proszę z płaczem.

– Przestań się mazgaić! Mam już, kurwa, tego dosyć! Rozumiesz?! Kurwa, mam dosyć!

– Mariusz, przestań!

Próbuję wyswobodzić się ze stalowego uścisku palców, lecz jego dłonie są jak imadło.

– Wyskrobiesz tego bachora i wyjeżdżamy do Anglii. Nie zostanę tu ani dnia dłużej! Jutro masz sobie, kurwa, znaleźć konowalę, który robi to szybko i tanio. Żebym nie słyszał żadnych beków i protestów! Nigdy nie chciałem mieć małych zafajdańców!

– Mariusz, to twoje dziecko, tak nie można – jęczę.

– Zamknij się, kurwa, teraz ja mówię! To twoja wina, że tak nam się nie wiedzie. Gdybyś mnie choć raz posłuchała, zamiast użerać się z błotem i nędzą, siedzielibyśmy teraz w londyńskim pubie i sączyli chłodne piwo! Masz usunąć tego bachora!

– Nie ma mowy.

– Usuniesz ciężę! – warczy. Nachyla się nade mną. Jest groźny, jego oczy błyszczą złowrogo. Gdzie podział się ten piękny błękitnooki chłopiec, którego poślubiłam? Przede mną stoi przepity degenerat, cuchnący alkoholem i dyszący nienawiścią. – To ty wpędziłaś nas w kłopoty, więc lepiej słuchaj, co do ciebie mówię. Koniec babskich rządów!

– To jest też twoje dziecko. Brałeś nader czynny udział w powołaniu go do życia – odpowiadam zajadle.

Muszę mu stawić czoła, to nie czas i miejsce na słabość.

– Co do tego akurat mam wątpliwości! Ja się zabezpieczałem.

– Sugerujesz, że cię zdradzałam?! Jak możesz! Ty draniu!

– No to skąd ten bachor? – Wskazuje na mój płaski jeszcze brzuch.

– Tak się składa, że żaden środek antykoncepcyjny nie daje stu procent pewności. A już na pewno nie prezerwatywy! Widać, któraś z nich miała dziurę.

– Nie moja wina, że jakaś głupia guma nie wytrzymała. Trzeba było brać pigułki!

– Dobrze wiesz, że nie mogę. Źle się po nich czułam. Nie usunę ciąży! Nie licz na to.

– A ty nie licz, że będę cię utrzymywał razem z tym bachorem!

Kłócimy się w nieskończoność, żadne z nas nie chce ustąpić. Mariusz mi wygraża, złorzeczy, lecz jestem zacięta w uporze. Bronię się coraz zacieklej, aż on nie wytrzymuje, bierze zamach i uderza mnie w policzek.

Zapada przeraźliwa cisza.

Mąż puszcza mnie i w osłupieniu patrzy na rozciętą wargę, z której krew

kapie wprost na podłogę. W jednej chwili uchodzą z niego opary wypitego wcześniej alkoholu. Widzę, jak błyskawicznie wraca mu trzeźwość umysłu.

– Klaudia – mówi przerażony. – Ja przepraszam, przepraszam, nie chciałem...

– Nie zbliżaj się do mnie! I nie dotykaj – warczę ostrzegawczo – bo zadzwonię po policję!

To ja wychodzę do sypialni, trzaskając z całej siły drzwiami.

Nie mogę zasnąć. Rozcięta warga pulsuje nieznośnym bólem. Powinnam przyłożyć do niej lód, lecz nie chcę kręcić się po mieszkaniu, aby nie obudzić bydlaka, który chrapie w najlepsze na kanapie. Do jutra on całkiem wytrzeźwieje, a wtedy każę mu się spakować i raz na zawsze wynosić z mojego życia. Dam sobie radę sama. Jakoś to będzie.

Jakoś...

Zasypiam tuż przed świtem, a kiedy się budzę, męża już nie ma. Oglądam w łazience moją twarz. Wzruszam ramionami – piękna nie jestem, chyba nigdy nie byłam. Warga kiedyś się zagoi, moje serce już nigdy. Nie pozwolę Mariuszowi na powrót. Nigdy więcej nie wpuszczę go do mojego życia. Teraz nie jestem sama – mam dziecko, które muszę chronić przed ojcem – awanturnikiem i pijakiem.

Na jasnej ścianie pokoju dziennego odbija się ciemny wzór, jaki pozostawiły krople krwi – rozbryzg po bardzo silnym uderzeniu.

To był ostatni raz, gdy pozwoliłam mu się upokorzyć. Teraz będę silna, muszę!

Jutro spakuję ubrania Mariusza do podróźnej torby i wystawię na werandę. Wymienię zamki w drzwiach. Zablokuję jego dostęp do konta w banku.

Jutro.

Dziś nie mam sił na nic.

Parzę kawę i wychodzę na skąpaną słońcem werandę. Muszę się zagrzać w ciepłe poranka, ponieważ jestem rozdygotana i przemarznięta do szpiku kości. Siadam na deskach, podciągam kolana pod brodę. Wiem, że on nieprędko przyjdzie, na pewno nie dziś i nie jutro, mogę więc pozwolić sobie na ten luksus i daję upust łzom.

Żołądek bolesnym skurczem dopomina się o swoje prawa. Nie mam sił, aby ruszyć tyłek i zrobić coś do jedzenia. Jaki to ma sens, po co dalej przedłużać wegetację? Co mnie czeka jutro? Zapewne nic dobrego. Na horyzoncie zbierają się same czarne chmury.

Mariusz znowu nie wrócił na noc. Zauważyłam, że z szafy zniknęło trochę jego rzeczy. Musiał zabrać je już wczoraj nad ranem, gdy jeszcze spałam. Czyżby tym razem zamierzał odejść? A może powoli wyprowadza się do tamtej dziwki?

Nie czas na rozważania. Muszę wziąć się za życie. Są rzeczy, w których nikt mi nie pomoże – zwykłe, prozaiczne czynności. Włączam komputer, aby zapłacić rachunki.

Dawid

Mariusz staje w drzwiach warsztatu. Przywołuje mnie ruchem głowy, widocznie nie przyszedł do pracy. Wczoraj w ogóle nie raczył się pokazać. Pewnie przylazł, żeby wytłumaczyć nieobecność oraz zaklepać wolne również i na dzisiaj. Chętnie wywaliłbym go na zbity pysk, ale nie mogę tego zrobić Klaudii.

Wychodzę na zewnątrz. Kubas ma przy sobie spakowaną torbę.

– Co jest? – pytam, spoglądając na bagaż.

– Wyjeżdżam do Anglii, może do Irlandii, jeszcze nie wiem. Na razie zmierzam do Londynu, co będzie dalej, zobaczę, jak rozejrzę się na miejscu.

– Jak to: wyjeżdżasz? A Klaudia? A nasza praca?

– Zaopiekuj się Klaudią – mówi. – Ona nie chciała ze mną jechać. Nie mogę jej zabrać na siłę, ale powiedz jej... Powiedz, że po nią wrócę, jak już się jakoś urządę.

Powiedz, że po nią wrócę... Co to ma znaczyć?

– Nie powiedziałaś jej, że wyjeżdżasz?! Zostawiasz ją samą?! Teraz, kiedy spodziewa się dziecka?!

– To ty wiesz? – dziwi się Mariusz. – Powiedziała ci o tym?

– Nie. Wiem od matki. Klaudia potrzebuje opieki. A ty, kurwa, teraz wyjeżdżasz?!

– Przepróż ją ode mnie, proszę. Pokłóciliśmy się przedwczoraj – tłumaczy głupio.

Nie wytrzymuję. Zaciskam dłoń w pięść.

– Wiesz co? – mówię. – Spierdalaj, gnoju! Lepiej jej będzie bez ciebie.

Mój niespodziewany cios rozkwasza mu nos, słyszę trzask łamanej chrząstki.

Chcesz wyjechać, bydlaku? Chcesz? Proszę bardzo! Wypierdalaj ze złamanym nosem, ale wara od mojej Klaudii, ponieważ ja już nigdy nie

pozwolę ci się do niej zbliżyć!

Nie mówię tego, po prostu odwracam się na pięcie i odchodzę, zatraskując za sobą drzwi.

Jestem wściekły. Powinienem pójść do Klaudii i powiedzieć jej, żeby tym razem nie czekała na męża z obiadkiem, ponieważ ten złamas nie wróci.

Spoglądam na zegarek – jest szósta trzydzieści, ona pewnie jeszcze śpi. Nie zakłóczę jej spokoju, jeszcze nie teraz. Wiem, że zdąży się dość napłakać, lepiej to odwlec choć o parę godzin.

O dziewiątej nie wytrzymuję. Zlecam Witkowi pieczę nad warsztatem. Nie mam pojęcia, o której wrócę. Na szczęście chłopak jest kumaty i obrotny – myślę, że nawet gdyby ktoś przyjechał z nowym zleceniem (w co wątpię z uwagi na fatalny stan dróg), to poradziłby sobie bez problemu.

Z daleka widzę Klaudię. Siedzi na deskach werandy z kolanami podciągniętymi do góry, wspiera o nie czoło. Wygląda, jakby była pogrążona w głębokiej zadumie, lecz gdy podchodzę bliżej, widzę, jak jej ramiona drżą w cichym płaczu.

– Klaudynka. – Mięknę na widok tej rozpaczki. Domyślam się, że ona wie już o wszystkim.

Klaudia powolutku podnosi głowę – jej twarz faktycznie jest zalana łzami i...

– Psiakrew! – Nie wytrzymuję. – Powinienem był go jednak zabić!

Żałuję, że tylko złamałem mu nos. To za mało na tę gnidę! Poza przekleństwami brak mi słów.

Pochyliam się nad zapłakaną dziewczyną, a ona w geście bezdennej rozpaczki zarzuca mi ręce na kark, przywiera do mnie i szlocha tak żałośnie, że serce pęka mi z bólu. Pomagam Klaudii wstać, tulę ją do siebie.

– Nie płacz, maleńka. Wszystko będzie dobrze...

– Już nic nie będzie dobrze – łka w moją koszulę.

– Będzie, zobaczysz, że będzie. On cię więcej nie skrzywdzi, obiecuję. Nigdy więcej cię nie uderzy. On odszedł, uciekł za granicę.

– Wiem, Dawid. Zabrał ubrania, dokumenty i wszystkie nasze pieniądze. Zostawił mi tylko parę złotych – szlocha.

– To nic, Klaudynko, nie martw się o forszę. Przecież dostaniesz wypłatę, masz również udziały w warsztacie. On nie jest ci do niczego potrzebny, wciąż się nad tobą pastwił. Bardzo dobrze, że odszedł. Ma szczęście, gnojek jeden, że tylko dostał po ryju, bo gdybym wiedział, że podniósł na ciebie

rękę, to nie wyszedłby ode mnie żywy.

– Widziałeś się z nim? Kiedy? – Podnosi zapłakane oczy.

Czyżby miała nadzieję, że pojedę za nim, aby go znaleźć i przywołać do porządku? Cóż, gdyby taka była jej wola, mógłbym za nim ruszyć, ale nie wiem, czy wyszedłby żywy z moich rąk, gdybym go dorwał w tej chwili.

– Był w warsztacie ze trzy godziny temu. Już go nie ma, pojechał. Chciałem przyjść wcześniej, ale myślałem, że śpisz. Jakbym wiedział, że ten bydlak wyczyścił wasze konto, to na pewno bym go nie puścił. – Martwię się, bo przecież Klaudia została bez środków do życia. – Przynajmniej odzyskałbym twoje pieniądze.

– Nie chodzi tylko o pieniądze – mówi. – I dobrze, że uciekł. Tylko co ja teraz zrobię? Sama, w wynajętym mieszkaniu, bez pieniędzy i... w ciąży! Spodziewam się dziecka – szlocha bezradnie.

– Wiem, Klaudyś. Mama mi powiedziała, gdy leżałaś z gorączką. Bardzo się o ciebie martwiła. Przywoziłem do ciebie doktor Nowicką, ale ty pewnie nic nie pamiętasz. Chcieliśmy cię zabrać do Krakowa, lecz Jodłówki były odcięte od świata, a ten bydlak niczym się nie przejmował, tylko pił jak świnia. Nie martw się, maleńka. Zaopiekujemy się tobą.

Wiem, że mama mi pomoże – nie zostawi Klaudii samej sobie. I niech okoliczne kumochy gadają, co chcą! Na pewno jej nie odpuszczą, gdy dowiedzą się, że mąż porzucił ją na początku ciąży. Będą mieszać bidulę z błotem i domniemywać, że ona też zdradzała Mariusza.

To wszystko jest teraz nieważne. Musimy ją wesprzeć, bo inaczej całkiem się załamię.

Nie zadaję żadnych pytań, nie podpowiadam Klaudii dalszych kroków. Na wszystko przyjdzie czas. Pozwalam, by się po prostu wypłakała. Głaszczę ją po włosach jak małą dziewczynkę, ponieważ taka wydaje mi się w tej chwili – filigranowa laleczka z kruchej porcelany.

Przypominam sobie, że kilka lat wcześniej, tuż po tym, jak zaczęła się spotykać z Mariuszem, marzyłem o dniu, gdy ten drań ją porzuci, a ona przyjdzie do mnie, by wylać ze łzami swoje żale. Wstyd mi teraz za tamte myśli, ponieważ gdy ona tak rozpacza, jej cierpienie dotyka również mnie.

Moja biedna, przerażona Klaudynka. Cały jej świat legł w gruzach.

Klaudia

Jaką będę matką? Bardzo słabo pamiętam mamusię – gdzieś w zakamarkach umysłu świta mi, że chorowała już wtedy, gdy byłam

maleńka, jeszcze zanim pojawiła się Ewa. Byliśmy niezamożni – to wiem od Dagmary. Tatuś zarabiał podobno nieźle i mieliśmy ładne mieszkanie, ale odkąd mama zapadła na zdrowiu, większość pieniędzy zabierali lekarze. Daga nieraz mówiła, że ledwo wiązaliśmy koniec z końcem i to był chyba najtrudniejszy finansowo czas dla naszej rodziny. Późniejsze pojawienie się ciotki na pewno podreperowało domowy budżet, nie trzeba też było wydawać pieniędzy na lekarstwa i lekarzy, lecz i tak wciąż byliśmy głodni.

Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa?

Wrzeszczę wniebogłosey. Boli mnie brzuch, a w majtkach mam śmierdzącą niespodziankę. Przerażona Dagmara pochyła się nade mną.

– Nie płacz – prosi łzawym głosem. – No nie płacz... Co ci jest? Nie chcesz jeść ani pić... Może się posikałaś?

Siostra nerwowo przetrząsa mi pieluchy.

– O nie... – jęczy.

Ładne mi *o nie!* Zdążyłam się już rozkopać. Kupsko oblepia moją pupę i nogi, jestem cała umazana, podobnie jak pościel oraz piżama. Mam odparzoną skórę, więc krzyczę, bo moje krocze i pośladki pali żywy ogień.

– Taka duża dziewczynka powinna wołać o nocnik – utyskuje Dagmara. – Co ja mam z tobą zrobić? – martwi się.

Z wyrazem najwyższego obrzydzenia podnosi mnie z cuchnącej pościeli. Trzyma mnie pod pachy, z daleka od siebie. Na pewno boi się, że też się wybrudzi. Chciałabym jej powiedzieć: *I czego beczysz, głupia?! Przecież to ja narobiłam w gacie, a nie ty!*, ale jeszcze nie umiem mówić zdaniami, znam tylko pojedyncze wyrazy.

Z perspektywy czasu rozumiem, że sześciolletnią dziewczynkę przerażała ta sytuacja: sama w domu z marudnym niemowlęciem (mogłam mieć wtedy około roku), na domiar złego wysmarowanym gównem od pasa w dół.

Pamiętam, jak niosła mnie do łazienki – beczała przy tym niczym bóbr. W końcu sama była jeszcze dzieckiem, a tu taka odpowiedzialność: musiała się mną zajmować, ponieważ mama była akurat w sanatorium, a ojciec ciężko pracował, aby zdobyć pieniądze na dalsze leczenie. Prawdopodobnie w tym czasie miała się nami opiekować ciotka, lecz z całą pewnością nie było jej w mieszkaniu.

Dagmara wstawiła mnie do wanny. Nie podobał mi się chłód pod stopami. Przebierałam nogami, odbijając na białej powierzchni brązowe ślady. Pamiętam odkręcony maksymalnie prysznic, którego strumień zmywał ze

mnie odchody. Woda była lodowato zimna – tak bardzo, że zapierała mi dech w piersi. Nie byłam w stanie krzyknąć, bronić się ani wyrywać. Dopiero gdy Dagmara wyjęła mnie z wanny, mokrą i przemarzniętą, i zaczęła wycierać w śmierdzący stęchlizną ręcznik, znowu mogłam się nad sobą poużalać. Płakałam tak głośno, że zwabiłam sąsiadkę.

– Ona ciągle płacze – skarży się Dagmara. – Płacze i płacze, nie mogę jej uspokoić.

– A przewijałaś siostrzyczkę? – Kobieta nachyla się nade mną.

– Tak, przed chwilą.

– Ma zimne rączki. Trzeba by ją cieplej ubrać. A może jest głodna? Albo chce jej się pić?

Ręce sąsiadki są przyjemnie ciepłe. Płaczę, gdy odchodzi. Na szczęście po chwili pojawia się z butelką herbaty. Bierze mnie na ręce, owija w ciepły koc i przytula. Nieziemskie uczucie! Dlaczego mama mnie nie przytula? Prawda, nie ma jej.

Sąsiadka jest bardzo ładna i ślicznie pachnie. Krzywi się, kołysząc mnie w ramionach. Jej córka powiedziała kiedyś, że śmierdę – nic dziwnego, skoro przeważnie jestem pod opieką nieudolnej Dagmary. Ciotka ma na głowie ważniejsze sprawy niż opieka nad marudnymi siostrzeńcami.

Jest mi coraz przyjemniej. Herbata rozlewa się w brzuchu cudownym ciepłem. Kobieta delikatnie mnie kołysze. Nuci pod nosem jakąś kołysankę. Ma miły głos.

Ciotka prawie nigdy nie nuci – chyba że pieśni religijne (a poza tym okropnie fałszuje). Ciągle tylko krzyczy i krzyczy. Jej głos jest nieprzyjemny, wdziera się do świadomości okropnym jazgotem.

– Widzisz? Było jej zimno. Dziecko potrzebuje, żeby je przytulać. Jest wtedy bezpieczne i nie płacze – mówi sąsiadka. – Twój tato nie powinien zostawiać was bez opieki. Dokąd poszedł?

– Jest w pracy.

– A kiedy wróci?

– Jutro rano.

– Matko Boska! – oburza się sąsiadka.

Nie rozumiem jej zdziwienia. Przecież tato ciągle jest w pracy.

– A wasza ciocia?

– Poszła gdzieś, nic nie mówiła...

Dalsza rozmowa toczy się szeptem. Już nic nie słyszę, popadam w błogostan i zasypiam.

– Nie będziesz głodne – mówię do mojego brzucha. – Nie będziesz śmierdzieć, nie będzie ci zimno. Nie będziesz mieć takich smutnych wspomnień. Nie będziesz pamiętać swojego taty, ale będziesz mieć mnie. Nigdy cię nie opuszczę. Nauczę się, jak mam cię kochać, obiecuję. I nigdy, przenigdy nie pozwolę cię wyskrobać.

Ostatnie słowa mówię ze szlochem.

– Już dobrze, małeństwo, już dobrze... Nie powinnam była tego mówić. Lepiej, żebyś nie wiedziało o takich rzeczach.

Dawid przyniósł mi stary bujany fotel. Ustawił go na werandzie.

– Mama mówi, że huśtała się w nim, gdy chodziła w ciąży z każdym z nas. Dzieci lubią kołysanie.

Za jego namową zrezygnowałam z jeszcze jednego wakacyjnego wyjazdu z dziećmi. Zamiast mnie pojechała Lidzia. Krucho stoję z pieniędzmi i muszę martwić się o przyszłość, lecz potrzebuję wypoczynku. Wciąż źle się czuję, dokuczają mi mdłości i jestem obolała. Najgorsze jednak są bólaczki w mojej głowie.

Od ucieczki Mariusza minęły trzy tygodnie.

Dawid i pani Kasia bardzo mi pomogli. Przez pierwszy tydzień nigdzie nie wychodziłam, Dawid poradził mi, żebym poczekała, aż warga się wygoi i zniknie ślad po uderzeniu.

– Po co ludzie mają o tobie gadać? Wiesz, jacy oni są. Dla nich byłaby to woda na młyn, że nauczycielka chodzi z zapuchniętą twarzą. Za parę dni zaczną pewnie szemrać o zniknięciu Mariusza. Jeśli powiedział Kubasowej, że wyjeżdża z kraju za pracą, to na razie powinnaś mieć trochę spokoju. Lepiej więc, żeby nikt nie zobaczył twojej buzi. W razie czego będę ci robił zakupy. Zapisuj na kartce, czego potrzebujesz.

Posłuchałam go i dopiero gdy przestałam wyglądać na ofiarę przemocy domowej, poszłam do ginekologa. Ze stoickim spokojem wysłuchałam wyroku. Klamka zapadła, na początku grudnia zostanę matką.

Delikatnie bujam się w fotelu. W promieniach słońca wygrzewam zmarznięte ciało i uczę się kochać to małe życie, które rośnie we mnie. Mój brzuch jest delikatnie wysklepiony, lecz przez ubranie jeszcze nie widać, że oczekuję dziecka. Urosły mi piersi, musiałam zmienić stanik na większy. Wczoraj po raz pierwszy usłyszałam, jak bije miniaturowe serduszko.

Płakałam ze wzruszenia.

Łzy wciąż są moim towarzyszem, ale już nie rozpaczam i nie wrywam włosów z głowy – to spokojny, wyciszony płacz. Wspominam dzieciństwo, chłód, który mu towarzyszył, strach i brak poczucia bezpieczeństwa. Nie powinnam tego robić, ponieważ moje lęki mogą udzielić się dziecku.

Zaakceptowałam fakt, że będę matką. Oczywiście nadal nie wiem, jak sama wszystko ogarnę. Najczarniejszą chmurą na horyzoncie jest wizja utraty pracy i mieszkania. Jadźka na pewno nie będzie chciała przedłużyć mojej umowy. Ona nigdy mnie nie lubiła, więc gdy skończy się zasiłek macierzyński, będę w trudnym położeniu. Usiłuję odkładać każdy grosz, ponieważ Mariusz uciekł, zabierając niemalże wszystko. Zostawił mi tylko kilkaset złotych na skromne utrzymanie do najbliższej wypłaty.

Byłam skrępowana i zaskoczona, gdy Dawid przyniósł mi zwitek banknotów.

- Weź, to twój udział w firmie – powiedział.
- Ale jak to? – wzbraniałam się przed ich przyjęciem.
- Jesteśmy współnikami. Zaciągnęłaś kredyt na otwarcie warsztatu.
- Przecież Mariusz już nie pracuje, nic mi się nie należy.

Do tej pory kasę zawsze pobierał mąż i wiecznie narzekał, że tak mało zarabia. Nigdy nie przyznał się, ile naprawdę dostaje. Chyba sporo tego było, ponieważ jak przeliczyłam banknoty otrzymane od Dawida, to zaskoczyła mnie wysokość kwoty, którą dostałam ot tak, jako wypłatę z zysków.

Od ucieczki Mariusza nie widziałam jeszcze teściowej. Gdy byłam chora, nie zainteresowała się moim samopoczuciem. Ciekawe, czy powiedział jej o dziecku? Przypuszczam, że nie. Powinnam pójść do Kubasowej, aby z nią porozmawiać. Według Dawida muszę dowiedzieć się, gdzie przebywa mój mąż i wyegzekwować alimenty.

Nic od niego nie chcę. Nie po tym wszystkim, co przez niego przeżywałam. Wolałabym już nigdy go nie oglądać.

Nauczyłam się zasypiać w pustym łóżku, jeszcze zanim odszedł. Nie brak mi innego ciała obok mnie. Druga połowa mojego pośłania na zawsze pozostanie pusta, ponieważ nie potrafię już kochać. Nie zaufałamby więcej nikomu.

Mam wspaniałych przyjaciół: Lidkę, panią Kasię i Dawida. Kocham ich na mój ograniczony emocjonalnie sposób, to oni są teraz moją rodziną. Zawdzięczam im tak wiele, że nie jestem w stanie wyrazić tego słowami. Przyjaźń, ta prawdziwa, nie zawodzi nigdy.

Czasami, gdy patrzę na Dawida i Lidkę, jak przekomarzają się na mojej

werandzie, ogarnia mnie smutek, że nie są parą. On na pewno nie byłby takim draniem jak Mariusz. Czarnota jest odpowiedzialny, poważny i troskliwy. Nareszcie zrzucił z twarzy maskę gbura. Coraz częściej się uśmiecha, widać radość w jego szarych oczach, nie szuka schronienia za zasłoną włosów. Może on także dojrzał i zaakceptował swój wygląd? Co z tego, że twarz ma niepiękną, skoro jego dusza i osobowość wszystko rekompensują?

Lidia wciąż wodzi za nim tęsknym wzrokiem, a on, brzdąkając na gitarze, nuci głębokim głosem:

*Dzieci urodzą się nowe nam.
I spójrz: będą śmiać się, że my
znów wspominamy ten podły czas, porę burz.
Za dzień, za dwa, za noc, za trzy,
choć nie dziś, za noc, za dzień,
doczekasz się, wstanie świt.*^[5]

[4] Przyśpiewka ludowa, autor nieznany.

[5] Fragment tekstu piosenki pt. *Nim wstanie dzień*, autor: Agnieszka Osiecka, Krzysztof Komenda, 2003 r, S. P. Records, płyta *Grabaż Strachy na Lachy* z repertuaru Strachy na Lachy

CZEŚĆ IV

Uśmiechy i łzy

Rozdział 10

Jutro będzie lepiej

Kludia

Stoję przed bramką do posesji teściowej i ogarniają mnie wątpliwości. A jeśli Mariusz nie powiedział jej o dziecku? Uwierzy mi? Musi, przecież łatwo policzyć, kiedy zaszłam w ciążę. On był wtedy w Jodłówkach. Nie ma go zaledwie cztery tygodnie – to tylko mnie zdaje się, że minęły całe wieki. Może za długo zwlekałam z rozmową? Kubasowa będzie mi pewnie dogryzać, że późno zaczęłam interesować się tym, gdzie przepadł mój mąż.

Nie ma na co czekać – za kilka tygodni będzie widać brzuch. Wolę, żeby dowiedziała się ode mnie niż (jak słusznie zauważył Dawid) od miejscowych kumoszek. Zakładam, że nie wie, bo inaczej może choć raz zapytałaby, co u mnie słychać i jak się czuję. Kilkakrotnie widziałam ją z daleka, lecz nigdy nie podeszła. Na co ja liczę? Ta kobieta na pewno będzie trzymała stronę syna, nic nie powie na jego temat.

Popycham furtkę, wchodzę do ogrodu. Zamknięty w kojcu pies szczeka na mnie zaciekle, warczy i obnaża kły – on też mnie nie lubi. Rozglądam się po obejściu. Tutaj także dotarła woda miesiąc temu. Na ścianach zabudowań pół metra od poziomu pierwszej płyty widać brudny ślad pozostawiony przez błotnisty nurt rwącej rzeki. Do tej pory przed domem suszą się jakieś graty i dywany. Kubasowie i tak mieli dużo szczęścia – my straciliśmy dom, a działka już nigdy nie będzie nadawała się pod zabudowę. Został nam bezużyteczny kawałek ziemi. Mariusz, zanim uciekł, zdążył pobrać należne nam zapomogi – nawet tego nie opuścił.

Dzwonię. Po chwili w drzwiach staje tęga kobieta z jasnymi włosami upiętymi w niedbałego koka. Ubrana jest w poplamioną, przyciasną podomkę

i rozczłapane sandały. Kiedyś musiała być ładną dziewczyną. Kolejne ciąży oraz utrapienia z mężem i dziećmi zniszczyły jej urodę, pozostawiając na twarzy piętno w postaci zgryźliwego uśmiešku.

Podobno Mariusz ma charakter ojca. Czy stary Kubas też bije żonę, czy jej urąga i pomiata jak starą szmatą?

– A, Klaudia? – mówi na powitanie.

– Dzień dobry. Mogę wejść?

Kubasowa cofa się nieznacznie, przepuszcza mnie w drzwiach. Mimo pootwieranych okien w domu śmierdzi wilgocią. Wchodzimy do kuchni. Omiotam wnętrze spojrzeniem. U dołu ściany został skuty tynk. Na podłodze nie ma linoleum.

– Usiądź. – Teściowa wskazuje mi najmniej wygodny stołek. – Jak widzisz, luksusów nie ma. Nam też woda dokuczyła.

– Przykro mi – mówię.

– Co cię sprowadza? – Od razu przechodzi do rzeczy. Nie sili się na zbędne uprzejmości.

Skoro tak, to ja też nie powinnam lawirować, tylko prosto z mostu wyłożyć, z czym przyszłam.

– Chcę zapytać, dokąd wyjechał Mariusz i kiedy wróci.

Z trudem przychodzą mi te słowa. Zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami teściowa odpowiada z przekąsem:

– Nieprędko se o nim przypomniałaś.

– Byłam chora – próbuję się usprawiedliwić.

– Aż tak, żeby nie móc tu zajrzeć?

– Naprawdę źle się czułam. Gdzie on jest?

– Wyjechał.

– Wiem, ale dokąd? Nie zostawił mi żadnej informacji. Po prostu zniknął pewnego dnia z wszystkimi naszymi pieniędzmi.

– Potrzebował pieniędzy na wyjazd i jakie takie urządzenie się na miejscu. Miał spać pod mostem?!

– Nie o to mi chodzi. – Nie chciałam, aby moje słowa zabrzmiały jak oskarżenie. – On nic mi nie powiedział.

– Przecież nie chciałaś z nim jechać. Nie raz ci to proponował.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego *ale!* – przerywa mi obcesowo. – Żona powinna słuchać męża.

– To nie średniowiecze. Nie jestem jego własnością.

– Tak! Tylko przez twój głupi upór on stracił dorobek całego życia. Trzeba było sprzedać dom i wyjechać! – piekli się, chociaż pamiętam, jak przekonywała Mariusza do pozostania w Jodłówkach. Powtarzała, że nie po to zapisała mu ziemię na stoku, aby sprzedawał ją obcym. Na każdym kroku podkreślała, że dała ją jemu, a nie nam.

Co ja tutaj robię? Czy naprawdę muszę tego wysłuchiwać?

Wstaję, ta rozmowa i tak zmierza donikąd.

– Nigdy mnie pani nie zaakceptowała – stwierdzam. – Nie będę więc przedłużać wizyty. Proszę przekazać Mariuszowi, że ja i dziecko czujemy się już dobrze.

Zmierzam ku drzwiom.

– Jakie dziecko?! – Dobiega mnie okrzyk Kubasowej.

– Jego. Jestem w ciąży – rzucam przez ramię.

Chciałabym odejść, lecz ona łapie mnie za rękę i odwraca do siebie. Jej mina nie pozostawia mi złudzeń. Teściowa o niczym nie wiedziała i bynajmniej nie wygląda na zachwyconą.

– Z kim? – Pytanie, które pada z jej ust, odczuwam dotkliwiej niż cios wymierzony przez męża.

– To dziecko Mariusza. Nie powiedział pani, prawda? Zabrał pieniądze, uciekł i zostawił mnie na lodzie. Zaspokoiliam pani ciekawość, więc już pójdę – oznajmiam.

– Zaraz, zaraz! Nie tak prędko. Który to miesiąc? – pyta, wskazując mój brzuch. – Bo Mariusz nic nie mówił, więc zakładam, że to niekoniecznie jego.

– Połowa piątego. Nie zdradzałam Mariusza, to on wciąż włóczył się z jakimiś dziwkami.

– Sama jesteś sobie winna. Chłopa trzeba słuchać, a nie boczyć się nie wiadomo o co! Czego chcesz? Pieniądzy? Alimentów?

– Nic od niego nie chcę. Proszę mnie puścić. Nie będę pani wysłuchiwać.

– A właśnie, że wysłuchasz! I wiesz co? Cieszę się, że on wyjechał, bo z taką babą jak ty i tak do niczego by nie doszedł. Nie chciałam, żeby brał z tobą ślub. Mógł się z tobą pieprzyć po krzakach, a ożenić z dziewczyną porządną i bogatą, a nie taką przybłądą, co to się tutaj zwłokła nie wiadomo skąd! Ja tam nie wierzę, że dziecko jest jego, bo gdyby tak było, powiedziałby mi o tym przed wyjazdem. Widać, nie chciał mieć z tobą nic wspólnego, skoro nie zostawił ci żadnej wiadomości. Lepiej wracaj, skąd przyjechałaś, i nie zawracaj głowy mojemu synowi. Zmarnowałaś mu życie!

– Rozluźnia uścisk na moim ramieniu, więc korzystam z okazji i wyrywam się z jej szponów.

Płacząc, wybiegam z kuchni.

Dawid

Niepotrzebnie namówiłem Klaudię na wizytę u teściowej. Zaszedłem do niej akurat wtedy, gdy tam poszła. Ponieważ jej nie zastałem, usiadłem w bujanym fotelu na werandzie, aby poczekać. Założyłem, że nie udała się daleko – poza wizytami u lekarza oraz zakupami nie wychodzi teraz prawie nigdzie. Całe szczęście, że zostałem, bo Klaudia wróciła w okropnym stanie. Ta wiedźma, Kubasowa, nagadała jej okropnych bzdur i jeszcze śmiała jej zarzucić, że to nie jest dziecko Mariusza. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Psiakrew!

Ciężko było utulić tę rozpacz. Klaudia lamentowała, że jej życie jest pokręcone, skopane i ma już dosyć. Raz na zawsze chciałaby z tym wszystkim skończyć.

Przeraziłem się. Przecież ona cierpi na depresję, a w jej stanie chyba trudno o dobrą terapię. Nie pozwoliłem jej się rozklejać. Wsadziłem ją do samochodu i zabrałem do Krakowa. Poszliśmy na spacer po Starym Mieście, razem karmiliśmy gołębice pod Adasiem. Na osłodę życia kupiłem Klaudii watę cukrową.

- Traktujesz mnie jak dziecko – uśmiechnęła się w końcu.
- Jak zajdzie potrzeba, będę ci wycierał nasek – zażartowałem.
- Głupio mi. Wciąż zawracam ci głowę moimi sprawami.
- Od tego są przyjaciele.

Klaudia

Znowu miałam koszmar.

– Masz do mnie mówić mama. Ma-ma! Powtórz! – krzyczała ciotka, wygrażając kablem od magnetofonu.

Obudziłam się przerażona. Poczułam ulgę, że to tylko sen.

Ciotka nigdy nie wymusiła ode mnie słowa *mama*. Uzurpowała sobie prawo do tego określenia, lecz dla nas na zawsze pozostała znienawidzoną ciotką.

Coraz częściej powątpiewam, czy dam sobie radę sama. Kiedyś przyjdzie

czas powrotu do pracy. Nie mogę sobie pozwolić na luksus siedzenia w domu. Co wtedy zrobić? Nie oddam tak maleńkiego kilkumiesięcznego maleństwa do żłobka, na nianię mnie nie stać, a na teściową nie mogę liczyć. Kubasowa tak właściwie wyparła się związków z dzieckiem, które noszę pod sercem. Na samą myśl o tym, co nawrzeszczała tamtego dnia, ogarnia mnie rozpacz.

Chciałam wtedy umrzeć. Ile może udźwignąć jedna kobieta? Moje życie jest beznadziejne. Gdybym mogła stanąć teraz twarzą w twarz z mężem i wykrzyczeć z siebie całą nienawiść do niego!

Nie mogę w nieskończoność nadużywać dobroci Czarnotów. Nieustannie mam skrupuły, że Dawid odrywa się przede mną od pracy i poświęca mi mnóstwo czasu. Także pani Kasia wciąż fatyguje się do mnie lub dzwoni, żebym to ja przyszła do niej. Poczciewcy, nie zostawiają mnie samej na dłużej. Nie powinnam ich wykorzystywać, a jednak po każdym telefonie pani Kasi idę tam, by choć przez parę godzin ogrzać się w ciepłe domowe ognisko.

Dawid słucha muzyki. Spogląda na mnie filuternie i nuci do wtóru swojej ulubionej kapeli:

Hej, po co ten płacz?

Hej kobieto, po co ten płacz?^[6]

Uśmiecham się do niego. Pasuje do niego ta muzyka. W spłowiałych jeansach i wypuszczonej na nich koszuli w kratkę Czarnota wygląda trochę jak hippis. Wrażenie to potęgują długie do połowy pleców kręcone włosy, w których połyskuje coraz więcej siwych pasemek, oraz cienki sznurek koralików, który oplata jego szyję. W domu Dawid nosi związane włosy, ponieważ pani Kasia, podobnie jak ja, wciąż go upomina, że psuje sobie wzrok, gdy leca mu na twarz i do oczu.

Lubię patrzeć, jak mój przyjaciel struga kolejne figurki. Ludzie wciąż zasypują go różnymi zleceniami. Nie narzeka na brak zajęć, jego dłonie są w nieustannym ruchu. Żeby nie odrywać go od pracy, zachodzę do Czarnotów tak często, jak tylko mogę.

Siedzimy w kuchni. Dawid rozłożył w kącie stare gazety, na które zestruguje kolejne warstwy wiórów. Po przeciwległej stronie pani Kasia zagniata kruche ciasto z ostreżynami. Chciałabym jej pomóc, lecz ona ze śmiechem mnie przegania. Nie pozwala na podskubywanie surowego ciasta (uwielbiam!). Podtyka mi za to misę pełną owoców.

Pani Kasia i Dawid wciąż się przekomarzają. Nie raz matka podnosi w górę zaciśniętą pięść i wygraża w żartach synowi.

– Czekaj, czekaj, chłopaku! Ja cię nauczę szacunku, huncwocie! Ścieraą dzielię po tym głupim siwym łbie! – śmieje się, bo to tylko żarty.

Kocha go, to widać. Często podgląda przez ramię jego pracę, czochra mu włosy pomarszczoną dłonią, obejmuje ramieniem kark i całuje w czubek głowy. On się śmieje, że jest starym koniem, a mama traktuje go jak dziecko. Widać, z tego się nie wyrasta – Dawid ma trzydzieści osiem lat, a dla niej wciąż jest chłopakiem.

Trochę im zazdrozczę, lecz tak pozytywnie – bez zawiści.

Wiem, że nie należą mi się te chwile błogiej sielanki. Czuję, jakbym podkradała cudze szczęście. Może Dawid wolałby wyjść po pracy do pubu na piwo albo zająć się czymś innym niż dotrzymywanie mi towarzystwa? Kiedyś nieopatrznie powiedział, że gdy Mariusz uciekał, przyszedł do niego i powiedział, aby się mną zaopiekował. Nie powinien serio traktować tego zobowiązania. Przecież już wtedy nie byli przyjaciółmi.

Walcząc ze skrupułami, siedzę i skubię ostrężyny, gdy nagle czuję, że w moim brzuchu coś się dzieje. Już od kilku dni czułam delikatne muśnięcia o jego wewnętrzną ściankę, lecz teraz to wrażenie jest tak mocne i wyraźne, że wydaję krótki okrzyk. Przykładam rękę w miejscu, gdzie maleństwo wierzga najbardziej.

Kasia i Dawid spoglądają na mnie z lekkim przestraczem, lecz mój uśmiech od razu ich uspokaja.

– Kopie – mówię wzruszona. – Ono się rusza, ja to czuję!

Pani Kasia od razu jest przy mnie. Przykłada dłoń do lekko zaokrąglonego brzuszka. Uśmiecha się przez łyzy, które nagle zaczynają kapać z jej oczu.

– O, rzeczywiście się poruszyło! Chodź, Dawid, połóż tutaj rękę – woła syna. Mężczyzna staje za moimi plecami, nachyla się i otacza mnie swoim ramieniem.

– Kopie – potwierdza. – Naprawdę kopie!

Jego głos załamuje się ze wzruszenia. Coś takiego! Trójka dorosłych ludzi, a tak rozmiękliśmy nad moim brzuchem. Dawid nie zabiera ręki. Patrę, jak głaszczę wypukłość. Nie widzę jego twarzy, ale czuję, że się uśmiecha. Dobrze mi w jego bezpiecznym objęciu.

– Na pewno spodobał jej się mój śpiew – stwierdza bezkrytycznie.

– Ta! Jasne... – dogryza mu od razu pani Kasia. – Biedactwo pewnie chciało sobie zasłonić uszka rączkami, żeby nie słuchać twojego zawodzenia.

– A czemu zakładasz, że to ona? – pytam.

– Bo to będzie dziewczynka, zobaczysz – odpowiada z głębokim przekonaniem, nie przestając głaskać wierzgającego maleństwa.

– To takie wzruszające – mówi pani Czarnotowa. – Czterech synów nosiłam pod sercem, doczekałam się dziesięciorga wnuków, wygłaskałam po brzuszku każdą synową, a jednak nowe życie wciąż wyciska mi łzy z oczu.

Prawdziwa sielanka.

I tylko gdzieś w głębi duszy czuję, że to Mariusz powinien głaskać mnie po brzuchu, a Kubasowa ocierać łzy kraciastą ścierką do naczyń.

Dawid

Właściwie sam nie wiem, skąd ta pewność, że dziecko Klaudii będzie dziewczynką. Być może nie wyobrażam sobie, aby tak cudowna istota mogła wydać na świat syna tamtego bydlaka i powołać do życia kolejne pokolenie drani topiących smutki w wódce i rozładowujących frustracje na słabszych od siebie. Łudziłem się, że Mariusz będzie inny i nie pójdzie w ślady starego, lecz on w niczym nie uszedł ojcu.

Jeszcze przed ślubem powinienem był przestrzec Klaudię, jacy są Kubasowie, lecz zakładałem, że nie jest aż tak zaślepiona miłością. Nie mogłem znieść myśli o jej szczęściu. Wolałem uciec jak pies z podkulonym ogonem. Błąd, którego nie daruję sobie nigdy. Ta myśl gryzie mnie uporczywie. Wciąż zadaję sobie pytanie, co by było, gdybym nie wrócił z Irlandii?

Czy Klaudia, doprowadzona do skrajnej rozpacz, odebrałaby sobie życie?

Wróciłem zdecydowanie za późno. Wyrzucam sobie, że wyjechałem i zostawiłem ją na pastwę losu.

I co z ciebie za przyjaciel, Czarnota?

Dałeś się ponieść chorobliwej zazdrości!

Klaudia

Kiedy urodziła się Anka, klepaliśmy „bogata biedę”, ponieważ ciotka zawsze uważała, że jedzenie jest zdecydowanie za drogie, więc trzeba na nim oszczędzać. Moja najmłodsza siostra była wyjątkowo rachitycznym dzieckiem: chuda jak szczapa, patykowata – obraz nędzy i rozpacz. Ciotkę dręczyło z tego powodu poczucie winy, bo raz na jakiś czas kupowała dla niej bobo-fruty, vibovit oraz inne rarytasy, które były niedostępne dla mnie

i mojego rodzeństwa.

W wieku dwóch lat Anka złapała jakiegoś wirusa. Ciotka zdobyła się wtedy na straszny dla niej wysiłek finansowy i kupiła kiść bananów. Ależ one pachniały! Te egzotyczne owoce znałam tylko z opowiadań innych dzieci. Bardzo chciałam ich spróbować, ale nic z tego! Banany miały być na odkarmienie małej. Ciotka chyba wierzyła, że jak Anka zje kilka bananów, to od razu zrobi się pulchniutka i jej waga skoczy o parę kilogramów.

Choroba mojej siostry polegała na ciągłym rzyganiu i bieguncie, więc futrowanie dziecka owocami, do których żołądek nie nawykł, było niemądre. Mimo to ciotka rozgniotła jednego w garnuszku i podgrzała nieco nad gazem. Resztę schowała, żebyśmy ich nie pożarli. Pozostała nadzieja, że Anka nie zje całego banana i będziemy mogli spróbować tego specjału.

Mała jadła powoli, łyżeczka po łyżeczce, ze smakiem. Wstyd przyznać, ale liczyłam zgłodniałym wzrokiem każdą porcję, która znikwała w jej buzi. Ciotka cieszyła się, że dziecko nareszcie coś je. Nagle jednak Anka zakrztusiła się i wyrzygała wszystko, co zjadła wcześniej.

Ciotka zebrała banana łyżką i wykonała gest, jakby z powrotem chciała go wtłoczyć do Ancynej buzi. A jaką miała przy tym minę! Sama nie wiem, czy bardziej było jej żal zmarnowanego banana, czy wydanych na niego pieniędzy, czy może tego, że staliśmy z Kazikiem oraz Ewką i patrzyliśmy na resztki posiłku. Być może, gdyby nie nasza obecność, Anka zjadłaby tego banana po raz drugi!

Nigdy w życiu nie zapomnę wyrazu twarzy ciotki!

Nie zapomnę także, jak chowała przed nami jedzenie. Cukier, mięso i szynka to były dobra zastrzeżone dla małej, chudej Anki, która potrzebowała ich bardziej niż my. Pod żadnym pozorem nie mogliśmy tego ruszyć. Dla nas ciotka przeznaczyła cienki kapuśniak i wyschnięty chleb ze smalcem albo dżemem z jabłek, które za darmo dostawała od krewnych ze wsi.

Któregoś dnia nie wytrzymałam. Zaczęłam wrzeszczeć, że też chcę mieć plasterk szynki na chlebie i nie jestem zwierzęciem, aby odżywiać się byle czym. Ciotka zwyzywała mnie wtedy od świń i rzuciła mi plasterk łykowatej, przerośniętej sadłem szynki.

Rzuciła mi go jak psu.

Położyłam się spać bez kolacji i chyba to przywołało mroczne wspomnienia.

Wstaję z łóżka, aby zrobić sobie kanapkę. Owiewa mnie nocny chłód, nieomylny znak, że wakacje dobiegają końca. Czeka mnie rozmowa z panią Jadwigą, po raz pierwszy występującą w roli mojej przełożonej. Cierpnę na samą myśl o tym.

– Nie odkładaj tego, Klaudyś – mówi Lidka. – Jak chcesz, pójdę z tobą. Musisz powiedzieć Jadwidze o dziecku jeszcze przed początkiem roku szkolnego, bo inaczej będzie wściekła. Nie daj jej powodu do utyskiwania, że przez ciebie nie miała szansy na zaplanowanie bieżącej działalności szkoły. Po co ma się później na tobie wyżywać? No, to jak? Idziemy?

– Dzięki, kochana jesteś, ale pójdę sama. Szymczykowa mogłaby wydziwiać, że przyszedłam z adwokatem. Zrobię to jutro, bo dziś nie czuję się na siłach.

– Klaudia! – złości się przyjaciółka. – Jutro może być za późno. Chcesz, żeby ktoś inny jej doniósł?

Na razie o mojej ciąży wie tylko parę osób – nie chwale się nią na prawo i lewo. Przypuszczam, że i Kubasowa nieskora jest do gadania na ten temat. Skoro nie wierzy w ojcostwo Mariusza, to zapewne wstydzi się, że przyprawiłam mu rogi.

– Masz rację, idę do niej. Pewnie jest teraz w kancelarii. Boję się jak diabli – wyznaję.

Lidzia ściska moją dłoń.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się na zapas. Prawo pracy chroni kobiety ciężarne. Ona może co najwyżej odebrać ci wychowawstwo. Pójdę z tobą i będę czekać pod drzwiami – decyduje.

Odprowadza mnie pod gabinet. Ona też ma nietęgą minę i boi się rządów Szymczykowej, w końcu to jej niedoszła teściowa.

– Powodzenia – szepcze, gdy kładę dłoń na kłamce.

Wchodzę. Jadwiga siedzi za wielkim biurkiem zawałonym stertami papierów, na mój widok odkłada długopis.

– Aaa... Pani Klaudia – mówi. Jej ton nie wróży nic dobrego. Chyba zbyt długo odkładałam tę rozmowę na później. – Witam w tych skromnych progach, coś nie po drodze było pani do mnie – stwierdza jadownicę.

– Dzień dobry – odpowiadam, puszczając mimo uszu cyniczne uwagi.

– Proszę usiąść. W pani stanie raczej niedogodnie tak sterczeć.

Ups, już wie. Niedobrze!

Siadam. Mój żołądek zawiązuje się w bolesny supeł. Po przeprawie

z teściową spodziewam się czegoś równie niemiłego. Mina Szymczykowej nie pozostawia mi złudzeń.

– Przepraszam, że dopiero teraz przychodzę.

– Lepiej późno niż wcale. Na kiedy wypada termin rozwiązania? – zaskakuje mnie bezpośrednim pytaniem.

– Początek grudnia.

– Rychło w czas dowiaduję się o tym. Jest pani naszą jedyną polonistką. Zamierzała pani przyjść we wrześniu jakby nigdy nic, a zaraz potem uciec na zwolnienie chorobowe?

– Nie. Przepraszam ...

– Egoistycznie nie dała mi pani szansy na to, żebym mogła przygotować się na ewentualną absencję! Swoją drogą, naprawdę nie można było wybrać gorszego terminu! Wykształcona kobieta powinna rozsądniej planować powiększenie rodziny. Nie dało się odwlec tego o pół roku? Ja nie miałabym problemu z wakatem, a pani pracowałaby do końca kontraktu i obyłoby się bez komplikacji. I co ja mam teraz zrobić?! – Rozkłada ręce w udawanym geście bezradności.

Dobre sobie! Jakby to była moja wina, że dziecko przyjdzie na świat w grudniu. Nie wszystko można zaplanować. Nie mam odwagi, aby powiedzieć to na głos. Dopiero wtedy sprawiłabym jej radochę.

– Przecież przyszłam, żeby o tym uprzedzić.

– Nie uważa pani, że nieco za późno? Za dwa tygodnie zaczynamy zajęcia. Naprawdę tak trudno było zdobyć się na wysiłek i podejść parę kroków? Całe szczęście, że doszły mnie słuchy o pani poczynaniach, bo skąd ja bym teraz wytrzasnęła polonistę? Doprawdy irytujące, żeby dowiadywać się o tak ważnych sprawach od osób postronnych. Na szczęście są ludzie, którzy mają dość rozumu, aby przewidzieć, jakie konsekwencje mogły wyniknąć z pani milczenia, więc zdążyłam w porę zareagować. Od paru dni szukam kogoś na pani miejsce.

– Jeszcze raz przepraszam – udaje mi się wtrącić.

Szymczykowa miazdży mnie spojrzeniem.

– Będzie jednak problem, pani Klaudio. W najbliższej okolicy nie ma nikogo z odpowiednim przygotowaniem zawodowym, czego żywym dowodem jest pani obecność w Jodłówkach. W związku z tym muszę ściągnąć tutaj kogoś z dalszych stron. Wie pani, co to oznacza?

Och, tylko nie to!

– Chodzi o mieszkanie, czy tak? – domyślam się, co chce powiedzieć.

– Otóż to. W pani umowie o pracę nie ma wzmianki o zakwaterowaniu. To jest kwestia odrębnej umowy, zgodnie z którą mamy miesięczny okres wypowiedzenia. Nie ukrywam, że wolałabym, aby szybciej opuściła pani lokal. Muszę gdzieś umieścić nowego nauczyciela. To oczywiste – tłumaczy – że nie mogę nikogo narażać na koszty wynajmowania stancji we wsi, a dojazdy tutaj mogą być uciążliwe w sytuacji, gdy tyle lokalnych dróg jest wciąż nieprzejezdnych. Liczę na wyrozumiałość w tej sprawie. Naprawdę nie mam wyboru. Potrzebuję tego mieszkania, a szkoła nie dysponuje innym wolnym lokalem. Myślę, że teściowa bez problemu przygarnie panią do siebie. Kubasowie mają przecież dom, z którego jest blisko do szkoły. Bo chyba nie ucieknie pani tak od razu na zwolnienie? Oczywiście wychowawstwo szóstej klasy muszę przenieść na kogoś innego. Nasza szkoła jest też zbyt mała, abym potrzebowała dwójki polonistów. W tej sytuacji pani poprowadzi zajęcia dodatkowe w bibliotece i na świetlicy.

Robi mi się duszno. Dokąd teraz pójde? Przecież nie do teściowej! Słucham Szymczykowej, walcząc ze łzami i ogarniającym mnie poczuciem bezsilności. Gorzej być nie może. Z tyrady przełożonej jasno wynika, że mam dwa tygodnie na opuszczenie mieszkania. Mogłabym co prawda zaciąć się w uporze i przetrzymać Jadwigę do końca września – umowa to umowa, okres wypowiedzenia obowiązuje obydwie strony, ale czy to mi w czymś pomoże?

Co ja teraz zrobię?

Na oślep wybiegam z gabinetu. Nic nie widzę przez łzy, które płyną wezbranym strumieniem. Wpadam prosto w objęcia Lidki.

– Pójde tam i wygarnę tej babie! Co ona sobie myśli?! – odgraża się, lecz powstrzymuję ją zdecydowanym gestem.

– Stój! Zwariowałaś?! I tak mi nie pomożesz, a sobie możesz zaszkodzić! Wiesz, że ona cię nie lubi. Po co masz się narażać? Chodźmy stąd – proszę łamiącym się głosem.

Wracamy do mieszkania i siadamy na werandzie. Lamentuję, relacjonując Lidce przebieg rozmowy.

– Co ja teraz zrobię?! – łkam. – Nie mam dokąd pójść. Gdzie znajdę mieszkanie w dwa tygodnie? Kto przyjmie kobietę w ciąży? Forsy też mam niewiele. Nie dźwigam już tego. Psiakrew! Jak się to wszystko pokręciło!

– Nie mów tak – napomina mnie łagodnie Lidzia. – Maleństwo słyszy. Nie klnij. Ono i tak płacze razem z tobą. Wiesz co, Klaudyś? Skoczę szybko po gazetę, zerkniemy na ogłoszenia, może znajdzie się coś w pobliżu. Sprawdź

oferty w Internecie. Dużo ludzi wynajmuje kwatery studentkom. Niebawem zacznie się rok akademicki, więc na pewno mieszkań jest bez liku – podpowiada. – A! Warto byłoby rozwiesić w okolicy ogłoszenie, że szukasz lokalu. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Tłucze mi do głowy słowa pociechy. Oporna materia ze mnie, bo prawdę mówiąc, już dawno straciłam resztki optymizmu. Lidka jest nieustępliwa, dotąd roztacza przede mną wizję nowej, lepszej przyszłości, aż wycieram ostatnie łzy.

Ma rację – płaczem nic nie osiągnę. Nadszedł czas działania. Powinnam była przewidzieć poczynania Szymczykowej i przygotować się na utratę dachu nad głową.

– Dzięki. Jesteś wielka – mówię, pociągając nosem. – Muszę zorganizować jakieś kartony. Pomożesz mi się spakować, żebym była gotowa na przeprowadzkę w każdej chwili? I, och... Przecież ja nic nie mam swojego, żadnych mebli, lodówki ani nawet pralki!

– Nie przejmuj się. Mieszkania do wynajęcia są na ogół umeblowane. A jak nie, to kupi się coś na raty albo w komisie. Może Dawid zrobi ci jakieś sprzęty na początek. Przecież masz udziały w warsztacie, więc potrafiłyby ci za to z zysków – snuje za mnie plany, jak wybrnąć z tej nieciekawej sytuacji.

Pocziwa dziewczyna, nie pozwala, abym się nad sobą użalała.

– Jesteś kochana. Ty to masz głowę na karku! Myślisz za mnie, podczas gdy ja zupełnie się rozklejam.

– Od czego są przyjaciele?

Co ja bym bez niej zrobiła? Ma w sobie pokłady optymizmu – zaczynam wierzyć, że to się uda.

Tylko czy znalezienie mieszkania w dwa tygodnie jest w ogóle możliwe? Pominąwszy nawet to, że z racji ciąży mogę być mało pożądaną lokatorką...

– Dobra, odpalaj kompa. Ja lecę do sklepu po gazetę. Spróbuję zorganizować jakieś kartony. Masz rację, powinnaś być spakowana i gotowa do przeprowadzki w każdej chwili. Nie martw się już. A może Dawid coś wymyśli? Ma różne znajomości, spotyka się z ludźmi, może słyszał o jakiejś kwaterze? On też mógłby popytać wśród znajomych i wywiesić ogłoszenie na drzwiach warsztatu.

– Och, mam wyrzuty sumienia, bo wciąż mnie niańczycie. Jestem zupełnie do niczego – znowu się rozklejam.

– Przestań! Nawet tak nie myśl. Pokażemy tej starej czarownicy, że nie potrzebujesz jej łaski. Będzie się smażyć w piekle za wywalenie na bruk

ciężarnej kobiety!

Wchodzę do środka. Rozglądam się z ponurą miną. Nie mam wiele do spakowania, głównie są to książki, ubrania, pościel i trochę drobiazgów z drewna, które zrobił dla mnie Dawid. Nędzny jest mój życiowy dorobek. Całą resztę (czyli pieniądze) zabrał Mariusz. Podły drań! Jak mógł mnie zostawić w taki sposób?

Nie znajduję mieszkania, nie ma mowy! Co mi pozostało? Dom samotnej matki chyba nie jest dla mnie, przecież mam pracę i teściową, która mnie nienawidzi.

Zrezygnowana wyciągam laptopa. Siedzę przed komputerem, gdy wraca Lidka. Tarabani się z ogromną ilością kartonów różnej wielkości, stanowczo każe mi spadać, gdy chcę jej pomóc. Krąży tam i z powrotem, rozładowując poskładane pudła. Zrzuca wszystko w pokoju dziennym, ociera z czoła pot.

– Uff... Przydałby się facet. Mogłam zadzwonić po Dawida, ale to nic, jeszcze go wykorzystamy podczas przeprowadzki. No, jak tam? Znalazłaś coś godnego uwagi?

– Bez cudów. – Wzruszam ramionami.

– Nie martw się, smutaku, dopiero zaczęłaś szukać. Napisz ogłoszenie i wydrukuj. Później rozlepimy je po okolicy. Ja tymczasem zacznę pakowanie. Co bierzemy na pierwszy ogień? Może książki? Przez najbliższe dwa tygodnie raczej nie będą ci potrzebne. Zapakujemy wszystko, co się da, z wyjątkiem odrobiny ubrań – paple.

Cieszy mnie jej hałaśliwa obecność. Gdyby w to okropne popołudnie zostawiła mnie samą, na pewno doszczętnie bym się rozkleiła.

Lidka rzuca się w wir pracy. Książki, jedna po drugiej, opuszczają miejsca na półkach. Przyjaciółka pakuje woluminy w najmniejsze pudła jakie przywiozła, żeby pakunki nie były nazbyt ciężkie, gdyby okazało się, że nikt nam nie pomoże przy ich transporcie.

Kończę pisać ogłoszenie, drukuję je kilkanaście razy, a później dołączam do przyjaciółki.

– Tylko nie dźwigaj nic ciężkiego – napomina mnie raz po raz. – A może zrobisz nam kawę? – sugeruje. – Odetchniemy chwilkę na werandzie, troszkę się zasapałam przy tej gimnastyce.

Jasne, czemu nie? Przecież mamy czas, dwa tygodnie to aż nadto na ogarnięcie wszystkiego. Szymczykowa chyba nie liczy na to, że na ostatek odmaluję mieszkanie. W zaistniałej sytuacji nie powinna oczekiwać zbyt wiele. Powinna się cieszyć, że nie urządziłam awantury ani sceny hysterii,

jakby to na moim miejscu zrobiła niejedna dziewczyna. Bądź co bądź, nieładnie mnie potraktowała. Przypuszczam, że wiele osób wyraziłoby oburzenie, słysząc o czymś takim.

Idziemy z kawą na werandę, gdzie popijamy ją niespiesznie. Chociaż nie jestem przemarznięta jak jeszcze parę tygodni temu, z przyjemnością wystawiam twarz na promienie popołudniowego słońca. Zamykam oczy. Spokojnie słucham optymistycznej paplaniny Lidzi.

Tak zastaje nas Dawid.

– Cześć, lalki! Znowu sješta? Wam to dobrze – śmieje się radośnie. – Jak kocice, tylko leniuchujecie w słońcu.

– Cześć, kocurze – odpowiada Lidka, ja poprzestaję na kiwnięciu głową. – Wcale nie próżnujemy. Pracuje się, pracuje! Tylko teraz mamy krótką przerwę, co Klaudyna?

Wstaję z ulubionego fotela. Cóż, chyba nie będę mogła go zatrzymać. Żal mi będzie rozstawać się z tym przyjemnym mebelkiem, ale nie wezmę go na sponiewieranie niewiadomo dokąd.

– Napijesz się kawy? – pytam Dawida.

– Nie pogardzę.

W czasie, gdy krzątam się w kuchni, Lidka opowiada o tym, co zaszło. Słyszę ich podniesione głosy, Czarnota bardzo się piekli. Wracam czym prędzej. Wciskam Dawidowi do ręki kubek z kawą.

– Nie ma się o co złościć – mówię.

– Podziwiam twój spokój. Przecież to podłość! Co ten babsztyl sobie myśli?! Jak można wyrzucać na bruk samotną, ciężarną dziewczynę?

– Ciszej... – staram się go uspokoić. – Ona nie ma pojęcia, że jestem samotna i lepiej niech tak zostanie. Jest święcie przekonana, że zamieszka u teściowej – mówię z głębokim niesmakiem.

– Pojechała babę! Pójdę tam i ją zwymyślam!

– Dawid! Nie przy dziecku! – złości się Lidka. – Ono na pewno słyszy, jak się wujek wyraża.

– Wujek, powiadasz? – Dawid uśmiecha się szeroko. Jego twarz natychmiast łagodnieje.

Wstaje z wiklinowego krzesła, kładzie mi dłoń na brzuchu, głaszcze go i mówi:

– Sorry, mała księżniczko, wujek nie będzie się już brzydko wyrażał.

– A żebyś wiedział, że wujek – potwierdza Lidka. – Skoro Klaudyś nie ma nikogo, to my będziemy cicią i wujkiem dla maleństwa. A ty nie bądź taki

pewien, że to dziewczynka, bo równie dobrze może być chłopiec. Mały rycerzyk, który będzie bronił mamusi.

– Zobaczysz, będzie dziewczynka – Dawid upiera się przy swojej racji. – A ty, Klaudyś, na co stawiasz? Co powiedział Mroziński na USG? No, pochwal się, mamuśka.

– Ja tam nie wiem, nie chciałam znać płci. Byle zdrowe było. – Głaszczę moją małą wypukłość.

Kończymy kawę. Dawid zakasuje rękawy i pomaga w pakowaniu. Dla niego ciężkie kartony to drobiazg.

– A teraz co? – dopytuje Lidka. – Może ubrania i pościel? A co z rzeczami Mariusza? Zabierzesz je ze sobą?

Zapada kłopotliwa cisza.

– Zawiozę je do Kubasowej – mówię w końcu. – On już dokonał wyboru, nie potrzebował nas, teraz ja nie potrzebuję dodatkowego balastu.

– Słusznie – popiera mnie Dawid. – Mogę to za ciebie załatwić. Skoczę do niej z jego manatkami.

– Nie. Wielkie dzięki, ale nie będę się tobą wyręczać. Sama oddam jego dobytek tej babie. Nie chcę, żeby posądziła mnie o tchórzostwo.

Robi się późno, zapomniane ogłoszenia nadal leżą na biurku.

– Daj mi je – prosi Czarnota. – Jutro z samego rana rozwieszę kartki po okolicy.

– Nawet w tym musisz mnie wyręczać? – pytam z uśmiechem.

– No nareszcie – mówi z ulgą – już myślałem, że się dziś nie uśmiechniesz. Dobra, siostra, ja spadam. I pamiętaj, żadnego defetyzmu. – Grozi mi palcem. – Wpadnę jutro po południu, więc sama nie szarp się z niczym. A teraz proszę grzecznie spapusiać kolacyjkę i położyć dzidziusia spać. Chodź, Lidka, odprowadzę cię do domu. Co tak będziesz chodzić sama po ciemku.

– Dzięki, ale jestem zmotoryzowana – mówi dziewczyna. Zapewne żałuje teraz, że jej samochód stoi na parkingu pod szkołą.

Wychodzą razem w mrok. Jeszcze przez chwilę dolatuje mnie ich przekomarzanie. Zazdroszczę im niezależności i beztroski. Że też mnie wszystko musi się tak bardzo komplikować!

Zostaję sama z moimi zmartwieniami. Czeka mnie długa, ponura noc.

[6] Fragment tekstu piosenki pt. *Hej kobieto*, autor: Zygmunt Wilimowski, Ernest Maszczak 2003 r., S. P. Records, płyta *Grabaż Strachy na Lachy* z repertuaru Strachy na Lachy

Rozdział 11

Nowy dzień

Kludia

Zgodnie z obietnicą, następnego popołudnia zjawia się Dawid. Jestem zdziwiona, że przyjechał samochodem – mieszka blisko, więc zawsze przychodzi pieszo. Czarnota podśpiewuje pod nosem. Cieszę się, że jest wesoły; gdy go poznałam, był strasznym ponurakiem. Jego humor udziela się mnie i Lidce, która przybiegła zaraz z rana.

Kolejne popołudnie mija na pakowaniu.

– Zapakuj do torby najpotrzebniejsze rzeczy – komenderuje Dawid, gdy uwijamy się z robotą. – Ubrania, kosmetyki i wszystko to, czego używasz na co dzień.

Jestem zaskoczona, bo przecież nie skończyliśmy jeszcze z całą resztą. W oknach wciąż wiszą firanki, w kuchni też nic nie ruszyliśmy.

– No już, już – pogania mnie przyjaciel. – Chyba mam dla ciebie mieszkanie, o ile ci się spodoba – dodaje asekuracyjnie. – Jak dobrze pójdzie, to jeszcze dziś prześpisz się na nowych śmieciach. Resztę rzeczy pozbieramy na dniach.

– I dopiero teraz mi to mówisz?! – Rzucam mu się na szyję i przyciskam wargi do szorstkiego, nieogolonego policzka. – Jesteś wielki! Jesteś kochany!

– Ha, ha, ha, wielki to on faktycznie jest – zauważa Lidka, ponieważ jesteśmy przy nim drobne jak dwie pchły.

– Zaraz mnie udusisz – mówi Dawid, ale nie ogania się przed moimi całusami. – Nawet nie wiesz, czy mieszkanie będzie ci pasowało.

– Dawidku, na pewno będzie – zapewniam. – No mów, gdzie to jest? Daleko od szkoły? Będę musiała dojeżdżać?

Zasypujemy go z Lidką gradem pytań, lecz on tylko śmieje się i pogania nas, żebyśmy prędko spakowały moje rzeczy. Obydwie dostajemy przyspieszenia, więc chwilę później jestem przygotowana do drogi w nieznane. W międzyczasie kilka kartonowych pudeł znika w przepastnym bagażniku Dawidowego kombi. Melduję gotowość do wyjazdu, a Czarnota robi najdziwniejszą rzecz na świecie: wyciąga z kieszeni czarną bandanę, którą nosi w zimie zamiast szalika, i zawiązuje mi oczy.

– Dawid – złoszczę się bez większego przekonania. – Co ty robisz, po co te sekrety?

– Wywiozę cię teraz w ciemny las i porzucę, ponieważ mam już dość twojego marudzenia – śmieje się. – Bagażnik zajęty, więc muszę ci zawiązać oczy, abyś nie znalazła drogi powrotnej.

– Ale dokąd mnie zabierasz?

– Zobaczysz niebawem. Weźmiesz torbę, Lidka? Ja mam większy pakunek – żartuje, podnosząc mi swobodnie niczym szmacianą kukielkę.

Opuszczamy mieszkanie. Słyszę szcęk zamykanego zamka. Chusta szczelnie zasłania mi widok. Skoro tak na tym zależy Dawidowi – nie będę podglądać, choć mogłabym ją zsunąć z oczu. Dawid niesie mnie do samochodu, pomaga mi wsiąść i zapina pas. Słyszę, jak z tyłu gramoli się Lidka, trzaskając drzwiami pojazdu.

– Tylko nie podglądaj – ostrzega Dawid. – A ty – zwraca się do Lidki – masz się nie odzywać przez całą drogę. Dasz radę, gaduło?

– Zakład?

Oj... Chyba nie chce mnie zawieźć do Kubasowej? No, bo po co ten sekret i cyrk z wiązaniem oczu? Wszystko wydaje mi się mocno podejrzan.

Od razu tracę orientację w terenie. Po kolejnym zakręcie, dosyć ostrym zresztą, nie mam pojęcia, gdzie możemy być. Choć pali mnie ogromna ciekawość, siedzę grzecznie i nie próbuję podglądać, o czym cały czas przypomina mi Dawid i wtórująca mu coraz bardziej rozbawiona Lidka. Mam nadzieję, że ta dwójka nie wycięła mi jakiegoś szatańskiego numeru.

Jedziemy cały czas asfaltową drogą, słyszę przejeżdżające samochody. Jak dla mnie trwa to nieskończenie długo. Później koła zjeżdżają na szutrową nawierzchnię, więc domyślam się, że jesteśmy u kresu podróży, a mój nowy dom nie znajduje się przy ruchliwej drodze, lecz gdzieś na uboczu. Mam nadzieję, że jest stąd przyzwoite połączenie z Jodłówkami, ponieważ trudno mi ocenić odległość. W ciemnościach szybko traci się poczucie czasu, nie wiem, czy jechaliśmy dziesięć minut, czy też może dłużej.

Dawid ostatni raz upomina mnie, żebym nie dotykała chusty, i wysiada z samochodu. Domyślam się, że obchodzi go dookoła, ponieważ po chwili otwierają się drzwi obok mnie. Czarnota pomaga mi wysiąść, a później znów bierze mnie na ręce i dokądś niesie. Słyszę tupot kroków Lidki, która podąża za nim.

Zostaję wniesiona do jakiegoś domu. Czuję zapach świeżego ciasta – tak intensywny, że aż mi ślinka cieknie. Wsłuchuję się w odgłosy obcego otoczenia, lecz poza chichotem i tupotem stóp nie słyszę absolutnie nic. Dawid wchodzi na schody, które trzeszczą cichutko pod jego ciężarem. Jeszcze parę kroków, zapewne jakimś korytarzem, skrzypnięcie zawiasów i mężczyzna pozwala mi stanąć. Podtrzymuje mnie, żebym nie upadła, a następnie rozwiązuje bandanę.

Otwieram oczy. Znajduję się w pięknie urządzonej sypialni. Pokój jest duży, typowy dla poddasza, z ukośnie opadającym sufitem. Znajdują się tutaj: obszerne małżeńskie łóżko przykryte patchworkową narzutą, szafa, komoda i toaletka, a prócz tego stolik i dwa fotele. Pod otwartym na oścież oknem, w którym wiszą szydełkowe firanki, stoi solidne biurko z obrotowym krzesłem. Na blacie pęcznieje wazon z polnymi kwiatami. Obok jest pusty regał, który aż się prosi, aby na jego półkach poustawiać książki. Na podłodze, ku mojej radości, zamiast dywanów leżą miękkie owcze skóry. Mimo to pozostaje dosyć miejsca, aby wstawić łóżeczko.

– Podoba ci się? – dopytuje Czarnota.

– Dawid! Tutaj jest cudownie! – mówię ze szczerym zachwytem. – Ale gdzie my właściwie jesteśmy? Daleko stąd do Jodłówek? – Zezuję w stronę okna, lecz ono wychodzi na niedaleką puszcę, z której dobiega upajający aromat. – To miejsce jest jak marzenie! Pewnie nie będzie mnie stać na wynajem. – Martwię się na zapas, ponieważ już pragnę tutaj zamieszkać, poustawiać książki na półkach, rozłożyć drobiazgi na toalecie i znaleźć nowe miejsca dla moich rzeczy. – A gospodyni? – Reflektuję się, gdyż widzę tylko Dawida i Lidkę.

– A jest i gospodyni. – W drzwiach staje pani Kasia, dzierżąc talerzyk ze świeżym, kruchym ciastem. – Witaj w naszych skromnych progach, dziecinko.

Z wrażenia odbiera mi mowę i nagle uprzytamniam sobie, że znajduję się na poddaszu domu Dawida, w pokoju po którymś z jego starszych braci. Nie znałam tego pomieszczenia, ponieważ wcześniej nie byłam na piętrze. Pani Kasia zawsze gościła mnie na parterze – w kuchni lub salonie.

Zasłaniam dłonią usta, jestem bliska łez.

– Ale jak to? – pytam drżącym głosem. – Ja nie mogę! Nie powinnam! Już i tak nadużywam waszej dobroci.

– A co? Miałaś tułać się po obcych kątach? – odpowiada Czarnotowa. – Skoro jesteś dla Dawidka jak siostra, to nie mogłam dopuścić, żebyś poniewierała się po świecie. No, to jak? Zostaniesz u nas? Wiesz, jak żyjemy, może żadne z nas krezusy, ale co mamy, tym się podzielimy. Z serca, dziecko, z serca.

Nie daje mi czasu na odpowiedź, przygarnia mnie do piersi, płacze razem ze mną, całując w czubek głowy.

– Jak mi chłopak opowiedział, co się stało, to zem go skarciła, że od razu cię wczoraj nie przywiózł, ino żeś została sama na noc ze swoimi myślami. Chciałam go do ciebie nazad wysłać, ale późno było. Zła byłam na niego jak diabli, a on nawet mi nie dał zadzwonić, aby powiedzieć, że się u nas zatrzymasz. Prosił tylko, bym ci oblekła świeżą pościel i wywietrzyła pokój. Niespodziankę sobie umyślił, huncwot jeden! A ja tak się martwiłam, że siedzisz samusieńka w szkolnym mieszkaniu i trapi cię, dokąd pójść. Kolacja będzie za pół godziny. – Zmienia temat. – Lideczka, ty też zostaniesz, co? Napracowałam się przy tym pakowaniu. – Głaszczę ją po policzku.

Kochana kobieta. Dla każdego znajdzie trochę ciepła. Musi mieć ogromne serce, skoro jest w stanie pomieścić w nim tak wielu ludzi.

Zostajemy w młodzieżowym gronie.

– Ty oszuście! – śmieję się przez łzy. – A gdzieś ty mnie tak obwoził, co?

– A zrobiliśmy sobie wycieczkę dookoła Jodłówek – odpowiada ze śmiechem, a Lidka wtóruje mu perliście.

– Dawid, coś ty wymyślił? – strofuję go łagodnie. – Przecież tak nie można, wciąż mi pomagasz, już i tak mam poczucie winy, że cię wykorzystuję.

– O ho, ho! Na twoim miejscu, Klaudyna, bardziej bym się martwiła tym, że będziesz skazana na jego śpiewy – zauważa Lidka. – Już nieraz dał nam pokazy swoich możliwości. Przypuszczam, że w domowym zaciszu nieraz posłuchasz jego wykonań. Pewnie wyje na cały głos przy goleniu.

– Dostyc gadania – komenderuje Czarnota. – Chodź, pokażę ci włości.

Oprowadza mnie po poddaszu. Są tam jeszcze trzy pokoje, w tym dwa niezamieszkałe oraz sypialnia Dawida, urządzona dość podobnie do mojej,

lecz ze zdecydowaną przewagą męskich akcentów, ozdobiona mnóstwem figurek i płaskorzeźb wystruganych z drzewa. Ponadto na piętrze są dwie łazienki, jedna przylega bezpośrednio do jego sypialni, drugą Dawid wspaniałomyślnie oddaje mi do całkowitej dyspozycji, więc pod tym względem będziemy bezkolizyjni. Pani Kasia sypia na dole, o tym wiedziałam już wcześniej.

Domyślam się, że góra domu przeznaczona jest do wyłącznego użytku Dawida i rodziny, której nigdy nie założył. Troszkę przykro mi na myśl, że zajmuję nienależne mi miejsce. Jestem jak złodziejka zakradająca się po cudze szczęście, a jednocześnie przepelnia mnie radość. Nawet welonka pływająca w moim brzuchu musi dzielić to uczucie, ponieważ wierzga z entuzjazmem.

W czwórkę pałaszujemy wyborną jajecznicę ze szczypiorkiem. Dawid jest wyjątkowo radosny. Oj, poweselało nam ostatnio chłopisko! Przekomarza się z Lidką ile wlezie. Nie mogę się na tych dwoje napatrzeć. Interesująca byłaby z nich para, może troszkę w stylu „Pięknej i Bestii”, ale ona nadrabia urodą za nich dwoje, a on ma serce anioła. Kto wie, może teraz, gdy już będę tutaj mieszkać i Lidzia będzie miała ciągły pretekst do odwiedzin, to Czarnota przejrzy w końcu na oczy? Byłoby cudownie! Tak bym chciała, żeby byli szczęśliwi! Kocham ich najbardziej na świecie.

Do późna zatrzymujemy Lidkę, bo po kolacji Dawid wyciąga z samochodu tę część kartonów, którą zdołał pomieścić w bagażniku. Wśród niekończących się chichotów układamy mój dobytek. Książki trafiają na półki, bielizna do komody, torba zostaje rozpakowana do szafy oraz łazienki. Wszystkiemu towarzyszy uwielbiana przez Czarnotę muzyka.

Zmęczeni pracą siadamy na balkonie przylegającym do jego pokoju. Oganiamy się od natrętnych komarów i wyśpiewujemy na całe gardło, zagłuszając gitarę Dawida:

*Kiedy z serca płyną słowa
Uderzają z wielką mocą
Krążą blisko wśród nas ot tak
Dając chętnym szczere złoto
I dlatego lubię mówić z Tobą^[7]*

Boże! Jestem nieprzytomnie szczęśliwa! Już dawno nie było mi tak dobrze. Ostatnio moim stałym towarzystwem były łzy, może więc przyszedł teraz czas na uśmiech?

Zapada noc. Lidka zrywa się do odwrotu. Dawid proponuje, że odwiezie ją

do domu, na co dziewczyna zgadza się z entuzjazmem. Wprawdzie syn Szymczykowej już dawno nie mieszka w Jodłówkach, lecz ona i tak nie lubi kręcić się po zmroku. A poza tym chodzi przecież o osobę, która ją odwozi, a nie o fakt odwożenia.

Gdy odjeżdżają, zagląda do mnie pani Kasia.

– No, jak tam, dziecko? Naprawdę cieszę się, że będziesz z nami mieszkać – uprzedza moje ewentualne skrupuły.

– Nie wiem, jak mam dziękować, pani Kasiu. Chciałabym jakoś się zrewanżować, pokryć koszty...

Pani Kasia macha ręką, jakby chciała odgonić natrętną muchę.

– Jakie koszty, Klaudynko, co ty wygadujesz? Mamy tyle pustych pokoi – z serca cię wzięliśmy, nie dla pieniędzy. Boga bym w sercu nie miała, gdybym wzięła od ciebie cokolwiek. Jak Dawid wyjechał do Irlandii, byłeś moim aniołem. Zaglądałaś, pomagałaś, cieszyłaś swoją obecnością. Dzięki tobie nie byłam sama. A teraz dobry Bóg dał, że choć tak mogę ci wynagrodzić za twoje dobre serce. A jakbyś czegoś potrzebowała, mów śmiało, nie krępuj się. My jesteśmy prości ludzie, dobrze o tym wiesz. Dawid ma tylko maturę, choć namawiałam go, by się dalej uczył, ale to poczciwy chłopak i nie pozwoli, żeby komuś działa się krzywda. Jak ludzie we wsi będą co gadać, to powiem, że wynajęłam ci ten pokój. Nic się nie martw, na wszelki wypadek mój chłopak rozwiązał ogłoszenia. Jakby kto do ciebie zadzwonił, to powiesz, że są już nieaktualne.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Pomyśleliście o wszystkim. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

– Nic nie mów. Śpij dobrze, dziecko. A zapamiętaj, co ci się przyśni na nowym miejscu, bo to ważne. I oby była z tego jaka dobra wróżba.

Po powrocie od Lidki Dawid puka do moich drzwi.

– Mogę wejść? – Wkłada kędzierzawą głowę w szparę między drzwiami a futryną.

– Wejdź – zapraszam go i naciągam wyżej kołdrę.

– Jak tam? – dopytuje, przysiadając na baraniej skórze obok łóżka. – Wszystko dobrze, siostra?

– Lepiej być nie może. Chyba do końca życia ci się nie odwdzięczę.

– Nie przesadzaj, nic takiego nie zrobiłem. O nic się już nie martw, Klaudyś. Teraz myśl o sobie i dziecku. Oczywiście zrobisz tak, jak będziesz uważała za słuszne, lecz może powinnaś wziąć zwolnienie? W szkole

poradzą sobie bez ciebie, więc olej tę starą czarownicę. Skup się na maluszku. Teraz i tak będziesz miała wszelkie świadczenia. Po co masz się stresować i szarpać z Szymczykową?

– Może masz rację?

To kusząca perspektywa w sytuacji, gdy wiem, że i tak nie będę uczyć, a jedynie szwendać się z miejsca na miejsce, przepychana od świetlicy do biblioteki.

Podnoszę się, podciągając kołdrę na piersiach. Wyciągam dłoń i głaszczę chropowaty policzek Dawida.

– Dziękuję ci z całego serca. Może Bóg da, że kiedyś będę mogła się odwdziaczyć.

Dawid ujmuje delikatnie moją dłoń i przyciska do ust.

– Drobiazg, nie przeceniaj mnie. Śpij dobrze, siostra.

Wychodzi, zostaję sama. Nasłuchuję jego kroków i szumu wody w łazience. Później gasną wszystkie światła, więc i ja wyłączam lampkę przy łóżku. Otacza mnie mrok i dźwięki obcego miejsca. Zasłuchuję się w ciche brzęczenie komara, w pohukiwanie nocnych ptaków za oknem, w szepty i szelesty domu. Wszystko jest dla mnie obce: zapach pościeli, miękkość materaca, ustawienie łóżka. Minie pewnie trochę czasu, nim przyzwyczaję się do tego miejsca i rytmu życia jego mieszkańców. Wciąż niedowierzam szczęściu i boję się zasnąć w obawie, czy zaraz nie obudzę się w służbowym mieszkaniu.

Dawid

Zawsze będę przyjacielem Klaudii, pomogę jej w każdej sytuacji. Wiem, że nigdy nie spojrzy na mnie jak na mężczyznę. To żona mojego kumpla. Nawet, jeśli Mariusz jest bydlakiem, wiąże ich przysięga małżeńska i dziecko, które ona nosi pod sercem.

Myślałem, że skręci mnie z zazdrości, gdy matka powiedziała mi o ciąży. Teraz razem z Klaudią cieszę się tą dziecinką. Przeżywam ogrom wzruszeń, gdy przykładam dłonie do rosnącego brzuszka. Mariusz jest skończonym idiotą, że uciekł właśnie teraz. Omijają go cudowne chwile. Zadziwiające, że więź, która powinna łączyć najściślej, podzieliła Kubasów niczym przepaść.

Chciałem dłużej porozmawiać z Klaudią. To jej pierwsza noc w nowym miejscu, więc odgaduję, że raczej będzie bezsenna. Dobrze wiem, jak bardzo rozprasające są wszelkie zmiany. Kiedy jednak zobaczyłem wystające spod kołdry nagie ramię opasane szafirową tasiemką, tak bardzo podziałało to na

moją wyobraźnię, że musiałem uciec stamtąd czym prędzej. Pięknie wyglądała z wyszczotkowanymi włosami zaplecionymi w luźny warkocz i z tym ramiączkiem koszuli.

Bóg mi świadkiem, że wystawiłem się na nielichą próbę. Jak funkcjonować pod jednym dachem z kobietą, którą kocham nad życie, oglądać ją w codziennych sytuacjach, jadać przy wspólnym stole, widzieć jej pranie na suszarce i jednocześnie myśleć, że jest dla mnie równie zakazana jak rodzona siostra? Muszę mieć się na baczności. Nie mogę w żaden sposób okazać, że pragnę jej do bólu. Nie chcę, aby pomyślała, że w zamian za ofiarowany kawałek podłogi oczekuję seksu. To byłoby podłe!

Ja chyba oszaleję!

Mama ostrzegала, że nie będzie łatwo, ale jednocześnie z przekonaniem mówiła, że nie ma innej możliwości i musimy ją przygarnąć. Tysiąc razy napominała mnie, abym był rozważny. Ona dobrze wie, co czuję.

Czy Klaudia już zasnęła? A może rzuca się niespokojnie w pościeli?

Nowe miejsce, nowe zapachy, szelesty i kształty. Wiem, jakie to trudne, cierpiałem na bezsenność w Irlandii. Niesamowite, jak dawno temu to było! Niby od powrotu minęło ledwo parę miesięcy, ale mnie się zdaje, jakby to były całe lata.

Zrywam się z pościeli, wychodzę na balkon. Chłód nocy przyjemnie głaszcze moją rozpaloną skórę. Oddycham najgłębiej jak mogę. Wszystko na nic, nie zasnę ze świadomością, że ona śpi dwa pokoje dalej. Celowo nie umieściłem jej za ścianą, ponieważ wiedziałem, że wówczas wciąż nasłuchiwałbym dochodzących stamtąd szmerów.

Klaudia

Następne dni mijają na przeprowadzce. Przewozimy resztę mojego dobytku. Wraz z przyjacielem odwożę rzeczy Mariusza do teściowej. Dawid wypytuje o mojego męża, lecz nie uzyskujemy żadnej informacji. Czy on rzeczywiście przepadł bez wieści? Czarnota podsuwa diaboliczny pomysł, aby zgłosić na policji jego zaginięcie, lecz Kubasowa zaczyna protestować i mówi, że syn dzwoni do niej raz na jakiś czas, więc na pewno żyje. Dawid napomyka o alimentach, lecz kobieta uważa, że póki nie urodzę, to nie ma na co płacić, a poza tym ona i tak nie zna miejsca pobytu Mariusza.

Sierpień dobiega końca, czas wrócić do szkoły i codziennych obowiązków. Nie słucham kuszących podszeptów Dawida, postanawiam nadal pracować, chociaż nie będę robić tego, co naprawdę lubię.

Zgodnie z zapowiedzią, Jadwiga przydziela mnie do pomocy w bibliotece oraz w świetlicy. Wlepia mi także dyżury na korytarzach podczas długiej przerwy. Nie znoszę ich – chyba nikt tego nie lubi. Poziom hałasu podczas pauz przekracza wszystkie dopuszczalne normy. Spokojnie przyjmuję polecenia przełożonej, lepsze to niż siedzenie w domu i rozmyślanie o troskach.

Pomysł powrotu do pracy był chybiony. Po tygodniu jeden z rozpędzonych chłopców wpada wprost na mój brzusek, przyprawiając mnie o utratę przytomności i niegroźne płamienie. Po tym zdarzeniu Mroziński nawet nie chce ze mną dyskutować, wypisuje zwolnienie lekarskie i zaleca ostrożność.

Termin porodu zbliża się nieuchronnie. Paraliżuje mnie strach przed bólem! Budzą się moje podświadome lęki. Cierpienie fizyczne towarzyszyło mi przez całe dzieciństwo. Brzęczało na metalowej tacy dobrze wysuszonym grochem, świszczało kablem od magnetofonu, opadało na twarz siarczystym policzkiem.

Mijające dni są do siebie podobne jak koraliki na sznurku. Nastaje jesień. Powoli zaczynam gromadzić wyprawkę. Chociaż nie narzekam na brak pieniędzy (mam zasiłek chorobowy, a i Dawid regularnie wypłaca mi udziały w zyskach), ograniczam wydatki do niezbędnego minimum.

Większość czasu spędzam z panią Kasią, która od wypadku w szkole trzęsie się nade mną jak kwoka. Wieczorami towarzyszy mi Dawid, czasem Lidka.

– Nie chcesz wyjść z kumplami na piwo? – pytam. – Nie nudzisz się?

– Strugam – odpowiada, nawet na moment nie przerywając zajęcia. Rozsiewa wokół siebie przyjemny zapach żywicy i drewna. – I nie, nie nudzi mi się, a facet, którego miałem za kumpla, okazał się głabem.

Lubię siadać z podkulonymi nogami. Opieram dłoń na wypukłym brzuszku i obserwuję Dawida przy pracy. Niewiele widać, zwłaszcza, gdy robi jakieś małe figurki, ale urocze jest skupienie, które maluje się na jego twarzy.

Mężczyzna unosi na chwilę wzrok, spogląda na mnie i mówi:

– Mogłabyś tak posiedzieć chwilkę i się nie ruszać? Wyglądasz jak kwintesencja macierzyństwa, chciałbym to uwiecznić.

– Będziesz mnie rzeźbił?

– Oczywiście. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie. Czuję się doceniona. Hi, hi, hi! Będę muzą artysty! Tylko

czy nasz domorosły Michelangelo Buonarroti nie wolałby jakiejś wdzięczniejszej modelki? – pokpiwam.

– Wybór modelki pozostaw artyście – odpowiada w tym samym tonie i wraca do strugania w lipowym klocku.

Pali mnie ciekawość. Spojrzałamby mu przez ramię, lecz siedzę cierpliwie i czekam.

– Wybrałeś odpowiednio gruby kawał drzewa? – pokpiwam.

– Najokazalszy, jaki miałem. Grubszych już nie ma, mamuśka, więc nie ruszaj się, bo muszę skończyć, zanim jeszcze bardziej zwiększysz objętość.

Spodobało mi się spokojne życie w domu Czarnotów. Niekiedy nachodzą mnie myśli, że taki stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność. Przyjdzie czas, gdy będę musiała opuścić tę bezpieczną przystań i poukładać sobie życie na nowo. Zapewne stanie się to nie wcześniej niż po urodzeniu i jako takim odchowaniu dziecka.

Coraz rzadziej wspominam przeszłość. Co było, to było, trzeba żyć teraźniejszością. Dawid wciąż mi o tym przypomina.

Czarnota bardzo się zmienił. Niby wciąż popada w tę swoją zadumę, lecz jego oczy już nie są takie smutne jak niegdyś. I tylko czasem jest mi go żal, bo nie poukładał sobie życia jak inni.

Zagadnęłam go kiedyś o to, dlaczego się nie ożenił. Mieliśmy chwilę szczerości.

– Czekałem na miłość, a kiedy ona przyszła, nic z tego nie wyszło. Może byłem za mało konsekwentny? Może zabrakło mi odwagi na szczerze postawienie sprawy? Próżno to roztrząsać. Było, minęło.

– Chyba jednak nie do końca minęło. – Spoglądam na niego uważnie. Odnoszę wrażenie, że on po prostu zbyt łatwo odpuścił, a teraz żałuje.

– Może... Podobno prawdziwa miłość nigdy nie umiera. Zapewne dlatego nie potrafię pokochać innej. W moim sercu nie ma na to miejsca.

– Jaka ona była?

– Jest odległa jak gwiazdy na niebie.

Zastanawiam się, czy mówi o tajemniczej Aileen, której zdjęcia trzyma w pękatym albumie. Poprosiłam go kiedyś, żeby pokazał mi fotografie z Irlandii, zachwycał się bowiem tamtejszymi krajobrazami. No i zgodził się, abym je zobaczyła. Na większości faktycznie były widoki. Kilka razy mignął mi przed oczami płomień rudych włosów, zgrabny piegowaty nosek oraz pełna buzia tamtej dziewczyny. Jedną fotografię oglądałam dłużej niż inne.

Przedstawiała ich dwoje: Dawida i Aileen – zbliżenie do połowy torsu: on z rozwianymi włosami, zza jego pleców wyłaniała się Aileen, obejmując go ramieniem za szyję. Musiał siedzieć, ponieważ niemożliwe, aby tamta dziewczyna górowała nad nim wzrostem. To było tak piękne zdjęcie, że aż ukłuła mnie zazdrość.

– Dlaczego wam nie wyszło? – drążę temat. Chciałabym w końcu usłyszeć coś więcej na ten temat.

– To moja wina. Za mało się starałem.

– Ty? – wyrażam zdziwienie. – Nie wierzę!

Jeśli okazywał tamtej dziewczynie choć dziesiątą część troski, którą otacza mnie, to nie mogło im się nie udać. Może z nią było coś nie tak, skoro nie potrafiła go docenić? Mówię mu o moich przemyśleniach.

– Czasem tak już bywa, Klaudyś. Miłości nie można się nauczyć, nie można zaprogramować, ona po prostu jest lub jej nie ma.

– Szkoda – stwierdzam z głębokim żalem.

– Tak, żebyś wiedziała, że szkoda. – Spogląda na mnie ze smutkiem. – A ty? Świat nie kończy się na Mariuszu. Poukładasz sobie życie na nowo czy czekasz na powrót męża? – zmienia temat.

– Nie wiem. Za wcześnie, żeby o tym myśleć. Poznałam wszystkie uczucia, jakich może doświadczyć człowiek. Nie mam ochoty na kolejne wrażenia. A poza tym – kładę dłoń na brzuchu – tutaj mam całą miłość tego świata. Ono jest teraz najważniejsze.

Siedzimy na balkonie, zakutani w ciepłe kurtki. Dobrze nam we dwoje. Nawet nie musimy ze sobą rozmawiać. Jestem bezpieczna i spokojna jak nigdy w życiu. Dawid pochyla się i przykłada ucho do mojego brzucha.

– Śpisz, maleńka? Nie, nie śpi. – Sam sobie odpowiada ze śmiechem, ponieważ dziecko kopie go w policzek. – Ona mówi, że też cię kocha.

Uwielbiam te jego serdeczne gesty. Czemu Kazik nigdy taki nie był? Nie nazywał mnie siostrą, nie przekomarzał się ze mną i nie był troskliwy? Jemu było obojętne, czy jestem głodna, czy jest mi smutno. Nawet za życia Dagi dbał tylko o swą bliźniaczą siostrę, ja i Ewa byłyśmy nikim. Zazdrościłam koleżankom, które miały bardziej wydarzonych starszych braci. Tamci chłopcy strzegli swoich sióstr i tłukli koleśki, którzy za dużo sobie pozwalali w stosunku do nich.

Szkoda, że moje dziecko będzie się wychowywało bez ojca. Och, gdybym mogła zawłaszczyć Dawida dla tego bezbronnego maleństwa! Duże, spracowane dłonie Czarnoty na pewno dałyby mu ochronę. Czy to syndrom

wicia gniazdka? Może. Jeśli odzywają się we mnie teraz jakieś tęsknoty, to wyłącznie takie, by dzidzius miał kogoś więcej niż tylko mnie. Nie wierzyłam, że kiedykolwiek o tym pomyślę, lecz czuję się niepełna. Nie tęsknię za tamtym draniem, bynajmniej, ale chciałabym, żeby mężczyzna, który głaszcze mnie po brzuchu i wstrzymuje oddech z delikatnymi ruchami dziecka, miał względem niego jakąś przynależność.

Karczę samą siebie za te głupie myśli. Cóż mogłabym zaoferować Dawidowi za jego dobroć? Jestem wypaloną skorupą, on zasługuje na wszystko, co najlepsze. Tłumię nagły przypływ zaborczości. Tak nie można! Byłoby skrajnym egoizmem, gdybym oczekiwała, że również moje dziecko uszczknie z troskliwości i ciepła Czarnoty.

Dawid nasłuchuje ruchów we wnętrzu mojego brzucha. Często to robi, przyzwyczaiałam się do takich gestów. Czasami myślę, że jako artysta jest po prostu bardziej wrażliwy niż inni.

– Zapytaj ją, wujciu, czy będzie grzeczna, gdy pojedziemy do Wrocławia.

– Wybierasz się tam? – Dawid nagle się prostuje. – Chcesz odwiedzić rodzinę? Czy to dobry pomysł, żebyś w twoim stanie rozdrapywała stare blizny?

– Nie, do ciotki na pewno nie zajrzę – odpowiadam. – Zbliża się Wszystkich Świętych, chciałabym odwiedzić groby bliskich. Pojadę tydzień wcześniej, żeby uniknąć korków na drogach. Nie odważyłabym się wypuścić w taką podróż w największym szczyście komunikacyjnym, a nie mam ochoty tłuc się pociągiem.

– No, nie mów, że zamierzasz jechać sama, tym starym gruchotem – mówi o zdezelowanym volkswagenie, którego kupiłam jeszcze przed przyjazdem do Jodłówek, a którego mój wspaniałomyślny małżonek nie ukradł, gdy brał nogi za pas.

– Tak właśnie zamierzam zrobić.

– Nie wygłupiaj się! Pod koniec października pogoda lubi kaprysić, jesteś w ósmym miesiącu ciąży i chcesz jechać sama? Wykluczone! Jestem za ciebie odpowiedzialny, nie puszczę cię samej. Czy ci się to podoba, czy nie, jadę z tobą – oznajmia. – Jako kierowca – uzupełnia.

– Mówisz serio?

– Serio, serio. A jak ci to nie odpowiada, możesz siedzieć na tylnym siedzeniu i udawać, że jedziesz autobusem – żartuje.

– Jesteś dla mnie zdecydowanie za dobry.

– Kiedyś każę ci to wszystko odpracować w warsztacie – odgraża. –

Dostaniesz najgorsze i najbardziej nudne zajęcia.

– Pomalutku, wspólniku, ja też mam tam coś do powiedzenia – odgryzam.
– Naprawdę chce ci się jechać ze mną taki kawał drogi tylko po to, żeby pomarznąć przez godzinę na cmentarzu komunalnym?

– Klaudia! Nie irytuj mnie.

– Dobra, już nic nie mówię. Czasami szarogęsisz się, jakbyś wszystkie rozumy pozjadał. Zupełnie jak jakiś zramolały starszy brat.

– Zramolały starszy brat to dopiero ze mnie może wyleźć, jak miejscowe chłopaki się połapią, że tamten dupek zwiął na dobre, i zaczną tutaj przyłazić w amory. Bądź pewna, że drugi raz nie pozwolę ci się tak głupio chajtnąć.

– Głuptas z ciebie. Przecież cały czas jestem *ochajtana*. Choćbym chciała, nie wiem, jak to zmienić, ponieważ nie mam pojęcia, gdzie szukać tamtego obwiesia.

– Rozwiodłabyś się z Mariuszem?

– Oczywiście. On podjął decyzję, że nas nie potrzebuje, a ponieważ to kawał drania, bezpieczniej byłoby mieć papierek, że nie jesteśmy już małżeństwem. Choćby po to, żeby znowu nie wyczyścił mi konta. Nie uśmiecha mi się kolejna zmiana rachunku.

Po niemiłej niespodziance, którą zafundował mi przed wyjazdem z Polski, założyłam nowe konto w innym banku, a w poprzednim unieważniłam karty płatnicze, zmieniłam hasło do połączeń internetowych i zablokowałam możliwość zaciągania kredytu. Nie mogłam go zlikwidować, ponieważ do tego potrzebna byłaby zgoda Mariusza. Uniemożliwiłam mężowi wpędzanie mnie w kolejne straty.

To niedobrze, że nadal jesteśmy małżeństwem. Boję się, aby nie wywinął mi jakiegoś naprawdę parszywego numeru, za który musiałabym płacić do końca życia. Być może ponosi mnie wyobraźnia i wyolbrzymiam. Jedno jest pewne – nie zaufam mu nigdy więcej.

Wychodząc za mąż, byłam głupia, naiwna i zaślepiona miłością. Widziałam tylko piękną powierzchowność, nie zauważałam, jak bardzo płytki i ograniczony był Mariusz. Teraz nie dałabym sobie zmydlić oczu lukrowaną gadką ani olśnić słodkim uśmiechom – nie ma głupich.

Niezliczoną ilość razy słyszałam od ciotki:

– Nie mogłabyś być jak Dagmara? Mądra, zaradna, ułożona...

– Weź przykład z Dagmary. Ona zawsze tak dobrze się uczyła! Wzorowa uczennica. Nigdy nie sprawiała mi kłopotów! Na wywiadówki do Dagmary

zawsze chodziłam z przyjemnością, słuchałam samych pochwał, a ty co?

– Dagmara nigdy by tak nie postąpiła. Dlaczego nie jesteś taka jak ona?

Czasami nienawidziłam tej mojej Siostry Idealnej, zwłaszcza po jej śmierci. Zupełnie jakbym tą nienawiścią chciała ukarać ją za to, że odważyła się na samobójstwo. Odbierając sobie życie, udowodniła, że ma nas wszystkich za nic, nie liczy się z naszymi uczuciami i nie obchodzi jej pustka, którą zostawi po sobie w naszych sercach.

A przecież powinnam była kochać Dagmarę, ponieważ tak naprawdę z dzieciństwa pamiętam przede wszystkim ją. To ona mnie wychowywała, choć była ode mnie starsza tylko o pięć lat. Ona była przy mnie, dawała mi jeść, ubierała, odprowadzała do przedszkola i tak naprawdę zawsze ją podziwiałam.

Wiele lat później historia zatoczyła koło, w naszym mieszkaniu pojawiła się Ania, a ja musiałam zająć miejsce Dagmary i wcielić się w jej rolę.

Stoję przed grobem siostry z migotliwym światełkiem znicza w przemarznętej na wskroś dłoni i płaczę, płaczę, płaczę, a niebo zdaje się płakać razem ze mną. Nagle przypominają mi się zasłyszane dawno temu słowa z Talmudu: *Nawet gwiazdy płaczą razem z tym, kto płacze w nocy*. I nieważne, że to nie jest noc, lecz późne popołudnie – z moich oczu płyną łzy. Od bardzo dawna nie byłam na grobach moich bliskich.

Jestem wdzięczna Dawidowi, że mnie tu przywiózł mimo zimna i marznącego deszczu. Ileż równie ważnych spraw będę jeszcze zawdzięczała temu człowiekowi? Czasami myślę, że on jest aniołem, którego przysłali mi rodzice.

– Chodź, siostra – mówi Czarnota. – Chodź, bo mi przemarzniesz.

Przytulam się do stojącego obok mężczyzny. Czuję ciężar jego policzka na mojej głowie. Idziemy do samochodu. Odwracam się, spoglądam na lampki płonące na sąsiadujących ze sobą nagrobkach Dagi oraz moich rodziców.

– Wracamy do domu – decyduje mój anioł stróż. – Przed nami ładnych parę godzin jazdy.

Dawid

Późno już. Klaudia, ukołysana monotonią jazdy, zasnęła słodko jak dziecko. Zerkam na nią co jakiś czas. Na jasnej skórze dziewczyny odbijają się światła ulicznych latarni i reflektory przejeżdżających pojazdów. Z samochodowego radioodtwarzacza sączy się cichutko piosenka:

*Podobno każda miłość jest pierwsza
Myślę, że nawet jest to prawda
Lecz czuję również, że ta do Ciebie
Jest dla mnie wyjątkowo ważna.[8]*
Wiem, jak do bólu prawdziwe są te słowa.

Kludia

Wracamy z Wrocławia późnym wieczorem. W kuchni czeka na nas pani Kasia.

– A co ty, mamó, jeszcze nie śpisz? – dziwi się Dawid.

– Gdzieżbym tam zasnęła? Czekałam na was, dzieciaki. Trochę się martwiłam, jak też objeście na ten ziąb i ślizgawicę. Zrobiłam wam gołąbki, choć może na noc to nie najlepszy pomysł, ale pewnieście są głodni i przemarznięci. Pokaż ręce, Kludynka. – Łapie mnie za dłonie. – O! Zimne. A ty co, chłopaku?! Ogrzewania nie masz w aucie? – strofuje syna.

– Było włączone – bronię Dawida przed atakiem matki. – Dłonie zmarzły mi teraz, jak wysiadałam z auta, ponieważ nie chciało mi się wkładać rękawiczek.

– No dobra, dobra – mówi ugodowo pani Czarnotowa. – Chodźcie jeść, a później do łóżek. Pewnieś zmęczona, co Kludynka?

Dawid robi za jej plecami głupie miny, za co dostaje od pani Kasi kraciastą ścierką, bo trudno mi zachować powagę, więc mój śmiech go zdradza.

– Małpowania się zachciewa obwiesiowi – utyskuje kobieta.

Z apetytem wcinamy gołąbki. Wprawdzie zjedliśmy po drodze obiad, ale kto oprze się domowej rozpuście? Pani Kasia zna różne magiczne sekrety kulinarne, więc czuję, że po urodzeniu dziecka nie wrócę do przyzwoitej figury. Odkąd matka Dawida wzięła mnie pod swoje skrzydła, rosne w oczach i to nie tylko na brzuchu.

Przez to obżarstwo robią mi się ohydne rozstępy na udach, biodrach i brzuchu. Nie zależy mi na tym, żeby się komukolwiek podobać. Prawdopodobnie już nigdy nie rozbiore się dla żadnego mężczyzny, lecz przykro patrzeć na szkaradne pręgi o lekko fioletowawym zabarwieniu.

Nie myślę o miłości, seksie i facetach. Dla mnie ten etap życia jest już skończony. Byłam zakochana dwa razy: najpierw jeszcze na studiach, a później, gdy wychodziłam za mąż. Za każdym razem miłość mnie zawodziła, zostawiała okaleczoną i cierpiącą. To tylko zbędne zawracanie głowy.

Dobra... Przyznaję, jestem kłamczuchą! Oszukuję wszystkich dookoła. Tak naprawdę chciałabym mieć kogoś realnego dla mojego dziecka. Ten ktoś istnieje. Gdy go widzę, uśmiech sam pojawia się na moich ustach.

Poproszę Dawida, żeby został ojcem chrzestnym maleństwa.

[7] Fragment tekstu piosenki pt. *Lubię mówić z tobą*, autor: Wojciech Żółty 2001 r., Scena FM, płyta *Pomarańczowa* z repertuaru Akurat

[8] Fragment tekstu piosenki pt. *Wyjątkowo ważna*, autor: Piotr Banach 2009 r., Studio S4, płyta *Indios Bravos*, rep. Indios Bravos

Rozdział 12

Nie jestem sama

Klaudia

W następnych dniach wyjeżdżam do Krakowa po resztę wyprawki. Wszędzie towarzyszy mi Dawid, choć dla faceta łażenie po sklepach musi być nudne i męczące. Ograniczam się zatem do nabycia w komisie używanego wózka oraz kilku szybkich decyzji w specjalistycznym sklepie dziecięcym. Prócz tego maleństwo otrzymuje w prezencie najpiękniejszą rzecz, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Dawid, w tajemnicy przede mną, zrobił w warsztacie cudną inkrustowaną kołyskę, a pani Kasia uszyła do niej odpowiedni komplet pościeli. Wszystko to jest takie ładne, że ze szczęścia zalewam się łzami.

– Teraz nie pozostaje już nic innego jak tylko czekać na maleństwo – stwierdzam.

Dawid wnosi kołyskę do mojego pokoju, ustawia ją obok łóżka. Filigranowy mebelek będzie pod ręką, jak maleństwo zakwili.

Torba do szpitala jest już spakowana, dokumenty przygotowane. Coraz bardziej boję się tego, co mnie czeka. Zaczynam panikować. Pani Kasia usiłuje podtrzymać mnie na duchu. Zabrania wysłuchiwania opowieści swoich synowych na temat ich porodów.

– Każda kobieta przechodzi to inaczej, po co masz się martwić na zapas? Będzie dobrze, zobaczysz.

Przytula mnie do siebie, głaszcze. Niestety, jej spokój wcale mi się nie udziela. Odczuwam paniczny strach przed czekającym mnie bólem – na to nie zdołam przygotować się psychicznie. Jestem tak zdesperowana, że proszę Lidkę, aby pojechała ze mną na porodówkę i została najdłużej, jak to tylko

możliwe. Potrzebuję czyjejs obecności w tej chwili, dotyku dłoni, który ukoi mój lęk.

– Nie ma sprawy, Klaudyna. Rzucę wszystko i pojedę z tobą – obiecuje. – Będę cię trzymać za rękę i razem będziemy oddychać jak dwa pieski – naśladuje oddechy podpatrzone na jakimś filmie. Pamiętaj! Dzwon po mnie zaraz, jak tylko odejdą wody!

– Jasne – kpi słuchający tego Dawid. – Dwie baby pojedą rodić jedno dziecko, a w nerwach zapewne wjadą pod prąd na autostradę.

– To miłe, że tak cenisz moje umiejętności. Typowo męski szowinizm! – oburza się Lidka i już po chwili wybucha sprzeczka o to, kto jest lepszym kierowcą: kobieta czy mężczyzna.

Oczywiście pod naszym zmasowanym atakiem Dawid nie ma szans, więc nie pozostaje mu nic innego, jak uznać wyższość kobiet. Na chwilę udaje im się odwrócić moją uwagę od strachu.

Próbowałam wynegocjować u doktora Mrozińskiego cesarskie cięcie, lecz on upiera się, że nie widzi wskazań, a cały problem tkwi w mojej głowie.

– Pani Klaudio – tłumaczy. – Nie można ingerować w naturę, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Taki zabieg wiąże się z ryzykiem. Kobieta dochodzi do siebie o wiele dłużej niż po porodzie naturalnym. Proszę pomyśleć o wielkiej szytej ranie na brzuchu, po której zostanie blizna. Do tego jeszcze wszystkie te niedogodności związane z dbaniem o noworodka. Jak pani weźmie dzidziusia na ręce, gdy wciąż trzeba będzie na siebie uważać? No i wreszcie wszystkie kobiety są zgodne co do tego, że natychmiast zapominają o bólach porodowych. A po cesarce boli dłużej, przecież to duże nacięcie.

Cóż, nie uproszę go, a na wykupienie zabiegu mnie nie stać.

Tak bardzo się boję!

Podczas następnej wizyty ginekolog zapowiada, że poród odbędzie się już na dniach. Ja też widzę pierwsze symptomy: powoli odsączają się wody płodowe. Lekarz powiedział mi, że to normalne i polecił zachować czujność.

Jestem czujna i niespokojna.

Prócz lęków związanych z bólem dochodzą inne zmartwienia. Podobno cała wieś wstrętne plotkuje na mój temat. Ludzie mawiają, że to nie jest dziecko Mariusza, lecz Dawida, a mąż na wieść o ciąży kopnął mnie w dupę i prysnął na zachód. Mój Boże! Jak mnie boli ta podłość!

Przykro mi, że za swoją dobroć Czarnotowie zbierają teraz odrażające żniwo. Staram się jak najmniej kręcić po wsi, aby nie kłuć ludzi w oczy

moim widokiem. Zresztą najszczęśliwsza jestem, gdy przebywam z panią Kasią w jej kuchni lub przesiaduję w pokoju Dawida, słuchając z nim muzyki. Czasami leżymy obok siebie w łóżku i nawet nie musimy ze sobą gadać, bo bez tego dobrze nam we własnym towarzystwie. Ostatnio, pominąwszy panikę związaną z bólami porodowymi, jestem bardzo wyciszona i już nie potrzebuję tylu rozmów co dawniej.

Kładę głowę na piersi Czarnoty i słucham równomiernych uderzeń serca.

Dlaczego tamta dziewczyna nie odwzajemniła miłości Dawida? Czy to przez blizny na jego twarzy?

Mężczyzna głaszcze mnie po ramieniu, bawi się moimi włosami. Przy nim jestem spokojna i bezpieczna. Wtulam się w niego, zamykam oczy. Zazdroszczę tajemniczej dziewczynie, którą pokochał tak bardzo, że nigdy więcej nie chciał związać się z inną.

Mariusz nigdy nie kochał mnie do tego stopnia – próżny narcyz! Czasami myślę, że jedyną osobą, którą potrafił kochać, był on sam.

Tuż po mojej ostatniej wizycie u Mrozińskiego jestem umówiona z Lidzią na babskie ploty. Niestety, nasze plany biorą w łeb, gdyż przyjaciółka łapie jakiegoś wirusa. W trosce o mnie odwołuje spotkanie. Pozostaje nam wyłącznie kontakt telefoniczny. Nie rozmawiamy długo, gdyż przeziębienie nie daje jej żyć. Życzę przyjaciółce szybkiego powrotu do zdrowia i przykazuję, aby dobrze wypoczęła, gdyż do przewidywanego terminu porodu został niecały tydzień.

Tej samej nocy łapią mnie mocne skurcze. Nie mam wątpliwości, że właśnie zaczyna się akcja porodowa. Martwię się, że powalona chorobą Lidka nie będzie mogła odwiedzić mnie do szpitala.

Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi zbieram rzeczy przygotowane na wyjazd. Staram się ogarnąć w miarę bezszelestnie, lecz i tak niechcący budzę Dawida. Rozespany mężczyzna wychodzi na korytarz, przeciąga się i ziewa. Ma na sobie same spodnie od piżamy, jego szczupły lecz muskularny tors jest nagi.

– Klaudia? A co ty robisz? Zaczęło się, tak? – odgaduje. – Czemu mnie nie obudziłaś? Nie mów mi, że sama zamierzałaś jechać na porodówkę.

– No – przyznaję. – Nie chciałam ci zawracać głowy. Już i tak masz dość i trochę z mojego powodu.

– Ależ z ciebie Zosia Samosia. – Kręci głową z niedowierzaniem. – Wytrzymasz jeszcze chwilę? Dasz mi parę minut na szybki prysznic, czy już

będziesz rodzic?

– Tak szybko na pewno nie pójdzie, możesz śmiało iść pod prysznic – słyszymy głos pani Kasi wchodzącej po schodach. Widać i ją obudził ruch na piętrze. – No już, szykuj się, chłopaku – mówi do syna. – A tobie przygotuję kawę oraz coś do picia na później – oznajmia.

Na szczęście nie komentuje mojej próby samotnego wyjazdu do szpitala.

Mrowienie w okolicach krzyża przywraca mnie do rzeczywistości. Ze stęknieniem łapię się za plecy.

– Jak często masz skurcze?

– Nie wiem, nie liczyłam, ale stosunkowo rzadko, może co pół godziny?

– Spokojnie, to jeszcze trochę potrwa. Ubierz się ciepło, bo noc jest bardzo zimna.

Po chwili siedzimy razem w kuchni i sączymy kawę. Martwię się, że pani Kasia nie będzie mogła przeze mnie spać, lecz ona uśmiecha się promiennie.

– Ach, dziecko! I tak już bym nie usnęła. Będę teraz siedzieć jak na szpilkach i czekać na telefon.

– A ja dostanę kawy? – Dawid zbiega po schodach, niosąc moją torbę. – Bardzo pilno ci do tego szpitala? – pyta mnie poważnie, w jego szarych oczach jest troska. – Zdążymy?

– Zdążymy – zapewniam. – Możesz spokojnie wypić kawę.

Skurcze są jeszcze sporadyczne i niespecjalnie bolesne. Przeczuję, że dopiero te właściwe dadzą mi mocno w kość.

W kuchni panuje radosna, niemalże świąteczna atmosfera. Nie chcę jej psuć moimi lękami.

Boże... Tak bardzo się teraz boję! Żałuję, że Lidka nie zdążyła wyzdrowieć. Liczyłam na jej kojącą obecność. Co prawda nie obiecywała, że zostanie ze mną do końca, ale i tak cieszyłam się, że nie będę zdana na samą siebie.

Dawid

Klaudia nadrabia miną, gdy wsiadamy do auta. Wiem, że panicznie boi się rozwiązania.

– Dawid! Komórka! – woła za mną matka, więc wracam po telefon.

– Zadzwoń, jak tylko dojedziemy – obiecuję, uprzedzając jej prośbę.

– Trzymaj się, dziecko! – krzyczy ostatni raz staruszka. Do tej pory chyba ze sto razy zapewniła Klaudię, że wszystko będzie dobrze, nie ma się czego bać, będziemy trzymać za nią kciuki i oczywiście jej słowom towarzyszyło

milion uścisków oraz pocałunków.

Czasami jestem z niej dumny jak paw. Wiedziała, że sprowadzając Klaudię pod nasz dach, narażamy się na niewybredne plotki. Zniosła wszystko z godnością. Nieraz odpowiadała na różne uszczypliwe komentarze. Przywiązała się do tej biduli jak do rodzonej córki. Żadnej z moich bratowych nie okazuje aż tyle serca, chociaż twierdzi, że lubi je wszystkie bez wyjątku. Ona wie, przez co Klaudia przeszła, opowiedziałem jej pokrótce w głębokiej tajemnicy. Kto jak kto, lecz staruszka nie piśnie nikomu nawet słowa. Być może właśnie dlatego tak bardzo jej teraz matkuje?

A może ma nadzieję, że ja i Klaudia... Matka z premedytacją zostawia nas samych, abyśmy jak najwięcej czasu spędzali razem. Nigdy nie wchodzi do pokoi na górze. Twierdzi, że piętro to tylko nasze terytorium i ona nie będzie się tam plątać. Daje przyzwolenie na to, co jej zdaniem dwoje młodych ludzi może robić, gdy są sami.

Klaudia macha ręką, przesyła całusy.

Wsiadam do samochodu, zapinam pasy i przez śpiące Jodłówki ostrożnie ruszam w stronę szpitala.

Zerkam ukradkiem na siedzącą obok mnie dziewczynę. Jest przerażona. Liczyła na Lidkę. Nieraz mówiła, że jeśli ktoś w tej chwili będzie ją trzymał za rękę, to na pewno strach będzie mniejszy. Biedulka. Nie zostawię jej samej z lękami. Wiem, że prawdopodobnie nie wpuszczą mnie na porodówkę – ani ze mnie brat ani swat, ani tym bardziej ojciec dziecka, ale może uda mi się z nią zostać jak najdłużej. Na razie nie mówię nic na ten temat, nie chcę jej dawać złudnych nadziei. Być może zawrócą mnie już z izby przyjęć.

Na miejscu wszystko odbywa się szybko i sprawnie. Pielęgniarki wychodzą z założenia, że jestem mężem Klaudii. Puszczam oko do wystraszonej dziewczyny i ubieram szpitalny kitel. Wślizguję się za nią w czeluści szpitala. Dzwonię do mamy, aby uprzedzić, że wrócę dużo później, ponieważ pozwolono mi zostać.

– Posiedzisz ze mną? – prosi Klaudia ze łzami w wielkich orzechowych oczach. – Nie jedź jeszcze, dobrze? Proszę...

– Oczywiście, skoro już tu jestem, zostanę tak długo, jak zechcesz – zapewniam – albo póki ktoś mnie stąd nie przepędzi.

– Jesteś kochany. – Sili się na blade uśmiech.

Rozcieram jej napięte łydki, podaję napoje, zabawiam głupawą pogawędką. Masuję plecy, pomagam zmieniać pozycję i raz po raz podprowadzam do łazienki. Klaudia zdaje się być tym wszystkim

zażenowana, lecz spogląda na mnie z taką wdzięcznością, że nie miałbym sumienia, aby teraz zostawić ją samą.

Do sali porodowej zaglądają pielęgniarki i lekarze. Odwracam się dyskretnie, gdy sprawdzają rozwarcie. Na szczęście nikogo nie dziwi moja obecność.

Po kolejnym badaniu położnik zaleca kroplówkę.

– To pani pomoże – tłumaczy. – Przyspieszy akcję porodową.

Skutek jest niemalże natychmiastowy. Po minie Klaudii widzę, że ledwo panuje nad bólem. Skurcze są częstsze i coraz bardziej bolesne. Mimo że Klaudyś ma krótko obcięte paznokcie, wbija mi je w dłoń bardzo mocno.

– Ulżyj sobie, krzycz, jak cię boli – radzę. – Podobno podczas krzyku uruchamia się w organizmie mechanizm przeciwbólowy.

Ona jednak wytrwale walczy.

Mrok za oknem ustępuje światłu dnia, mijają kolejne godziny. Nie czuję głodu ani zmęczenia, adrenalina utrzymuje mnie na wysokich obrotach. Klaudia poddaje się, zaczyna płakać i krzyczeć. Ściskam jej rękę.

– Wytrzymasz, maleńka. Wytrzymasz!

– Boli! Dawid! Tak bardzo boli – jęczy. – Błagam cię, nie odchodź jeszcze, nie zostawiaj mnie teraz! Jeszcze chwilę, jeszcze tylko chwilę, dobrze?

Spogląda na mnie błagalnie.

– Nie odejdę. Nie bój się. Jestem przy tobie.

Głaszczę ją, przyciskam usta do mokrego policzka.

– Jesteś bardzo dzielna, kochanie. Wytrzymasz, dasz radę – powtarzam szeptem do jej ucha. – Trzymaj się, to na pewno już długo nie potrwa.

– Łatwo ci mówić – utyskuje. – Nie masz pojęcia, jak boli.

– Jeszcze troszkę, Klaudyś. Zobaczysz, za chwilę będzie po wszystkim, a ty będziesz trzymać w ramionach maleństwo.

Obiecywana przeze mnie chwila trwa nieznośnie długo. Żal mi tej nieboraczki – gdybym tylko był w stanie jakoś pomóc, zrobiłbym to na pewno. Czuję się bezradny. Mogę jedynie ściskać jej dłoń, ocierać czoło zroszone potem, odgarniać z twarzy wilgotne kosmyki.

Przychodzi położna, ponownie sprawdza rozwarcie.

– Jest dobrze – pociesza Klaudię – to już finisz.

Nagle w sali zaczyna roić się od ludzi w szpitalnych fartuchach. Wykonują badanie i nareszcie słyszymy upragniony komunikat:

– Pełne rozwarcie!

Klaudia krzyczy rozdzierająco, trzymam ją mocno za rękę. Ani myślę ją teraz zostawić! Nikt nawet nie próbuje mi tego sugerować. Oddychamy wspólnie, zgodnie z zaleceniami położnej.

– Przyj! Teraz! Jeszcze troszkę!

Mieszają się krzyki, komendy, trwa gorączkowa krzątanina. Klaudia prze ile sił, osłabiona opada na poduszki, znowu prze... Trochę wysiłku ze strony mojej dzielnej dziewczyny i nagle pośród tego zamętu pojawia się jeszcze jeden, zupełnie nowy głosik.

– Ma pan córkę – mówi położna.

Jej słowa docierają do mnie jak przez kłęby waty. Ktoś wciska mi w dłonie nożyczki, mam przeciąć pępowinę.

– Nie zemdleje nam pan teraz? – Pada absurdalne pytanie.

Jak mógłbym stracić przytomność w takim momencie?! Nie przeraża mnie widok krwi, jako stolarz jestem z nim oswojony, nieraz pozacinałem się w rękę. Szybko wypełniam zaszczytną funkcję i wracam do wezgłowia szpitalnego łóżka. Klaudia, spocona i wycieńczona, opada bez sił, z wysiłku drży na całym ciele. Jej spieczone wargi szepczą:

– Udało się, mam córeczkę.

– Skóra różowa, puls powyżej stu, reakcja na bodźce prawidłowa, napięcie mięśni prawidłowe, płuca, jak słycać, w normie... Zdrowa dziewczynka. Dziesięć punktów w skali APGAR.

To wszystko dzieje się poza mną, gdzieś z boku, ponieważ ja znowu stoję przy Klaudii. Ściskam jej dłoń, całuję czoło i wilgotne policzki.

– Dałaś radę, maleńka! Dałaś radę – powtarzam cicho. – Byłaś bardzo dzielna.

Nagle ktoś kładzie dłoń na moim ramieniu. Odwracam się, a położna wciska mi w rękę maleństwo owinięte w zielone szpitalne chusty.

– Pana córeczka – uśmiecha się zachęcająco. – Ostrożnie, proszę ją oprzeć o ramię. Śmiało, nic jej się nie stanie. Proszę zobaczyć, jakie śliczne maleństwo. Będzie z niej blondynka jak się patrzy!

Noworodki nie budzą we mnie lęku. Nie boję się, że puszczę ten bezcenny skarb lub że zrobię mu krzywdę. Trzymam maleńką pewnie i z dumą, jakby to było moje dzieciątko.

Wzruszenie odbiera mi mowę, gdy na nią spoglądam. Jakaż z niej drobinka! Prawie nic nie waży. Ma pomarszczoną buźkę, bielusieńkie jak len kudełki posklejane w strączki i lekko skośne, zamglone ślepki. Wbrew temu, co mówi położna, dziewczynka jest rozkosznie nieładna. Wiem, że dopiero

za dwa, trzy dni jej skórka się zaróżowi i znikną zmarszczki.

– Boże, to cud. To prawdziwy cud – mówię szeptem.

– Pokaż mi ją. Jaka ona jest? – szepce Klaudia.

– Jest najpiękniejsza na świecie – zapewniam i nie wstydzę się łez płynących po mojej twarzy.

Ostrożnie podaję dziecko Klaudii. Jej dłonie jeszcze drżą po niedawnym wysiłku, gdy głaszczę policzek córeczki.

– Moja maleńka, moja śliczna... Dziękuję ci, Dawidku – mówi z wysiłkiem, podnosząc na mnie pełne łez spojrzenie.

– Cii... Nic nie mów. Jestem szczęśliwy, że mogłem być z tobą w takim momencie.

Dzwonię do domu z nowinami. Staruszka płacze z radości. Koniecznie chce przyjechać do szpitala i zobaczyć maleńką.

Z żalem opuszczam Klaudię – ona musi wypocząć, a ja na moment powinienem wrócić do odległego świata Jodłówek.

– Przyjadę niebawem – obiecuję. – Mama na pewno będzie chciała, żebym ją tutaj przywiózł, pewnie już przebiera nogami z niecierpliwości. Odpocznij trochę, siostra – dodaję po cichu, z obawy, aby ktoś nie usłyszał, że jestem tutaj intruzem.

Całuję ją w czoło i odchodzę.

To, co właśnie przeżyliśmy, połączyło nas w jakiś szczególny sposób. Teraz jeszcze bardziej czuję się odpowiedzialny za MOJE dziewczyny. Nigdy ich nie opuszczę, nie zawiodę i nie skrzywdzę.

Klaudia

Pani Kasia płakała ze wzruszenia, biorąc na ręce Milenkę. Zachwycała się jej maleńkimi piąsteczkami, jaśniutkimi jak u aniołka kudełkami, minkami, które robiła we śnie. Boże! Jak ja kocham tych ludzi: i ją, i Dawida. Okazali mi tyle serca! Nigdy w życiu nie zaznałam od nikogo tak wiele dobroci. Chwilami wzruszenie odbiera mi mowę, podpływa do oczu łzami szczęścia. Nieważne, co będzie jutro, pojutrze, za rok.

Dawid spędza w szpitalu mnóstwo czasu. Przeze mnie zaniedbuje swoje sprawy, ale nie mam sumienia, aby go przegonić. A może egoistycznie nie chcę zostawać sama?

Płakał, gdy położna wcisnęła mu Milenkę na ręce ze słowami: *Pana córeczka*. Byłam szczęśliwa, że wytrwał ze mną do końca, nie bacząc na

moje krzyki oraz krew, i nie sprostował słowa *córka*. Co ja bym bez niego zrobiła?

Dziecinka smacznie śpi obok mnie. Dawida nie ma. Pojechał do domu, żeby się ogarnąć i zjeść jakiś porządny posiłek. Korzystam ze wspaniałomyślności mojej małej śpiącej królowy i ucinam sobie drzemkę.

Budzi mnie cichy odgłos kroków. Podnoszę powieki – to Dawid z dzieckiem na ręce drepcze koło okna. Chociaż Milenka jeszcze nie widzi, pokazuje maleńkiej wielki świat, nagie korony drzew, kruki i przymglone, zimowe słońce.

– Nie wolno płakać, kiedy mamusia śpi – napomina łagodnym szeptem spoczywające na jego ramieniu dziecko. – Ona musi teraz odpocząć i nabrać sił. Wiesz, jaka była dzielna?

Z moim sercem dzieje się nagle coś bardzo dziwnego i niedorzecznego.

W milczeniu obserwuję Dawida. To niesamowite, jak dobrze radzi sobie z noworodkiem. Wcale się nie boi, że upuści Milenkę albo zrobi jej krzywdę. Jego ramię daje wygodne podparcie maleńkiej główce mojej córeczki, zdaje się być stworzony po to, aby ją podtrzymywać.

Boże! – krzyczę w myślach. Boże! Dlaczego to nie Mariusz jest tutaj teraz z nami? Czemu to nie on tak czule przemawia do maleństwa?! Dlaczego Dawid – zupełnie obcy mężczyzna – zatroszczył się o mnie z wielkim oddaniem, a tamten drań nie zainteresował się naszym losem nawet przez ułamek sekundy? Przecież mógł zadzwonić, przysłać maila, przyjechać! Zrobić cokolwiek, aby moje dziecko nie było skazane na półsieroctwo.

No tak, przecież on nie chciał Milenki.

To przykre, ale nawet nie wiem, gdzie jest teraz mój mąż. Chyba powinnam go poinformować, że ma córkę. Trzeba będzie zarejestrować dziecko w urzędzie, jak mam to sama załatwić? Gorzkie łzy bezsilności podpływają do moich oczu. Ocieram je ukradkiem, nie chcę przysparzać zmartwień Dawidowi.

Szelest pościeli przykuwa jego uwagę. Mężczyzna odwraca się do mnie.

– Cześć, Klaudyś. Przewinałem ją, bo miała w gaciach niespodziankę. Mam nadzieję, że dobrze ją zapakowałem w te wszystkie pampersy i powijaki.

– Ojej! Nie obudziłeś mnie?

Dziwne, że nie usłyszałam, jak Milenka się wierci. Jeszcze większe wrażenie robi na mnie to, że Czarnota sam przewinął dziecko.

– A po co? Kupsko mnie nie pogryzło. No jak? Możemy się już pakować? Pora opuścić ten lokal. W domu czeka na maleńką wygodna kołyska, a na ciebie kurczak duszony w warzywach.

Przez następne dni odbieram mnóstwo telefonów z gratulacjami. To miłe, jeszcze do niedawna myślałam, że cała wieś wytyka mnie palcami i wszyscy uwierzyli w podłe plotki na mój temat.

Parę dni później odwiedza mnie Lidka. Przeprasza, że nie zajrzała od razu. Chciała się wykurować, aby nie zarazić Milenki żadnym paskudztwem. Przynosi w prezencie precudną sukieneczkę. Musiała się na nią strasznie wykosztować, ponieważ to ręczna robota z mnóstwem precyzyjnych haftów i wykończeń.

– Lidzia! – strofuję ją za rozrzutność. – Nie masz na co wydawać pieniędzy?

– Cicho, mamuśka! To dla naszej ślicznotki.

– Dziękuję, jest przepiękna – zachwycam się miniaturowym dziełem sztuki krawieckiej. – Będzie jak znalazł na chrzciny.

– No widzisz? – cieszy się przyjaciółka.

Jeszcze nie wiem, kiedy ochrzczę Milenkę, lecz proszę moich przyjaciół, żeby zostali rodzicami chrzestnymi. Obydwoje zgadzają się bez chwili wahania, są dumni i szczęśliwi, że im to zaproponowałam. A ja po raz kolejny mam nadzieję, że gdy w tej wielkiej chwili staną ramię w ramię w kościele, to może spłynie na nich jakieś olśnienie i Dawid odwzajemni uczucia Lidzi.

Lidka wciąż zwodzi chłopca z sąsiedniej wsi. Z jednej strony żal jej z nim zerwać, z drugiej strony wciąż robi uniki. Zwierza mi się ze swoich rozterek, lecz ja jestem chyba ostatnią osobą, która mogłaby dawać komuś rady w sprawach sercowych.

– Powiedz mi, Klaudynka, ile można czekać na chłopaka? Dawid już posiwił, ja też niedługo zacznę siwieć. Nie ożenił się do tej pory, z nikim się nie spotyka, ciebie traktuje jak siostrę... Co z nim jest?

– Być może chodzi o tamtą dziewczynę z Irlandii. Powiedział mi kiedyś, że prawdziwa miłość zdarza się raz w życiu, a on swoją już stracił i nigdy nie pokocha innej kobiety. Tylko tyle mogę ci powiedzieć, ale proszę, zachowaj tę wiedzę dla siebie.

– To smutne, że taki fantastyczny facet tak bardzo się marnuje.

Jak widać, nie tylko ja patrzę na Dawida przez pryzmat jego charakteru. Jakie znaczenie ma wygląd? Uroda to rzecz przemijająca, wszyscy się postarzejemy.

– Szkoda. Nic na to nie poradzimy. Mnie też go żal, ale odnoszę wrażenie, że on jest zadowolony ze swojego życia, choć może nie do końca szczęśliwy. Wygląda na pogodzonego z losem.

– Biedny Dawid. To takie romantyczne! Jedna miłość na całe życie.

Dalszą rozmowę przerywa kwilenie Milenki. Pochylam się nad kołyską i wyjmuję z niej moje maleństwo.

Pani Czarnotowa miała rację, mówiąc, że miłość do dziecka przychodzi sama, oraz że intuicja wszystko mi podpowie. Bez trudu odgaduję, czy moja córeczka jest głodna, czy ma mokro lub marudzi z innego powodu. Przystawiam ją do piersi i opieram się wygodnie o poduszki. Póki co, spędzam dużo czasu w łóżku, pod tym względem pani Kasia mnie rozpieszcza.

– Przynieść ci kompotu? – dopytuje Lidka. Dobrze wie, że gdy karmię, od razu chce mi się pić.

– Bardzo proszę, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Lidia zabiera pusty dzbanek i schodzi do kuchni. Zapewne ma nadzieję, że spotka Dawida, ponieważ to akurat pora, gdy nasz rodzynek kończy pracę. Przez uchylone drzwi dobiega mnie pogłos ich rozmowy.

Uśmiecham się do małej przyssawki. Zabawnie wygląda, gdy nieskoordynowanym ruchem układa malusieńką rączkę na mojej piersi. Rozcapierza miniaturowe paluszki. Patrzy mi prosto w oczy i rozkosznie cmoka. Ma jeszcze troszkę przymglony wzrok, lecz już wodzi za mną ślepkami.

Głód okazał się mniejszy, niż myślałam, ponieważ Milenka bardzo szybko przestaje ssać. Leży sobie spokojnie, patrząc we mnie ogromnymi, niebieskimi oczyma. Poprawiam ubranie i przyglądam się maleńkiej istotce, która spoczywa spokojnie w moich ramionach.

Śliczniutka mała lalczka. Oczywiście każda matka uważa, że jej dziecko jest najpiękniejsze na świecie i że mną też nie jest inaczej. No, bo jak tu nie zachwycać się tą różowiotką, delikatną skórką, maluskim noskiem i paznokietkami nie większymi od ziarenek sezamu? Milenka jest podobna do swojego ojca. Ma te same oczy, włosy, układ twarzy. Choćby nie wiem jak bardzo chciał tego Mariusz, nie byłby w stanie wyprzeć się swojej córki. Mam nadzieję, że z wiekiem podobieństwo nie zaniknie. Oby zatkało usta

plotkarzom i ukróciło wszystkie podłe insynuacje.

Lidzia wraca z kompotem, wraz z nią do pokoju wchodzi Dawid.

– Jak tam, dziewczyny? Nie śpicie?

Podchodzi do nas, głaszcze palcem wskazującym główkę Milenki, omijając delikatne ciemiączko.

– Jak widać – odpowiadam. – Jak minął dzień?

– Jak co dzień, pracowicie. – Wzrusza ramionami. – A ty jak? Wszystko dobrze, siostra? Nie potrzebujesz czegoś?

Lidka przysłuchuje się naszej zwyczajnej wymianie zdań. Widzę, jak rozmięka i jak ją wzrusza troska Dawida. Już wiem, co sobie myśli: że byłby wspaniałym ojcem dla gromadki małych Czarnociątek, które urodziłaby mu z największą przyjemnością.

– Wystarczy, że trochę z nami posiedzisz – proponuję.

– Dasz mi ją na chwilę? – Wyciąga dłonie w stronę Milenki.

Powierzam mu dziecko bez wahania. Dawid chodzi z małą po pokoju, włącza cichutko muzykę.

– Niech się przyzwyczaja – mówi. – Trzeba ją ukierunkować, żeby nie słuchała później jakiegoś chłamu. O, podoba jej się – stwierdza, ponieważ malutka robi jakąś zabawną minkę.

– No jasne! – wtrąca się Lidka. – Dwutygodniowe niemowlęta mają wysoko rozwinięte gusta muzyczne. A ty ucz ją noszenia na rękach, rozpieszczaj! Jak już Klaudyś stanie na nogi, to cię przeklnie, bo nic nie będzie mogła zrobić.

– No to wujek będzie nosił naszą panienczkę, co Milenka? – grucha do przysypiającej dziewczynki.

Mój rytm dnia wyznacza dziecko. Karmienie, przewijanie, kąpiel, pora aktywności, kilkugodzinne przerwy na sen. Noce bywają męczące, ponieważ Milenka miewa kolki, zdarza jej się także, że je nazbyt zachłannie, a później jest marudna. Po dwóch tygodniach wstaję na dobre z łóżka, wyręczam panią Kasię w praniu ubrań, staram się pomagać w domowych obowiązkach. Wciąż jeszcze boli mnie pupa i nie poruszam się swobodnie, lecz powoli dochodzę do siebie.

Pojawienie się dziecka w domu całkowicie zaburzyło dotychczasową harmonię. Pominąwszy kolki, Milenka jest dość spokojnym noworodkiem. Dostarcza nam mnóstwa przeżyć, ponieważ każdego dnia widzimy, jak się zmienia, coraz uważniej obserwuje świat i wymachuje maleńkimi rączkami.

Ileż razy rzucaliśmy absolutnie wszystko i stawaliśmy przy łóżeczku, aby patrzeć, co porabia dzidzia. Bywa, że sterczymy tak przy kołysce lub stojącym na parterze łóżeczku, gapiąc się na maleńką, a ona hipnotyzuje nas niebieskimi oczyskami.

Ze wszystkich domowników Milusia najbardziej upodobała sobie naszego jedyne go mężczyznę. Posyła mu bezzębne uśmiechy, wodzi za nim wzrokiem i jest przepełniona szczęściem, gdy wujek bierze ją na ręce.

Coraz częściej zabieram córcię na dół, do salonu lub kuchni, przyzwyczajam ją do gwaru rozmów, włączonego telewizora lub radia i naturalnego funkcjonowania domu. Nie zamierzam zamykać dziecka w ciszy czterech ścian pokoju, chować przed wszystkimi bakteriami świata i wydelikacać. Milence najwyraźniej to odpowiada, ponieważ przybywa jej na wadze aż miło. Jest teraz różowiutka i okrągła – nie mogę się na nią napatrzeć!

Moje maleńkie szczęście! Przysłoniła mi prawie cały świat. I tylko wieczorami, gdy dziecko już śpi, coraz częściej tęsknię za czyjąś bliskością.

Dawid

Wieczór dłuży mi się w nieskończoność. W telewizji nie ma nic ciekawego. Nie chce mi się wychodzić do pubu. Struganie zupełnie mi nie idzie. Szwendam się z kąta w kąt.

– Ależ cię wodzi – utyskuje matka. – Na chwilę nie usiądziesz?

– Jakoś nie mogę sobie znaleźć miejsca – stwierdzam. – Zajrzę do Klaudii, może nie śpi. Pożyczę od niej coś do czytania. Ma dużo książek, na pewno znajdę tam coś ciekawego.

Drzwi jej sypialni są uchylone, na szafce stoi włączona lampka nocna z bardzo słabą żarówką. Klaudia śpi z Milenką ułożoną na swej piersi. Obejmuje dłonią pośladki córeczki tak, aby jej nie przygniatać, lecz zabezpieczyć maleńką przed stoczeniem się na materac.

Jakie to rozczulające!

Bała się, że sobie nie poradzi i będzie kiepską matką, a tymczasem cudownie odnalazła się w tej roli. Macierzyństwo bardzo jej służy. Już nie jest markotna. Jej ciało bardzo atrakcyjnie się wypełniło. Klaudia ma teraz większe piersi oraz ślicznie zaokrąglone biodra. Tylko przeguby jej rąk i nóg wciąż pozostały takie szczuplutkie i delikatne, że nadal przywodzi na myśl filigranową laleczkę.

Mógłbym stać całą wieczność i patrzeć na ich spokojny sen.

Mój Boże... Jak ja je kocham! I Klaudię, i tę maleńką istotkę.

W moich uszach dźwięczą słowa położnej: *Pana córeczka*. Przez chwilę poczułem, jakbym rzeczywiście był ojcem i mężem – częścią ich mikrokosmosu. Co ja bym dał za to, żeby tak było!

Niemal zapomniałem o istnieniu Mariusza, on prawie nigdy nie pojawia się w naszych rozmowach. Czuję odpowiedzialność za Klaudię i jej córeczkę. Nigdy więcej nie pozwolę ich skrzywdzić.

Czasem mam obawy, że się zapomnę i nie zapanuję nad pożądaniem, zdradzając Klaudii moją prawdziwą twarz, skrzętnie ukrywaną pod maską brata i przyjaciela. Na każdym kroku muszę się pilnować. Ona wciąż podkreśla, że czas miłości już minął i teraz myśli wyłącznie o dziecku. Wciąż nazywam ją siostrą. Dla mnie to substytut słowa *kochanie*, które nieopatrznie wyrwało mi się tuż przed tym, jak urodziła Milenkę.

Cichutko opuszczam sypialnię.

Kludia

Mała ssawka jest coraz bardziej pazerna. Nic, tylko by jadła i jadła. Zrobiła się też niespokojna. Trochę mnie to męczy – nie mogę przecież całymi dniami leżeć z dzieckiem przy piersi.

– Masz chyba za słaby pokarm – stwierdza pani Kasia. – Milenka jest po prostu głodna. Może powinnaś ją dokarmiać butelką? Oczywiście nic nie zastąpi mleka matki, ale obydwie się teraz męczycie. Skonsultuj to z lekarką, jak pojedziesz na szczepienie – radzi dobrotliwie.

– Chyba ma pani rację – przyznaję. – I tak mamy po południu wizytę u lekarza rodzinnego, więc zapytam o dokarmianie. Tylko czemu tak szybko? – Jestem zmartwiona. – Przecież to zaledwie kilka tygodni...

– Tak czasem bywa, dziecko. Miałaś tyle stresów i zmartwień, wciąż wyglądasz mizerniutko, może to dlatego?

– Ja mizerniutka? – uśmiecham się z powątpieniem. – Co też pani wygaduje? W żadne ciuchy nie mieszczę się po ciąży.

– Nie narzekaj, Klaudynka. Teraz wyglądasz jak kobieta, bo wcześniej taka z ciebie była mizerotka, że aż strach było patrzeć. Miałaś szczęście, że nie porwał cię silniejszy wiatr.

Ubieram Milenkę, pakuję do samochodowego fotelika-nosidełka i jedziemy do ośrodka. Szczerze mówiąc, mam duszę na ramieniu, ponieważ od dnia porodu to nasze pierwsze wyjście między ludzi. Boję się plotek i ciekawskich spojrzeń. Nie jestem psychicznie przygotowana na kąśliwe

komentarze. Jodłówczanie mają okropnie zaściankową mentalność.

W poczekalni siedzi sporo osób. Pochylają się ku nam zaintrygowane spojrzenia.

– O! To pani dzidziuś, pani Klaudio?

– A kiedy pani urodziła?

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Jakie śliczne maleństwo!

– Toż to skóra żywcem zdarta z małych Kubasiątek! – Tutaj ja wstrzymuję oddech, czekam na dalsze słowa. – Kubek w kubek malutki Mariusz, takie same włoski i oczka – rozwodzi się Jaroszka, najbliższa sąsiadka Kubasów, staruszka, która zapewne pamięta niemowlęctwo Mariuszowego ojca.

Chętnie uściskałabym ją teraz z radości. Jaroszka, do spółki z Jakubową, to pierwsza plotkara we wsi. Im chyba nic nie umknie, czujne oczy obydwu starszych pań widzą absolutnie wszystkich i wszystko. Mam nadzieję, że teraz plotki na ten temat się skończą, ponieważ ja jestem brunetką, Dawid także jest dosyć smagły i ma ciemne (a teraz już posiwiące), mocno skręcone włosy oraz szare oczy. Żadne z nas nie ma w rodzinie nikogo płowego. Mój maleńki aniołek ma ogromne niebieskie oczęta i włosy jasne jak łan pszenicy.

Doktor Nowicka ma takie samo zdanie na temat apetytu Milenki jak pani Kasia. Ona także sugeruje dokarmianie przez jakiś czas butelką i zdecydowanie odradza całkowite odstawienie dziecka od piersi.

– Proszę się lepiej odżywiać, pani Klaudio. Więcej mleka, nabiału, mniej stresów. Często tak bywa, że pokarm się poprawia, a nawet odnawia, mimo że zaczął zanikać.

Zgodnie z jej zaleceniami kupuję w aptece specjalne mleko modyfikowane, dokarmiam mojego maleńkiego żarłoczka, od tej pory Milenka robi się znacznie spokojniejsza.

Mijają święta Bożego Narodzenia, które spędzam w licznym otoczeniu Czarnotów. Na wieczerzę wigilijną schodzą się wszyscy synowie, synowe oraz wnuczęta pani Kasi. W domu trwa chaotyczna gorączka, wciąż coś się dzieje, wszyscy śmieją się, dowcipkują, są dla mnie zaskakująco serdeczni. Nie jestem traktowana jak obca. Czarnotowie wciągają mnie w swoje zajęcia i pogawędki. Bratowe Dawida pomagają w kuchni, mężczyźni wspólnie z dziećmi ubierają choinkę, rozwieszają dekoracje świąteczne i robią mnóstwo radosnego zamętu.

Mała Milenka jest przekazywana z rąk do rąk, wszyscy chcą ją choć przez chwilę popieścić, śmieją się na widok słodkich minek, asystują przy zmianie pieluszek. Nagle okazuje się, że moja córeczka ma całą armię przyszywanych cioć i wujków, którzy, łamiąc się ze mną tradycyjnym opłatkiem, wzruszają mnie do łez swoją życzliwością.

CZEŚĆ V

Nie powstrzymasz żywiołów

Rozdział 13

Tęsknoty

Klaudia

Ostatnio Milenka nauczyła się ciągnąć wujka za rozpuszczone włosy. Spodobała jej się zabawa polegająca na tarłoszeniu go za loki. Poza tym, pani Kasia kilkakrotnie zrugala syna za to, że jak stwierdziła: jego kudły są wszędzie i dziecko może je połknąć. Chcąc nie chcąc, musi więc nieboraczysko wiązać włosy. Wiem, że tego nie lubi. Czasem Dawid żartuje, że uległ babskiemu terrorowi.

Dawid jest niekwestionowanym idolem małej – ona wprost go uwielbia. I niech mi ktoś powie, że na tym etapie życia wystarczy dziecku tylko matka! Jestem prawie pewna, że moja córeczka szuka w Czarnocie ojca. Biedne dziecko. Na powrót Mariusza nie ma co liczyć. Od z górą pół roku nie mam od niego żadnych znaków życia.

Nie tęsknię za nim, bynajmniej. Z perspektywy czasu myślę, że to nie była wielka miłość. Zauroczyła mnie piękna powierzchowność i wbrew temu, co tak zawzięcie usiłowałam sobie wmówić, wciąż poszukiwałam kogoś, kogo mogłabym kochać. Myślę, że na tamtym etapie byłam skłonna zakochać się w każdym mężczyźnie, który miałby do zaoferowania odrobinę ciepła.

Rozmyślam nad tym wszystkim w zaciszu mojego pokoju, gdy nagle przypominam sobie, że mam wizytę kontrolną u Mrozińskiego. Zerkam na zegar, powinnam jeszcze zdążyć. Na szczęście Milenka śpi, więc po cichutku się ogarniam, a później schodzę na parter. Zastaję tylko Dawida.

– A gdzie pani Kasia? Wyszła?

– Do sklepu. Dopiero co poszła. Potrzebujesz czegoś? Chciałaś, żeby kupiła coś dla ciebie?

– Nie, ale przypomniałam sobie, że muszę iść do lekarza. Na śmierć o tym zapomniałam. Jestem trochę spóźniona i nie mam z kim zostawić dziecka. Może zadzwonię po Lidkę?

– Ale po co? – dziwi się Dawid. – Przecież mama zaraz wróci, popilnuję Milenki przez ten czas. Nie martw się, dam sobie radę. W razie czego umiem zmienić pieluchę – uprzedza moje ewentualne protesty.

– Naprawdę? Mogę?

– No jasne. Zmykaj, siostra.

– Dzięki! Jesteś wielki.

Dawid spogląda na mnie ze skromną miną, kiwa głową, żebym już się zbierała. Składa gazetę, którą właśnie czytał, wtyka ją sobie pod pachę i wchodzi na piętro.

Wiem, że zostawiam Milenkę w dobrych rękach. Pani Kasia na pewno niebawem wróci, więc może nie będzie żadnej katastrofy. Mimo to czuję niepokój, siedząc w poczekalni.

Jak na złość przede mną jest spora kolejka. Mam wyrzuty sumienia, że obarczyłam Dawida opieką nad dzieckiem. Na pewno wolałby ten czas spędzić inaczej. On ciężko pracuje, często wraca bardzo zmęczony. Na domiar złego jestem przekonana, że nocami budzi go płacz Milenki. Moja dziecinka jest dosyć spokojna, lecz gdy ma kolkę, zmienia się w małą terrorystkę, krzyczy w niebogłosey i trzeba ją nosić na rękach. Wyobrażenia podsuwa mi najgorsze obrazy. Już widzę, jak mała się budzi, marudna i poirytowana, że nie ma mnie w zasięgu wzroku, a Dawid bezskutecznie próbuje ją uspokoić.

Mijają dobre trzy godziny. W końcu wchodzi do gabinetu doktora. Badanie dłuży się w nieskończoność. Jednym uchem słucham zaleceń.

Jadę ostrożnie oblodzonymi drogami, pełna niepokoju o to, jak Dawid poradził sobie z dzieckiem.

W domu panuje cisza, nie słychać nawet muzyki. Pani Kasia kręci się po kuchni, jak zwykle coś pitrasi.

– A gdzie Milenka? – dopytuję.

– Z Dawidkiem, na górze. Biedactwo było głodne, więc przygotowałam butelkę. Chłopak wziął maleńką na górę, aby ją przewinąć i nakarmić. Chciałam mu pomóc, ale się zaparł, że sobie poradzi, pokichany wujek – uśmiecha się szeroko.

– No to dobrze – oddycham z ulgą. – Chyba sobie poradził, bo jest dosyć cicho – stwierdzam, rozpinając płaszcz zgrabiałymi dłońmi.

– Nie idź tam taka zimna – przestrzega mnie pani Kasia – bo przeziębisz Milenkę. Chodź, wypij na rozgrzewkę ciepłego barszczyku. Dawid wytrzyma jeszcze pięć minut. Zresztą jemu to wujkowanie bardzo się podoba, niech ma radochę.

– Tak, jasne... – powątpiewam. – Po ostatniej nocy raczej nie ma powodów do zachwytu. Najpierw Milenka zasnęła i obudziła się strasznie głodna, a później jadła tak łapczywie, że dostała okropnej kolki. Narobiła wrzasku, więc na pewno obudziła Dawida. A pani nic nie słyszała?

– A tam! Coś słyszałam, ale tylko przez chwilę.

Popijam gorący barszcz. Pani Kasia pilnuje, abym opróżniła kubek aż do dna. Dopiero później pozwala mi odejść. Despotka – przez jej smakołyki nie mogę dopiąć się w żadne przyzwoite ubrania.

Po cichu wchodzę na górę. Za mną idzie pani Kasia, która chce sprawdzić, czy jej syn dobrze wywiązał się ze swojej misji. W moim pokoju jest pusto. Stukam cichutko paznokciami o szybę w drzwiach sypialni Dawida, lecz nie ma odzewu. Biorę oddech i mimo wszystko wchodzę.

Nagle robi mi się bardzo ciepło w okolicy serca.

Na szafce nocnej stoi opróżniona butelka po mleku. Mężczyzna leży na plecach na środku szerokiego łóżka, a na jego piersi, ułożony na brzuszku, śpi sobie smacznie mój mały aniołek, słuchając, jak bije serce Dawida. Czarnota podtrzymuje dziecko za pupkę.

Nie boję się, że on zrobi jej krzywdę i przygniecie ją lub puści. Ufam mu bezgranicznie. Wyglądają razem tak sielankowo, że łzy kręcą mi się w oczach.

– Ale słodziaki – szepczę do pani Kasi.

– Trzeba by im pstryknąć fotkę. Masz komórkę?

Wyciągam z kieszeni aparat, który od wizyty u lekarza wciąż ma włączone wyciszenie, i bezszelestnie robię najpiękniejsze zdjęcie na świecie.

– A widzisz? – mówi cichutko pani Czarnotowa. – Poradził sobie.

– Długo już śpią?

– Eee... Chyba nie. Słyszałam przedtem, że mała troszkę się złościła, ale ten uparciuch nie dał sobie pomóc.

– Ma genialne podejście do Milenki.

– On jest do niej bardzo przywiązany – odpowiada pani Kasia, głaszcząc mnie po ramieniu – podobnie jak do ciebie, Klaudynko. Swoich bratanków nie hołubił aż do tego stopnia.

Starsza pani odchodzi.

Zostaję w progu, opieram policzek o futrynę i przyglądam się śpiącemu. Nie wiem, który raz żałuję, że przed czterema laty to nie Dawid zalecał się do mnie. Cóż, wciąż kocha tamtą dziewczynę. Kimkolwiek ona jest, zazdrosczę jej w prymitywny, wręcz odrażający sposób. Głupia! Nawet nie wie, co straciła.

Patrząc na Dawida i Milenkę, myślę, jakie to wszystko jest proste: miłość do dziecka, opieka nad nim, szczęśliwe, spokojne życie. Jak to możliwe, że nigdy tego nie zaznałam? Przecież z ciotką łączyły mnie więzy krwi, więc tym bardziej powinna była nas choć trochę pokochać. Czarnota, wbrew temu, że określam go mianem brata, jest obcym człowiekiem. Łączy nas tylko i aż przyjaźń, a jednak po kilku tygodniach wspólnego mieszkania nieprawdopodobnie przywiązał się do małej.

On nie przywiązał się do niej przez kilka tygodni – koryguję szybko myśli. Mentalnie był jej wujkiem, gdy jeszcze nosiłam ją pod sercem – od chwili, kiedy pani Kasia po raz pierwszy przyłożyła jego dłoń do mojego brzucha. Nic dziwnego, że łączy go z Milenką tak mocna więź, a moja córeczka z radością reaguje nawet na głos Dawida. Ona poznała ten ciepły dźwięk, będąc małą fasolką, i to jego dłonie trzymały ją zaraz po urodzeniu.

Czasami zastanawiam się, jak długo jeszcze będzie trwała ta sielanka? Miesiąc, dwa, trzy, może rok... Później trzeba będzie się usamodzielnic, zacząć życie w nowym miejscu, na własny rachunek. Mimo całej życzliwości Czarnotów nie mogę nadużywać ich gościnności. Dawid stał się pogodny. Może zapomina już o tamtej dziewczynie? Może przyjdzie dzień, gdy zakocha się w innej? I co wtedy będzie? Ona na pewno nie życzyłaby sobie, aby u jej wybranka mieszkała *taka* sublokatorka. Mogłaby być zazdrosna.

Bo ja byłabym na pewno.

Nie po raz pierwszy przyłapuję się na takich myślach.

Moje serce to najgłupsze urządzenie świata. Nie mam nad nim żadnej władzy, nie słucha mnie, jest niepokorne.

Nie mam najmniejszych praw do Dawida, nie wolno mi odczuwać w stosunku do niego zazdrości. Nie na darmo on nazywa mnie swoją siostrą – na każdym kroku podkreśla granicę, którą nam wytyczył. Wszak jestem żoną jego kolegi. A ja coraz częściej przed zaśnięciem myślę o tym, że ma piękne, ciepłe oczy, cudne włosy i wspaniale umięśniony tors...

Jestem skończoną idiotką! Najwyraźniej dwa kopniaki od losu to dla mnie jeszcze za mało.

Chyba nadszedł czas, abym zaczęła szukać nowego mieszkania – zanim

będzie za późno i zacznę oczekiwać od Dawida zbyt wiele.

Bezsensowność.

Milena śpi słodko w swojej pięknej kołysce. Powinnam korzystać z jej łaskawości i również spróbować zasnąć, lecz nie mogę.

Brakuje mi fizycznej bliskości drugiego człowieka. Ciepłego ciała, w które mogłabym się wtulić, aby ogrzać moje zmarznięte serce.

Nigdy nie byłam szczególnie namiętna, seks z Mariuszem budził na ogół niechęć i irytację, bywał przez mnie sprowadzany do poziomu jeszcze jednego uciążliwego obowiązku. Nie rozumiem zatem tego nagłego przypływu pragnień.

Zamykam oczy. Niepokoi mnie to, co widzi moja dusza.

Dawid, jego śniada skóra, ciemna linia włosów biegnąca od pępka w dół, poniżej gumki podtrzymującej spodnie od piżamy.

Moja dłoń wślizguje się pomiędzy lekko rozchylone uda. Otacza ją ciepła, lepka wilgoć. Oddycham coraz szybciej i szybciej, a gdy jest po wszystkim, chowam twarz w poduszkę i płaczę nieutulenie przez długie godziny.

Noc nieróżniącą się od wielu innych...

Czuję się brzydka i nieatrakcyjna. Biorę prysznic, oglądam spustoszenia po ciąży. Brzuch wygląda fatalnie, skóra jest guzowata, pełna rozstępów, to samo mam na biodrach. Na udach popękały mi naczynka krwionośne, też mnie to nie zdobi. Urósł mi tyłek, zmalało wcięcie w talii. Samej sobie już się nie podobam, a jak na złość budzą się teraz we mnie niezdrowe tęsknoty i pragnienia.

Czy aż takie niezdrowe? Nie! Po prostu ludzkie.

Chciałabym nie tylko ojca dla Milenki. Chciałabym także kogoś dla siebie. Samotność jest destrukcyjna.

Z takim ciałem mogę się tylko schować. Już nikt nie spojrzy na mnie z zachwytem, z błyskiem pożądania w oku. Żałuję, że nie słuchałam doktora Mrozińskiego, gdy mi radził, abym nie żałowała kremu na rozstępy. Wzruszałam wtedy ramionami, teraz wyrzucam sobie, że wyglądam jak maskara.

Na ziemię sprowadza mnie donośny krzyk Milenki. Widać, obudziła się w czasie, gdy ja użalałam się nad sobą przed na wpół zaparowanym lustrem. Słyszę kroki na korytarzu, ktoś ruszył na ratunek płaczącemu dziecku.

Wycieram się szybko i byle jak. Dawid dba o to, aby w domu było ciepło.

Narzucam satynowy szlafrok, okręcam ręcznik wokół mokrych włosów i w tę pędy opuszczam łazienkę.

Płacz zdążył ucichnąć. Dawid kołysze dziewczynkę na ramieniu. Nuci coś po cichu, a moje niepokorne serce znowu pęka na pół. Jestem szczęśliwie-nieszczęśliwa, ponieważ z jednej strony moja córeczka ma fantastycznego wujka, a z drugiej strony jej mama jest skończoną idiotką, która może w każdej chwili stracić panowanie nad sobą i popsuć wszystko własną desperacją.

Nagi tors Dawida połyskuje lekko w mdłym świetle lampki nocnej. On znowu ma na sobie same spodnie od piżamy. Przychodzi mi do głowy niepokorna myśl, aby przycisnąć usta do jego skóry, odetchnąć zapachem męskiego ciała, poczuć ciężar dłoni nie tylko na moim brzuchu czy ramieniu, ale również...

Nie pojmuję: jak to się stało?!

Jak i kiedy tak mocno pokochałam Dawida?

Dawid

Odwracam się, słysząc kroki Klaudii. Jaka ona piękna! Spod ręcznika wymykają się mokre pasma włosów, niedbale zawiązany szlafrok odsłania ramiączko połyskliwej koszuli, która klei się do wilgotnej, niedokładnie wytartej skóry.

Nie wiem, na ile starczy mi sił, aby walczyć z napięciem, które czuję w lędźwiach. Boję się, że pewnej nocy nie wytrzymam i zamiast rzucać się bezsenne w łóżku, zakradnę się do jej pościeli i...

Ona nigdy by mi tego nie wybaczyła!

Nawet nie zdaje sobie sprawy, ile bólu sprawia mi zwracanie się do niej *siostra*.

– Obudziła się, płakała – tłumaczę, a później, unikając spoglądania na wilgotną skórę Klaudii, niemalże wciskam Milenkę w jej dłonie i zmywam się prędko do siebie.

Muszę uciec, zanim zobaczy erekcję, zdradziecko wypełniającą cienki materiał piżamy.

Klaudia

Dawid szybko wyszedł, zażenowany moim negligem. Fakt, widywał mnie już w gorszym stanie, choćby na porodówce, gdy odcinał pępówkę Milenki,

ale to było w szpitalu, w zupełnie innych okolicznościach niż teraz. Musi pamiętać tę krwawą miazgę, którą wtedy byłam. Podobno jakieś badania dowiodły, że wielu mężczyzn po udziale w porodzie rodzinnym traci zainteresowanie kobietami. Prawdopodobnie i w jego przypadku to zadziało, ponieważ nie wychodzi nigdzie wieczorami, spędzając czas w naszym towarzystwie.

Czy jako kobieta budzę w nim odrazę?

On nawet nie wie, że określenie *siostra*, niegdyś tak miłe moim uszom, sprawia mi teraz niemalże fizyczny ból.

Nie rzucę mu się na szyję, nie mogę, nie potrafię, nie chcę. Żebrałam o uwagę ciotki, pragnęłam uczuć tamtego studenta, nie potrafiłam podtrzymać miłości Mariusza. Jestem do niczego.

W nocy znów szukam ukojenia w objęciach własnych ramion. Sama rozładowuję kłębiące się szaleńczo napięcie.

Jestem niemalże nieobecna duchem, gdy nazajutrz odwiedza mnie Lidka. Chciałabym się jej zwierzyć, lecz wstyd mi za moje myśli i uczucia. Przecież nie powiem, że szare oczy Dawida towarzyszą mi w chwili przed zaśnięciem i pojawiają się w pierwszej świadomej myśli każdego poranka jeszcze zanim moją uwagę zaprzątne dziecko. Czy jestem przez to złą, wyrodną matką?

Myślałam, że córeczka przesłoni mi cały świat i poza nią niczego nie będę dostrzegać. Myliłam się. Milenka ma mnie dla siebie – kochającą, gotową na każde wezwanie. Przepenia mnie ogrom uczucia, a jednak w moim sercu jest jeszcze miejsce dla Dawida.

Słucham radosnej paplaniny Lidki. Przyjaciółka systematycznie znosi mi plotki ze szkoły i całej okolicy, wciąga mnie w wir tego klaustrofobicznego światka. Próbuję skupić się na jej słowach.

W pewnej chwili dziewczyna poważnieje i wyciąga przed siebie rękę, na jej serdecznym palcu połyskuje nieduży brylant.

– Będiesz moją druhną, Klaudyś?

Z wrażenia moje oczy osiągają wielkość pięciozłotówek. Póki co, pomijam milczeniem kwestię mojego druźbowania.

– Nie wierzę... Naprawdę to robisz?

Lidzia uśmiecha się delikatnie, nieco smutno.

– Zrozumiałam, że Dawid nigdy mnie nie pokocha i tak naprawdę chyba poplątałam się w uczuciach. Z jednej strony jestem wdzięczna za to, że wtedy stanął w mojej obronie, z drugiej strony wciąż czuję skrupuły, że z mojej

winy miał tak wiele kłopotów. Dostał przecież ten wyrok w zawiasach, mógł nawet pójść za kraty... Przemyślałam wszystko dogłębnie i nie chcę być sama. Radek to dobry chłopak, on nigdy mnie nie zawiedzie. No i, co najważniejsze, latka lecą, nie jesteśmy coraz młodszy. Chciałabym mieć już dzieciaczki – dodaje z rozmarzeniem, spoglądając na Milenkę, która bawi się grzecznie, oglądając z zainteresowaniem swoje pulchniutkie paluszki.

– Zaskoczyłaś mnie, ale cóż mam ci powiedzieć... Cieszę się razem z tobą.
– Obejmuję ją za szyję.

Nie chcę psuć nastroju moim defetyzmem. To, że mnie i Mariuszowi nie wyszło, Tadek na każdym kroku zdradza Dorotę, i tyle innych młodych małżeństw rozpada się lub nie wytrzymuje presji czasu, wcale nie musi oznaczać, że nie wyjdzie Radkowi i Lidce. Poznałam jej narzeczonego na tyle, aby się przekonać, że on świata poza nią nie widzi. To rzeczywiście bardzo porządny chłopak i, co chyba najważniejsze – nie pije. Po perypetiach z Mariuszem dobrze wiem, jakie to ważne.

– Kiedy będzie ten wielki dzień?

– W lipcu, zaraz po zakończeniu roku szkolnego. To co, Klaudyś, zostaniesz moją druhną? Proszę... – Robi słodką minkę.

– Ja, druhną? Przecież na druheny prosi się panienki. Przypominam ci, że jestem chyba mężatką.

– Chrzanić zwyczajnie. Sama mówisz, że *chyba* jesteś mężatką – łapie mnie za słówka. – A co to komu szkodzi? Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Chcę mieć przy ołtarzu i ciebie, i Dawida. Przyjedziemy z Radkiem, żeby go zaprosić. Dziś Raduchna nie mógł, ponieważ pracuje do późna, ale przystał na mój pomysł.

– Nie boisz się, że Dawid czmychnie w ostatniej chwili? Wiesz, że on ma talent do pryskania sprzed ołtarza – przypominam bardzo niełojalnie względem przyjaciela.

Nie chcę z nim družbować. Oczywiście nie powiem tego Lidzi, ale czuję, że serce będzie mi pękać w momencie, gdy ci dwoje będą wymieniać obrączki, a ja będę stała u boku mężczyzny, z którym nigdy nie wymienię się niczym.

– Może nie będzie tak źle. W razie czego schowasz mu paszport i kluczyki od samochodu – żartuje Lidka.

I tak oto zostaję wessana w wir planów i nadziei mojej serdecznej przyjaciółki. Omawiamy kroje sukien ślubnych, modele wiązanek i wszystkie detale, bez których nie sposób wejść na nową ścieżkę życia. Po chwili, mimo

początkowego sceptycyzmu, udziela mi się optymizm. Spoglądam na ożywienie i radość migoczącą w oczach przyszej panny młodej.

Będzie dobrze – myślę. Jej na pewno się uda.

Ubieramy Milenkę i w trójkę wychodzimy na spacer. W powietrzu unosi się subtelny zapach wiosny. Lidzia upiera się, że ona będzie pchać wózek z moją córeczką.

– No, co? – śmieje się. – Muszę nabierać wprawy, a poza tym to przecież moja chrześnica, moja maleńka lalunia.

Dziewczynka nagradza ją słodkim, bezzębnym uśmiechem.

Spacerujemy po wsi, wymieniając spostrzeżenia. Po ubiegłorocznej powodzi wciąż roztacza się księżycowy krajobraz. Główną drogę odbudowano niżej. Poprzednia opasywała skarpe z największym osuwiskiem. Siłą rzeczy, nowy most stoi w innym miejscu. Koryto rzeki już dawno oczyszczono z gruzu oraz kamieni, poszerzono i pogłębiono koparkami, usypano nowe wały przeciwpowodziowe.

Trzeba przyznać, że lokalne władze wyciągnęły wnioski po kataklizmie, ponieważ z innych stron kraju wciąż płyną utyskiwania na nieudolność rządzących i niedbalstwo. Tymczasem Jodłówki są zabezpieczone na przyszłość, lecz mieszkańcy, nauczeni strasznym doświadczeniem, z lękiem spoglądają na niebo podczas każdej większej ulewy.

Po moim i Mariusza domu nie został nawet ślad – teren został oczyszczony. Tutaj będzie rosła puszcza, burmistrz nie wyraził zgody na ponowną zabudowę. Akurat teraz, gdy spacerujemy, ludzie z nadleśnictwa robią nasadzenia.

Nie ma sklepu u Antosiaków. On wyjechał za pracą do Irlandii. Ona najmuje się do bawienia dzieci, chociaż ma czwórkę własnych. Chodzą słuchy, że stara się o dotację unijną na otwarcie prywatnego przedszkola. Dzielna, zaradna kobieta – podziwiam jej hart ducha.

Idziemy dalej, odprowadzane ciekawskimi spojrzeniami. Ten i ów przystaje, zatrzymuje nas, zagląda do wózeczka. Tak jest za każdym razem, gdy wychodzę na spacer po Jodłówkach. Ludzie wciąż szukają w twarzyczce Milenki dowodu mojej winy bądź też niewinności.

– Nie martw się – pociesza mnie Lidzia. – W końcu dadzą ci spokój. Oni cię lubią, nie chcą ci robić przykrości. To tylko taka głupia, wiejska mentalność i wścibstwo – tłumaczy. – Przecież wszyscy wiedzą, że ty i Dawid to niemal jak rodzeństwo.

Ja już nie chcę być postrzegana jako przyszywana siostra Czarnoty. Nie

powiem tego na głos – nie mam odwagi, lecz coraz bardziej tęsknię za nim jak za mężczyzną.

Coraz częściej popadam w zadumę. Zapędziłam się w kozi róg. Nie powinnam była przyjmować wspaniałomyślniej oferty Dawida. Mogłam wyjechać z Jodłówek pod koniec sierpnia, a nie narażać moje wiecznie pokaleczone serce na kolejną kontuzję. Co prawda nie wiem, jak bym sobie poradziła, lecz każdy dzień spędzony u Czarnotów sprawia, że jest mi coraz trudniej. Przywiązałam się do nich, pokochałam, ale czas to ukrócić, nie mogę w nieskończoność siedzieć im na karkach. Ostatnio pani Kasia zauważyła, że na powrót stałam się markotna.

Przeglądałam oferty wynajmu mieszkań lub pokoi, lecz ceny mnie przerażają. Największą bolączką jest to, że niedługo stracę dochody ze szkoły. Nie mogę opierać się wyłącznie na wypłatach z zysków warsztatu, które wręcza mi Dawid. Cały czas mam poczucie, że te pieniądze nie są mi należne, chociaż zaciągnęłam w banku kredyt na zakup maszyn i urządzeń. Wszystko, co mogę, odkładam na czarną godzinę. Na razie kupka w banku rośnie, lecz nie jest to zawrotne tempo, bo i wydatki mam duże.

Milenka rośnie jak na drożdżach, wciąż potrzebuje nowych ubranek. Jedzenie dla niej, pampersy, herbatki, kosmetyki – wszystko jest strasznie drogie. Nie zamierzam oszczędzać na dziecku – to raczej sobie odmawiam przyjemności.

Niestety, ilekroć znajduję przyzwoite lokum, to na wieść, że jestem samotną matką z niemowlęciem, rozmowa zazwyczaj się kończy.

– A pan co, sklonowany czy jak? – warczę w telefon, gdy kolejny osioł mówi, że jest mu przykro, lecz nie może mi wynająć mieszkania. – Nigdy nie był pan dzieckiem? Nie ma pan własnych?!

Zrezygnowana, odkładam komórkę.

Sprawdzam pocztę, znajduję maila od Ewy. Siostra coraz rzadziej się do mnie odzywa, czasami nie utrzymujemy kontaktu przez długie miesiące. Poniekąd jest to moja wina, gdy miałam depresję, stroniłam od wszelkich form bliskości. Jakiś czas temu napisałam do niej, że urodziłam córeczkę i posłałam jej kilka fotografii, w tym również to cudne zdjęcie, na którym dziecko śpi w objęciach Dawida. Podpisałam, że to Milenka z wujkiem. Nie dodałam nic więcej w tej sprawie, nie mam ochoty na zwierzenia.

Czytam krótką informację o tym, że siostra ma się dobrze, zmieniła pracę i mieszkanie. Pochwały w stosunku do małej są bardzo powściągliwe – cóż,

to egoizm typowy dla młodych matek kazał mi czekać na zachwyty nad dzieckiem.

Wyłączam komputer. Obudzona z poobiedniej drzemki córeczka zaczyna kwilić. Ślini się nad wyraz obficie.

W nocy Milenka wrzeszczy jak opętana. Jej płacz słychać w całym domu. Miotam się bezsilnie po pokoju, półprzytomna ze zmęczenia. Jestem przygnębiona, bo nie potrafię zaradzić hysterii. Nawet pani Kasia, choć zazwyczaj tego nie robi, zagląda do mojej sypialni i dopytuje, czy może jakoś pomóc.

– Nie wiem, co się dzieje. Ma suchą pieluszkę, nie ma temperatury, nie jest głodna, nie ma kolki. Jestem już wykończona – przyznaję ze łzami w oczach.

Nie mówię tego na głos, ale marzę o chwili spokoju.

Milenka krzyczy, złości się, parska dookoła śliną, wpycha rączki do buzi.

– Ona prawdopodobnie ząbkuje – odgaduje pani Czarnotowa. – Daj mi dziecko, Klaudynko, ponoszę ją chwilę, a ty odpocznij, bo wyglądasz jak upiór. Weź parę głębokich oddechów – radzi. – Musisz się wyciszyć, ponieważ twoje zdenerwowanie też udziela się małej.

Milenka uspokaja się w objęciach starszej pani, lecz próbę odłożenia dziecka do kołyski kończy kolejna fala protestów. Przychodzi rozespany Dawid, dopytuje, czy nie trzeba lekarza, lecz żadna z nas nie widzi takiej potrzeby. Nosimy małą bojowniczkę na zmiany całą noc, nawet wówczas, gdy zapada w drzemki, ponieważ budzi ją każda zmiana położenia. Dopiero rano kruszynka zasypia mocniej. Dawid, na wpół żywy po całonocnym czuwaniu, ubiera się i wychodzi do warsztatu. Pani Kasia i ja padamy w łóżka, aby złapać choć trochę snu.

Dwie godziny później Milenka znowu zaczyna rozrabiać, więc nie ma mowy o wypoczynku. Zrezygnowana, wraz z małą marudą schodzę na śniadanie. Pani Kasia też już nie śpi, szczebioce do dziecinki, podczas gdy ja szykuję butelkę. Pokarm skończył mi się jakiś czas temu, więc córeczka dostaje modyfikowane mleko, które urozmaicamy pierwszymi „dorosłymi” posiłkami w postaci zmiksowanych jarzyn lub chudego mięska.

Karmię kapryśną królową. Milenka parska i pluje jedzeniem na wszystkie strony. Prawdziwy dopust boży. Wzgardzona zupka pozostaje na talerzu.

Dziewczynka robi żałosne minki i domaga się noszenia na rękach. Chodzę z córeczką po domu, gdyż pada ulewny deszcz. Pokazuję jej rzeźby wujka Dawida, stary zegar, który, gdy go nakręcić, wygrywa o pełnych godzinach

prześliczne kuranty. Oglądamy zmokłe wróble na parapecie i psy goniące przez błotniste kałuże.

Mijają kolejne godziny. Dawid wraca z pracy, konsumuje obiad. Pod oczami ma głębokie cienie, wygląda na zmęczonego. Zabieram Milenkę na piętro, gdzie udaje mi się ją uśpić. Marzę o drzemce, ale przypominam sobie, że zostawiłam w salonie ubranka poplamione jedzeniem. Mam też w koszu trochę brudnych rzeczy, więc zamiast wylegiwać się w łóżku, muszę nastawić pranie.

Dawid leży na kanapie, ma zamknięte oczy i rozsypane na policzkach włosy. W jednym uchu tkwi słuchawka od MP3, druga zwisa na jego ramię – domyślam się, że mężczyzna śpi. Biedaczysko, noc dała mu mocno popalić, a nie mógł sobie odpuścić pracy, ponieważ ma jakąś pilną robotę. Przypuszczam, że gdyby nie zmęczenie, to wróciłby jeszcze na kilka godzin do warsztatu – tak bywało w ostatnich dniach.

Spoglądam na spokojny sen mężczyzny. Robi mi się ciepło na sercu. Podchodzę na wyciągnięcie dłoni, kucam przy kanapie. Obserwuję przez chwilę, jak unosi się klatka piersiowa Dawida. Ostrożnie odgarniam włosy z jego twarzy, moja dłoń drży. Chciałabym pocałować go w usta – delikatnie musnąć jego wargi. Tylko tyle, aby poczuć ich smak i dotyk. Nachylam się lekko, gdy nagle on otwiera oczy. Zrywa się i spogląda na mnie jakoś dziwnie, musi być zaskoczony moją nagłą bliskością. Spłoszona, cofam się szybko.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić – mówię. – Śpij sobie, śpij...
Szybko wstaję i opuszczam pokój.

Dawid

Uciekła. Nie chciałem jej wystraszyć.

Spałem bardzo mocno, śniłem właśnie o niej, gdy nagle jakieś przecucie kazało mi otworzyć oczy. Zobaczyłem pochyloną nade mną Klaudię – myślałem, że nadal śnię. Chciałem ją pocałować. Czy zrozumiała moje intencje? Czy to ją tak bardzo spłoszyło?

Wciąż zamroczony drzemką, siadam na kanapie. Chowam twarz w dłonie, czuję dotyk mojej wstrętnej chropowatej skóry. Przesuwam palce dalej, zaciskam je na włosach. Udaje mi się zapanować nad krzykiem rozpacz.

Jesteś głupcem, Dawidzie Czarnoto! Ona cię nie chce, nigdy cię nie chciała i nigdy nie zechce. Dla niej nie jesteś mężczyzną, jesteś bratem, przyjacielem. Doceń to, co masz, bo inaczej, jeśli ją będziesz napastował, to

nawet nie będziesz mógł cieszyć oczu jej widokiem. Nie obejmiesz jej więcej w braterskim uścisku, nie poczujesz ciężaru głowy na piersi! Chcesz stracić całe zaufanie, które z takim mozolem zbudowałeś?!

Kludia

Wracam szybko do sypialni. Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi wyciągam laptopa. Przeglądam strony z ofertami wynajmu, notuję numery telefonów, piszę maile. Dwie godziny później mam umówione kilka spotkań – idę na żywioł i ani słowem nie wspominam o Milence. Niech się dzieje, co chce!

Muszę opuścić ten dom, zanim oszaleję albo moje niepokorne, głupie serce po raz kolejny pęknie na pół. Dobrze wiem, że gdybym została tu dłużej i nadal przebywała pod jednym dachem z Dawidem, to byłoby mi coraz trudniej. Nie chcę być kobietą zdesperowaną ani tym bardziej wzgardzoną.

Wieczorem, podczas kolacji, nagabuję panią Kasię.

– Czy mogłaby pani jutro przypilnować Milenkę trochę dłużej? Muszę jechać do Krakowa, mam parę spraw do załatwienia.

– Oczywiście, dziecko, nie ma najmniejszego problemu. A coś się stało? – pyta z niepokojem.

Nie ma sensu kłamać. Powinnam od razu wyjaśnić sytuację, nie mogę przecież wyprowadzić się stąd cichcem.

– Nie, nic takiego, pani Kasiu. Po prostu najwyższa pora zabrać się w końcu za życie. Dobrze mi tutaj – mówię, nie patrząc w stronę Dawida, aby czasem nie zdradziło mnie jakieś głupie, cliwe spojrzenie – lecz nie mogę wiecznie siedzieć wam na karkach. Postanowiłam rozejrzeć się za mieszkaniem oraz nową pracą.

Nagle zapada straszna cisza, słychać tylko brzęczenie pierwszej w tym roku muchy, która krąży wokół lampy.

– Kludynka, co ty mówisz? – dziwi się pani Czarnotowa. – A Milenka? Jak sobie poradzisz? Nie oddasz jej chyba do żłobka?!

– Do września urośnie na tyle, że będę mogła zostawić ją z opiekunką lub rzeczywiście oddać ją do żłobka. Pani Kasiu, ja naprawdę muszę – powtarzam z naciskiem.

– Źle ci tu z nami, dziecko? – drąży kobieta, a mnie ogarnia ogromne poczucie winy.

Zapewniam ją kilkakrotnie, że nic takiego nie ma miejsca, cudownie mi się z nimi mieszka, wiele im zawdzięczam i jestem szczęśliwa, że tak mi

pomogli.

Dawid z hukiem odsuwa krzesło. Podnoszę wzrok, lecz on na mnie nie patrzy. Po prostu wychodzi z kuchni.

Robi mi się przykro, że nie próbował mnie zatrzymać ani kwestionować mojej decyzji. A może on też jest już tym wszystkim zmęczony? Tym ciągłym niańczeniem mnie i Milenki, nocnymi płaczami dziecka, moimi humorami... Może chciałby nareszcie się wyspać, odzyskać ciszę, przyprowadzić do domu jakąś fajną dziewczynę?

Dawid

Zamykam się w moim pokoju, wychodzę na balkon. Z całych sił zaciskam dłonie na balustradzie. Jest zimno, lecz mnie chłód nie przeszkadza. Czerpię powietrze ogromnymi haustami, jak ryba wyrzucona na brzeg.

– No to masz, idioto! – mówię do siebie. – Doczekałeś się, napalony półgłówku!

Miotam się przez chwilę, później siadam na jednym z wiklinowych foteli. Nie zejdę teraz do kuchni, nie mógłbym spojrzeć w oczy Klaudii. Co niby miałbym jej powiedzieć? Żeby została, bo nigdy więcej tak nie zareaguję i utrzymam emocje na uwięzi, jak robiłem to przez minione miesiące?

Bóg mi świadkiem, że to był niewyobrażalny wysiłek. Za każdym razem, gdy była blisko, gdy leżeliśmy razem, słuchając muzyki, gdy kładła głowę na mojej piersi, gdy jej ciało zniekształcone przez ciężę było na pozór nieatrakcyjne – pragnąłem jej. Czułem nieznośne napięcie, pożądanie burzyło krew w moich żyłach, szumiało w głowie niczym młode wino. Była tak blisko i tak daleko zarazem.

A teraz mam stracić nawet i to?!

Siedzę w ciemnościach ze wzrokiem utkwionym w mroczną linię lasu. O tej porze nie widać pojedynczych pni drzew, lecz całą gęstwinę zbitą w jedno. Nocne ptaki opuściły już swoje kryjówki, słyszę pohukiwania puszczyka. Księżyc świeci tak jasno...

Chciałbym nie myśleć, zająć uwagę czymś innym, lecz słowa Klaudii wracają jak bumerang.

Psiakrew!

To moja wina. Nie mogę jej zatrzymać, wystraszyłem ją jeszcze bardziej.

Co ja narobiłem? Co ja narobiłem, do jasnej cholery?!

Kludia

Z poczuciem ulgi wsiadam do wysłużonego volkswagena. Po kilku dniach poszukiwań znalazłam nową przystań. Wpłaciłam zaliczkę, aby mieć pewność, że właściciel nie wycofa się z umowy, gdy uprzytomni sobie, że przyjmuje na kwaterę samotną matkę z dzieckiem.

To był ostatni dzwonek na ten krok, ponieważ atmosfera w domu stała się nagle jakaś ciężka. Wprawdzie nikt nie robi mi wstrętów, pani Kasia nadal łagodnie perswaduje, abym została, lecz Dawid milczy uparcie, a tylko on mógłby mnie zatrzymać w Jodłówkach.

Nigdy nie zniżę się do tego, aby błagać mężczyznę o względy.

Wracam do miejsca, które przez niemalże rok nazywałam domem. Będę tęskniła, to pewne, lecz na odległość prędzej zapomnę, co tak naprawdę jest źródłem mojej udręki.

Mijam znajome okolice, tyle razy przemierzałam tę trasę... czy jeszcze to zrobię? Zapewne tak, przecież za parę tygodni będę na ślubie Lidki. Myślę, że będziemy się odwiedzały. Zamierzam też zaglądać do pani Kasi – pod nieobecność Dawida, rzecz jasna, bo ostatnio on wciąż mnie unika. Nie chciałabym kłuć go w oczy moją niefortunną obecnością.

Ostatnio prawie się do mnie nie odzywał, nie zaglądał popołudniami do mojego pokoju. Więcej czasu spędzał w warsztacie. Nie pojmuję, co się nagle z nim stało, że tak się odsunął ode mnie i odmienił.

Co go ubodło?

Wiem, że on nigdy nie lubił, by dotykać jego twarzy – zawsze wtedy sztywnieje. A może odgadł moje uczucia i teraz chce mi zaoszczędzić rozterek? Swoim zachowaniem daje do zrozumienia, że podjęłam jedyną słuszną decyzję.

W domu dzielę się nowinami z rodziną Czarnotów. Dawid przyjmuje moje słowa ze stoickim spokojem. Wyraz jego twarzy nie ulega nawet najmniejszej zmianie. Czułam, że tak będzie – otrzymałam ostateczny dowód na to, że on ma już mnie dosyć.

Pani Kasia markotnieje. Ociera ukradkiem łzy, tuli do siebie dziewczynkę, całuje jej główkę i małe piąstki. Moja córka coś gaworzy, Ignie do niej jak do rodzonej babci.

Babci... Straszne, Kubasowa nigdy nie widziała Milenki. Nie zatrzymała ciekawego spojrzenia na wózku, gdy przejeżdżałam nim obok jej domu. Dla niej wnuczka nie istnieje, wyparła się jej na samym początku, gdy była welonką pływającą w moim brzuchu.

Tym bardziej uważam, że decyzja opuszczenia Jodłówek jest słuszną. Mariusz na pewno nie będzie mnie szukał, w razie czego zna mój numer telefonu, choć wątpię, aby kiedykolwiek chciał zrobić użytek z tej wiedzy.

– Naprawdę odchodzisz? – niedowierza pani Kasia.

– Tak, już wpłaciłam zaliczkę. Mogę przeprowadzić się w każdej chwili, więc od jutra zaczynam pakowanie.

Rozdział 14

Życie nie lubi próżni

Dawid

Wracam z warsztatu nieco wcześniej niż zwykle. Nie mam się co oszukiwać, uciekanie w pracę już mnie zmęczyło.

Tak nagle to wszystko między nami się popsuło – pękło jak bańka mydlana. Klaudia mnie unika. Nie zagląda już do mnie wieczorami.

Mama pakuje Milenkę do spacerowego wózka. Staruszka jest przygnębiona, jej oczy się szklą.

Dziewczynka wyciąga do mnie pulchne łapki, gaworzy radośnie, śliniąc się na potęgę. Nachylam się nad nią, a ona od razu wykorzystuje okazję, żeby wytarosić moje rozpuszczone włosy.

– Puść mnie, ty mały łobuziaku – bronię się ze śmiechem, lecz smutny to śmiech, bo wiem, że już niedługo nikt nie będzie mnie szarpał.

– Da-di – mówi Milenka. Domyślam się, że w jej języku oznacza to moje imię.

– A Klaudia? – pytam krótko mamę.

– Na górze. Pakuje się. – Zwiesza głowę, jej ramiona drżą.

Wiem, że bardzo przywiązała się do dziewczyn. Była przy Lence od pierwszych dni życia, pomagała w opiece nad nią, pokochała nie mniej niż rodzone wnuki. Biedna, będzie bardzo tęsknić.

Co ja zrobię? Jak odnajdę się w domu po wyprowadzce Klaudii? Życie straciło sens, wszystko mnie drażni i przeszkadza. Słońce świeci zbyt jasno, ptaki świergocą denerwująco radośnie, a kwiaty... Kwiaty powinny wyschnąć na wiór, ponieważ tylko atakują oczy zajadliwością kolorów.

Bez Klaudii cały świat będzie pusty.

Zagryzam wargę niemalże do krwi. Spoglądamy z mamą po sobie, nie musimy nic mówić – dla nas nasze myśli są zupełnie czytelne. Matka kładzie rękę na mojej dłoni, zaciska na niej palce.

– Proszę, chłopaku, powstrzymaj ją jakoś. Przecież jesteście sobie tacy bliscy! Zrób coś, nim odejdzie i zabierze Milenkę. Tak bardzo się do nich przywiązałam, do obydwu... Serce mi pęka na samą myśl, że za kilka dni nie będzie słycać ich radosnych głosów. Z kim ja będę chodziła na spacer? – Jej głos łamie się niebezpiecznie.

– Porozmawiam z nią, obiecuję – mówię bez większego przekonania.

– Zrób to, synku, jak najszybciej. Idź, powiedz Klaudii, że zabieram Milenkę na daleki spacer. – W jej wypowiedzi słyszę delikatną, bardzo subtelną aluzję, którą tylko ja jestem w stanie pojąć, ktoś postronny w ogóle nie zwróciłby uwagi na tę nieznaczną zmianę tonu. – Wzięłam jedzenie i picie, więc długo nas nie będzie. Chcę się nacieszyć naszym aniołeczkiem, póki jeszcze mogę.

Delikatnie oswabadam włosy z piąstek dziecka. Sprawdzam uważnie, czy nie zaplątało się nic pomiędzy jej paluszki. Podnoszę się do pionu. Głaszczę mamę po ramieniu.

– Nie martw się, może zdołam ją jakoś przekonać.

Jakoś... Mój Boże, nienawidzę tego słowa.

Idę do domu jak na ścięcie. Klaudia jest w sypialni, krząta się pomiędzy kartonami. Z głośników sączy się cicha piosenka kapeli Strachy Na Lachy. Uśmiecham się ze smutkiem, przynajmniej to mi po niej pozostanie: wspomnienia i myśl, że polubiła muzykę, której słucham.

Pukam w futrynę, nie chcę wystraszyć Klaudii ani zjawiać się jak nieproszony intruz.

– Dawid? Już po pracy?

– Skończyłem wcześniej. Mama prosiła, abym ci przekazał, że zabiera Milenkę na długi spacer.

– Jadłeś obiad?

– Nie. Nie jestem głodny.

Zapada milczenie. Dziewczyna znów kręci się przy szafie, pakuje zimowe swetry. Obserwuję ją w ciszy. Dociera do mnie, że właśnie dzieje się coś nieodwracalnego, coś, o czym nie chciałem myśleć przez cały ten cudowny czas, gdy walczyłem z bezsennością, wiedząc, że ona śpi spokojnie dwa pokoje dalej.

– Klaudia... – zaczynam półgłosem. – Nie musisz tego robić. Nie

wyprowadzaj się.

Odwraca się w moją stronę. Zamiera w pół kroku z naręczem ubrań.

– Nie mogę tu zostać. Nie mam pracy ani żadnego punktu zaczepienia.

– A my?

– Zawsze będziecie moimi przyjaciółmi. Przecież będziemy się odwiedzać.

– Łamiesz mamie serce, zabierając stąd Milenkę. – Używam argumentu, który najbardziej powinien zagrać na jej emocjach.

I rzeczywiście tak jest, ponieważ Klaudia odkłada ubrania i podchodzi kilka kroków.

– Dawid, zrozum, nie mogę tak dalej. Już i tak nadużyłam waszej gościnności. Nie mogę żyć w poczuciu, że was wykorzystuję. Nie przecz, proszę – dodaje, widząc, że chcę coś powiedzieć. – Jestem dla was ciężarem, obcą osobą. Naraziłam was na niewybredne plotki, najwyższa pora, aby to naprawić. Muszę pomyśleć o przyszłości. Trzeba się wziąć do pracy.

Nie mogę tego słuchać. W kółko jedno i to samo! Klaudia też zdaje się być poirytowana. Sięga po coś z półki, bierze do ręki, przekłada, jakby zastanawiała się, w które pudło wetknąć tę rzecz. Podchodzę do niej, łapię ją za rękę i sadzam na łóżku, mówiąc:

– Usiądź, porozmawiajmy.

Patrzę, jak zagryza wargi, zdaje się być zakłopotana, nieco zdenerwowana. Trudna sytuacja. Wiem, że nie powinienem prosić jej o nic, ale obiecałem to matce.

– Zostań z nami – powtarzam.

– Nie mogę – upiera się przy swojej racji. – Już wpłaciłam bezzwrotną zaliczkę za trzy miesiące z góry.

– Pieniądz rzecz nabyta. Powiedz, czego ci do szczęścia trzeba, żebyś została z nami? Czujesz się za mało swobodnie? Jedzenie nie takie? Pokój za ciasny? Potrzebujesz więcej przestrzeni dla siebie i Milenki?

Kręci głową, spogląda na mnie niepewnie. Widzę po jej minie, że jednak chciałaby coś dodać, lecz albo brak jej słów, albo odwagi, żeby je wypowiedzieć, więc milczy. W jej oczach dostrzegam coś zadziwiającego...

O mój Boże!

Spraw, aby to nie była iluzja!

Klaudia

Siedzę naprzeciw Dawida i czuję, jakby moje serce było krojone na cieniuteńkie plasterki. Nie mam odwagi powiedzieć mu, czego potrzebuję do

szczęścia – on mi tego nie da. Nie umiem żebrać, nie chcę ochłapów. Pragnę miłości, dotyku palców, który elektryzowałby moje ciało.

Jak na złość z głośników leci właśnie *Raissa*, ulubiona piosenka Czarnoty, bardzo ładna, dynamiczna i tak dosłowna w tej chwili, jak to tylko możliwe.

*No chodź, chodź ze mną do łóżka
Zrobię to byś bać się przestała
Będę całował twoje palce
Będę dotykał twoje nagie ciało.*^[9]

Unikam jego badawczego wzroku. Biorę do ręki pilota, chciałabym przyciszyć albo najlepiej wyłączyć to radosne cholerstwo, lecz ręka drży mi niepewnie. Złoszczę się na swoją niezdarność, a Dawid odbiera mi urządzenie i odkłada na bok. Uśmiecha się do mnie, jakoś tak szelmowsko – jak jeszcze nigdy.

– Przestań bawić się wieżą. No powiedz – nalega. – Co jeszcze mogę zrobić, żebyś zmieniła zdanie i została w Jodłówkach?

– Nie! To ty podaj mi choć jeden powód, dla którego miałabym tutaj pozostać. Inny niż nasza przyjaźń i wasze przywiązanie do Milenki.

Mój ton jest zaczepny, dobrze to wiem. Chcę mu udowodnić, że jesteśmy dla nich przede wszystkim ciężarem, dwoma dodatkowymi gębami do wykarmienia.

– No, powiedz... – powtarzam i ku mojej wściekłości głos nagle mi się łamie. Nie tak to miało zabrzmieć! Nie chciałam żebrać, płakać, prosić. Miałam być silną kobietą, pokazać całemu światu, że poradzę sobie ze wszystkim.

Dawid znowu bierze do ręki pilota. Ach, więc jemu wolno bawić się wieżą, on może robić uniki, byle nie odpowiadać na moje pytania!

Czarnota pochyla lekko głowę, chowa się za zasłoną włosów. Dobrze wie, że tego nie lubię – zawsze chcę patrzeć w oczy osobie, z którą rozmawiam. On ustawia głośniej tę okropną, pełną radości muzykę i mówi z nieśmiałością:

– Chcę, żebyś została tutaj również dla mnie. Już nie jako siostra, ale... – urywa nader wymownie.

Z głośnika dobiega śpiew Grabaza:
*No chodź, chodź ze mną do łóżka
Ja będę w tobie, a ty będziesz we mnie
No chodź, chodź ze mną do łóżka
Poczujemy się wzajemnie.*^[10]

Dawid podnosi wzrok. Nie znam tego spojrzenia. On nigdy tak na mnie nie patrzył. Moje serce podryguje niegrzecznie, wyrywa się z zamknięcia żeber. Zamieram na ułamki sekund, nie wierzę...

Ta nadzieja i niepokój w jego oczach! Boże... Czyżby?
To niemożliwe...

Dawid

Stawiam wszystko na ostatnią kartę. Co ma być, to będzie! Nie mogę dłużej, nie potrafię i nie chcę jej oszukiwać! Niech Klaudia wie, że oszalałem na jej punkcie. Każdy wyrok przyjmę z godnością, nie będę błagał, niech mnie nawet wyśmieje.

Ale niech ma też świadomość, że odchodząc, złamię mi serce.

– Nie odchodź ode mnie – proszę desperacko.

Klaudia wyciąga dłoń w moją stronę. Czy chce uderzyć mnie w twarz za moje słowa i tę głośną piosenkę, która od dawna gra w mojej duszy? Jestem strasznie spięty, każdy mój mięsień wyje z bólu, naprężony do granic możliwości.

Klaudia

Wyciągam rękę, która drży. On podświadomie robi lekki unik, lecz ja upieram się, żeby dotknąć jego twarzy, odgarniam włosy z chropowatego policzka. Pieszczotliwie muskam szorstką skórę.

– Dawid... – mówię szeptem, na tyle tylko stać mnie w tej chwili.

On już się nie odsuwa, nie umyka. Kładzie dłoń na mojej dłoni, przesuwa ją sobie na usta i całuje moje palce.

No chodź, chodź ze mną do łóżka

Nie potrzebujemy się cieszyć po ciemku

No chodź, chodź ze mną do łóżka

Bez ambicji, grzechów, wstydu i lęku^[11]

Nie słyszę ostatnich słów Grabaża – jestem już głucha na wszystko.

Ta chwila jest jak zatrzymany kadr filmu. Zatapiam się w spojrzeniu mężczyzny – jeszcze pełna niedowierzania, niepewna, tęskniąca...

Zamykam oczy, gdy Dawid dotyka ustami moich drżących oczekiwaniem warg. Jego pocałunek, początkowo nieśmiały, rozpala nasze zmysły jak ogień, płonie w moich żyłach i sieje spustoszenia w mózgu.

W ostatnich tygodniach, może nawet miesiącach, spędziłam mnóstwo

bezsennych nocy na wyobrażaniu sobie, jak całuje Czarnota. Nie zawodzi mnie, w jego wargach jest czułość, delikatność, jest też obietnica. Usta Dawida są coraz bardziej zachłanne, gdy mężczyzna drżącymi ze zniecierpliwienia palcami zdejmuje mi bluzkę.

Wychodzę mu naprzeciw, pomagam, rozpinam haftki stanika. Ściągam mu koszulę przez głowę, szkoda czasu na guzdranie się z guzikami. Łąujemy na łóżku, wśród niezapakowanych ubrań, w całym tym chaosie. Nie mamy czasu na grę wstępną – ja już chcę go poczuć w sobie, głęboko i mocno, z pasją, która narasta w moim gardle spazmatycznym jękiem rozkoszy.

Włosy Czarnoty łaskoczą moją twarz, mieszają się z moimi. Wplątam w nie palce, zaciskam je mocno, kurczowo, jakbym bała się, że on zaraz zniknie, a to wszystko jest snem, jakąś ulotną chwilą złudzeń. A jednak czuję go, jak wypełnia mnie szczelnie i drży pożądaniem. Cały świat wokół wiruje, a ja widzę tylko wespół przymknięte, ciężkie powieki mężczyzny.

Oddycham zapachem Dawida. Czuję subtelną woń wody po goleniu oraz żywicznego drewna. Uwielbiam ten aromat. Mogłabym go chłonać bez końca.

Zbieram ustami i językiem smak ciała u nasady szyi, na obojczyku, gdy Czarnota nachyla się nade mną. Moje paznokcie drapią jego skórę. Nieważne, czy sprawię mu ból – ja pragnę go właśnie do bólu, do szaleństwa! Muszę mieć pewność, że nie ocknę się zaraz sama, w pustym łóżku, z moją własną dłonią pomiędzy udami.

Nasze oddechy łączą się, są coraz cięższe.

Ostatnie namiętne pocałunki, mój przeciągły jęk rozkoszy, jego zduszony okrzyk ulgi i padamy bezwładnie w skotłowaną pościel. Czuję pomiędzy udami lepką wilgoć nasienia.

Dopiero gdy udaje nam się wyrównać niespokojne oddechy, Dawid, nieco zdenerwowany, mówi:

– Nie zabezpieczyliśmy się...

Wśród namiętnych uniesień żadne z nas o tym nie pomyślało. Nie planowaliśmy tego, chociaż obydwójce pragnęliśmy się niczym szaleńcy.

Wstrzymuję oddech, spoglądam mu w oczy, trochę boję się tego, co powie za chwilę.

– A jeśli zrobiłeś mi teraz dzidziusia?

– Jeżeli o mnie chodzi, byłbym bardzo szczęśliwy. Mielibyśmy dwoje dzieci do kochania.

– Nie byłbyś zły? – wyrażam obawę.

– No wiesz? – oburza się łagodnie. – Może jedynie ze względu na ciebie, bo kilka miesięcy temu rodziłaś. Byłoby więc lepiej, żeby do tego nie doszło, jeszcze nie teraz. I uwierz mi, maleńka, to jedyny argument na „nie”, wszystkie inne są na „tak”.

Przytula mnie do siebie, całuje moją twarz. Jest mi tak dobrze, jakbym była w niebie i leżała w miękkim puchu anielskich skrzydeł. Tulę się do nagiego ciała. Dawid ma lekko wilgotną skórę o słonawym posmaku.

– Zostaniesz ze mną? – upewnia się mężczyzna.

– Jak długo zechcesz.

– Na zawsze. – W głosie Czarnoty brzmi stanowczość.

– Jeszcze będziesz miał dość – odgrażam się.

– Nie ma mowy. – Zamyka mi usta pocałunkiem.

Jego język bada wnętrze moich ust, powoli, bez pośpiechu, prześlizguje się po zębach, dotyka mojego języka. W nieskończoność mogłabym się całować, leżeć w objęciu silnych ramion z głową na piersi Dawida, zasłuchana w przyspieszone wysiłkiem uderzenia serca.

Nie chcę myśleć o tym, co nim kierowało. Nie zapytam, czy mnie kocha, nie będę żebrać o miłość. Przypuszczam, że nadal w zakamarkach jego umysłu jest inna, lecz to nieważne. Być może on chce w ten sposób wypełnić pustkę, jaką pozostawiła po sobie tamta. Czuję zazdrość z tego powodu, lecz to nie czas i miejsce na dociekania. Cieszę się moją chwilą, jestem szczęśliwa. Wierzę, że Dawid mnie nie skrzywdzi.

Całujemy się w nieskończoność, aż przychodzi chwila opamiętania.

– Dawid, a pani Kasia? Co ona sobie pomyśli?

– Cii... – Mężczyzna kładzie palec na moich ustach. – Ona cię nie potępi, możesz być pewna. Zresztą uważam, że powinniśmy postawić sprawę jasno i od razu jej powiedzieć. Nie martw się na zapas, biorę to na klatę.

Niechętnie odrywam się od mojego kochanka, wstydliwie owijam ciało narzutą, zbieram rozrzucone fragmenty garderoby. Muszę doprowadzić się do porządku, zanim wróci jego matka. On może mówić, co chce, lecz tolerancja wiejskiej kobiety w tym wieku na pewno ma jakieś granice. I tak oto – na wpół przerażona, na wpół rozmarzona, z poczuciem winy względem pani Kasi, że sprofanowałam jej dom – uykam pod prysznic.

Dawid

Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Najchętniej nie zmywałbym z siebie dotyku rąk Klaudii, jej śliny

i pocałunków. Mam nadzieję, że z jej strony nie jest to pomyłka i zrobiła to świadomie, nie tylko dla mnie, ale również dla samej siebie. Chciałbym wierzyć, że zapomniała już o tamtym, a namiętność nie wynikała z tęsknoty za dotykiem męża.

Uff... Nie będę o tym myślał, nie teraz, nie w tej chwili!

Jeszcze mam ciało napięte pożądaniem. Dostaję erekcji na samo wspomnienie o pełnych piersiach i sutkach tężejących pod dotykiem mojego języka.

Biorę lodowato zimny prysznic – nic innego nie byłoby w stanie ugasić ognia płonącego w moich trzewiach.

Klaudia

Wracam do sypialni, Dawida już nie ma, zapewne też poszedł się ogarnąć. Najwyższa pora, ponieważ słyszę ruch na parterze, pani Kasia wróciła z Milenką ze spaceru. Zanim jednak zdążyłam się wyguzdrać, do pokoju wraca Dawid. Nachyla się nade mną i całuje mnie z szelmowskim uśmiechem na ustach. Jest promienny, ma emocje wypisane na twarzy. Domyślałam się, że ze mną jest jeszcze gorzej. Jeden rzut oka na nas i pani Kasia połapie się w sytuacji. Na samą myśl o tym cierpnie mi skóra, a jednak moje przekorne palce przeczesują wilgotne włosy Dawida.

– Mrrr... Małeńka, bo znowu robi mi się gorąco – szepce mi do ucha.

Chichoczę, a później przywieram do jego chętnych na pieszczoty warg.

Tym razem to on pierwszy odzyskuje rozsądek, głaszcze mnie po policzku, odgarnia niesforne kosmyki.

– Idziemy? – pada pytanie, a ja czerwienię się po czubki uszu.

On zamyka w uścisku palców moją dłoń i sprowadza mnie po schodach. Pani Kasia i Milenka są w kuchni. Córcia śpi w najlepsze w spacerowym wózku, a starsza pani płucze butelkę po mleku.

– Mamo – mówi Dawid.

Pani Kasia odwraca się w naszą stronę, zatrzymuje na chwilę wzrok na naszych splecionych dłoniach. Ze zdenerwowania serce podchodzi mi do gardła. Muszę mieć minę winowajczyni. Dawid popycha mnie leciutko do przodu, sam stoi za moimi plecami, otacza mnie ramieniem. Kobieta spogląda na nas wyczekująco, a on podnosi uwięzioną w garści moją dłoń i przyciska do swoich ust.

– Przekonałem Klaudię, żeby ze mną została – mówi. – Nasze dziewczyny nigdzie się nie wyprowadzają.

– Naprawdę?! – W głosie starszej pani jest autentyczna radość.

Czyżby jeszcze niczego się nie domyśliła? Przecież Dawid wyraźnie powiedział, że zostaje z *nim*. Jak dla mnie to było aż nazbyt wymowne.

– Moje kochane dzieciaki – mówi pani Kasia, przytulając mnie do swojej piersi.

– Mamo... Zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza... – mówi ostrożnie Dawid.

Kobieta spogląda na niego z rozbawieniem. Wzrusza ramionami, a później, na pozór obojętnie, stwierdza:

– Oczywiście, że wiem, chłopaku. Dam wam trochę czasu. Niech przez parę dni Milenka śpi w moim pokoju, a wy nacieszcie się sobą do woli. – Jej obojętność rzeczywiście jest tylko pozorną, ponieważ na usta starszej pani wypęła szelmowski uśmieszek, dokładnie taki sam, jaki robi jej syn, gdy coś spsoci.

Spoglądamy po sobie z Dawidem, muszę mieć doprawdy głupią minę.

– Ale... – próbuję coś powiedzieć, lecz nie potrafię.

– No, co? Myśleliście, że będę wam prawić kazania o moralności? Nigdy w życiu! Dla mnie najważniejsze jest, że widzę radość na waszych ryjkach. Do głupich plotek już dawno przywykłam. Teraz przynajmniej ludzie będą gadać prawdę, a to oznacza, że przestaną grzeszyć, więc nasz pleban będzie miał mniej roboty w konfesjonale. Swoją drogą dziwię się, że zajęło to wam tyle czasu – pokpiwa. – Sami na górze, mężczyzna i kobieta, jedno za drugim w ogień by wskoczyło! Wiecie, jak wy na siebie patrzyliście od samego początku? I całe to bajdurzenie o przyjaźni i braterskiej miłości... Ha, ha, ha! Dobrze sobie. Długo zwlekaliście z tym, co od początku było nieuniknione. Chcieliście powstrzymać żywioły?

– No, to mnie pani zaskoczyła – mówię z ogromną ulgą.

– Oj, dziecko, dziecko... A co myśleliście, że ja, stara, oczu nie mam? Na co nam fałszywa moralność? Stało się i już. Źle wybrałaś męża, każdą dziewczynę mogło to spotkać. A mało to ludzi ma kogoś na boku? Wy przynajmniej nie będziecie spotykać się ukradkiem i po krzakach, jak jakaś para złodziei... A może z czasem wszystko się rozplącze i ułoży jakoś bardziej po ludzku, żeby zatkać pyski plotkarzom?

Jestem oszołomiona i naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Tymczasem Dawid odwraca mnie do siebie, przytula i całuje w czubek głowy. Obejmuje go z pewną nieśmiałością, ponieważ jego matka na to patrzy.

Pani Kasia dodaje na koniec:

– Znieś, chłopaku, do mojego pokoju kołyskę Milenki albo wstaw łóżeczko, które stoi w salonie. A ty, dziecko, przygotuj trochę rzeczy, które powinnam mieć pod ręką, żebym nie musiała plątać się nocą na górze.

– Ale pani Kasiu! Ona jest teraz taka marudna... Ząbkowanie... – próbuje protestować.

– A co ja, własnych dzieci nie miałam? Nie wiem, jak niemowlę ząbkuje? Czterech chłopaków odchowałam – przypomina z dumą. – Siły u mnie wciąż niczego sobie, dam radę i Milence. Nie martw się, mamuśka, zabieram ci dziecko tylko na kilka dni. Potraktuj to jak wasz miesiąc miodowy. A ja nacieszę się naszą księżniczką – mówi, patrząc z miłością na wózek małej.

– Kocham panią, pani Kasiu – mówię szczerze i bardzo poważnie.

Ona uśmiecha się i ostatni raz przytula mnie do piersi.

– Oczywiście, córuś, oczywiście. My też cię kochamy, was obydwie – poprawia szybko. – Tyś od początku była nasza.

– Dobra, kobiety, dosyć tych czułości! – mówi Dawid. – Skoro mama tak się garnie do bawienia, to przeniesiemy rzeczy Milenki na dół. Później zjemy kolację, ponieważ jestem głodny jak wilk. Z tego wszystkiego na śmierć zapomniałem o schabowym z kapustą.

Na szczęście nie dodaje nic na temat tego, co zamierza zrobić po kolacji, lecz spogląda na mnie tak wymownie, że znowu czerwienię się po czubki uszu.

Każde z nas bierze prysznic w swojej łazience. Wkładam najładniejszą koszulę nocną jaką mam – wiśniowa satyna i koronki, do kompletu fikuśne figi. Umówiliśmy się na spotkanie w jego pokoju. Czekają na mnie płonące świece, lampka wina i Dawid stojący w otwartych na oścież drzwiach balkonowych. Nie umyka mojej uwadze, że owinięty jest wyłącznie w ręcznik, który okala jego szczupłe biodra. Ma wilgotne włoski na nogach, jego loki są jeszcze mokre, a przez to bardziej skręcone niż zwykle.

Dawid uśmiecha się i bez słowa wyciąga dłoń. Podchodzę, on podaje mi kieliszek czerwonego wina, przygarnia mnie jednym ramieniem. Spogląda w ciemne niebo, jaśniejący na nim księżyc i gwiazdy.

– To będzie najpiękniejsza noc w moim życiu – mówi miękki głosem.

– Nie znałam cię od tej strony – stwierdzam.

– Poznajemy się właśnie na nowo, jakby cały miniony czas nie istniał, jakby nie było niczego ani nikogo przed tą chwilą.

To oznacza, że Dawid nie chce żadnych porównań i pytań o przeszłość.

Stoimy razem, sącząc wino.

– Ślicznie wyglądasz, Klaudyś. Są takie chwile, gdy wydaje mi się, że nigdy nie napatrzę się na ciebie do syta.

– Dziękuję – odpowiadam.

To nie czas i miejsce na fałszywą skromność, na krygowanie się w stylu: „Co ty wygadujesz!” i inne takie głupoty. Wiem, że mężczyźni tego nie lubią – to nie jest odpowiednie podziękowanie za komplementy. On widział mnie bez makijażu, z ogromnym brzuchem i spuchniętymi kostkami, na porodówce, zapłakaną, cierpiącą, z wysypką na całym ciele... A teraz, pod uważnym spojrzeniem tych kochanych szarych oczu, naprawdę czuję się piękna.

Na gzymsie kominka w jego sypialni stoi figurka, którą rzeźbił, kiedy byłam w ciąży. To ja z Milenką w środku. Czy jest możliwe, że podobałam mu się już wtedy? Że to ja zaczęłam wypierać z jego pamięci tamtą dziewczynę?

Nie wiem – nie będę o tym myśleć, nie teraz. Jeszcze zdążę być o nią zazdrosna. Ta chwila należy wyłącznie do mnie.

Dopijamy wino. Dawid wyjmuję z mojej dłoni kieliszek, odstawia go na bok. Pochyla się lekko, aby mnie podnieść. Zanim położy mnie na łóżku, przyciska wargi do mojego czoła.

Na krótką chwilę zostaję sama w pościeli, mężczyzna odwraca się i zamyka balkonowe drzwi. Wpótleżąc, wsparta o łokieć, czekam.

Dawid siada na łóżku, jedną dłonią opiera się o materac, drugą gładzi moją twarz.

– Jesteś piękna – kłamię nad wyraz przekonująco. – Bardzo cię pragnę, maleńka. Powinienem cię przeprosić za to, że wcześniej tak się na ciebie rzuciłem. Poniosło mnie, ale nie mogłem się powstrzymać. Wiem, że wolałabyś, aby tamta chwila była bardziej wyjątkowa.

– Była wyjątkowa, Dawid – zapewniam. – Chciałam tego tak samo jak ty.

Mam nadzieję, że moje słowa nie są na wyrost.

Uśmiecham się do niego, zamykam oczy. On całuje moje powieki i każdy skrawek skóry. Ciepły oddech owiewa moją twarz. Dawid się nie spieszy, jest bardzo dokładny i metodyczny w swoich poczynaniach. Teraz podoba mi się nie mniej niż mężczyzna sprzed kilku godzin – pełen pasji i dzikiej namiętności.

Nareszcie całuje moje drżące oczekiwaniem usta. Uwielbiam jego pocałunki. Powolotku zsuwa ramiączko mej koszuli, w jego miejscu zostawia

wilgotny ślad swoich warg.

Drzę w oczekiwaniu na następne pieszczoty.

Jeszcze niedawno było to nie do pomyślenia! Dobrze pamiętam noce, gdy z całej siły zaciskałam powieki i odliczałam w myślach do stu, wmawiając sobie, że nie uczestniczę w akcie seksualnym spełnianym przez męża. A teraz odkrywam pokłady namiętności i całe moje ciało, każdy fragment skóry, z utęsknieniem czeka na swoją kolej – na dotyk ust Dawida.

Czuję się jak bogini, on mnie wielbi, wyraża podziw ciepłym szeptem. Zapominam o rozstępach, o popękanych naczyńkach krwionośnych na udach, o pręgach, które na moich pośladkach oraz plecach pozostawił kabel od magnetofonu. To on dostrzega ten ostatni defekt, gdy całuje mnie w tamtym miejscu. Nagle czuję, jak Dawid sztywnieje, zamiera w bezruchu, odsuwa się i zamiast ustami, wodzi palcami po zgrubieniach na skórze.

– O mój Boże... Co to jest, Klaudyś? Czy to... – urywa, głos więźnie mu w gardle.

Odwracam się na bok, kładę dłoń na jego przerażonej twarzy.

– Cii... To nic, to już przeszłość. Już o tym nie pamiętam.

– To... twoja ciotka? – upewnia się mężczyzna.

Czyżby podejrzewał również Mariusza? Nie, niemożliwe! Przecież dorosłych kobiet nie bije się w taki sposób. Dorosłe kobiety są szarpane za włosy i uderza się je w twarz albo chłoszczą okrutnymi słowami.

– Tak, to moja ciotka – potwierdzam. – Chodź. – Wyciągam do niego ramiona, nie chcę, aby wspomnienia o przeszłości psuły nam taką cudowną chwilę.

Otaczam jego kark. Przywieram do Dawida, on głaszcze moje plecy, przenosi dłonie na twarz, odsuwa mnie lekko i zagląda mi w oczy.

– Wiem, że to zabrzmiało banalnie, być może już nawet słyszałaś podobne słowa. Nikt już nigdy cię nie uderzy, maleńka. Nie pozwolę na to! Zabiłbym każdego, kto ważyłby się cię skrzywdzić. Kocham cię, Klaudyś – dodaje bardzo poważnie i nim mogę jakoś zareagować na jego słowa, zamyka mi usta pocałunkiem.

Topnieję ze szczęścia. On mnie kocha! Naiwnie staram się wierzyć, że to prawda i nie wypowiedział tych słów pod wpływem impulsu.

Kochamy się spokojnie, czule, z mnóstwem pieszczot i pocałunków. Pierwszy raz w życiu naprawdę chcę, aby noc trwała w nieskończoność. I gdy on już jest na granicy spełnienia, znowu porywa nas żar namiętności. Wśród miłosnych uniesień rozlega się mój ekstatyczny jęk oraz jego okrzyk

ulgi.

Jeszcze długo w noc rozmawiamy szeptem.

Zasypiamy niemalże jednocześnie, wtuleni w siebie bardzo ściśle.

Rano budzę się razem z Dawidem. Niechętnie wypuszczam go z ramion, gdy idzie pod prysznic. Natychmiast po porannej toalecie zbiegam na dół, zobaczyć, jak miewa się córcia po pierwszej nocy spędzonej z dala ode mnie.

Pani Kasia karmi w kuchni dziecko, uśmiecha się szelmowsko i wskazuje ekspres, w którym właśnie zaparzyła się kawa.

– Jak noc? Milenka bardzo dawała w kość? – pytam, całując złocistą główkę dziewczynki.

– Spała słodko jak aniołeczek. Zobacz, mamusia, co my tu mamy – dodaje, wyciągając dziecku smoczka.

Córcia przesyła mi obśliniony uśmiech, w którym (ja nie mogę!) widać pierwszy ząbek.

– Moje śliczności! To ty już jesteś prawdziwa panna. Nieładnie wkładać rączkę do buzi. Be paluszki... – Wyciągam obślinioną piąstkę ze słodkiego buziaczka.

Po dużej porcji czułości odrywam się od dziecka i nalewam sobie kubek kawy.

– Zostało coś dla mnie? – dopytuje Dawid, który wyrasta nagle za moimi plecami.

Nieskrępowany obecnością matki, obejmuje mnie od tyłu, przyciska do siebie i całuje w czubek głowy. Pani Kasia uśmiecha się wyrozumiale.

– Dzieciaki – mamrocze pod nosem.

[9] Fragment tekstu piosenki p.t. *Raisa*, autor: Krzysztof Grabaż Grabowski 2003 r., S.P. Records, płyta: *Grabaż i Strachy na Lachy* z repertuaru Strachy na Lachy

[10] Tamże.

[11] Tamże.

Rozdział 15

Twarzą w twarz z wrogiem

Klaudia

Po obiedzie biorę Milenkę do ogrodu. Jest ciepły wiosenny dzień – niech mała korzysta z ładnej pogody, nie lubię zamykać jej w czterech ścianach domu. Dawno przestałam zważać na to, że zza parkanów śledzą nas ciekawskie oczy sąsiadek. Ciekawa jestem, czy mieszkająca kilka domów dalej teściowa też nas podgląda z ukrycia. Ona nadal pozostaje obojętna na pojawienie się wnuczki.

Spacerujemy po ogrodzie, kilka minut później dołącza do nas Dawid. Niby nic niezwykłego. Często robił to wcześniej, lecz nigdy nie obejmował mnie tak poufale i nie całował w policzek, wiedząc, że ktoś może to zobaczyć.

– Ludzie patrzą – karcę go bez gniewu, szeptem.

– I co z tego? Niech patrzą. – Wzrusza ramionami. – Mało się o nas nagadali? Teraz przynajmniej będą mówić prawdę – powtarza w ślad za panią Kasią.

– Nie wiem, czy jestem gotowa na kolejny skandal – wyrażam obiekcje.

– Daj spokój, Klaudyś. Wszyscy wiedzą, że Mariusz przepadł bez wieści, porzucając cię w ciąży i nie zainteresował się losem dziecka. Nikt nie ma prawa potępiać cię za to, że na nowo próbujesz ułożyć sobie życie. Chodź, pójdziemy na spacer po wsi – wpada nagle na przewrotny pomysł. – Miejmy to z głowy, niech nasycą oczy naszym widokiem, niech się wygadają do woli. Szybciej zostawią nas w spokoju.

Całujemy się, długo, namiętnie, bez skrępowania. Obejmuję dłońmi jego twarz, on już nie umyka, gdy go dotykam. Chyba w końcu uwierzył, że blizny nie mają dla mnie żadnego znaczenia. W gruncie rzeczy, gdyby nie

one, byłby bardzo przystojnym mężczyzną, ma męską, mocno zarysowaną żuchwę i piękne oczy.

Przypominam sobie słowa Lidki, która twierdziła, że na jakimś etapie dorastania w Dawidzie kochają się niemalże wszystkie dziewczęta z Jodłówek. Jestem szczęściarą, która ma go dla siebie, więc pójdę z nim i Milenką na spacer. Niech ludzie gadają, ukłujemy ich w oczy naszym związkim, niech widzą, z jaką poufałością się traktujemy, jak ważna jest dla niego moja córeczka. Ona nie musi być pólsierotą, może mieć w nim przybranego ojca.

– Dzień dobry, pani Wiesiu. – Kłaniamy się zgodnie Jakubowej, która nadciąga z naprzeciwnika.

– A dzień dobry, dzień dobry. Co to? Rodzinny spacer? – W jej głosie pobrzmiewa nutka cynizmu.

– A żeby pani wiedziała, że rodzinny – potwierdza Dawid.

Specjalnie odgarnia włosy za uszy, idzie wyprostowany jak struna, jedną dłoń opiera na uchwycie wózka. Cała jego postawa mówi, że ma w nosie głupie plotki.

Oddalamy się na bezpieczną odległość.

– No, to mamy pewne jak w banku, że jeszcze dziś dowiedzą się o nas wszyscy.

– Ależ Klaudyś, przecież wiesz, że oni wiedzieli o tym wcześniej niż my.

Mariusz

Obserwuję ich zza drzew. Dwa pieprzone, gruchające gołąbeczki. Jeszcze nie wiedzą o moim powrocie. Ciekawe, czy wówczas afiszowaliby się tak swoją zażyłością?

Swoją drogą wiedziałem, że po moim wyjeździe ten frajer będzie się przystawiał do Klaudii. Jak widać, dobrze wykorzystał moją nieobecność. Niech się nacieszy, ponieważ jutro zamierzam mu zrobić „a ku-ku”.

Dawid

Czy można być szczęśliwszym? Chyba nie.

Wczoraj wyciągnąłem Klaudię na spacer. Nie zamierzam kryć się z nią po krzakach. Jesteśmy dorośli, żyjemy w XXI wieku. Czy to się podoba miejscowym kumoszkom, czy nie, jesteśmy razem. Wiem, że sytuacja Klaudii jest skomplikowana, ponieważ ten głąb, jej mąż, przepadł bez wieści.

Osobiście wolałbym, żeby wzięli rozwód. Moglibyśmy wówczas zalegalizować nasz związek, o ile ona zechce, bo jeśli o mnie chodzi, nie potrzebuję urzędowego zaświadczenia, że Klaudia jest moją kobietą. To chyba jasne, że ja nie opuszczę jej nigdy – nie po tym, jak na nią czekałem i z mozółem zdobywałem jej zaufanie. Przepelnia mnie bezgraniczna miłość.

Matka żartuje, że to nasz miesiąc miodowy. Jest w tym wiele racji. Mieszkamy razem już od dawna, poznaliśmy swoje upodobania i przyzwyczajenia. Znamy się lepiej niż niejedno małżeństwo, widywaliśmy się w różnych okolicznościach. Nie oddałbym ani jednej z tych chwil za nic w świecie.

Zadziwiająco, jak minione trzy dni odmieniły moje życie i sposób postrzegania rzeczywistości. Czuję się tak, jakby u moich ramion wyrosły skrzydła. Nagle wiem, że mogę wszystko – nie ma takiej rzeczy, z którą nie dałbym sobie rady. Nawet praca jest o wiele przyjemniejsza, nie przeszkadza mi hałas ani pył. Pogwizduję pod nosem i muszę mieć głupawy uśmiech na ustach, ponieważ Witek co rusz robi mi docinki.

Przekomarzam się z pracownikiem – lubię tego chłopaka, słowo daję. Jest solidny, sumienny, nigdy nie zawala roboty, nie spóźnia się do pracy. Spokojnie mogę mu powierzać warsztat. Nie mam obaw, że narobi dziadostwa – on umie gadać z ludźmi. Gdy Klaudia rodziła, a później leżała w szpitalu – miał na głowie wszystko, ponieważ ja do niczego się nie nadawałem i non stop przesiadywałem u moich dziewczyn.

Mamy teraz bardzo dużo zleceń, planuję zatrudnienie jeszcze jednego chłopaka do pomocy. Po odejściu Mariusza przyjąłem na jego miejsce pana Mietka, starszego stolarza, pracujemy więc we trzech, lecz firma wciąż się rozwija i zaczynam odczuwać braki kadrowe.

Jesteśmy w połowie dniówki, a ja wciąż odczuwam ten zadziwiający rodzaj euforii. Niesamowite uczucie! Wiem – to miłość.

Bywałem z innymi kobietami w przelotnych związkach. Najdłużej związałem się z Aileen. Powinienem napisać do niej podziękowania za to, że kopnęła mnie wtedy w tyłek i zmusiła do powrotu w rodzinne strony. W pewnym sensie jej wspaniałomyślnej decyzji zawdzięczam mój cudowny nastrój.

Nagle otwierają się drzwi. W hałasie szlifierki, którą poleruję blat, nic nie słyszę, lecz widzę, że Witek kiwa głową i wskazuje na wejście. Czyżby jakiś klient? Wyłączam urządzenie i odkładam na bok, zdejmuję ochronną maskę. Odwracam się i nagle czuję, jakbym dostał pięścią prosto w splot słoneczny.

Mariusz.

Psiakrew! Chyba nie mógł wybrać gorszego momentu. Po co wrócił? Żeby znowu namieszać? Zamącić w głowie Klaudii i kolejny raz ją skrzywdzić?

Nie wiem, co ona do mnie czuje. Jest ciepła i oddana, ma w sobie pokłady namiętności, o jakie bym jej nie podejrzewał, lecz czy zapomniała już o tym piękniśniu?

– Zostań, sam to załatwię – mówię do Witka, widząc, że on wybiera się ze mną.

Żwir chrzęści pod butami, gdy odchodzimy z Mariuszem kilka kroków dalej. Nie widać nas od strony domu, bo warsztat zasłania gęsty szpaler z iglaków. Ponadto wyjście jest po przeciwnej stronie, gdzie na resztkach pola przylegającego do niegdysiejszej stodoły zrobiłem niewielki parking wysypany drobnym kamieniem.

– Czego chcesz? – pytam bez pardonu.

– Wróciłem.

– Widzę. Nie mam dla ciebie zajęcia. Zostałeś zwolniony dyscyplinarnie za porzucenie pracy. Dokumenty przesłałem do twojej matki – oznajmiam.

– Nie przyjechałem, aby na ciebie tyrać.

– Przypominam ci, że kiedyś *tyrałeś* tutaj również na siebie. Po co przyszedłeś?

– Wróciłem po Klaudię. Zabieram ją ze sobą do Anglii. Przyszedłem, żeby cię o tym uprzedzić.

– Rozmawiałeś z nią? – Siłę się na spokój.

– To nie ma nic do rzeczy. Chciałem tylko powiedzieć ci o moich zamiarach. – Spogląda na mnie wyzywająco, jestem pewien, że coś kombinuje.

– Chcesz mnie sprowokować do bójki?

– Niekoniecznie, aczkolwiek gdyby teraz cię wsadzili, byłoby mi to na rękę. Nie wystarczyło ci, że wciąż mąciłeś w głowie mojej żony? Musiałeś mi przyprawić rogi? Byliśmy, kurwa, kumplami!

– Byliśmy – potwierdzam. – To czas przeszły. Lepiej trzymaj się od niej z daleka, bo na samą myśl o tym, jak ją traktowałeś, okradłeś i porzuciłeś w najgorszym momencie, znowu mam ochotę rozkwasić ci ryja.

Na dowód prawdziwości moich słów zaciskam dłoń na jego kołnierzu. W oczach Mariusza widzę cień strachu – dobrze wie, że bywam nieobliczalny. W starciu ze mną ma niewielkie szanse, nigdy nie dałby mi

radę. Chyba że w szerokim świecie wypracował jakieś mięśnie, bo w to, czy jego kora mózgowa uległa mocniejszemu pofałdowaniu, wątpię. On już zawsze pozostanie dla mnie tępagłowym pustakiem i bucem.

– Pomału, stary! Po co te nerwy?

Nie wiem, co mnie jeszcze powstrzymuje przed rozwaleniem mu gęby. Mam niejasne przeczucie, że jego obecność oznacza kłopoty, a ja powinienem mieć się na baczności. Rozluźnięm uścisk.

– Mów, o co tak naprawdę chodzi, a później spierdalaj. Nie licz na to, że pozwolę ci ją skrzywdzić.

– Jest moją żoną.

– To się da szybko zmienić. Skręcę ci kark tak, że nic nie poczujesz – mówię ostrzegawczo.

– I dostaniesz dożywotnią odsiadkę – pokpiwa Mariusz.

Słowo daję, jeszcze moment, a zetrę ten głupawy uśmiešek.

– Czemu nie? Jeśli tylko to sprawi, że znikniesz z jej życia...

– Mogę zniknąć – mówi ostrożnie.

Oho! Zaczyna robić się ciekawe. Mariusz ma coś w zanadrzu. Warunki? Dobrze sobie! On śmie dyktować warunki? Spoglądam na niego wyczekująco, unoszę w górę brew.

– Pięćdziesiąt tysięcy – przechodzi od razu do konkretów.

Milczymy obydwaj, trawię jego słowa.

– Rozwiedziesz się z nią?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy ona da mi rozwód. Może nie zechcieć. Może o tym nie wiesz, ale Klaudia była we mnie nieprzytomnie zakochana.

Porusza biodrami w odrażający, wulgarny sposób.

– Spierdalaj – mówię spokojnie.

– Zastanów się. Wrócę jutro. Pamiętaj o tym, posuwając moją żonkę.

Gotując się z wściekłości, wracam do warsztatu. Witek klepie mnie po ramieniu, a następnie bez słowa zabiera się do pracy. Na szczęście o nic nie dopytuje.

Usiłuję wrócić do przerwanej zajęcia, lecz nic mi nie wychodzi.

I co ja mam teraz zrobić? Dać mu kasę? Może jeszcze nikt nie wie o powrocie tego głęba? Może nie rzucił się w oczy plotkarzom?

Psiakrew!

Odkładam szlifierkę, bo przy moim stanie umysłu prędzej stracę palce, niż

wypoleruję ten pieprzony blat.

– Doglądaj wszystkiego – mówię do Witka i wychodzę na zewnątrz.

Idę przejść się po puszczy. Może w leśnej ciszy i samotności przyjdzie natchnienie, jak mam wybrnąć z tej sytuacji. Szwendam się po wykrotach z daleka od uczęszczanych szlaków i ścieżek. Pozwalam gałęziom, aby szarpały moje włosy. Na nic nie zważam, jestem zobojętniały na bodźce.

Gdybym tylko miał pewność co do jej uczuć!

Pięćdziesiąt tysięcy to nie jest jakaś powalająca kwota. Mógłbym tę kasę wydać przyjemniej. Mógłbym zabrać moje dziewczyny w fantastyczną podróż, mógłbym kupić porządny samochód, ponieważ ten zdezelowany volkswagen, którym jeździ Klaudia, ledwo zipie, mógłbym...

Psiakrew, wiele rzeczy mógłbym!

Ile jest wart święty spokój?

Klaudia

– Co ci jest? – zadaję pytanie po raz drugi, ponieważ Dawid jest tak nieobecny duchem, że za pierwszym razem nie słyszał.

– Nic – odpowiada. – Jestem trochę zmęczony. Co mówiłaś?

– Mówiłam, że do ślubu Lidki zostały jeszcze dwa tygodnie i chciałabym jechać jutro po zakupy. Potrzebuję sukienki. Niestety, w to, co mam, już dawno się nie mieszczę.

– Oczywiście. Chcesz, żebym pojechał z tobą na zakupy? Mam ci doradzić?

– A chciałoby ci się? Ja wiem, że mężczyźni nie lubią zakupów, nie pogniewam się, jeśli odmówisz.

– Nie ma sprawy, pojedę. Mnie przydałaby się nowa koszula – odpowiada.

– Idę pod prysznic – dodaje, wstając z kanapy.

Jego uśmiech jest trochę smutny, Dawid faktycznie wygląda na zmęczonego.

Bawię się z Milenką, która wykąpana i nakarmiona, robi się coraz bardziej senna. W końcu pani Kasia zabiera małą do swojego pokoju, a ja idę do Dawida.

Czarnota czyta w łóżku książkę. Spogląda na mnie znad kartek.

– Czekam na ciebie – mówi.

Kilkanaście minut później roztapiamy się w ogniu czułości. Wciąż zdumiewa mnie delikatność Dawida. Nawet jeśli dzisiejszego popołudnia był wyjątkowo zadumany i smutny, to pieśczęty, jakimi obsypuje mnie przed

snem, wszystko rekompensują.

Zasypiamy przy otwartych drzwiach balkonowych, kołysani szumem puszczy, której aromat wypełnia sypialnię. Ciepłe powietrze muska moje nagie ramię.

To przykre, że o przyjeździe Mariusza dowiaduję się ze sklepowych plotek.

Myślałam, że spalę się ze wstydu lub zapadnę pod ziemię, gdy zaczepiła mnie Jakubowa i zapytała, czy to prawda, że mój ślubny wrócił.

Odbąkuję jej coś niezbyt grzecznie i pędzę do samochodu. Zamiast jednak przekręcić kluczyk w stacyjce, spędzam długie minuty na jałowych rozmyślaniach.

Wrócił i nawet się nie pokazał! Przecież wie, gdzie teraz mieszkam, musiały do niego dotrzeć plotki. Rozumiem, że skoro związałam się z innym mężczyzną, to nie chce mnie oglądać, ale przecież mamy dziecko. Czy ono naprawdę nic a nic nie obchodzi?!

Muszę spotkać się z Mariuszem choćby po to, aby omówić sprawę rozwodu. Nie chcę być żoną tego człowieka dłużej niż to konieczne.

– Nie bądź frajerką – mówię do siebie. – Nie spieprz tego, co z takim wysiłkiem osiągnęłaś. Masz cudowne dziecko i wspaniałego faceta. Teraz powinnaś pójść do tego drania, żeby definitywnie się z nim rozmówić. Nie bądź tchórzem. Skoro on nie przyszedł do ciebie, to znaczy, że nic go nie obchodzisz.

Uff... Trudne postanowienie. Czy wystarczy mi odwagi, aby stanąć twarzą w twarz z wrogiem?

Muszę być silna – dla siebie, Milenki, a przede wszystkim dla Dawida. Może nie jestem jego największą miłością, lecz za dobroć, którą mi okazał, całe oddanie i troskliwość, zasłużył na to, abym należała wyłącznie do niego, bez zadawnionych zobowiązań. Nie chcę, aby wciąż szemrano, że sypia z żoną niegdysiejszego przyjaciela. Zdecydowanie lepiej będą brzmiały słowa „z byłą żoną”.

BYŁA!

Głęboki oddech – liczę do dziesięciu. Uruchamiam silnik i opuszczam parking. Jadę znajomą drogą, lecz tym razem omijam NASZ dom. Zmierzam wprost pod obejście Kubasów. Gdybym zatrzymała się, aby zostawić samochód, mogłabym stchórzyć i odłożyć to na bliżej niesprecyzowane „później”.

Nic z tych rzeczy! Już nie jestem pogrążoną w depresji, wylęknioną dziewczynką. Nie boję się ani mojego męża, ani teściowej!

Wsiadam z pojazdu, energicznie przemierzam podwórko, stukam do drzwi, czekam na krótkie „proszę”, a potem naciskam klamkę i wchodzę.

– Dzień dobry – witam wychodzącą naprzeciw teściową. – Gdzie on jest? – pytam bez ogródek. – Muszę się z nim rozmówić.

– A co? Może po alimenty? – pokpiwa Kubasowa.

Mierzę ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Mam gdzieś jego alimenty. Mojej córeczce nie brak niczego do szczęścia, a już na pewno nie jego pieniędzy. Mariusz! – wołam w głąb domu. – Mariusz! Wyłaż, ty tchórzu, do cholery! Nie bój się, nie podbiję ci oka za to, że tak mnie urządziłeś! – dodaję z zaciętością.

Ha! Przemieniłam się w lwicę. Już nigdy nie będę potulną owieczką, którą każdy mógł skrzywdzić.

– A co tak krzyczy?! – oburza się Kubasowa. – Ni ma go! Wyjechał!

– Jak to: wyjechał?! – Nie panuję nad zdenerwowaniem. – Dokąd go znowu poniosło?

– A przeca mówiłam ci, że nic u niego nie wskórasz.

– Gdzie on jest, do ciężkiej cholery?! Chcę pogadać z tym draniem o rozwodzie!

Cud, że za te wrzaski nie dostałam od teściowej po buzi. Kubasowa kuli się na widok mojej wściekłości i prędko tłumaczy:

– Naprawdę go nie ma. Był w tamtym tygodniu przez trzy dni, a potem znowu wyjechał i nie wiem, kiedy wróci.

– W takim razie, jak już się zjawi lub zadzwoni, powie mu pani, że chcę rozwodu. Będzie mógł do woli gonić za dziewczkami, więc nie powinien mieć obiekcji!

Odwracam się i wychodzę. Pozwalam sobie na komfort mocnego trzaśnięcia drzwiami. Jeszcze buzuje we mnie adrenalina, gdy wsiadam do samochodu. Nie mam podstaw, aby wątpić w szczerść słów tej baby. Jeśli teściowa jest na bieżąco z wsiowymi plotkami – w co nie wątpię – to wie, że jestem na etapie układania sobie życia na nowo. Ten zapyziały piękniś nic mnie już nie obchodzi.

Wracam do domu przygnębiona i rozbita. Dzielę się z Czarnotami moją zgryzotą.

– Kurczę... – mówię na koniec z żalem. – A tak bardzo chciałam się z nim rozwieść!

– Klaudyś, kochanie, nie martw się o tego idiotę. – Dawid przytula mnie mocno i całuje w czubek głowy. – Żeby być razem, nie potrzebujemy żadnych zaświadczeń. Milenka nawet przez pięć minut nie miała w nim ojca. Nie przejmuj się, maleńka.

– Chyba masz rację – uśmiecham się smutno. – Pal sześć drania, niech spada!

CZEŚĆ VI

Emocje

Rozdział 16

Na nowej drodze życia

Pół roku później

Dawid

– Nie ciągnie cię, żeby wyjść z kolegami do pubu? – dziwi się czasami Klaudia.

– A po co mi koledzy? Mam ciebie.

– Nie możesz ograniczać swojego życia tylko do mnie.

– Przecież spotykamy się z Lidką i Radkiem, mnie to wystarcza. Wolałabyś, abym przychodził do domu nad ranem, cuchnący wódką?

– Oczywiście, że nie. Tak tylko chciałam się upewnić.

– Ech, Klaudyś... Pełna niewiary istoto! Nie wszyscy faceci są tacy sami.

– Wiem, skarbie. Wiem.

Chyba jednak nie do końca jest o tym przekonana. Czemu mnie to nie dziwi? Cóż, po trzech latach małżeństwa z Mariuszem ma prawo do nieufności.

Kasia

– Chodź, Milenko, pójdziemy na spacer – mówię do dziewczynki.

– Ba-ba cie-lek – powtarza słodka mała papużka.

Niesamowite! Za kilka dni minie pierwszy rok jej życia. Jest rozkoszna i kochana – mogłabym ją schrupać. Zaczyna mówić, stawiać pierwsze kroki... Czasami ze wstydem przyznaję przed sobą, że choć Milenka nie jest moją rodzoną wnuczką – jest moją zdecydowaną faworytką. Być może

dlatego, że mam czterech synów, z których trzej obdarzyli mnie dziesięciorgiem wnuków – samymi chłopcami, więc córeczka Klaudynki to taki nasz mały rodzynek.

Klaudia gniewa się czasami, że wszyscy psujemy dziewczynkę, ponieważ mała jest bez przerwy noszona na rękach, przebierana, czesana, dostaje śliczne sukienki i zabawki. Zaakceptowała ją cała moja rodzina – bardzo mnie to cieszy.

Wczoraj Dawid zabrał ukochaną w Bieszczady. Długo musiał ją namawiać na wyjazd. Biedactwo, nie chciała zostawiać córeczki, upierała się, że weźmie małą ze sobą, lecz ja poparłam mojego chłopaka.

– Jedźcie sami. W górach jest teraz za zimno dla Milenki. Dawidowi należy się odpoczynek po miesiącach ciężkiej pracy. Przecież wiesz, że zajmę się jak trzeba naszą małą księżniczką. Ufasz mi, dziecko?

– Oczywiście, że ci ufam, Kasiu. – Nareszcie przestała nazywać mnie panią. – Ale to taki kłopot, Milenka może być marudna...

– Jedźcie, dzieci, i wypoczywajcie. My sobie poradzimy. A jakby co, to zadzwonię.

– Na pewno? – upewnia się z matczynym niepokojem.

– Na pewno.

No i pojechali. Niech się cieszą swoim szczęściem i młodością. O związek trzeba nieustannie dbać, na każdym jego etapie, wciąż im o tym przypominam. Bo jak ludzie nie dbają o swoje szczęście, to rezultat jest taki, że on kończy z flaszką taniego alkoholu lub w ramionach innej, a ona obrasta w gorycz, którą czasami zajada słodyczami, a czasami nosi w sobie niczym bombę z opóźnionym zapłonem.

Ja i mój świętej pamięci Marcin byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Daj Boże każdemu takiej miłości, jaka była naszym udziałem. Prawieśmy się ze sobą nie sprzeczali, nigdy nie było wyzwisk i przepychanek. On nie wracał śmierdzący gorzałą. Do ostatnich wspólnych chwil naszego małżeństwa nie mogłam zasnąć, póki nie położył się przy mnie i nie poszeptaliśmy przed snem o naszych sprawach.

Staralam się wychować moich synów tak, aby nie zaniedbywali swoich żon i bardzo je szanowali. I chyba mi się udało, ponieważ trzej starsi żyją w swoich związkach zgodnie. A Dawid? Cóż, on za Klaudynką świata nie widzi. Mój poczciwy chłopak! Tak się o niego dawniej zamartwiałam! Szkoda sobie zawracać głowę fałszywą moralnością. Ja w ich miłości nie widzę nic złego. To dobre dzieciaki.

– Chodź, Milenko, włożymy kombinezon – mówię do drepczącej obok mnie dziewczynki.

– Żon – powtarza papużka i posłusznie podchodzi.

Sadzam ją sobie na kolanach, oczywiście muszę przy tym pocałować złociste loczki. Wkładamy spodenki i kurteczkę, małe butki oraz ciepły szaliczek i czapkę, które wydziergałam dla niej w wolnych chwilach. Lalunia gotowa do wyjścia.

Wynoszę sanki na podwórko. Poproszyło troszkę pierwszym śniegiem, Milenka będzie miała frajdę. Wprawdzie śnieg jest zbyt sypki na lepienie bałwana, ale i tak można się fajnie pobawić. Moszczę koc na sankach, układam na opieradełku poduszkę. Sanki są drewniane, bardzo solidne – jak wszystko, co robi Dawid. W międzyczasie Milenka odkrywa miękki biały puch i analizuje jego właściwości. Jest tak rozbrykana, że z trudem udaje mi się ją ujarzmić.

– No, to teraz jedziemy!

Tam i z powrotem ciągnę ją po ogrodzie. Milenka zanosi się ze śmiechu, gdy bierzemy ostre zakręty. Słysząc ją chyba w całych Jodłówkach. Dziękuję Bogu, że zachował mnie w dobrym zdrowiu i mogę sprawić małej tyle radości.

Zauważam, jak w oddali, zza drzew, obserwuje nas Kubasowa – posępna niczym złowieszcza wrona. Kiedyś zatrzymała mnie podczas spaceru, zajrzała z ciekawością do wózcza.

– Prawda to, że ona podobna do Mariusza? – zapytała.

Pozwoliłam jej się nachylić i spojrzeć na śpiące dziecko. Wiedziałam, że prędzej czy później będzie chciała zobaczyć wnuczkę. Krew nie woda. Przezornie, dawno temu, zawiązałam czerwoną kokardkę przy sznurku z grzechotkami. Dawid śmiał się wtedy, że wierzę w zabobony, lecz ja tam już swoje wiem i nie potrzebuję, aby jakieś złe oko urzekło naszego skarbeczka.

Kubasowa wczepiła się pazurami w wózek i utkwiła sępi wzrok w malutkiej. Widziałam uczucia grające na jej twarzy i z trudem powstrzymywane łzy.

– Mój ty Boże... Toż to wykapany Mariuszek – westchnęła. – Co za głupek z niego, co za hultaj! Nawet przez chwilę nie zainteresował się tym, że został ojcem. – Jej głos załamał się i przeszedł w szloch. – Moja wnusia...

Miałam ochotę powiedzieć tej babie, że przecież sama wyparła się wnuczki, ale ona już i tak ma za swoje. Dobrze wie, że dla Milenki

pozostanie obcą kobietą. Wystarczająco skrzywdziła Klaudynkę – niech teraz cierpi. Mogła powstrzymać syna przed wyjazdem, natłuc mu do głupiej głowy, że źle postępuje. Mogła też powiedzieć Klaudynce, dokąd pojechał jej ślubny i zmusić drania do płacenia alimentów. A przede wszystkim powinna była okazać tej biduli choć odrobinę serca, gdy uciekł Mariusz. Wesprzeć w ciężkich chwilach, zainteresować się losami synowej i wnuczki, a nie bezdusznie skazywać na poniewierkę – bo cóż by się stało z Klaudią, gdyby Dawid nie przywiózł jej do naszego domu? Czego teraz chce? Za późno na wszystko!

Nie mówiłam o tym Klaudynce, bo i po co? Tamten drań znowu przepadł bez wieści. Kubasowa i tak nie będzie płacić na dziecko, zresztą nam nie trzeba jej zakichanych pieniędzy. Ważne, że moje dzieciaki są ze sobą szczęśliwe, po co im chmury nad głowami? Lepiej niech Klaudynka nie wraca do przeszłości, nie wspomina, nie cierpi.

Klaudia

Połonina Caryńska, Boże... Jak tutaj pięknie!

Z naszych ust wydobywają się kłęby pary, jeszcze dyszymy z wysiłku po długiej wędrówce oblodzonym szlakiem.

Jestem szczęśliwa, że Dawid zabrał mnie w to miejsce. Tutaj czas zdaje się nie istnieć. Jesteśmy tylko my i bezkresna dzicz posypana białym puchem śniegu.

– Żal mi będzie wracać do Jodłówek. – Odwracam się do mojego mężczyzny. – Tutaj jest cudownie, ta cisza i spokój... i ten zapach powietrza, zupełnie inny niż u nas.

– Mógłbym tutaj zamieszkać – stwierdza rozmarzony Dawid. – Pomyśl: mieć takie widoki na co dzień... – kusi.

– A twoja praca? A rodzina?

– Kochanie, firmę można prowadzić w każdym miejscu. Mama przeprowadzi się z nami w każde miejsce, do którego zabierzemy Milenkę.

– To kusząca perspektywa, ale dobrze wiesz, że starych drzew się nie przesadza. Bądź pewny, że gdybym nie miała na uwadze dobra twojej mamy, to z chęcią opuściłabym Jodłówki. Czasami mam już dosyć tej plotkarskiej dziury.

– No, to może Bieszczady?

– Nic z tego, lepiej wracajmy do rzeczywistości. Nie chciałabym, żeby noc złapała nas na szlaku.

- Gotowa do wymarszu?
- Tak jest!

Kochamy się z dzikim żarem, jak zawsze, gdy nie ma przy nas Milenki. Nie musimy tłumić emocji, nie nasłuchujemy, czy mała się nie obudzi.

Przy Dawidzie pozbyłam się wszelkich zahamowań, odzyskałam wiarę w siebie, uwierzyłam, że jestem piękna. Nie wstydę się, gdy on widzi mnie nago, nie ukrywam ciała pod bezkształtnym szlafrokiem, jak to robiłam w czasach, gdy żyłam z mężem. Dawid nauczył mnie samouwielbienia, uczynił atrakcyjną w moich własnych oczach. On nie analizuje detali, postrzega mnie w całości. Jedynie moje szczupłe nadgarstki i kostki budzą w nim coś w rodzaju fetyszyzmu – wciąż się nimi zachwyca i nie może wyjść z podziwu, że są takie delikatne.

Szepcemy do siebie przed snem. On nigdy nie zasypia zaraz po miłości – zawsze wtula się w moje plecy i rozmawiamy jeszcze o wszystkim i o niczym.

– Tak mi z tobą dobrze – mówię w ciemnościach. – Nie oddałabym cię żadnej dziewczynie.

– Nie chciałbym żadnej innej.

– A Aileen? – pytam go w końcu o to, co dręczy mnie od miesięcy.

– Aileen? Czemu o nią pytasz?

– Powiedz...

– To zamierzchła przeszłość, nie ma o czym mówić. Z tobą jestem szczęśliwy.

Kolejny unik, nigdy nie udało mi się sprowokować go do zwierzeń na temat tamtej dziewczyny. Zazdrość, zdradziecka żmija, podpełza do mnie w mroku. Nie podejrzewałam samej siebie o takie niskie uczucia. A jednak to, że ona została w Irlandii, setki kilometrów stąd, i że rozstali się tak nagle, zaledwie tydzień przed ślubem, nie daje mi spokoju. On musi o niej pamiętać i czasami wspominać.

Dlaczego mi o tym nie opowie? Nie zaspokoi raz na zawsze mojej ciekawości? Czyżby była aż tak bolesnym wspomnieniem?

Dlaczego się rozstali? Co poszło nie tak?

Kludia, do cholery! – napominam się w myślach. *Przestań się zadrećcać! Nie psuj waszego związku absurdalną zazdrością.*

Ufam mu. Wiem, że on ze mną zostanie na dobre i na złe, nawet bez urzędowych papierków.

Milenka wychodzi mi na spotkanie. Stąpa powolutku, ostrożnie, jeszcze trochę niepewnie, ale za to z ogromnym samozadowoleniem.

– Ma-mi!

– Skarbiątko malutkie! Jak ja za tobą tęskniłam!

Duszę ją w uściskach. Moja mała dziewczynka!

– Jak tam, Kasiu, wszystko dobrze? – upewniam się, jakbym podczas naszej wyprawy w Bieszczady nie wydzwaniała do domu pod byle pretekstem.

– Oczywiście, córuś, przecież widzisz.

– Dziękuję ci. – Przytulam staruszkę i całuję jej pomarszczony policzek.

– Wypoczęci? Zadowoleni?

– Jeszcze jak, matko! Oj... Właśnie tego było nam trzeba: wypoczynku z dala od cywilizacji i wścibskich oczu.

Rozpakowanie bagażu, wieczorna kąpiel, telefon do Lidki. Umawiam się z przyjaciółką na babskie pogaduchy następnego dnia. Bez naszych facetów: tylko my i Milenka. Po tygodniu spędzonym w górach nie zamierzam zostawiać mojej księżniczki nawet na moment.

Sprawdzam pocztę elektroniczną. Czytam maila od Ewy – bardzo nostalgicznego i pełnego tęsknoty, co jest do niej niepodobne. Od razu piszę odpowiedź, nie chcę odkładać tego na jutro. Wysyłam jej trochę nowych zdjęć zrobionych w Bieszczadach oraz Jodłówkach.

Wyłączam komputer, lecz gdzieś w głębi duszy odczuwam niepokój. Ewa bardzo rzadko popada w takie nastroje, a jak już, to nie jest wówczas skłonna do wynurzeń. Dumam chwilę nad jej słowami. Dlaczego siostra przypominała sobie o bolesnej przeszłości i Dagmarze akurat teraz?

I wiesz, podziwiam Dagę za to, że umiała skutecznie się od tego odciąć – bo ja nie umiem. Tak samo, jak nie mogę zmusić się do zapomnienia. Przypominam sobie o tym za każdym razem, gdy przeglądam się w lustrze i kontempluję mój pocięty bliznami tyłek.

Podziw dla Dagi za coś tak niedorzecznego jak samobójstwo?! Przecież ona wybrała najgorsze z możliwych rozwiązań!

Odczuwam wyrzuty sumienia w stosunku do moich sióstr. Wszystko układa mi się teraz pięknie. Jestem szczęśliwa, że aż strach! Ostatnie pół roku minęło jak niekończący się miesiąc miodowy.

Lidzia jest żywym dowodem na to, że nie wszystkie małżeństwa są

skazane na porażkę. Z powątpiewaniem stawała na ślubnym kobiercu. Miałam obawy, czy odnajdzie się w nowej rzeczywistości. A jednak jej promienny wygląd świadczy o tym, że to była słuszna decyzja.

– Klaudyś! – Rzuca mi się na szyję z radosnym piskiem. – Jak się masz? Wypoczęta? Zrelaksowana? Żar namiętności podsycony na nowo? Zresztą, o czym ja mówię? – Mityguje samą siebie. – Dawid to by cię nieprzerwanie na rękach nosił. Szczęściara!

– Myślałby kto, że tobie się krzywduje. No, opowiadaj, co nowego w Jodłówkach? Jak szkoła? Jadźka bardzo daje popalić?

Przez dwie godziny oddajemy się przyjemnym ploteczkom, które utrudnia moje niesforne dziecię. W końcu, gdy Milenka staje się marudna, ponieważ nadchodzi pora wieczornej kąpieli, pakuję małą w kombinezon i wszystkie warstwy ciepłych okryć. Wymieniam z przyjaciółką pożegnalne całuski.

– Pozdrów Radka – mówię.

– A ty Dawida. Mam nadzieję, że niebawem spotkamy się w czwórkę. Dawno nie wychodziliśmy razem do pubu.

– Och... Wiesz, bardzo chętnie, ale nie chciałabym nadużywać Kasinej dobroci. Cały tydzień zajmowała się Milenką, muszę dać jej trochę odpoczynku. Za kilka dni, dobrze?

– Jasne, jasne... Mamuśka.

– No to pa.

– Pa pa! Pa, Milenko. Dasz cioci buziaczka?

Wracam do domu i znów nadpływa uporczywe wspomnienie o wczorajszym mailu Ewy. Najgorsze jest to, że właściwie nie mam powodów do niepokoju. Czemu więc czuję ucisk gdzieś w dole brzucha? Jakbym czekała, że zaraz objawią się nieśmiertelne prawa Murphy'ego...

Od dawna nie rozmyślam o przeszłości, a jednak tego wieczoru, gdy czekam na biorącego prysznic Dawida, pogrążam się w ponurych wspomnieniach.

Z naszej piątki to Ewa najczęściej obrywała od ciotki. Była niesfornym, żywiołowym dzieckiem – moje całkowite przeciwieństwo. Jej nic nie było w stanie zatrzymać ani podciąć skrzydeł. Zawsze miała własne zdanie na wszystko. Nie bała się głośnego wyrażania kontrowersyjnych opinii.

– A ty masz w sobie coś ze starego prześcieradła! – krzyknęła kiedyś do szarpiącej ją ciotki. Ta zaniemówiła na chwilę, znieruchomiła, a później na

nowo zaczęła na nią wrzeszczeć:

– Co?! Co masz na myśli, ty bezczelna gówniario? Chcesz mi powiedzieć, że jestem szmatą?! Ja ci dam! – Rozległ się nieprzyjemny trzask.

Ewa złapała się za policzek i z całą nienawiścią, na jaką było ją stać, wysyczała:

– Drzesz się jak stare prześcieradło. Tyle ci chciałam powiedzieć, ale skoro sama nazwałaś się szmatą, to, widać, masz coś na sumieniu!

Pięć minut później Ewa klęczała na tacy z grochem, trzymając uniesione do góry ręce. Przez łyzy w oczach widziałam krwawe pręgi, które pojawiały się na cienkich, letnich szortach. Wykwitały, rozchodząc się wzdłuż bawełnianych splotów tkaniny, a ja żałowałam, że nie miałam dość odwagi, aby wyrwać ciotce z dłoni ten przeklęty kabel i wymierzyć jej taką samą sprawiedliwość.

– Co ci jest, Klaudynka?

Podnoszę zamknięte powieki. Dawid pochyla się nade mną, widzę troskę w jego szarych oczach.

– Nic. – Kręcę głową.

– Czyżby? Miałaś minę, jakby ktoś wyrządził ci straszną krzywdę. Wspomnienia?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Chcesz porozmawiać?

– Nie, to przeszłość.

– Nie duś tego w sobie, maleńka. Przecież widzę, że to wciąż sprawia ci ból.

– Po prostu przypomniałam sobie pewien niemiły detal. Zapewne dlatego, że wczoraj miałam nostalgicznego maila od Ewy.

– Pewnie tęskni się za tobą.

– Nie wiem. Może. Mam nadzieję, że nic głupiego nie chodzi jej po głowie.

– A dzwoniłaś do niej?

– Wstyd przyznać, ale nie mam jej aktualnego numeru telefonu. Przeprowadzała się jakiś czas temu, teraz znowu planuje zmianę miejsca zamieszkania. Porozumiewamy się na maila. Ona woli unikać rozmów. Przebywa w Stanach nielegalnie, wiesz, jak jest: *wielki brat* czuwa.

– Niby tak. A myślisz, że poczty elektronicznej nie kontrolują?

– Ewa unika drażliwych sformułowań, które mogłyby przyciągnąć czyjąś

uwagę.

– Pisałaś do niej?

– Tak, od razu odpowiedziałam na maila.

– Nie zamartwiaj się. Za kilka dni jej nastrój na pewno ulegnie poprawie. Może nawet już tak jest i zaraz dostaniesz maila, że Ewa zamieszkała właśnie w Beverly Hills z jakimś seksownym kowbojem.

– Oby. Idziesz już spać?

– Poczytam jeszcze. – Wskazuje świeżo rozpoczęty kryminał leżący na szafce nocnej po jego stronie łóżka. – A ty co zamierzasz?

– Przejrzę moje ulubione blogi.

Siadam w łóżku z laptopem na kolanach, obok mnie Dawid wyciąga się z książką w dłoni. Milenka już od dawna śpi w swoim łóżeczku.

Usiłuję wyrzucić z pamięci świeże troski o Ewę. W racjonalny sposób tłumaczę sobie, że, widać, stale muszę mieć jakiś powód do zmartwienia, bo inaczej życie byłoby zbyt cukierkowe. Skupiam się na czytaniu. Dwie godziny później zauważam, że Dawid zasnął nad swoją pasjonującą lekturą. Ostrożnie wyciągam książkę spod jego ramienia, gaszę światło i szczerze przytulam się do mojego mężczyzny.

Do tego świata moja ciotka nie ma przystępu.

Wraca poczucie bezpieczeństwa. Zасыpiam.

Ostatnio coraz częściej myślę o powrocie do pracy w szkole. Czuję się bezużyteczna – wciąż na utrzymaniu Dawida. W Jodłówkach nie mam szansy na zatrudnienie. Nawet gdyby pojawił się wakat, to Jadwiga nie zatrudniłaby mnie ponownie. Najbliższe wioski też mogę skreślić. Tutaj nic nie wskóram.

– Głupstwa opowiadasz, kochanie. Masz udziały w warsztacie, nie jesteś na moim utrzymaniu – protestuje Czarnota, lecz ja nie daję za wygraną.

– Cudownie spędza się czas z Kasią i Milenką. Nie utyskuję, że moim zajęciem jest dbanie o dom i gotowanie, ale nie po to się uczyłam i skończyłam studia. Muszę coś zrobić, jeśli nie dla siebie, to dla innych.

– Cóż, skoro nie kasa jest twoją motywacją...

– Zapewniam cię, że nie. Pieniądz rzecz nabyta, sam wielokrotnie to powtarzałaś. Ja po prostu uwielbiam pracę z dziećmi.

– A ja ją rozumiem, chłopaku – Kasia wtrąca się w naszą rozmowę. – Do wrzeźnia jest jeszcze kawał czasu, na pewno coś znajdziesz. Na razie naciesz się Milenką. A jak już pójdziesz do pracy, to ja zaopiekuję się naszą iskierką. Żeby czasem nie przyszło ci do głowy oddawać ją do żłobka albo szukać

niani – uprzedza.

- Ależ ty jesteś kochana – mówię z wdzięcznością.
- I tak stało na tym, że jednak się usamodzielniam.

Jestem na spacerze z Milenką. Chętnie odwiedziłabym Lidzię, lecz ona na pewno jest jeszcze w szkole, poprzestaję zatem na towarzystwie córeczki.

- Klaudia – słyszę nagle znajomy głos.

Odwracam się bez entuzjazmu. Nie pociąga mnie perspektywa rozmowy z teściową. Kubasowa wraca ze sklepu, w ręce ma pękatą siatkę z zakupami. Jest zadyszana, musiała bardzo szybko iść, żeby mnie dogonić. Przystaję.

- Dzień dobry – witam ją zdawkowo.

– Dzień dobry. A co to, spacer z Milenką? Dzień dobry, maleńka. – Nachyla się nad wózkiem. W ciszy przygląda się mojemu dziecku. – Ależ ona słodka – mówi w końcu z nostalgią.

Nie odpowiadam. Co niby miałabym jej powiedzieć? Nie interesowała się nami przez długi czas.

- Przykro mi, że tak jakoś się to wtedy niezręcznie ułożyło – mówi.

Czy to przeprosiny? Dziwnie brzmią. Chciałabym ją teraz zranić, wbić szpilę równie mocno, jak Kubasowa wbiła mnie, ale ona patrzy błagalnie, ma łzy w oczach i widzę, z jakim żalem spogląda na roześmianą dziewczynkę. Nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wiele straciła przez minione półtora roku.

Czy można kopać leżącą kobietę?

- Przepraszam, muszę już iść – mówię po chwili.

– Będę mogła ją kiedyś zobaczyć? To moja... wnuczka. Ja wiem, zrobiłam ci krzywdę i Mariusz też, ale on jest głupi i nieodpowiedzialny! Prosiłam go, żeby wrócił i zobaczył swoje dziecko.

- Niepotrzebnie. Nie chciał Milenki, teraz my nie chcemy nic od niego.

– Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Za późno. Poukładałam sobie życie na nowo.

– Jesteście wciąż małżeństwem.

– On zapomniał o tym bardzo dawno temu. Ja też – mówię znacząco. – Do widzenia pani. – Odwracam się.

– Klaudia! A gdyby on wrócił? Gdyby cię przeprosił... Może dałoby się... – mówi do moich pleców.

Spoglądam na nią przez ramię.

- Co też pani przyszło do głowy?!

Odchodzę. Jestem wzburzona i zła, że wdawałam się z nią w pogawędkę.

Po co mi to było? Żeby znowu się denerwować?

Wracamy do domu. Pomagam Kasi przy obiedzie, sprzątam. Wszystko leci mi z rąk.

– Co się dzieje, Klaudynko? – docieka starsza pani.

– Nic takiego. – Wzruszam ramionami. – Widziałam się z Kubasową. Ma kobieta tupet! – utyskuję. – Najpierw wymyśla mi, mało co od dziwek, a teraz próbuje się usprawiedliwiać. Nie mogę tego pojąć!

– Więzy krwi. Tęsknota za wnuczką. Dotarło do niej, że jesteście rodziną.

– Troszkę za późno na refleksje. Mogła wcześniej myśleć, co robi, a nie beczeć teraz nad wózkiem z Milenką.

Być może wyolbrzymiam spotkanie z teściową. Jodłówki to mała dziura, więc prędzej czy później musiałam nadzieć się na to babsko. I tak bardzo długo udawało mi się ją omijać.

– Daj spokój, Klaudynka. Po co się tak gryziesz? Przecież ona nie jest ci do niczego potrzebna – tłumaczy Kasia.

Rozdział 17

Echo przeszłości

Ewa

Ściskam w dłoni garść białych pigułek.

Całe moje życie jest spieprzone! Chciałabym mieć odwagę, aby definitywnie z tym wszystkim skończyć.

Boże! Jak ja zazdrozczę Klaudii! Jej tak pięknie wszystko się poukładało! Dziecko, wspaniały facet, błogie życie na wsi... Zazdrościłam jej już wtedy, gdy skończyła studia. Ja nie mam nawet matury. Ledwo przepchnęłam się przez jakąś zawodówkę, a później przyjechałam do Stanów.

Już dawno opuściłam Chicago. Mieszkam teraz w takiej wszawej dziurze, składającej się z kilku na wpół rozwalonych ruder oraz mnóstwa porzewiałych przyczep. Z poprzedniego mieszkania wywalili mnie za niepłacenie czynszu, ale niby z czego miałam go płacić, skoro nie mogę znaleźć porządnej pracy? Wciąż przebywam tutaj na „nielegalu” i drzę na myśl o deportacji. W długie bezsenne noce szwendam się po brudnych ulicach w poszukiwaniu ryzykownego, szybkiego zarobku. Dnie zazwyczaj przesypiam skulona w jakimś ponurym kącie.

Za co żyję?

Głupie pytanie. A z czego może utrzymać się młoda, średnio atrakcyjna dziewczyna, mówiąca łamaną angielszczyzną? Wiem, że to ryzykowne zajęcie, w każdej chwili gliny mogą zgarnąć mnie za nagabywanie, a od tego już prosta droga do urzędu imigracyjnego i powrotu do Polski, więc staram się być dyskretna.

Już widzę, jakie powitanie zgotowałyby mi ciotka, gdybym nagle wróciła do Wrocławia. Jestem pewna, że nie wpuściłaby mnie za próg. Wyzywałaby

mnie od głupich dziwek i miałyby cholerną rację.

Dlaczego tak bardzo spieprzyło mi się życie?

Zawsze byłam inna – niepokorna i zbuntowana.

Siedzę z podkurczonymi nogami. Obejmuję dłońmi moje chude kolana. Dałabym głowę, że do tej pory są w nich zagłębienia po grochu. Z całego rodzeństwa mam najbardziej pochlastany tyłek, zresztą nie tylko tam kabel ciotki pozostawił mi na skórze pamiątki.

Kiedyś sprąła mnie tak, że przez trzy dni nie mogłam się ruszać.

Nienawidzę jej! Kurwa, nienawidzę! Nawet trzynaście godzin lotu samolotem, które nas dzielą, nie umniejsza tej nienawiści.

Kludia

Każdego wieczoru sprawdzam pocztę elektroniczną. Za dnia nie mam możliwości, ponieważ Milenka ma ostatnio manię wciskania łapek na klawiaturę laptopa w najmniej odpowiednim momencie. Włączam komputer dopiero wtedy, gdy szkodnik zostaje ułożony do snu.

Jest mail od Ewy! Wysłała go kilka godzin temu. Klikam w list od siostry. Wiadomość jest nieco dłuższa niż poprzednia.

Cześć Kludia!

Piszę do ciebie z Cafe Internet w jakiejś zapyziałej, zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze. Przed chwilą połknęłam całą garść białych pigułek, które ukradłam jednemu dilerowi. Jeśli połapie się, że to ja, to zaraz mnie zabije. Jeśli nie zdąży – zabiją mnie te pigułki. Obmierzło mi życie, sex za pieniądze, spanie wśród kartonowych pudeł poniewierających się w brudnych zaułkach. Co mi zostało? Deportacja do kochanej ciotuni? Nic z tego! Wolę spotkać się z diabłem niż stanąć z nią twarzą w twarz i usłyszeć milion obelg oraz cynizmów w stylu: „wiedziałam, że do niczego w życiu nie dojdiesz, ty łachudro”.

Pisałam ostatnio, że podziwiam Dagę? Chyba tak – już nie pamiętam. Ona wybrała najprostsze rozwiązanie. Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

Bo byłam tchórzem?

Bo łudziłam się, że będzie lepiej i jeszcze uda mi się coś osiągnąć?

W Stanach do niczego nie doszłam – nie było „american dream”. Nie mam pracy, mieszkania, żadnego punktu zaczepienia. Istnieje prawdopodobieństwo, że jestem nosicielką HIV i jeszcze jakiegoś tałatajstwa.

Wypadają mi włosy, schudłam – wyglądam jak upiór. Nie chciałabyś mnie teraz oglądać – mogłabym Ci się przyśnić jako koszmar.

A pamiętasz, jakim byłam ładnym dzieckiem? Pamiętasz? Nie szpeciły mnie nawet te stare łachmany, w które ubierała nas ciotka. Marzę o tym, aby mieć pięć lat. Chciałabym włożyć falbaniastą sukienkę na wykrochmalonych halkach, wiśniowe lakierki i słomiany kapelusz. I żeby tatuś żył i mamusia! Żeby mnie kochali, żebyśmy w piękny letni dzień poszli na spacer piękną łąką – daleko, daleko, daleko...

Głupie marzenia! Przecież nawet nie pamiętam mamy.

Bóg mi świadkiem, że nie chciałam tak skończyć. Niekochane dzieci zawsze mają pod górkę, nam wiatr wieje w oczy, sypie piachem pod powieki.

Litery rozpełzają się na klawiaturze – to znak, że pigułki zachodzą w reakcję chemiczną z moim organizmem.

Muszę kończyć, coraz bardziej mąci mi się w głowie. Nie chcę umrzeć tutaj, w tym lokalu. Chcę odejść ze świata w jakimś ładnym miejscu – może parku? Zapewne zostanę pochowana na koszt rządu USA jako NN, ale tym się nie przejmuj. Zaświeć czasem światło na grobie Dagi również i dla mnie. Tam módl się za duszę prostytutki i ćpunka. Na pewno poczuje Twoją modlitwę – gdziekolwiek będę.

Nie płacz po mnie, nie ma nad czym lać łez.

TERAZ BĘDĘ SZCZĘŚLIWA!!!

Do zobaczenia w lepszym świecie – jakoś nie wierzę w piekło, którym straszyla nas ciotka.

Ewa

Ktoś musiał włamać się do jej skrzynki mailowej! Przynajmniej tak staram się początkowo myśleć. W moim żołądku zalega straszny ciężar. Wciąż nie dowierzam temu, co widzę.

– O mój Boże... Co to jest?! To jakaś pomyłka! – mówię na głos.

– Co się stało? – Dawid unosi wzrok znad książki.

Nie słucham go, nie odpowiadam, czytam mail jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze...

Nie płacz po mnie, nie ma nad czym lać łez.

Płaczę, wbrew jej słowom i podszeptom rozumu, że to musi być jakiś makabryczny żart.

– To niemożliwe...

– Ale co jest niemożliwe, Klaudyś? Co się dzieje?

Podaję mu laptopa.

– Czytaj – mówię głosem zdławionym łzami.

Dawid czyta półgłosem. On też niedowierza, ponownie śledzi tekst. Prostuje się i siada, ponieważ tego wymaga powaga chwili.

– Cholera! To wygląda okropnie! Czy twoja siostra lubi robić głupie kawały?

Kręcę głową, zagryzam wargę.

– Nie wydaje mi się, aby mogła dowcipkować z tak poważnej sprawy. Dawid, a jeśli to prawda? Jeżeli ona faktycznie połknęła te prochy?

– Napisz do niej.

– A co to da?

– Może to były zwykłe dropsy, witaminy lub cokolwiek innego... Ona chyba sama nie wiedziała, co łyka. Może nic jej się nie stało? No pisz! Niech się odezwie, niech da ci jakiś znak życia. Niech zadzwoni, napisze, cokolwiek!

– Dawid! Ja to czułam! Wiedziałam! Ona była ostatnio taka... dziwna. Boże – szlocham – a ja nic nie zrobiłam, żeby jej pomóc. Powinnam była podnieść ją na duchu, jakoś wesprzeć!

– Nie obwiniaj się, Klaudyś, to nic nie da. Napisz teraz, może nie jest za późno.

Siadam przy biurku. Piszę, kasuję, zmieniam kilkakrotnie moją wiadomość dla siostry.

Ewa!

Nie wygłupiaj się – to żart, prawda? Ty nie mogłabyś mi tego zrobić! Nie wierzę! Przecież jeszcze niedawno potępiałaś Dagmarę, że stchórzyła i poszła na łatwiznę!

Ewa... Błagam, odezwij się do mnie! Napisz, że żyjesz, a to była jakaś pomyłka i pisałaś pod wpływem alkoholu lub prochów. Jeśli czytasz moje słowa – opamiętaj się! HIV czy inna choroba – to jeszcze nie koniec świata. Może nie jest tak źle? Zrobiłaś badania? Przecież sama pisałaś, że przypuszczasz. Może włosy wypadają Ci z niedożywienia?

Ewa! Błagam! Napisz!

Pomogę Ci, obiecuję! Tylko nie idź tą samą drogą, którą poszła Daga.

Kocham Cię.

Klaudia

Nadal brzmi okropnie, ale szkoda czasu. Klik, wiadomość wysłana. Spoglądam posępnie na Dawida.

– A jeśli to nie wystarczy?

Dawid marszczy czoło, myśli. Chciałabym być tak spokojna jak on. Nerwowo krążę po pokoju. Z moich oczu leją się łzy. Wciąż czuję strach, ból i niedowierzanie.

– Co ja mam zrobić? Dawid!

Mężczyzna obejmuje mnie, przytula do siebie bardzo mocno.

– Przede wszystkim musisz zachować spokój – radzi. – Nie możesz się tak miotać, to nic nie da. Trzeba pomyśleć racjonalnie.

– Nie potrafię! Ona była zupełnie sama tak daleko. Cierpiała. Zrobiła sobie krzywdę! Każesz mi się uspokoić?!

– Cii... Nerwy w niczym nie pomogą. Powinnaś jej szukać przez ambasadę albo urząd imigracyjny. A może jeszcze się odezwie? – sugeruje bez większego przekonania.

– Nie wierzę! Ty też w to nie wierzysz. A tak ją prosiłam, żeby wróciła! Mogła zgłosić się do urzędu imigracyjnego, na policję, gdziekolwiek. Deportowaliby ją do Polski.

– Być może uważała, że nie ma do czego wracać.

– Dałabym jej na początek pieniądze, poszukałabym jakiegoś niedrogiego mieszkania, pomogłabym w znalezieniu pracy. Boże, to moja wina! Nie okazałam jej dostatecznie dużo wsparcia.

– Nie obwiniaj się, Klaudyś. Tak naprawdę, nie mogłaś temu zapobiec w żaden sposób. Przecież o niczym nie wiedziałaś. Mówiłaś, że twoja siostra nie jest skora do wynurzeń.

– Bo tak jest. Ona zawsze pisała to, co chciała napisać. Lawirowała, kluczyła, nie miałam zielonego pojęcia o tym, że jest jej tak ciężko. Do niedawna miała mieszkanie na Diversey i chłopaka, który chciał się z nią ożenić. Miała też pracę i uczyła się języka. Owszem, trochę niepokoiły mnie te ostatnie przeprowadzki, lecz zawsze tłumaczyła, że to dla zmylenia urzędu imigracyjnego. A ona... – szlocham. – Ona poniewierała się po jakichś zaułkach pełnych szczurów i śmieci, ćpała, sprzedawała się za pieniądze... Boże, nie mogę w to uwierzyć! – Mój głos się łamie. – Ewa nie mogła skończyć w taki sposób! To po prostu niemożliwe!

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułam takiej bezsilności. Niewiele mogę teraz zrobić, jest już noc, urzędy są pozamykane. Szukam namiarów na ambasadę – to mój jedyny punkt zaczepienia, nie znam języka angielskiego

wystarczająco dobrze, aby zwracać się o pomoc bezpośrednio do instytucji amerykańskich.

Następne dni to niekończący się koszmar: długie rozmowy telefoniczne z ambasadą, liczne maile, które dostaję i wysyłam, brak konkretów, ucisk w żołądku. Wykonuję nawet telefon do ciotki, aby zapytać, czy w ostatnich tygodniach Ewa kontaktowała się z nią lub rodzeństwem. Nic – zero kontaktu. Nie dała znaku życia od chwili, gdy z plecakiem i paszportem opuściła mieszkanie. To było osiem lat temu.

Osiem długich lat, podczas których mogło się wydarzyć wszystko.

W tym czasie przysłała mi zaledwie parę zdjęć pochodzących z pierwszych miesięcy życia za oceanem i kilkakrotnie do mnie zadzwoniła, nigdy nie podając numeru telefonu. Przypuszczam, że rozmawiała z budki.

Na razie nie zdradzam ciotce szczegółów, nie wspominam o HIV i prostytutce. Nadmieniam tylko, że Ewa była ostatnio w nie najlepszej formie i bardzo się o nią martwię.

Żyję jak w gorączce, wciąż rozedrgana i zaniepokojona. Nic mnie nie cieszy. Pani Kasia zdejmuje mi z głowy troskę o dziecko, poświęcając Milence maksimum czasu.

W USA znajdowane jest wiele ciał NN, których sprawy nie wyjaśniają się nigdy. Drogą mailową przekazuję wszystkie informacje, jakie miałam na temat Ewy. Wysyłam zdjęcia siostry sprzed sześciu lat – tylko takie posiadam. Przypominam sobie o znakach szczególnych: licznych bliznach na plecach i pośladkach – pozostałości po laniu kablem, znamieniu na lewym barku, które było skutkiem pchnięcia Ewy przez ciotkę na deskę, gdzie stało rozgrzane żelazko, a wreszcie o pieprzyku w zagięciu lewego kolana – ja mam taki sam, umiejscowiony identycznie.

Po kilku dniach jest przełom w sprawie. Dostaję maila, że w jakiejś małej miejscinie w stanie Texas znaleziono ciało kobiety pasujące do przedstawionego przeze mnie rysopisu. Przyczyna śmierci – zgon po przedawkowaniu środków odurzających. Zakażona HIV oraz wirusowym zapaleniem wątroby. W załączniku do maila są zdjęcia z autopsji. Proszona jestem o przemyślaną identyfikację. Jest też ostrzeżenie, abym przygotowała się na wstrząs, jeśli denatka jest moją siostrą.

Dawid zaciska dłoń na moim ramieniu, próbując dodać mi otuchy. Stoi za moimi plecami, jest blisko, gotów, aby mnie wesprzeć.

Klikam w pierwszy załącznik.

Tłumię szloch.

Ogólna fotografia postaci. Naga dziewczyna z rzadkimi, ciemnymi włosami posklejanymi w niechlujne strąki. Nienaturalnie pożółkła skóra, przez którą widać absolutnie wszystkie żebra. Zapadnięta klatka piersiowa z drobnym biustem. Nieprawdopodobnie szczupłe uda – zupełnie jak u anorektyczki. Nie widać jakichś większych urazów, jedynie drobne zadrapania oraz ohydne, byle jak zaszyte rozcięcie – ślad po wykonanej autopsji.

Zbliżenie na twarz. Sina skóra, zamknięte oczy – pod nimi fioletowe obwódki, lekko rozwarte, spierzchnięte wargi, liczne zadrapania i krosty. Buzia wychudzona tak bardzo, że przez pergaminową skórę przebijają kości oraz żyłki.

Tłumię jęk.

Kolejne zdjęcie. Denatka ułożona na brzuchu. Pręgi na plecach i pośladkach, na ramieniu niewyraźny ślad oparzenia.

Czwarta fotografia, zbliżenie na ramię – widać wyraźny szpiczasty ślad – pozostałość po rozgrzanym żelazku.

– Ewa.

Nagle zapada ciemność.

Bolesna cisza i pustka.

Zamykam się szczelnie w mojej skorupie. Są ze mną tylko Dagmara i Ewa. Dlaczego widzę je jak przez mgłę? Ich twarze są zatarte w moich wspomnieniach, zlewają się w jedno. Ciemne włosy, ciemne oczy, blizny na plecach i pośladkach.

Jesteśmy do siebie tak bardzo podobne i tak różne zarazem...

Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie...

Wybacz, Ojczy Niebieski, moim nieszczęsnym siostróm. Nie skazuj na wieczne potępienie, one nie były świadome – nie wiedziały, co czynią!

Kilka tygodni później

Dawid

Dziś Klaudia uśmiechnęła się pierwszy raz od tamtego strasznego dnia. Moja biedna dziewczyna – bardzo cierpi z powodu siostry. Wciąż obwinia się o śmierć Ewy. Tak, jakby mogła zapobiec temu w jakikolwiek sposób.

Nie potrafiłem pomóc. Mogłem jedynie ocierać łzy, które płynęły z jej oczu.

Kludia

Nie sposób w nieskończoność trwać w stanie permanentnego odrętwienia. Dagmara i Ewa nie żyją. Moje łzy niczego nie zmieniają, podobnie jak wyrzucanie sobie, że mogłam temu zapobiec.

Nie mogłam.

Muszę wrócić do rzeczywistości. Mam Milenkę. Ona potrzebuje ogromu ciepła i miłości. Dla niej pobieram się do kupy.

Dla niej i dla Dawida.

Kocham go.

To wspaniały mężczyzna – jest nieskazitelny. Nigdy mnie nie zawiódł. Gdyby kiedykolwiek tak się stało, świat przestałby chyba istnieć.

Dawid stoi tyłem do mnie, jest ubrany w szlafrok, spod którego wystają nogawki spodni od piżamy. Spogląda przez okno w ciemną, gwiazdzistą noc. Zatrzymuję się w drzwiach. Patrzę na ukochanego mężczyznę. Robi mi się ciepło wokół serca, jak zawsze, gdy on jest w pobliżu.

Był przy mnie przez minione tygodnie, podtrzymywał na duchu i wspierał. Nie pozwolił, abym popadła w rozpacz.

Podchodzę, staję za plecami Dawida, obejmuję go w pasie. Wtulam twarz w miękkie poły tkaniny frotte. Czarnota przykrywa ciepłymi dłońmi moje ręce.

Nie byliśmy ze sobą od śmierci Ewy.

Nawet, jeśli mu tego brakowało, nigdy nie okazał zniecierpliwienia. Ze stoickim spokojem wtulał się w moje plecy, gdy leżałam tyłem do niego i po prostu pozwalał mi zasnąć w kojącym otoczeniu swych ramion.

Wsuwam palce pod szlafrok na jego piersi. Dawid nigdy nie nosi górnej części piżamy, choćby było nie wiadomo jak zimno. Opuszkami zataczam drobne kręgi na skórze pokrytej zgrubieniami i bliznami.

Mężczyzna powoli odwraca się w moją stronę. Spogląda mi w oczy.

– Tęsknię za tobą, maleńka – mówi szeptem, żeby nie obudzić Milenki.

– Ja też za tobą tęsknię – odpowiadam, wspinając się na palce, aby sięgnąć ustami warg mojego wielkoluda.

Dawid bez wysiłku bierze mnie na ręce i zanosz do łóżka.

– Do końca moich dni chcę cię nosić na rękach. Jesteś całym moim

światem.

Unosimy się na falach namiętności. Znowu jestem szczęśliwa, zapominam o siostrach. Nie mam wyrzutów sumienia, że ułożyłam swoje życie lepiej niż one.

Ja wybrałam inaczej.

Nie wyobrażam sobie, że miałabym zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa i miłości Dawida. Do końca moich dni chcę być noszona przez niego na rękach.

Dzień niby zwyczajny: śniadanie, zabawa z Milenką, pranie, sprzątanie, przygotowanie obiadu.

– Klaudynka, kochanie, a nie pojechałabyś do sklepu? – zagaduje Kasia. – Na śmierć zapomniałam kupić sól, kończy się mąka i jeszcze parę innych rzeczy. Poszłabym sama, ale ziąb taki, że łamie mnie w kościach, a ty mogłabyś samochodem...

– Nie ma sprawy, skoczę. Ja także potrzebuję parę drobiazgów.

Zapisujemy listę zakupów. Ubieram się ciepło, biorę siatkę, kluczyki do samochodu i portfel. Na drodze jest ślisko – trzeba uważać. Nie lubię jazdy w takich warunkach, ale wycieczka pieszo byłaby jeszcze mniej przyjemna. Kątem oka dostrzegam oblodzone chodniki i nieporadnie poruszających się nielicznych narwańców, których gołoledź nie zatrzymała w domu przy ciepłym piecu.

Opuszczenie samochodu jest nader nieprzyjemne. Zimny wicher chlaszcze mnie po twarzy i szarpie za włosy. Drobnym marznącym deszczem wbija uporczywe igiełki. Nie znoszę takiej pogody! Przemykam chyłkiem do sklepu, kurczowo zaciskając dłonie na kołnierzu kurtki. Popycham przeszkłone drzwi i z ulgą wpadam w przyjemne objęcia ciepła.

Zbieram ze sklepowych półek potrzebne produkty. Chwilę dłużej zatrzymuję się przy stoisku z nabiałem. Milenka uwielbia różnego rodzaju serki, pochłania je w ogromnych ilościach. Sprawdzam uważnie daty przydatności do spożycia.

Dobiega mnie czyjaś rozmowa.

– Wrócił? A kiedy?

– A mówią, że wczoraj. Jakubowa go widziała, jak szedł od autobusu. Miał ze sobą dużą torbę, mocno wypchaną, pewnie nawiózł jakiego dobra starej Kubasce.

– Oj tam starej. A co on, dziecka nie ma?

Kubasce? Dziecka? Wrócił?

Mariusz?

Momentalnie robi mi się gorąco. Prostuję się, nadstawiam uszu. Głos dobiega zza najbliższej półki, widzę fragment koszyka z zakupami jednej z rozmawiających. Niestety, rozmowa nagle się urywa.

Kończę w pośpiechu zakupy. Jak najszybciej chcę opuścić sklep, wybiegam na ten nieznośny, przenikliwy ziąb, odprowadzana do wyjścia ciekawskimi spojrzeniami plotkar. Wsiadam do bezpiecznego azylu mojego volkswagena. Opieram głowę o zagłówek, zaciskam powieki. Usiłuję przywołać obraz dawno niewidzianego męża, lecz to daremny wysiłek. W moich wspomnieniach widzę tylko ochlaptusa, który wciąż mnie upokarzał i maltretował psychicznie.

Czy zawsze muszę dowiadywać się o ważnych sprawach ze sklepowych plotek?

Mniejsza o to! Skoro jego wysokość wrócił, najwyższa pora, żeby uporządkować nasze sprawy. Nie chcę dłużej nosić jego nazwiska i piętna, że jestem żoną Mariusza. Dla mieszkańców Jodłówek już od dawna przestałam nią być. Oni połączyli mnie w parę z Dawidem niemalże półtora roku temu. Ludzie przestali zwracać na nas uwagę. Nasz skandaliczny wybryk szybko stał się nudny, ponieważ nie ma między nami kłótni i awantur, nie ma publicznego prania brudów i, poza szokiem, jaki wywołała moja przeprowadzka do domu Czarnotów, nic więcej się nie dzieje. Ponadto wygląd mojej córeczki dał wyraz temu, że nie jest ona owocem zdrady.

Czas rozwiązać małżeństwo, które istnieje wyłącznie na papierze. Muszę to załatwić jak najszybciej, zanim Mariusz znowu wyjedzie z Jodłówek. Postanawiam, że zawiozę zakupy do domu, a później bezzwłocznie pójść do Kubasów.

Od razu wprowadzam moje postanowienie w czyn. Pieszko przemierzam oblodzoną ścieżkę. Dobijam się do drzwi. Otwiera mi nikt inny, jak mój (pożal się, Boże!) małżonek.

Stoimy chwilę, mierząc się spojrzeniami. Ja patrzę na niego z nieskrywaną wrogością, on przeciwnie – bardzo przychylnie, lecz nie dam się zwieść pozorom!

Już prawie zapomniałam, jaki jest przystojny. Te piękne, niebieskie oczy nie robią na mnie wrażenia. Czas zapomniał o tym bydlaku (zauważam z pewną przykrością), wciąż taki ładny jak Ken – partner Barbie. Nielojalnie w stosunku do mojego ukochanego myślę, że Dawid wygląda przy nim

trochę... szaro.

– Klaudia – mówi po chwili ciszy. – Pięknie wyglądasz.

Spogląda mi w oczy jakoś dziwnie. O nie! Nie dam się nabrać! Już to przerabiałam. Zawsze potrafił mnie rozmiękczyć, a ja, głupia, ulegałam. Kocham Dawida takiego, jakim jest – nieważne, jak wygląda, liczy się charakter. On nie zasługuje na to, abym porównywała go z tym draniem.

– Witaj. Wpuścisz mnie czy będziemy rozmawiać na mrozie? – Mój głos brzmi mocno i pewnie.

Nie tak rozmawiałam z nim półtora roku temu. Przywołuję wspomnienie podniesionej ręki i rozbryzgu krwi na ścianie.

Mariusz cofa się, otwiera drzwi na oścież, wpuszcza mnie do domu swoich rodziców. Kretyn! Wrócił do mamusinej spódnicy.

– Chodź dalej, do salonu. Zdejmiesz płaszcz?

– Nie ma potrzeby. To nie potrwa długo.

Chłodnym skinieniem głowy witam teściową wyglądającą z kuchni. Stary Kubas siedzi w głębi pomieszczenia. Idę za Mariuszem do tandetnie urządzonego pokoju dziennego. Z mściwą satysfakcją zauważam pierzynę kurzu na politurowanej meblościance. Mariusz wskazuje mi fotel, ale nie mam ochoty siadać. To, co mam mu do powiedzenia, nie zajmie dużo czasu. Nie zamierzam przebywać na wrogim terytorium dłużej, niż jest to konieczne.

– Napijesz się czegoś? Pewnie zmarzłaś.

– Daruj sobie uprzejmości. Nie przyszłam z wizytą towarzyską. I nie, nie musisz się bać – dodaję od razu z całym jadem, jaki się we mnie skumulował – nie przyszłam też po alimenty. Dzięki Bogu, nie przymieram głodem.

– Tak przypuszczam – mruczy pod nosem. – Przecież on obiecał mi, że się o ciebie zatroszczy.

– Nic ci do tego!

– Jesteś moją żoną.

– Błąd, który chciałabym szybko naprawić. Chcę rozwodu – przechodzę do konkretów.

– Po co od razu taka bojowa postawa? – mówi. – Usiądź, porozmawiajmy spokojnie jak cywilizowani ludzie. Klaudia, ja wiem, że rozstaliśmy się paskudnie, dużo w tym mojej winy...

– Dużo w tym twojej winy?! – powtarzam za nim wzburzona. – Co ty pieprzysz?!

Odruchowo dotykam wargi w miejscu, gdzie była rozcięta. Mariusz

zwiesza głowę.

– Przepraszam, Klaudia. Dawno powinienem to zrobić, ale brakowało mi odwagi.

– Nie przyszedłam po twoje przeprosiny. Interesuje mnie tylko rozwód. Szczerze mówiąc, liczyłam na inicjatywę z twojej strony. Mam nadzieję, że mamusia przekazała ci moje słowa?

Mariusz milczy, przygląda mi się uważnie. Czy dostrzegł we mnie nową, silną Klaudię?

– Zmieniłaś się – stwierdza.

A więc jednak.

– Oczywiście. Nie pozostawiłam ci wyboru, musiałam stwardnieć.

– To on za tym stoi.

– A nawet jeśli?

– Nie wierzę, że poleciałaś na jego dziurawą gębę.

– Nie twój interes, z kim sypiam – oznajmiam dobitnie.

– Ździebko mój, żono.

Jakże nienawistnie brzmi w moich uszach to słowo!

– Klaudia, posłuchaj... Wróciłem. Chcę zacząć od nowa całe życie, wszystko w nim zmienić, zwłaszcza to, jak traktowałem ciebie. Byłem draniem, bydlakiem, nie zasłużyłem na twoje względy. – Kolejne przeprosiny? Tak, koleś ma w tym wprawę. Ile razy mnie przeproszał? Trudno byłoby zliczyć. Ile razy mu ulegałam? Wstyd przyznać. – Chcę zmienić wszystko – powtarza – ale nie to, że jesteśmy małżeństwem. Jesteś na mnie wściekła i masz do tego prawo. Na pewno musi minąć trochę czasu, zanim mi wybaczysz i zrozumiesz, że teraz jestem inny.

– Ha! Ha! Ha! Dobre sobie! Dorośli ludzie się nie zmieniają! Może na dzień, dwa, na miesiąc, lecz nie na całe dalsze życie. Ja już w nic ci nie uwierzę. Chcę tylko uzgodnić nasz rozwód. Będę wspaniałomyślna, zgadzam się, żeby był bez orzekania o winie i nie będę cię ścigać o alimenty. Czy to nie dość, żeby cię przekonać?

– Pieniądze nie są ważne.

– I owszem. Nauczyłeś mnie tego, gdy zwiąłeś, wyczyściwszy wcześniej nasze konto!

– Potrzebowałam kasy na początek.

– A ja nie potrzebowałam? Zostawiłeś mnie samą, w ciąży, bez mieszkania, bez perspektyw!

– Dałaś sobie radę – zauważa. – Słuchaj, ja zapomnę, że z nim byłaś.

Rozumiem cię, musiałaś jakoś przetrwać, było ci ciężko...

– Nie rób, kurwa, ze mnie dziwki! – przerywam mu ostro.

– Nie robię, źle się wyraziłem, nie chciałem cię urazić. Po prostu zdaje sobie sprawę, że to moja wina, bo nie pozostawiłem ci wyboru.

– To mój świadomy wybór. Jestem z Dawidem, bo go kocham. On jest całym światem dla mnie i Milenki. Nigdy mnie nie zawiódł, czego nie mogę powiedzieć o tobie! Jest szczery i uczciwy. Nie łąze jak pies na każdym kroku!

– Kurwa! Nie rób z niego świętego – irytuje się Mariusz.

– A ty przestań sobie wycierać gębę Dawidem. Nie jesteś godzien, aby o nim mówić. Jesteś żaloszny.

– Ja? Przeciwnie, moja droga. Ja nie płacę za seks nikomu, a już na pewno nie za seks z żoną kumpla.

Nie wytrzymuję. Moja dłoń wyprzedza myśli. Rozlega się kłaśnięcie. Jak na zwolnionym filmie twarz Mariusza oddala się pod siłą ciosu. Przed moimi oczami połyskują jasne włosy.

Tak musi wyglądać upadły anioł.

Mariusz prostuje się. W miejscu pierwotnej skruchy widnieje jadowity uśmiech, grymas, który wbił mi się w pamięć silniej niż jakiegokolwiek ze wspomnień o mężu.

– Dawid nigdy nie płacił za seks ze mną. Jestem z nim z miłości.

Mariusz odrzuca głowę w tył, śmieje się gardłowo, diabolicznie, a potem spogląda na mnie i mówi:

– On dał mi pięćdziesiąt tysięcy za to, żebym mu ciebie odstąpił. Mam nadzieję, że okazałaś się warta tych pieniędzy!

Rozdział 18

Miłość – wieczna tęsknota

Kludia

Świat zatrzymuje się w miejscu. Moje nieposłuszne płuca zapominają o oddychaniu. To niemożliwe! Nie wierzę!

– Co jeszcze wymyślisz w tym swoim chorym rozumku?! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

– Nie? To go, kurwa, zapytaj! No idź! Zapytaj! Co się tak na mnie gapisz?!
Stoi mi na drodze, śmieje się obrzydliwie. Odpycham go na bok i wybiegam od Kubasów. Nie czuję zimna, już mi nie przeszkadza marznący deszcz i porywisty wiatr. Na oślep pędzę w stronę domu.

Nagle zatrzymuję się niemalże w pół kroku. Targa mną przerażenie i rozpacz, lecz w mojej głowie pojawia się pytanie: i co teraz? Mam wrócić do niego jak gdyby nigdy nic? Udawać, że nic się nie stało i o niczym nie wiem? Jak to możliwe? Dlaczego on mi to zrobił?

I kiedy?

To było pół roku temu, gdy Mariusz wpadł z krótką wizytą do Jodłówek czy może wcześniej, gdy z nich chyłkiem uciekał?

Po co wrócił ten cholerny drań?

Zabrakło mu pieniędzy, które mi ukradł, czy tych, które dostał od Dawida?

I choć wydaje się to takim strasznym absurdem – ja mu wierzę. Skoro powiedział z tym wstrętnym, kpiącym uśmiechem, abym zapytała o to Dawida, to znaczy, że nie zmyślał.

Czuję się tak, jakbym dostała pięścią w brzuch. Cały mój świat legł właśnie w gruzach. I pomyśleć, że było mi tak dobrze, beztrudnie i bezpiecznie!

Jak on mógł? A ja tak mu wierzyłam!

Zasłaniam dłonią usta, tłumię szloch. Jak ja teraz pokażę się ludziom na oczy? Zostałam przehandlowana za jakieś głupie pięćdziesiąt tysięcy! Nie wątpię, że ta zakała ludzkości, Mariusz, nie omieszka wyjawić tego każdemu zainteresowanemu. On i Dawid za moimi plecami zrobili ze mnie dziwkę.

Zamiast do domu, idę do warsztatu. Muszę to wyjaśnić u źródeł, potwierdzić słowa Mariusza, a potem... Coś wymyślę. Jedno jest pewne: nie zostanę w Jodłówkach ani minuty dłużej.

Otwieram drzwi. W pierwszej chwili wśród jazgotu pił nikt nie zwraca na mnie uwagi. Czekam, aż któryś z mężczyzn mnie zauważy, dobrze wiem, że nie należy plątać im się pod nogami, gdy wykonują obróbkę większych kawałków drewna. Nawet gotująca się we mnie wściekłość nie popycha mnie naprzód. Szybko zostaję dostrzeżona. Dawid unosi głowę znad blatu roboczego, uśmiecha się szeroko i wyłącza piłę.

Zaraz zetnę z jego twarzy ten głupi uśmiech!

Jak ja mogłam być tak naiwna! Cały ten czas wierzyłam w jego miłość i bezinteresowność, a on... Żałosny typ, po prostu chciał sobie kupić rodzinę.

– Co jest, Klaudyś? Coś się stało?

– Stało! Wejdźmy lepiej do biura, nie będę tutaj o tym rozmawiać. – Wskazuję ruchem głowy jego pracowników.

W kącie dużej hali jest wydzielone pomieszczenie, które szumnie nazywa się biurem. Przechowywane są tam zlecenia, wzory i jakieś dokumenty.

– No, co jest? – indaguje Dawid. – Masz strasznie zaciętą minę.

– Jak mogłeś mi to zrobić?!

– Ale co? Nie rozumiem, co się stało?

– Dałeś Mariuszowi pięćdziesiąt tysięcy za to, żeby mnie zostawił! – rzucam prosto z mostu

Uśmiech znika jak bańka mydlana. Dawid blednie. Patrzą, jak nerwowo przeczesuje dłonią włosy.

– Kto ci o tym powiedział? – zadaje najgłupsze z możliwych pytań.

– A więc jednak! Nic już nie musisz mówić. Dobrze się zabawieś moim kosztem? Usatysfakcjonowany jesteś? Mam nadzieję, że, jak to powiedział mój pożałowania godny mąż, warta byłam tych pieniędzy! Dałeś mu kasę za mnie, bo żadna inna nie mogła patrzeć na twoją gębę? Tak?! Wiesz co? Nienawidzę cię! Brzydzę się tobą, wami dwoma! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy!

– Klaudia, na litość boską!

– Boga w to nie mieszaj. Jesteś takim samym śmieciem jak Mariusz. Nienawidzę cię – powtarzam z całą zaciętością, jaką jestem w stanie z siebie wykrzesać. – Trzeba było zostać z tamtą Irlandką! Ach... Ona pewnie też poznała się na tobie! Za mało jej płaciłeś?!

– Klaudia, nie mów tak! Porozmawiajmy jak ludzie!

– Nie mamy już o czym rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy więcej.

Odwracam się, chcę wyjść z biura, lecz on łapie mnie za ramię.

– Puść mnie! – krzyczę. Szarpnię się jak oszalała i nie zważam, że jego pracownicy widzą nas przez przeszkloną ścianę.

– Dopiero, jak się uspokoisz i pozwolisz mi dojść do głosu.

– Nie chcę słuchać, co masz mi do powiedzenia. Nie chcę twoich wyjaśnień, rozumiesz? Nic od ciebie nie chcę!

– Klaudia, poczekaj...

– Spieprzaj z mojego życia! Zejdź mi z drogi!

– Nie. Chodź do domu, porozmawiajmy – powtarza. – Nie rób sceny.

Do mnie już nic nie dociera. Moje serce pękło właśnie na pół i zostało podeptane brudnymi buciorami. Sплюwam Dawidowi w twarz, on odruchowo mnie puszcza, a ja w tym momencie wybiegam z biura i warsztatu.

Pędzę co tchu do domu. Muszę spakować rzeczy moje i Milenki – przynajmniej te, które będą mi najpotrzebniejsze. Poproszę Lidkę, żeby w moim imieniu odebrała resztę.

– Co się stało, Klaudynka? – Dźga mnie w plecy zaniepokojony głos Kasi, gdy wbiegam po dwa stopnie na górę.

Nie odwracam się, nie spojrzę jej teraz w oczy. Nie po tym wszystkim, co się stało. Czy i ona wiedziała? Czy brała w tym udział? A może dołożyła synowi ze swojej emerytury, żeby stać go było na zapłatę za mnie?

Wyciągam z szafy torbę. Wrzucam do środka bieliznę, ciepłe swetry, trochę rzeczy Milenki.

– Klaudynka, dziecko, a co ty, na Boga, robisz? – W drzwiach sypialni stoi staruszka zadyszana wspinaczką po schodach.

– Wyjeżdżam – odpowiadam krótko.

– Ale dokąd?

– Ona nigdzie się nie ruszy – odpowiada Dawid, który przybiegł za mną.

– A ty gdzie masz kurtkę?! Chcesz się przeziębować?! – ruga go matka, zdenerwowana tym chaosem.

– Mamo, zostaw nas samych, proszę!

Skonsternowana Kasia odchodzi. Zostawia nas, abyśmy w spokoju wyjaśnili tę kwestię.

Moim zdaniem nie ma czego wyjaśniać!

Nie zaprzestaję pakowania torby, na oślep zagarniam do niej damskie drobiazgi zalegające na komodzie: szkatułkę z biżuterią, trochę kosmetyków. Dawid dopada mnie jednym susem.

– Przestań! Klaudia, przestań, słyszysz? Co ty robisz?!

– Odchodzę! Mam dość bycia waszą zabawką! Co ty sobie myślałeś?! A on? Jednemu znudziło się życie rodzinne, więc za niewielką opłatą odstąpił zbędny balast kumplowi! Czym jeszcze tak handlujecie? Samochodami, komórkami? Zrobiliście ze mnie dziwkę! Możecie sobie wsadzić w tyłek te wasze brudne, cuchnące pieniądze! Nie chcę słuchać twoich głupich tłumaczeń! Już ci to powiedziałam, ale mogę powtórzyć: nienawidzę cię! Brzydzę się tobą i nie waż się więcej zbliżyć do mnie i mojego dziecka. Jesteś chory na umyśle!

Dawid

Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Nie wiem, co robić! Jak ją uspokoić? Przecież ona nie może odejść tak po prostu! Nie może przekreślić wszystkiego, co było między nami! Bóg mi świadkiem, że nigdy w życiu nie chciałem jej skrzywdzić, działałem w dobrej wierze.

A jeśli ona mówi prawdę? Jeśli naprawdę mnie nienawidzi? Jeśli była ze mną tylko z wygodnictwa? Jeśli te pieniądze to był tylko pretekst, żeby puścić mnie kantem?

Wróc na ziemię, Czarnota, ty idioto! Naprawdę uwierzyłeś, że taka kobieta może się w tobie zakochać?

Spoglądam na wykrzywioną gniewem twarz. Klaudia nie płacze, nie rozpacza, nie czuje się skrzywdzona przez los i załamana. To nie depresja, w której tkwiła dawno temu. To wściekłość i nienawiść tak wielkie, że już chyba nic tego nie zmieni.

– Okej. Rób, co chcesz – silę się na obojętność. Mam swój honor, nie będę jej błagał. – Może kiedyś, jak się uspokoisz i dojdiesz do siebie, porozmawiamy spokojnie. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwracam się, wychodzę z sypialni. Zbiegam po schodach do kuchni, gdzie przerażona tym wszystkim mama ściska w objęciach Milenkę.

– Coś ty narobił, chłopaku? – mówi przez łzy. – Jakie pieniądze?

Pochyliam głowę, garbię się, jest mi wstyd.

– Nic nie mów, mamie – proszę cicho. – Nie teraz, później ci wszystko wyjaśnię.

Wyjmuję dziecko z jej rąk. Ze wszystkich sił tulę je do siebie.

– Kocham cię, mała, wiesz? Wujek Dawid zawsze będzie cię kochał. Ciebie i twoją mamusię. Nigdy o tym nie zapominaj. Pamiętaj, pamiętaj!

Moje łzy kapią na pszeniczną główkę dziewczynki.

Boże! Jak boli!

Te nedorzeczne oskarżenia, pełne wściekłości wrzaski! Gdyby chociaż Klaudia dała sobie to wszystko wytłumaczyć!

Gdyby mnie kochała, wysłuchałaby również mojej wersji zdarzeń.

Już słyszę jej kroki na schodach. Porzuca na korytarzu torbę, wchodzi do kuchni. W ręce trzyma kombinezon Milenki.

To nie może działać się naprawdę!

Bez słowa odbiera mi dziecko. Zaciskam dłonie w pięści. Czy zobaczę ją jeszcze kiedykolwiek? Moją małą księżniczkę, mój promyczek słońca?

Mama zanosi się nagłym płaczem.

– Do widzenia, pani Kasiu. Dziękuję za wszystko i... przykro mi, że tak się stało. On pani wyjaśni, czemu odchodzę. Lidka odbierze resztę moich rzeczy.

– Ale dokąd ty chcesz jechać, dziecko, na tę gołoledź? Co wyście narobili? Co się stało? – Mama załamuje ręce. Biedna staruszka, nic nie rozumie.

– Do widzenia – mówi chłodno Klaudia i cicho zamyka za sobą drzwi.

Dawid

Unoszę się na falach upojenia. Wszystko pozbawione jest sensu. Odeszła – nie ma jej, a alkohol wcale nie przynosi ulgi.

– Co ty robisz, chłopaku!?

Otwieram oczy. Matka stoi koło mojego barłogu, ponieważ trudno nazwać łóżkiem skotłowaną, cuchnącą pościel, i załamuje ręce. Potem schyla się z ciężkim stęknieniem, zbiera porzucone w nieładzie ubrania i puste butelki po wódce. Otwiera na oścież okno. Wpada przez nie rześkie, wiosenne powietrze, lecz mnie zimno nie przeszkadza.

Już od dawna nic nie czuję.

Klaudia

Wiosna w pełnym rozkwicie. Czas otrząsnąć się z ponurych wspomnień,

odciąć raz na zawsze od przeszłości. Który to już raz? Nie zliczę.

Po wyjeździe z domu Czarnotów zatrzymałam się w tanim hoteliku na obrzeżach Krakowa. Szczęściem, zawsze żyłam oszczędnie, więc nie zabrakło mi pieniędzy na rozpoczęcie samodzielnego życia. W miarę szybko znalazłam przyzwoite mieszkanie za rozsądną cenę. Mam teraz z Milenką maleńki pokój, ślepą kuchnię w klaustrofobicznym przedpokoju i miniaturową łazienkę. Jak dla nas to wystarczy. Ważne, że mieszkanie jest samodzielne. Nikt nie dyktuje mi, co mam robić i jak mam żyć.

Zapisałam córkę do żłobka. Na razie pracuję w kwiaciarni, układam bukiety na pół etatu. Od września wracam do zawodu nauczycielki. Jakoś to wszystko pcha się do przodu – pomalutku, bez większych uciążliwości.

Na szczęście nie popadłam w depresję. Widać, los zahartował mnie już wystarczająco.

Nie czuję nienawiści do Dawida, a jedynie żal, że tak mnie potraktował: nie był ze mną szczery i wciąż mną manipulował. Między nami zawisły dziesiątki niewyjaśnionych kwestii i niech już tak pozostanie na zawsze. Nie chcę słuchać jego tłumaczeń. Zmieniłam numer telefonu i na wszystkie świętości kazałam przysięgać Lidce, że nikomu go nie zdradzi.

Ona jest moim jedynym łącznikiem z tamtym światem. Raz na jakiś czas muszę kontaktować się z Dawidem w sprawach służbowych. Bądź co bądź, nadal jesteśmy współnikami. On regularnie przysyła przelewy na moje konto, aczkolwiek nie ruszam tych pieniędzy, nie są mi potrzebne.

Przed odsyłaniem przelewów powstrzymują mnie dwie sprawy. Po pierwszym zwróconym przelewie Czarnota przekazał mi przez Lidkę, że będzie je wysyłał do skutku tak długo, jak długo będę jego współniczką. Po drugie, muszę mieć na uwadze, że mam córeczkę, która nie może tułać się po ulicy i przytułkach.

Ostatnio Lidka przekazała Dawidowi moją propozycję, abyśmy rozwiązali spółkę – na jego warunkach, o ile będą rozsądne. Nie wątpię w to, że załatwi sprawę uczciwie. Z goryczą mogę stwierdzić, że potrafi być nad wyraz hojny. Na razie się nie odzywa, może potrzebuje czasu do namysłu?

Staram się nie roztrząsać przeszłości. Wolę pamiętać go jako cudownego człowieka, w którym zakochałam się jak nigdy w życiu. Wciąż go Kocham, mimo zła, które mi wyrządził.

Oczywiście Dawid próbował się wytłumaczyć.

Wiem od Lidki, że on i Mariusz wciąż męczycieli ją o mój nowy numer telefonu. Ten ostatni zapewne po to, żeby napawać się sukcesem. Na

szczęście Lidzia jest nieugięta. Początkowo nie ufałam nawet jej. Przez parę tygodni spotykałam się z nią w neutralnych miejscach, z dala od mojego nowego mieszkania. Dopiero po jakimś czasie uwierzyłam, że nie zdradzi mnie przed tamtymi dwoma.

Dawid miał się różnych sposobów, aby nawiązać ze mną kontakt. Udawał, że coś ważnego dzieje się w firmie i niezbędna jest moja obecność. Uparcie domagałam się przekazywania przez Lidkę wszystkiego, co wymagało podpisów, bylebym nie musiała spotykać go osobiście. Pisał też listy i podawał poprzez moją przyjaciółkę, zawsze oddawałam je tą samą drogą, nawet nie otwierając koperty.

– Przeczytaj – nalegała. – Dla świętego spokoju, żeby przestał pisać i zadrećcać również mnie. Proszę...

– Nie ma mowy. Nie chcę wiedzieć, co ma mi do powiedzenia.

– Nie rozumiem tego. Co się z wami stało? Bardzo się kochaliście, to było widać na odległość.

– Nie pytaj, bo to boli. Ja nie chcę o tym mówić. Jeśli zależy ci na mojej przyjaźni, uszanuj moją wolę.

Starła się, mimo palącej ją ciekawości, ale była rozdarta pomiędzy nami dwojgiem. Próbowwała nas pogodzić, zostawiała „niechcący” te nieszczęsne listy – wszystko na darmo. Nie ustąpiłam nawet o włos, aż w końcu zrezygnowała.

Jakoś ułożyłam sobie życie na nowo.

Jakoś... – wciąż nienawidzę tego słowa.

Dawid zgodził się na rozwiązanie spółki. Upoważniłam notarialnie Lidkę do podjęcia wszelkich czynności w tym celu. Dostałam od jego księgowej jakieś mądre analizy i wyliczenia z oszacowaniem wartości moich udziałów. Zgodziłam się na wszystko, co zaproponował. Przecięłam ostatnią więź, która nas łączyła.

Pewnego dnia Lidka, która wciąż czuje się w obowiązku, aby podejmować próby informowania mnie o poczynaniach Dawida, przyniosła nowinę.

– A wiesz, Dawid sprzedał warsztat.

Wzruszam obojętnie ramionami.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Naprawdę? – Wciąż niedowierza.

– Naprawdę.

Kłamstwo. Tak naprawdę tylko silę się na obojętność, odstawiam cyrk z brakiem zainteresowania, lecz aż mnie skręca z ciekawości i tylko czekam na przyjazdy przyjaciółki w nadziei, że powie mi cokolwiek na jego temat.

Jestem masochistką, ale czyż nie na tym polega miłość? Na wiecznym rozdzieraniu niezabliźnionych ran...

Mariusz

Co ja, kurwa, najlepszego narobiłem?

Zawsze byłem draniem – nie obchodziło mnie, że inni też mają swoje uczucia i cierpią.

Przed laty wbiłem się jak klin pomiędzy Klaudię i Dawida. Namieszałem jej w głowie i sprzątnąłem sprzed nosa najlepszemu kumplowi jedyną miłość jego życia. Unieszczęśliwiłem i ją, i jego, a gdy mnie zmęczyli, porzuciłem żonę jak zbędny balast. Dwukrotnie winny – ponieważ do tej pory nawet nie widziałem na oczy mojej córki. Słyszałem tylko, że jest podobna do mnie jak dwie krople wody.

Boże, jeśli jesteś gdzieś w tych niebieskich wyżynach – nie dopuść, aby miała taki charakter jak ja! Moje biedne, osierocone dziecko.

Co ja bym dał, żeby cofnąć czas i odwrócić to wszystko. Przecież kochałem Klaudię – nadal ją Kocham. Tęskniłem za nią przez ostatnie dwa lata. To dla niej wróciłem do Polski. Żadne pieniądze świata nigdy mi jej nie zastąpią. Zwróciłem Dawidowi tamte pięćdziesiąt tysięcy niedługo po tym, jak odeszła Klaudia.

– Spierdalaj – powiedział. – Najpierw nią wzgardziłeś, a teraz, gdy zachciało ci się ją odzyskać, wszystko zjebałeś. I wiesz co? Żaden z nas już nigdy nie będzie jej miał. Powinieneś to wiedzieć! Nie znasz Klaudii?!

Znowu spuścił mi łomot – taki ma już zwyczaj. Odwieczne prawo pięści.

Zacisnąłem zęby, zawzięłem się, forszę oddałem.

Czy jest jakakolwiek szansa na to, aby Klaudia mi wybaczyła i żebyśmy byli prawdziwą rodziną? Mam świadomość tego, jak wiele straciłem, zresztą matka nigdy nie przestanie mi o tym przypominać. Płacze za każdym razem, jak mówi o Milence.

Czy kiedykolwiek zobaczę moje dziecko?

Klaudia, muszę oddać jej sprawiedliwość, okazała się twardą kobitką i bardzo szcwaną lisicą. Sprytnie umknęła, pozacierała za sobą wszystkie ślady. Wiem, że tylko Lidka ma z nią kontakt, ale na niej żadne prośby ani groźby nie robią wrażenia. Nawet pary z ust nie chce puścić, ale ja

nauczyłem się już cierpliwości. Będę czekał. Wierzę, że pewnego dnia ona zmięknie i los się odwróci.

Owszem, mógłbym szukać żony przez policję – zgłosić, że uprowadziła moją córkę – ale nie chcę posuwać się do tak drastycznych rozwiązań. Ten krok raz na zawsze pogrzebałby moje szanse na pogodzenie się z Klaudią.

Nie łączę po knajpach, nie spotykam się z laskami. Co niedziela pod rączkę z mamą wędruję do kościoła na główną mszę. Tylko patrzeć, jak rozbłyśnie mi nad głową świetlista aureola. Mam nadzieję, że Lidka ją dostrzeże i przekaze to Klaudii.

Nie poddam się, będę o nią walczył. Teraz mam zupełnie inną motywację niż przed laty. Wtedy chciałem dopiec Dawidowi. Pokazać, że jestem od niego lepszy i nie ma ze mną szans. Teraz zależy mi już tylko na żonie. Sporo czasu zajęło mi pojęcie tak oczywistej sprawy – musiałem do tego dojrzeć i wydorosnąć.

Tak, wydorosnąć! Ja – czterdziestoletni facet!

Kocham ją.

Po prostu – kocham.

Dawid

Czy mam żal do Klaudii? Sam nie wiem. Wykrzychała mi w twarz, bardzo szczerze, co myśli i czuje. Nie omieszkała też dodać, że mam paskudną gębę i że się mną brzydzi. Do bólu szczerza.

Zachowywałem się jak głupiec. Ona splunęła mi w twarz, wyszydziła, nie dała dojść do słowa, a ja błagałem ją w listach o dziesięć minut rozmowy. Wszystkie listy wróciły, nie przeczytała żadnego z maili. Za każdym razem, gdy wysyłałem wiadomość, otrzymywałem informację zwrotną: *Twój mail został usunięty z komputera odbiorcy bez czytania*. To samo musiało dziać się z SMS-ami. Zawzięta kobieta. Dała, aż nazbyt mocno, wyraz swojej nienawiści.

Cóż, dla nas już nie ma ratunku. Czy w ogóle może być mowa o jakichkolwiek „nas”? Żyłem urojeniami – to była iluzja. Klaudia wykorzystała mnie, gdy potrzebowała wsparcia. A kiedy stałem się niepotrzebny, skorzystała z pierwszej okazji, aby ze mną skończyć.

Ja też powinienem ją znienawidzić.

Przed wyjazdem w Bieszczady poprosiłem braci, żeby częściej zaglądali do matki. Nie próbowali mnie zatrzymać – podobnie jak ja byli

przekonani, że potrzebuję zmiany otoczenia.

Nie będę więcej dzwonił do Lidki, żeby nie mieć pokusy i nie zapytać o Klaudię. Pozbyłem się telefonu, nie jestem niewolnikiem komórki. Jedyne numer, jaki znam na pamięć i którego mógłbym potrzebować, to telefon do domu – nigdy nie miałem głowy do takich bzdur.

Mama zna mnie dobrze i wie, że będę dzwonił bardzo rzadko, może nawet wcale. Muszą jej wystarczyć kartki pocztowe. Wierzę, że nic złego się nie wydarzy, gdy mnie nie będzie w Jodłówkach.

Połonina Caryńska.

Okej. Już to przerabiałem. Ostatnio byłem tutaj z Klaudią, teraz znowu jestem sam.

Znowu pokonany.

Dokąd tym razem rzuci mnie los?

Mariusz

Wiem, że Lidka ma się dziś spotkać z Klaudią. Przez przypadek usłyszałem, jak łażąc po sklepie, nawijała przez komórkę. Chyba szykowała się jakaś babska nasiadówka, ponieważ Lidka tłumaczyła, czemu nie może przyjechać.

– Sorki, Dorocia, nie dam rady, już umówiłam się z Klaudią. Tak, z tą Klaudią. Dzisiaj. Na piątą. Nie, nie dam rady przełożyć. Nie wiem, o której wrócę, ale jak będzie dość wcześnie, to wpadnę. No, na razie! Buziaczki.

Na piątą, mówisz? Dobra Lidzia, to mnie do niej zaprowadzisz jak po sznurku. Będę czekał. Pytanie tylko, czym pojedziesz? Autobusem czy samochodem? Nieważne, bo ja i tak ruszę za tobą. Dowiem się, gdzie mieszka Klaudia, a jutro złożę jej wizytę.

Sam.

Klaudia

Dawid wyjechał. Lidka nie jest pewna dokąd, podobno urwał się na parę dni w Bieszczady.

Czy wspomina nasz wspólny pobyt w górach?

Czy chodzi tamtymi szlakami?

A może już zapomniał i wciąż tęskni za dziewczyną, z którą rozstał się na tydzień przed ślubem?

A może to nie w Bieszczady go pognało, lecz do niej?

Nie powinnam być zazdrosna! To przeszłość.

A jednak właśnie ta przeszłość wciąż rzucała cień na nasz związek i to dlatego nie chcę wysłuchać Dawida teraz. Po prostu nie wierzę, że naprawdę mnie kochał. Być może jest to irracjonalne, ale uważam, że on nas sobie kupił – to miał być substytut rodziny, której nie udało mu się wtedy założyć.

Jest wieczór, nikogo nie spodziewam się o tej porze, Lidzia była u mnie wczoraj, więc ciche pukanie do drzwi przyprawia mnie o lekkie zdenerwowanie. Całe szczęście, że ten ktoś nie użył dzwonka, ponieważ przed momentem uśpiłam dziecko. Może to jednak Lidzia wpada z niezapowiedzianą wizytą? Ona wie, że o tej porze Milenka już śpi i nie należy głośno się do mnie dobijać.

Przekręcam klucz, naciskam klamkę i zamieram w bezruchu.

– Co ty tu robisz? – syczę z nienawiścią, lecz na tyle cicho, by nie obudzić śpiącej córeczki. – Zostaw mnie w spokoju. Jeszcze ci mało?

Usiłuję zamknąć drzwi, lecz Mariusz skutecznie blokuje je butem.

– Klaudia, proszę, wpuść mnie. Porozmawiajmy.

– Idź sobie. Nie chcę z tobą rozmawiać, chyba że przez adwokata.

– Klaudia – mówi znacznie głośniej.

– Wynoś się. Obudzisz dziecko.

– To jest też moja córka. Chcę ją zobaczyć. Proszę, pokaż mi ją.

– O ile mnie pamięć nie myli, ostatnie oczekiwania, jakie miałeś w stosunku do niej, to aborcja.

– To był błąd, przepraszam. Proszę, wpuść mnie.

– Nie ma mowy.

– Okej. Będziemy rozmawiać przez niedomknięte drzwi.

Uparty gamoń. Ostatnia rzecz, której potrzebuję, to żeby ktoś z sąsiadów usłyszał naszą rozmowę. Zrezygnowana, robię przejście.

– Wejdz, tylko cicho – przypominam.

Nasze kłótnie nigdy nie były ciche. Mam poważne obawy o sen mojej córeczki. Boję się, że wystraszymy dziecko. Wchodzimy razem do pokoju. Mariusz od razu podchodzi do łóżeczka, gdzie śpi Milenka przytulona do pluszowego misia. On nachyla się i w mdłym świetle lampki nocnej spogląda na dziewczynkę. Wyciąga dłoń i głaszczuje jej główkę.

– Moja córeczka – mówi szeptem.

– Nie masz prawa jej tak nazywać.

– Wiem – przyznaje ze skruchą. – Zrobię wszystko, żeby to zmienić, przysięgam.

– Słuchaj, żeby było jasne: nie chcę twoich przyrzeczeń i obietnic. Sam zrezygnowałeś z Milenki. Powinieneś wiedzieć, że zarejestrowałam ją na nazwisko Wolak. W dokumentach ma wpis, że jej ojciec jest nieznany.

Mariusz prostuje się, spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Nie zrobiłabyś tego...

– I owszem.

– Nie wierzę.

– Mam ci pokazać jej akt urodzenia?

– Dlaczego? Przecież to moje dziecko!

– Jesteś pewny? Podejrzewałeś mnie o zdradę.

– Klaudia, popełniłem błąd i bardzo tego żałuję.

Spogląda mi głęboko w oczy. Jak ja dobrze znam te spojrzenia! Nigdy więcej nie dam się na nie nabrać.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? Zmusiłeś Lidkę, żeby ci powiedziała?

– Nie, do niczego jej nie zmuszałem. Usłyszałem przypadkiem, jak mówi przez telefon do koleżanki, że wybiera się na spotkanie z tobą. Jechałem za nią.

– Zbędny wysiłek. To, że wiesz, gdzie mieszkam, niczego nie zmienia. Nie chcę, żebyś mnie nachodził.

– Nie możesz mi zabronić widywania córki.

– Idź już. Zobaczyłeś Milenkę. Porozmawialiśmy. Jedyne, czego teraz od ciebie chcę, to rozwód. Na wszystko inne jest za późno.

– Dobrze, pójdę. Nie chcę się z tobą kłócić, ale wiedz, że wrócę. Będę wracał do ciebie i do dziecka. Chcę się pogodzić. Będę próbował, choćby miało mi to zająć resztę życia. Wierzę, że będziemy jeszcze rodziną.

Dotyka mojego policzka, lecz cofam się z obrzydzeniem. Nie wybaczę mu nigdy. Cholerny, zakłamany sprzedawczyk!

– Do zobaczenia.

– Nie fatyguj się więcej, szkoda twojego i mojego czasu.

Zamykam starannie drzwi. Opieram się o nie plecami. Łzy dławią moje gardło.

I co z tego, że mnie wyszpiegował? To jeszcze nie jest koniec świata. Mogę się znowu przeprowadzić, ale po co? Znam go dobrze – to chwilowy kaprys, on tak łatwo potrafi się zniechęcać. Szlag go trafia, ponieważ to ja zaproponowałam rozwód i zdradziłam go z jego najlepszym kumplem. Swoją

drogą, są siebie warci...

Nie! Nie będę uciekać jak tchórz. Mam fajne mieszkanie. Mam też kapitał pochodzący ze sprzedaży firmy. Dam sobie radę.

Wracam do pokoju.

Staram się myśleć pozytywnie, jednak nie potrafię. Znowu gotuje się we mnie wściekłość, jak wtedy, gdy przed kilkoma miesiącami prawda ujrzała światło dzienne. Bezmyślnie biorę do ręki pierwszą rzecz, która się pod nią nawija i rozładowuję gniew, rzucając przedmiotem w stronę drzwi. To coś opada z trzaskiem i rozsypuje się na kawałki, rozsiewając wokół moją skromniutką kolekcję biżuterii.

Przełykam ślinę.

Szkatułka, którą zrobił Dawid.

Pierwszy prezent, jaki mi podarował na samym początku naszej znajomości. Chciałabym zignorować drobiazgi leżące na wykładzinie, lecz coś ciągnie mnie w tamtą stronę jak magnes.

Padam na kolana przy drzwiach i drżącą dłonią podnoszę drewniane pudełko. Muszę oddać sprawiedliwość Dawidowi – to była solidna robota, tylko wieczko się rozsypało. Pękła inkrustowana róża na wierzchu i drobne, precyzyjnie dopasowane wcześniej elemenciki wymieszały się z pierścionkami, wisiorami oraz bransoletkami. Usiłuję je wybierać, lecz moje ręce są rozdygotane, a widok przesłaniają łzy spływające z oczu.

– Co ja narobiłam? Taka śliczna szkatułka...

Przyciskam do piersi uszkodzony przedmiot. Kołyszę się z żalu w przód i tył jak skrzywdzone dziecko.

Widzisz, dokąd zaprowadziła cię twoja zawziętość? Straciłaś pamiętkę waszej przyjaźni z czasów, gdy jeszcze nie była fikcją.

Ocieram oczy.

Oglądam zniszczenia. Sama tego nie naprawię, pod moimi nieporadnymi palcami wysypują się kolejne elementy wyjątkowo delikatnej układanki. Z bólem serca myślę o tym, ile godzin stracił Dawid na tę precyzyjną pracę. Wodzę opuszkami po uszkodzonym wieczku.

To iluzja, czy pod różą jest jakiś napis? Widzę tylko fragmenty... Czy powinnam doprowadzać dzieło zniszczenia do końca?

Drżącą dłonią usuwam pozostałe miniaturowe kosteczki. A jednak! Nie myliłam się – jest napis wyżłobiony w ciemnej pokrywie, odcina się wyraźnie jasnymi literami. Znam ten styl pisania, widziałam takie litery wielokrotnie.

Tak mocno można kochać tylko raz w życiu, Klaudynko.

Zamieram w bezruchu.

Jak to było?

Czekałem na miłość, a kiedy ona przyszła, nic z tego nie wyszło. Może byłem za mało konsekwentny? Może zabrakło mi odwagi na szczere postawienie sprawy? Próżno to roztrząsać. Było, minęło... Podobno prawdziwa miłość nigdy nie umiera. Zapewne dlatego nie potrafię pokochać innej. W moim sercu nie ma na to miejsca.

Jakoś tak wtedy to ujął...

O Boże!

Dawid zawsze mnie kochał. Byłam ślepa i głucha, a on... nieśmiały. No jasne, że tak! Zawsze miał kompleksy na punkcie tych dziur po ospie – pewnie pomyślał, że go nie zechcę. A ja go chciałam! Od samego początku byłam nim zafascynowana, lecz nie widząc zainteresowania z jego strony, nie miałam dość odwagi, aby wykonać pierwszy krok. Podobnie jak on bałam się odtrącenia. Później poznałam Mariusza, który zrobił mi wodę z mózgu. Dałam się zauroczyć gładkiej powierzchowności. Wydawało mi się, że złapałam za nogi Pana Boga, bo taki przystojny chłopak zwrócił uwagę właśnie na mnie. Nie dostrzegłam, jak wielki ból sprawiłam Dawidowi! Ach... więc to dlatego uciekł tydzień przed naszym ślubem i próbował zapomnieć w ramionach innej! Co tak naprawdę wydarzyło się w Irlandii? Czy to dlatego wrócił, że nie mógł zapomnieć o mnie?

Dziesiątki pytań, żadnej odpowiedzi.

Jak to możliwe, że rozminęliśmy się tak bardzo?

Byłam głupią, zaślepioną idiotką, zazdrosną o samą siebie!

A te pieniądze? O co tak naprawdę w tym chodziło? Dałam się omamić Mariuszowi, nie wysłuchałam wersji Dawida. Nagadałam mu wtedy takich strasznych głupot! Kilkakrotnie wykrzyczałam w twarz, że go nienawidzę. Powinnam była pozwolić mu zabrać głos w tej sprawie, a teraz... Teraz nie ma go od trzech tygodni!

Wyjechał. Dokąd tym razem go poniosło?

Czy wróci?

A może stracił już wszelką nadzieję?

Co robić?

Wyciągam komórkę, szukam jego numeru, lecz oczywiście nie mam – pozbyłam się go wraz ze starą kartą. Odtwarzam w pamięci ciąg cyfr. Po chwili jestem pewna, że przypomniałam sobie właściwy. Aparat robi zimne,

bezduszne biiip, biiip, biiip... Dawid nie odbiera. Nie wie, że to ja dzwonię. Próbuję ponownie. Cisza. Nie włącza się nawet poczta głosowa.

A jeśli, podobnie jak ja, zmienił numer telefonu?

Jakie jest prawdopodobieństwo, że w górach odczytuje maile? Cholera, nawet nie pamiętam jego adresu! Byłam bardzo skuteczna podczas odsuwania się od niego. Wymazałam z pamięci mojej i mechanicznej wszystko, co teraz jest mi najbardziej potrzebne. Byłam upartą idiotką i właśnie się to na mnie zemściło.

Co jeszcze mogę zrobić?

Muszę z nim porozmawiać!

Patrzę na spokojny sen mego dziecka. Czy mężczyzna, któremu byłabym obojętna, przeszedłby ze mną przez to wszystko? Ból narodzin, krzyki bólu, krew, pot i płacz? Miał łzy w oczach, gdy trzymał na rękach nowo narodzone dziecko. Zawsze bardzo ją kochał. Czy marzył o tym, żeby nazwać ją swoją córeczką?

– Tęsknię za Dawidem, Milenko. Pamiętasz go jeszcze? Da-di, tak go nazwałam. Uwielbiałam tarmosić jego włosy. Pojedziemy jutro do Jodłówek! – Ożywiłam się nagle. – Kasia na pewno będzie wiedzieć, dokąd Dawid wyjechał. A może zatrzymał się w tym samym schronisku, do którego zabrał mnie w zimie? Nie pójdziesz jutro do żłobka. – Głaszczę złociste włoski. – Wezmę trochę twoich ubranek i zrobimy sobie wycieczkę.

Dzwonię do szefowej i proszę o kilka dni wolnego.

– Tak, to bardzo pilna sprawa, przepraszam, że bez uprzedzenia, nie mogłam tego w żaden sposób przewidzieć. Oczywiście. Tak. Tak. Dziękuję. Do usłyszenia.

Krążę po klaustrofobicznym mieszkaniu. Pakuję do dwóch toreb nasze rzeczy. Nawet jeśli pani Kasia nie zdradzi mi miejsca pobytu Dawida, to i tak pojedę za nim w Bieszczady. Będę go szukać, choćbym miała przebić je na wylot.

O śnie nie ma mowy, jestem zbyt podekscytowana.

Niech się uda – myślę. Niech on wyjaśni mi to wszystko jakoś racjonalnie. Tak, abym mogła zaakceptować jego wersję. A później niech mi wybaczy pełnie gniewu słowa. Wyrzucimy to z pamięci i będziemy razem. Szczęśliwi – już na zawsze.

Chodzę z kąta w kąt. Nie mam co ze sobą zrobić. Staram się zachować rozsądek i nie cieszyć zanadto na nasze pojednanie.

Jutro, jutro, jutro...

Jutro się wiele wyjaśni.

– Jedziemy do wujka Dawida, Milenko. Da-di. Pamiętasz jeszcze? – pytam córeczkę, zapinając ją w samochodowy fotelik.

– Da-di, Da-di! – powtarza za mną, a ja nie wiem, czy papuguje, czy naprawdę go jeszcze pamięta.

Torby w bagażniku, klucze od mieszkania w torebce, portfel, dokumenty i komórka na miejscu. Drżącą ręką robię znak krzyża i ruszam w stronę Jodłówek. Z nostalgią mijam znajome drogi, przebudowane mosty, zabudowania ocalałe po potopie. Mijam szkółkę leśną na skarpie, która pochłonęła mój i Mariusza dom.

– Takie było przeznaczenie – mówię półgłosem ni to do siebie, ni do dziecka. – Nie dane nam było wspólne życie. Od samego początku moim przeznaczeniem był Dawid. Od pierwszej chwili w sklepie, gdy z rozmysłem nadepnęłam mu na stopę, ponieważ chciałam sprawdzić, jakiego koloru ma oczy. Dawid – powtarzam z uczuciem jego imię.

– Da-di! – cieszy się papużka na tylnym siedzeniu.

Skręcam w drogę wiodącą do Czarnotów, wjeżdżam na podwórko. Zauważam drobne zmiany. Nie ma ogródka, który zawsze uprawiała Kasia. Widać, w tym roku nikt nie pomyślał o grządkach. Warsztat oddzielono od reszty obejścia wysokim parkanem.

Zatrzymuję auto. Kasia wychodzi z domu. Wyciera dłonie w fartuch.

– Klaudynka! Dziecko, to ty? – dziwi się, podczas gdy ja wyłuskuję Milenkę z fotelika.

Mała przechera dobrze pamięta staruszkę! Ledwo stawiam ją na gruncie, a ona już wyrwa się i jak pocisk wystrzelony z procy pędzi do Czarnotowej.

– Ba-bi! Ba-bi! – pokrzykuje radośnie.

Tonie w uściskach i pocałunkach staruszki. Po chwili kobieta prostuje się z moją kruszynką na rękę. Drugą wyciąga w zachęcającym geście.

– Witaj, Klaudynko, dobrze wyglądasz.

– Kasiu... – Wpadam w jej rozpostarte ramię.

Uściski – dużo uścisków i łzy.

– Chodźże, dziecko, do środka, no chodź – zaprasza. – Porozmawiajmy. Ostatnio brakło nam rozmowy.

Z nostalgią przekraczam próg domu, gdzie spędziłam najszcześniejsze miesiące życia. Tutaj, w tym salonie, Milenka stawiała pierwsze kroki, na tej kanapie spała słodko w ramionach Dawida, za tą lampą lubiła wodzić

oczkami, gdy nosiłam ją na rękach.

Kasia nie ma pojęcia o niczym. Dawid nie zdradził powodu naszego rozstania. Powiedział, że zrobił z siebie idiotę. Staruszka nie naciska, nie próbuje mnie ciągnąć za język, a i ja nieskora jestem do rozmowy na ten temat, ponieważ tak naprawdę sama nie wiem, co rzeczywiście się wydarzyło. Pamiętam tylko budzące mój głęboki wstyd słowa pełne nienawiści.

– Nie ma go, córeczko. On wyjechał – mówi ze smutkiem Czarnotowa.

– Tak, wiem od Lidki, ale przecież tobie musiał powiedzieć, dokąd jedzie – mówię z ogromem wiary.

Staruszka przybiera pochmurny wyraz twarzy, kręci głową z przejęciem.

– Trzy tygodnie temu oznajmił, że wyjeżdża na jakiś czas w Bieszczady. Od tamtej pory nic o nim nie wiem. Zadzwoił raz i powiedział, abym nie dzwoniła, bo nie będzie już miał komórki. Obiecał, że sam się czasem odezwie. Przesłał kartkę, o... – Drepcze po salonie, uchyla szufladkę antycznego kredensu, podaje mi widokówkę znad Soliny.

– Jest więc w Bieszczadach – mówię z niegasnącym optymizmem.

– Chciałabym w to wierzyć – w jej głosie nie ma nadziei. – Tamtym razem też wyjechał w Bieszczady. Mówił, że wróci za trzy, cztery dni. Nie było go przez ponad dwa lata – przypomina smutno.

– Pojadę za nim, Kasiu. Ja go znajdę. Mam zdjęcia, będę wszystkim je pokazywać.

Jestem pełna wiary i optymizmu. Przekonuję staruszkę, że mi się uda. Gdy wstaję, aby się z nią pożegnać, ona mówi:

– A jakże ty, Klaudynko, chcesz go szukać po górach z dzieckiem? Będzie utrudniać ci wędrowkę, spowalniać. Zostawże ją na te parę dni u mnie. Wiesz przecież, że zadbam o nią jak należy. Ptasiego mleka jej nie braknie.

Nie ma czasu do namysłu.

– Naprawdę? – upewniam się jeszcze.

– Naprawdę. Moja mała księżniczka. – Porywa dziecko w objęcia. – Znowu się tobą nacieszę!

– Ba-bi! Ba-bi!

Pędzę do samochodu po torbę Milenki. Ściskam Kasię, całuję złocistą główkę córeczki.

– Będę za tobą tęsknić, mój mały skarbusiu!

– Jedź pomału i ostrożnie, dziecko. Niech cię Bóg prowadzi!

– Do zobaczenia, Kasiu. Zobacysz, wrócimy razem!

Pełna optymizmu jadę na wschód. Cały świat zdaje się sprzyjać tej dziwnej eskapadzie: drogi są puste, słońce przyświeca zza gęstych koron drzew, nawet radio w moim samochodzie nie trzeszczy, jak to ma w zwyczaju.

Żałuję, że nie mam przy sobie ani jednej płyty z muzyką, której słuchałam z Dawidem, lecz w moim sercu i tak brzmią słowa ballady:

Podobno każda miłość jest pierwsza

Myślę, że nawet jest to prawda

Lecz czuję również, że ta do Ciebie

Jest dla mnie wyjątkowo ważna.^[12]

Ile razy ukochany nucił mi tę piosenkę na chwilę przed snem? Nie zliczyłabym.

– Dawid, jak ja za tobą tęsknię! – mówię na głos słowa, które kołatają w moim umyśle od wielu miesięcy. Bardzo długo broniłam się przed tą myślą. Oszukiwałam siebie, że to była kolejna pomyłka.

Nie wierzę! To nie była pomyłka!

Kocham go najbardziej na świecie. Kocham go miłością równie wielką jak ta, którą czuję do Milenki, lecz zgoła inną – to miłość dorosłej kobiety.

Machinalnie prowadzę samochód. Sprzęgło, bieg, gaz, kierunkowskaz, zakręt, prosta, skrzyżowanie... Nie pytam nikogo o drogę, nie zerkam na mapę, nie muszę. Znam trasę w Bieszczady – byliśmy tam we dwoje. Niepokoję się tylko, jak zdołam go odnaleźć na tej wielkiej, bezkresnej przestrzeni.

Od czego zacząć? Gdzie mógł się zatrzymać?

Dawid to niespokojny duch, nie usiedzi w miejscu. Znając go, zakładam, że wędruje, zmieniając schroniska. Co wybrał: górskie szczyty czy Solinę?

Stawiam na to pierwsze.

Połonina Caryńska – bez niego.

Mój Boże! Jak tutaj cicho i pusto...

Rozglądam się wśród zielonych leśnych wzgórz i cienistych dolin.

Którą drogę powinnam teraz wybrać? Czy to dobry pomysł, aby przemierzać szlaki? Może powinnam była skupić się wyłącznie na schroniskach, gospodach i innych miejscach publicznych? Przecież on musi coś jeść, musi się myć, musi gdzieś nocować.

Mam świadomość, że cała ta wędrówka była bez sensu, a jednak nie mogłam oprzeć się pokusie, musiałam wejść na Połoninę.

Ostatnio byłam tutaj razem z nim.

Od pięciu dni wydeptuję różne szlaki. Jeżdżę z miejsca na miejsce, odwiedzam wszystkie przydrożne motele. Wszędzie pokazuję zdjęcia Dawida.

– Tak, był tutaj jakiś czas temu. – Słyszę w jednym z pensjonatów. – Poszedł na parę wycieczek, a później się wymeldował. To pani mąż?

– Tak, mąż – kłamię gładko. – Nie mówił, dokąd jedzie?

– Przykro mi, proszę pani, nic takiego nie pamiętam.

Kobieta spogląda na mnie ze współczuciem. Być może zastanawia się, czemu go szukam, dlaczego po prostu nie zadzwonię. Może nawet myśli, że jestem stuknięta. No, bo czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach szukałby w pojedynkę człowieka, który może być absolutnie wszędzie?

Odwracam się od kontuaru, wychodzę na zewnątrz. W oczach migoczą mi łzy, a poprzez nie razi górskie słońce.

– Gdzie jesteś, Dawid? Gdzie jesteś?

Czuję zniechęcenie i bezsilność. Powinam wrócić do Jodłówek i tam na niego poczekać – w domu pani Kasi. On musi do niej kiedyś zadzwonić, a wtedy matka mu powie, że wróciłam, bardzo za nim tęsknię i kocham go nad życie. Nieważne, co się wydarzyło, niech to odejdzie w niepamięć – chcę być z nim już na zawsze.

– Nie poddam się tak łatwo. Jestem cholernie twardą kobietą! Znajdę cię, Dawid, choćbym miała przeczesać wzdłuż i wszerz całe Bieszczady.

Zatrzymuję się na obiad w Wołkowyi. I tutaj widziano go niedawno, lecz gospodyni nie pamięta kiedy.

Wracam do samochodu, gdy dzwoni moja komórka.

– To na nic, Klaudynko, nie masz co go szukać. – Słyszę głos Kasi. – Właśnie przysłała kartka z Peru, napisana przez Dawida. On pisze, że zostanie tam dłużej, być może już na zawsze.

Nagle wokół mnie zapada przeraźliwa cisza. Zupełnie, jakby świat zatrzymał się w miejscu. Milkną wszystkie szepty i szelesty. Nie ma już barw i kształtów, jest tylko obezwładniająca nicość.

Ziemia usuwa się spod moich nóg.

Peru?

Podłęże koło Niepołomic

[12] [Fragment tekstu piosenki](#) pt. *Wyjątkowo ważna*, autor: Piotr Banach 2009 r, Studio S4, płyta *Indios Bravos*, rep. Indios Bravos

Spis treści

CZEŚĆ I. Zaklęty krąg

Rozdział 1. Niekochane dzieci

Rozdział 2. Zakochani

Rozdział 3. Dezerter

CZEŚĆ II. Proza życia

Rozdział 4. Nocny motyl

Rozdział 5. Pajęczna sieć

Rozdział 6. Wieczna pogoń

CZEŚĆ III. 180o

Rozdział 7. To nie sen

Rozdział 8. Szum deszczu

Rozdział 9. Krajobraz po burzy

CZEŚĆ IV. Uśmiechy i łzy

Rozdział 10. Jutro będzie lepiej

Rozdział 11. Nowy dzień

Rozdział 12. Nie jestem sama

CZEŚĆ V. Nie powstrzymasz żywiołów

Rozdział 13. Tęsknoty

Rozdział 14. Życie nie lubi próżni

Rozdział 15. Twarzą w twarz z wrogiem

CZEŚĆ VI. Emocje

Rozdział 16. Na nowej drodze życia

Rozdział 17. Echo przeszłości

Rozdział 18. Miłość – wieczna tęsknota